



Printed
in Manhattan

Śmierć na Manhattan

Przekład:
ALEKSANDRA
WOLNICKA

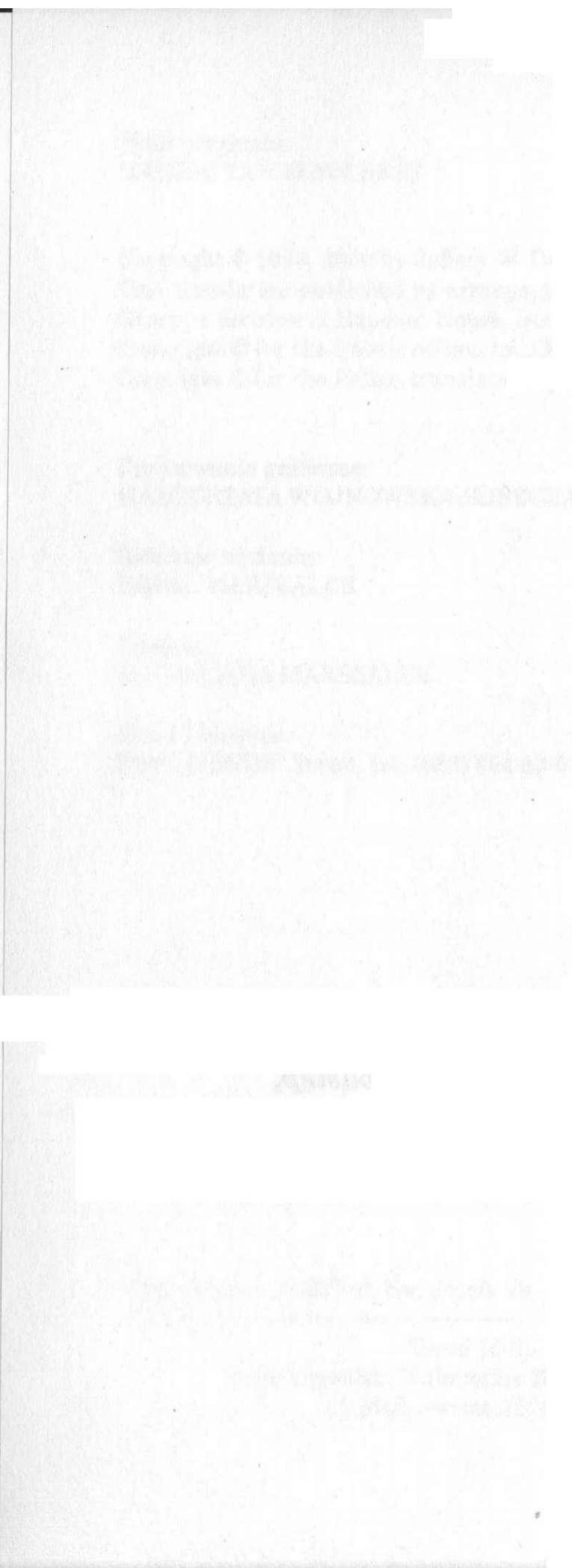
CÁT

TORUŃ

Tytuł oryginału: MANHATTAN IS MY BEAT

Copyright © 1988, 2000 by Jeffery W. Deaver

T
Publi
G
C
C
O
WOJ
R
K
M
K
IS
W
(056)
T
Graf
C
*miesz
mlod*
W



e Bantam Dell
2010
Wolnicka
ALGORZATA

Toruń, tel./fax
eskie Zakłady
żno.
*posepna nie
gdzie wieczna*

Uwierzył w to, że jest bezpieczny.

Po raz pierwszy od sześciu miesięcy.

Po dwóch zmianach tożsamości i trzech przeprowadzkach w końcu uwierzył, że jest naprawdę bezpieczny.

To było niezwykle uczucie. Doszedł do wniosku, że tak musi smakować spokój. Tak, to musiało być to. Coś, czego od dawna nie zaznał. Siedział na łóżku w przeciętnym pokoju hotelowym z widokiem na dziwaczny srebrny łuk górujący nad nabrzeżem St. Louis i wdychał rześkie, wiosenne powietrze Środkowego Zachodu.

W telewizji leciał jakiś stary film. Uwielbiał takie klimaty. Ib był akurat „Dotyk zła” w reżyserii Orsona Wellesa. Charlton Heston grał Meksykanina; wcale nie wyglądał jak Meksykanin, ale z drugiej strony nie wyglądał też wcale jak Mojżesz.

Arnold Gittleman zaśmiał się w duchu z własnego żartu i zaraz powtórzył go siedzącemu obok ponurakowi wertującemu kolorowe czasopismo „Broń i Amunicja”. Mężczyzna rzucił okiem na ekran. — Jak Meksykanin? — powtórzył z roztargnieniem, po czym przez minutę wpatrywał się w ekran telewizora. — Aha. — I wrócił do czytania.

Gittleman położył się na wznak na łóżku i doszedł do wniosku, że już najwyższa pora, żeby zaczęły mu przychodzić do głowy wesołe myśli, jak ta o Hestonie. Frywolne myśli, myśli, z których nic nie wynikało. Chciał rozmyślać, jak by to było pracować w ogrodzie, malować ogrodowe meble czy zabrać wreszcie wnuka na mecz baseballa. Albo wybrać się w końcu z córką i zięciem na grób żony, czego od ponad pół roku nie odważył się zrobić.

— To jak? — odezwał się nagle ponurak, podnosząc głowę znad czasopisma. — Co dzisiajjemy? Może kanapki?

Gittleman, który od Bożego Narodzenia stracił prawie czternaście kilogramów i ważył teraz niecałe dziewięćdziesiąt trzy, odparł: — Pewnie. Brzmi nieźle. Mogą być kanapki.

Musiał przyznać, że to *faktycznie* nieźle brzmiało. Od dawna nie czerpał żadnej przyjemności z myślenia o jedzeniu. Ale smaczna, gruba kanapka z delikatesów... Z pastrami. Na samą myśl pociekła mu ślinka. Z musztardą i na żytnim chlebie, a do tego pikle.

— Nie — zaprotestował trzeci mężczyzna, wychodząc z łazienki. — Pizza. Lepiej zamówmy pizzę.

Zafascynowany bronią ponurak i amator pizzy byli agentami federalnymi. Młodzi i szorstcy w obojętności, mieli kamienne twarze i nosili tanie, niedopasowane garnitury. Ale Gittleman wiedział, że nigdzie nie znalazłby lepszej ochrony. Poza tym życie nigdy się z nim nie cackało i zdawał sobie sprawę, że — pomijając pozory — ma do czynienia z dwoma naprawdę przyzwoitymi i bystrymi facetami — a przynajmniej takimi, którzy znają się na swojej robocie. A to przecież było w życiu najważniejsze.

W ciągu ostatnich pięciu miesięcy Gittleman szczerze ich polubił. A ponieważ rodzina nie mogła mu towarzyszyć, nieoficjalnie obu adoptował. Odtąd nazywał ich w myślach „Syn Pierwszy” i „Syn Drugi”. Kiedy im o tym powiedział, z początku nie wiedzieli, co myśleć. Wyczuł jednak, że zwracając się do nich w ten sposób, sprawia im frajdę. Jak sami przyznali, większość ochranianych przez nich ludzi to zwykłe gnidy, a Gittleman wiedział, że można o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest gnidą.

Syn Pierwszy zaczytywał się w czasopiśmie o broni; był grubszy i to on zaproponował, żeby zjeść po kanapce. Syn Drugi burknął coś i powtórzył, że woli pizzę.

— Zapomnij o tym, stary. Pizza była wczoraj.

Argument trudny do obalenia. A zatem pastrami i surówka z białej kapusty.

Świetnie.

— Na żytnim chlebie — dodał Gittleman. — I koniecznie z piklami. Nie zapomnij poprosić o pikle.

— Pikle są w cenie.

— Ib poproś o *dodatkową* porcję.

— Tak trzymaj, Arnie — poparł go Syn Pierwszy.

Syn Drugi powiedział coś do przypiętego do klapy mikrofonu. Cienki kabel łączył mikrofon z czarną krótkofalówką marki Motorola, która tkwiła za paskiem jego spodni tuż obok wielkiego pistoletu; broń z powodzeniem mogłaby być opisana w czasopiśmie, które z takim zacięciem czytał jego partner. Mężczyzna połączył się z trzecim agentem z zespołu ochraniającego Gittlemana, który na korytarzu pilnował windy. — To ja, Sal. Wychodzę.

— Okej — odezwał się zniekształcony przez zakłócenia głos. — Winda już jedzie.

— Chcesz piwo, Arnie?

— Nie — odparł zdecydowanie Gittleman.

Syn Drugi rzucił mu zdumione spojrzenie.

— Ja chcę *dwa* piwa, do cholery.

Wargi agenta wygięły się w lekkim uśmiechu — był to pierwszy przebłysk poczucia humoru, jaki Gittleman widział dotąd na jego twardej twarzy.

— I bardzo dobrze — przyklasnął mu Syn Pierwszy. Agenci już wcześniej namawiali go, żeby się w końcu rozchmurzył i zaczął bardziej cieszyć życiem. Żeby się odprężył.

— Dobrze pamiętam, że nie lubisz ciemnego piwa? — spytał Syn Drugi.

— Nie przepadam — przytaknął Gittleman.

— Jak się w ogóle robi takie ciemne piwo? — zastanawiał się głośno Syn Pierwszy, studiując uważnie jakieś zdjęcie w mocno sfatygowanym czasopiśmie. Gittleman zerknął mu przez ramię. Pistolet na zdjęciu był właśnie w kolorze ciemnego piwa i wyglądał o wiele groźniej niż te, które nosili przy boku jego przybrani synowie.

— Jak się je robi? — powtórzył z roztargnieniem. Nie wiedział. Znał się na pieniądzach i ich praniu, na filmach, wyścigach konnych i

wychowywaniu wnucząt. *Pił* piwo, ale nie miał zielonego pojęcia o jego wytwarzaniu. Może to mogłoby być jego nowe hobby, obok ogrodnictwa? Mała, domowa warzelnia. Miał pięćdziesiąt sześć lat i był za młody na to, żeby zrezygnować z pracy w sektorze finansowym i księgowości, ale po procesie zdecydowanie czeka go emerytura.

— Droga wolna — oznajmił przez krótkofalówkę głos z korytarza.

Syn Drugi zniknął za drzwiami.

Gittleman położył się i dalej oglądał film. Teraz na ekranie widać było Janet Leigh. Zawsze mu się podobała. Do tej pory miał żal do Hitchcocka, że uśmiercił ją pod prysznicem. Gittlemanowi podobały się krótkowłose kobiety.

Pełną piersią wdychał wiosenne powietrze.

Myślał o kanapce, którą zaraz zje.

Pastrami na żytnim chlebie.

I pikle.

Czuł się bezpieczny.

Wiedział, że agencja federalna robi wszystko, aby tak pozostało. Pokój, w którym się znajdowali, był połączony drzwiami z przylegającymi doń pokojami; obie pary drzwi zostały jednak zabite deskami, a sąsiednie pomieszczenia stały puste. Rząd amerykański płacił za wszystkie trzy pokoje. Korytarza pilnował agent przy windzie. Najbliższa pozycja strzelecka, jaką mógł zająć ewentualny snajper, znajdowała się trzy kilometry stąd, na przeciwległym brzegu Missisipi, a Syn Pierwszy — ten, który prenumerował czasopismo „Broń i Amunicja” — zapewnił go, że nie urodził się jeszcze człowiek, który zdołałby wykonać celny strzał z tak dużej odległości.

Nic zatem dziwnego, że Gittleman odczuwał spokój.

Myślał o tym, że nazajutrz będzie już w drodze do Kalifornii, wyposażony w całkiem nową tożsamość. Na miejscu czekała go operacja

plastyczna. Wtedy już na pewno nic mu nie będzie groziło. Ludzie, którzy chcieli go zabić, prędzej czy później o nim zapomną.

Odprężył się.

Pozwolił, aby wciągnęła go akcja filmu z Mojżeszem i Janet Leigh.

Rzecz była zresztą świetna. Już w pierwszej scenie pokazano, jak ktoś ustawia wskazówki detonatora na trzy minuty i dwadzieścia sekund, a następnie podkłada bombę. Przez dokładnie taki czas Welles fundował widzom ciągle ujęcie, aby trwali w oczekiwaniu na nieunikniony wybuch, od którego wszystko się zacznie.

To się dopiero nazywa budowanie napięcia.

To jest dopiero...

Zaraz, zaraz.

Co to ma być?

Gittleman spojrział w okno. Uniósł się lekko na łóżku.

Za szybą znajdowało się... *Co właściwie?*

Wyglądało jak niewielkie pudełeczko i leżało nieruchomo na parapecie. Podłączony do niego cienki przewód nikał gdzieś w górze. Zupełnie, jakby ktoś opuścił to coś z pokoju piętro wyżej.

Ze względu na oglądany właśnie film i otwierającą go scenę pierwszym skojarzeniem Gittlemana była bomba. Nachylił się i już po chwili stwierdził, że nie ma racji; tajemniczy przedmiot przypominał raczej kamerę, miniaturową kamerę wideo.

Przetoczył się na bok, wstał z łóżka i podszedł do okna. Z bliska przyjrzał się tajemniczemu przedmiotowi.

Tak jest. Nie mylił się. To rzeczywiście była kamera.

— Arnie, znasz zasady — upomniał go Syn Pierwszy. Z powodu tuszy obficie się pocił i teraz też miał z tym problem. Przetarł twarz rękawem. — Trzymaj się z dala od okna.

— Ale... Co to jest? — Gittleman wskazał palcem dziwny przedmiot.

Agent upuścił czasopismo na podłogę, wstał i podszedł do okna.

— Kamera wideo? — upewnił się Gittleman.

— Na to wygląda. Tak, chyba tak.

— Ale... Chyba nie jest wasza?

— Nie — potwierdził agent, marszcząc brwi. — Nie prowadzimy obserwacji z zewnątrz.

Przyjrzał się z bliska cienkiemu przewodowi, który znikał w górze, prawdopodobnie w oknie pokoju nad nimi. Wzrok agenta wędrował wyżej i wyżej, aż zatrzymał się na suficie.

— Cholera! — zaklął i chwycił za krótkofalówkę.

Pierwsza seria z wytłumionego pistoletu maszynowego przeszła na wylot cienkie gipsowe panele nad ich głowami, trafiając Syna Pierwszego; jego ciało wykonało makabryczny taniec, podrygując niczym pociągana za sznurki kukła. Agent osunął się na podłogę, brocząc krwią z licznych ran i wstrząsany drgawkami wyzionął ducha.

— Nie! — krzyknął Gittleman. — Jezu Chryste, *nie!*

Rzucił się do telefonu, ścigany kolejną serią z pistoletu. Piętro wyżej zabójca śledził każdy jego krok, obserwując obraz przekazywany przez znajdującą się za oknem kamerę.

Gittleman przywarł plecami do ściany. Rozległ się kolejny, tym razem pojedynczy strzał. Kula chybiła o włos. Potem jeszcze dwa strzały, kilka centymetrów od niego. Zupełnie jakby zabójca bawił się z nim w kotka i myszkę. Nikt niczego nie słyszał. Jedynym dźwiękiem był trzask rozdieranego drewna i gipsowych paneli.

Grad kul towarzyszył mu, gdy pochylony skoczył w stronę łazienki. Wokół niego posypał się tynk, potem na moment wszystko ucichło. Gittleman miał nadzieję, że tamten zrezygnował i uciekł. Okazało się jednak, że zabójca wziął na cel telefon — żeby Gittleman nie mógł przypadkiem wezwać pomocy. Dwie kule przebiły sufit, trafiając w beżowy aparat, który roztrzaskał się w drobny mak.

— Ratunku! — krzyknął Gittleman. Było mu niedobrze ze strachu. Ale oczywiście oba sąsiednie pokoje stały puste — świadomość tego faktu, tak uspokajająca jeszcze przed kilkoma minutami, teraz przyprawiła go o atak paniki.

Do oczu napłynęły mu łzy przerażenia...

Rzucił się na podłogę, przeturlał w róg pokoju i przewrócił lampę, która zgasła. Całe pomieszczenie spowił półmrok.

Kolejne serie. Coraz bliższe, jakby strzelec badał grunt, próbując namierzyć swoją ofiarę. Piętro wyżej ktoś go obserwował, wpatrując się w ekran telewizora tak samo, jak jeszcze przed paroma minutami robił to Gittleman, śledząc poczynania Charltona Hestona.

Zrób coś, ponaglał się w myślach Gittleman. Byle szybko!

Wykonał nagły zwód i z całej siły pchnął ruchomy stolik z telewizorem w stronę okna. Szyba pękła od uderzenia, telewizor zaś znalazł się dokładnie na wysokości kamery, zasłaniając sobą widok na pokój.

Rozległo się jeszcze kilka serii, ale zabójca strzelał teraz na ślepo.

— Błagam — modlił się szeptem Gittleman. — Błagam, niech mi ktoś pomoże...

Trzymając się ściany, przesunął się wolno w kierunku drzwi. Następnie drżącymi ze strachu rękami zaczął się zmagać z łańcuchem i zamkiem, pewien, że piętro wyżej ktoś cały czas do niego celuje, gotów w każdej chwili pociągnąć za spust.

Cisza przedłużała się jednak, więc jednym szarpnięciem otworzył drzwi na oścież i wypadł na korytarz, wołając do agenta pilnującego windy,

Gibsona, którego nie zaliczał do swoich przybranych synów: —
Strzelają do mnie! Na górze ktoś jest! Trzeba...

Urwał w pół zdania. Na końcu korytarza zobaczył leżące twarzą do
ziemi ciało Gibsona. Wokół jego głowy rosła kałuża krwi. Jeszcze jedna
kukła, tym razem z przeciętymi sznurkami.

— O, nie — jęknął Gittleman. Obrócił się na pięcie i rzucił do
ucieczki.

Zaraz jednak stanął jak wryty, oko w oko z tym, co — jak właśnie
zrozumiał — było po prostu nieuniknione.

Przed nim w głębi korytarza stał przystojny, śniady mężczyzna w
doskonale skrojonym garniturze. W jednej ręce trzymał aparat foto-
graficzny typu polaroid, a w drugiej czarny pistolet z tłumikiem.

— Nazywasz się Gittleman, prawda? — zapytał mężczyzna. Za-
brzmiało to niemal uprzejmie, jakby pytał z czystej ciekawości.

Gittleman nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Tamten przyjrzał mu się uważnie, mrużąc przy tym oczy, i po chwili
skinął głową. — Tak, to ty.

— Co do... — Spojrzenie Gittlemana pobiegło w kierunku pustego
teraz pokoju hotelowego.

— Och, mój wspólnik wcale nie chciał cię zabić. Miał cię po prostu
wykurzyć na zewnątrz. Musieliśmy wyciągnąć cię na korytarz, żeby
potwierdzić wykonanie zlecenia. — Ruchem głowy wskazał trzymany
w ręku aparat. — Ci, którzy nam płacą, muszą mieć jakiś dowód, sam
rozumiesz.

Po tych słowach trzykrotnie strzelił Gittlemanowi prosto w serce.

Kilka sekund później na korytarzu, który wcześniej cuchnął lizolem,
a teraz lizolem *oraz* prochem strzelniczym, Haarte odkręcił tłumik i
schował go do kieszeni razem z waltherem. Potem patrzył, jak na po-

laroidzie z wolna pojawiają się zarysy ciała zastrzelonego człowieka. Kiedy zdjęcie było gotowe, wsunął je do tej samej kieszeni co broń.

Odpiął od paska krótkofalówkę — zdecydowanie droższą niż te, których używali agenci, i dodatkowo wyposażoną w trzypoziomowe urządzenie szyfrujące — i wywołał swojego wspólnika piętro wyżej, strzelca tak świetnie obeznanego z bronią automatyczną. — Zane, klient nie żyje. Mam fotkę. Zmywamy się stąd.

— Już schodzę — padła zwięzła odpowiedź.

Haarte zerknął na zegarek. Zakładając, że trzeci z pilnujących Gittlemana agentów poszedł po coś do jedzenia — a zapewne tak właśnie było, zważywszy że zbliżała się pora kolacji — powinien być tu z powrotem w ciągu sześciu czy siedmiu minut. Dokładnie tyle czasu zajmowało dojście do najbliższej restauracji, zamówienie czegoś na wynos i powrót. *Hotelowa* restauracja nie mogła wchodzić w grę, bo w takim razie wystarczyłoby zadzwonić po obsługę.

Nie spiesząc się, Haarte zszedł z trzeciego piętra i wyszedł na ulicę. Był ciepły, wiosenny wieczór. Rozejrzał się. Ani żywego ducha. Żadnych syren, ani śladu policyjnych kogutów czy choćby nie oznakowanych radiowozów.

Słuchawka w jego uchu zatrzeszczała. Zane. — Jestem już w wozie. Spotkamy się za pół godziny w Hiltonie.

— Na razie.

Haarte wsiadł do wypożyczonego samochodu i wyjechał z centrum, kierując się na parking w University City, przyjemnej dzielnicy na zachód od miasta.

Zatrzymał się obok kasztanowej limuzyny marki Lincoln Continental.

Wysoko w górze rozległ się ryk silników odrzutowca podchodzącego do lądowania na Lambert Field.

Haarte wysiadł i podszedł do lincolna. Otworzył tylne drzwiczki i wsiadł, obrzucając baczny spojrzeniem kierowcę i zaciskając palce na

kolbie ukrytego w kieszeni pistoletu, na tę okazję pozbawionego tłumika. Siedzący z tyłu pasażer, nalany sześćdziesięcioletek o obwisłych policzkach, skinął mu lekko głową i popatrzył znacząco na przednie siedzenie, jakby chciał powiedzieć: „Kierowca jest w porządku, nie musisz się niczego obawiać”.

Haarte miał gdzieś uspokajające gesty tamtego. Bez przerwy się czegoś obawiał. Lęk towarzyszył mu już, gdy pracował jako glina w najgorszym rewirze Newark w stanie New Jersey i kiedy walczył jako żołnierz w Dominikanie. A także potem, gdy został najemnikiem w Zairze i Birmie. Z czasem uwierzył, że strach jest jak lekarstwo. I to takie, które jest w stanie uratować człowiekowi życie.

Dokonawszy uważnej oceny kierowcy, puścił kolbę pistoletu i wyjął rękę z kieszeni.

/

Mężczyzna odezwał się z akcentem ze Środkowego Zachodu: — W wiadomościach nic jeszcze nie podali.

— Podadzą — uspokoił go Haarte i pokazał mu zdjęcie.

Mężczyzna pokręcił głową. — I wszystko to dla pieniędzy... Niewinny człowiek nie żyje z powodu pieniędzy. — Sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego. Podniósł wzrok znad zdjęcia. Haarte zdążył się już przyzwyczaić, że krew na polaroidzie nigdy nie wychodzi naturalnie, zawsze ma trochę ciemniejszy kolor.

— Nie rusza cię to? — zapytał tamten. — Że zginął niewinny człowiek?

Haarte milczał. Niewinność czy wina, tak jak zbrodnia i miłosierdzie, to były dla niego puste frazesy.

Wyglądało jednak na to, że jego rozmówcy wcale nie zależy na odpowiedzi.

— Masz. — Mężczyzna podał mu kopertę. Haarte przyjął już w swoim życiu wiele takich kopert. Za każdym razem miał wrażenie, że

dostaje do ręki kawał drewna. Nie było to zresztą zbyt dalekie od prawdy — pieniądze to przecież papier, a papier to drewno. Nie zajrzał do środka, tylko od razu schował kopertę do kieszeni. Jak dotąd nikt jeszcze nie ośmielił się go oszukać.

— A co z tym drugim, którego chcecie się pozbyć? — zapytał.

Mężczyzna pokręcił głową. — Zapadł się pod ziemię, gdzieś na

Manhattanie. Nie jesteśmy pewni, gdzie dokładnie się zaszył, ale niedługo powinniśmy go namierzyć. A co, byłbyś zainteresowany?

— Robotą w Nowym Jorku? — Haarte zastanawiał się przez chwilę. — Ale to będzie więcej kosztować. Większe ryzyko, więcej komplikacji. Trzeba będzie wziąć kogoś do pomocy, a potem jeszcze upozorować wypadek albo przynajmniej poszukać kozła ofiarnego.

— Nieważne — rzucił niefrasobliwie tamten, w najmniejszym stopniu nie zainteresowany arkanami rzemiosła Haarte'a. — De to będzie kosztować?

— Dwa razy tyle. — Haarte znacząco dotknął kieszonki na swojej piersi, gdzie spoczywała koperta z pieniędzmi.

Mężczyzna uniósł posiwiałą brew. — Sam pokryjesz wszystkie koszty? Opłacisz wspólników? Sfinansujesz sprzęt?

Haarte odczekał chwilę, zanim odpowiedział. — To 10 procent więcej za dodatkowe wsparcie.

— Mogę na to pójść — zgodził się tamten.

Uścisnęli sobie dłonie i Haarte wrócił do swojego samochodu.

Ponownie wybrał numer wspólnika. — Zane? Mamy nowe zlecenie. Tym razem na naszym własnym podwórku.

2

Ktoś musiał odebrać kasetę od klienta i wypadło na Rune. Potem jej życie już nigdy nie było takie samo.

Rune jednak nie poddawała się bez walki. Dlatego najpierw dla zasady pokłóciła się z Tonym, kierownikiem wypożyczalni Washington Square Video przy Ósmej Ulicy w Greenwich Village, gdzie pracowała jako kasjerka. I to aż do utraty tchu.

Przewijając taśmę, manipulując przy magnetowidzie, strzelając gniewnie przyciskami pilota, popatrywała gniewnie na tłustego brodacza. — Wybij to sobie z głowy, Tony. Nie ma mowy.

Przypomniała mu, jak na samym wstępie uzgodnili, że do jej obowiązków nie będzie należało dostarczanie kaset ani ich odbiór od klientów. Takie były ustalenia, kiedy przyjmował ją do pracy.

— No, więc sam widzisz — zakończyła.

Tony rzucił jej spojrzenie spod przyprószonych siwizną, krzaczastych brwi i nie wiedzieć czemu postanowił przekonać ją po dobroci. Wyjaśnił jej zatem spokojnie, że zarówno Frankie Grek, jak i Eddie są zajęci — oficjalnie dłubaniną przy monitorach czy czymś w tym rodzaju, chociaż Rune podejrzewała, że w rzeczywistości chodzi im o zdobycie darmowych wejściówek na koncert w Palladium — jest więc absolutnie jasne, że to *ona* musi się przejść po kasetę.

— To wcale nie jest takie *jasne*, Tony. Bo niby gdzie jest napisane, że ja w ogóle *coś muszę*?

Tony zmienił zdanie co do metody perswazji. — Okej, Rune, sprawa jest prosta. Jako *twój szef* mówię ci, kurwa, że *masz to zrobić*. A zresztą, o co tyle krzyku? W końcu to tylko jeden adres.

— Bo to cholerna strata czasu i już.

— Całe twoje życie to strata czasu, Rune...

— Posłuchaj — przerwała mu niecierpliwie i zaczęła przedstawiać kolejne argumenty, aż wreszcie Tony wtrącił:

— Uważaj, kotku, bo zaraz zrobi się nieciekawie. Bierz dupę w troki, ale już. Żebyś cię tu za chwilę nie widział.

— Nie mam tego w umowie — zaproponowała jeszcze, tylko dlatego, że ustepliwość po prostu nie leżała w jej charakterze. Widząc jednak, że Tony robi się purpurowy i jest o krok od wybuchu, zerwała się z miejsca i rzuciła: — O rany, Tony, *wyluzuj*, dobra? — tym swoim rozdrażnionym, bezczelnym tonem, za który już dawno powinna była wylecieć z roboty, ale jak dotąd jakoś zawsze jej się udawało.

Tony zerknął na fakturę i westchnął: — Chryste, przecież to tylko parę przecznic stąd. Aleja B. Facet nazywa się Robert Kelly.

Ach, tak? — pomyślała Rune. Pan Kelly? Trzeba było od razu tak mówić.

Wzięła fakturę i chwyciła swoją ulubioną torbę w stylu retro w lamparcie cętki (oczywiście podróbka), którą wygrzebała w sklepie z używaną odzieżą na Broadwayu. Pchnęła drzwi i wychodząc prosto w chłodne, wiosenne powietrze, rzuciła: — Dobra już, dobra. Pójdę tam. — Postarała się nadać swoim słowom odpowiedni ton, żeby Tony nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, że oto wyświadcza mu się olbrzymią przysługę. W ciągu dwóch dekad, jakie spędziła na tej planecie, zdążyła się nauczyć, że jeśli dalej chce żyć tak, jak żyje, maksymalnie liczne grono osób powinno jej coś zawdzięczać.

Rune miała niecały metr sześćdziesiąt wzrostu i ważyła czterdzieści pięć kilogramów. Tego dnia ubrana była w czarne spodnie ze streczu oraz czarny podkoszulek pod elegancką męską koszulą, której rękawy zostały obcięte w taki sposób, żeby przypominała białą kamizelkę w prążki. Do tego czarne botki za kostkę. Jej lewe przedramię zdobiło dwadzieścia siedem bransoletek, każda inna.

Usta Runę zmieniały swoją wielkość w zależności od tego, czy je nerwowo ściągała, czy pogardliwie wydymała, i stanowiły barometr jej nastrojów. Miała okrągłą twarz i nos, któremu trudno było cokolwiek zarzucić. Przyjaciele mówili jej czasami, że jest podobna do pewnej aktorki grywającej w niezależnych produkcjach. Runę nie darzyła jednak zbyt wielu współczesnych aktorek szczególną estymą — a przynajmniej nie na tyle, żeby chcieć się do nich upodabniać. Gdyby jednak wziąć Audrey Hepburn i umieścić ją we współczesnej, nowofalowej wersji „Śniadania u Tiffanycgo” osadzonej w

śródmiejskich realiach, to Runę tak właśnie chciałyby wyglądać — i pod wieloma względami właśnie tak wyglądała.

Po paru krokach przystanęła i przejrzała się w lustrze na wystawie sklepu z antykami; ogromne litery układające się w napis „SPRZEDAŻ HURTOWA” górowały nad nazwą samego przybytku. Parę miesięcy wcześniej Runę rozstała się z czarno-fioletową fryzurą na sztorc, zmyła jakoś koszmarną farbę i przestała własnoręcznie podcinać włosy. Jej kosmyki były teraz dłuższe, a światu z wolna ukazywał się ich naturalny, kasztanowy odcień. Spoglądając w lustro, nastroszyła je palcami, a następnie z powrotem przyglądała. Ani długie, ani krótkie; ów niezdecydowany charakter fryzury sprawiał, że Runę czuła się jeszcze bardziej bezdomna niż zwykle.

Podjęła przerwana marszrutę w kierunku East Village.

Jeszcze raz spojrzała na trzymaną w ręku fakturę.

Robert Kelly.

Gdyby Tony od razu powiedział, o którego klienta chodzi, nie robiłaby aż takiego zamieszania.

Kelly Robert, klient od 2 maja, depozyt —gotówka.

Robert Kelly.

„Mój narzeczony”.

Tak właśnie powiedziała Frankiemu Grekowi i Eddiemu w wypożyczalni. Zaskoczeni zamrugali powiekami, nie wiedząc, *co* by to miało znaczyć. Runę zaraz zresztą wybuchnęła śmiechem, obracając wszystko w żart — by tamci nie zaczęli znacząco szczerzyć zębów, podśmiewać się i wypytywać jej, jak to jest w łóżku z siedemdziesięcioletkiem.

Dodała jednak: — Ale, jak by nie było, zaprosił mnie na *randkę*. — Zasiała w nich tym samym wystarczająco dużo wątpliwości, żeby było zabawnie.

Robert Kelly *naprawdę* był jej przyjacielem. A już na pewno był jej bliższy niż większość mężczyzn, których dotąd poznała w wypożyczalni. Był też *jedynym*, z którym się umówiła na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy, jakie tu spędziła. Tony z zasady nie zgadzał się na żadne poufałości z klientami — nie to, żeby którakolwiek z zasad Ton/ego mogła ją choć na sekundę powstrzymać. Prawda była taka, że do wypożyczalni zaglądali głównie faceci od dawna udomowieni albo zwyczajnie niewiele warci, o czym mógł świadczyć fakt, że próbowali poderwać kasjerkę w wypożyczalni kaset wideo w Greenwich Village.

Cześć, mam na imię John, Fred, Stan, Sam, mów mi Sammie, mieszkam tu niedaleko, a to jest prawdziwy Armani, podoba ci się? Fotografuję modę, pracuję w nieruchomościach, mam trochę koki, hej, a może pójdziemy do mnie na male bzykanko?

„Kelly Robert, depozyt — gotówka” miał na sobie garnitur i krawat za każdym razem, kiedy go widziała. Był też od niej o pięćdziesiąt lat starszy. Ale kiedy zaproponowała mu drobną przysługę — skopiowanie przy okazji, za darmo kasety z pewnym filmem — zarumienił się i spuścił wzrok, a w dowód wdzięczności zaprosił zaraz Rune na lunch.

Poszli do pomalowanego na jaskrawy turkus lokalu Soda Shop przy St. Marks, stylizowanego na lodziarnię z lat pięćdziesiątych, gdzie w otoczeniu studentów Uniwersytetu Nowojorskiego, wyglupiających się z wyrazem śmiertelnej powagi na twarzach, zjedli po kanapce z grillowanym serem i piklami. Rune też zamówiła kieliszek martini. Robert Kelly roześmiał się zaskoczony i wyznał jej szeptem, iż uważał ją dotąd za szesnastolatkę. Kelnerka nawet nie mrugnęła okiem, kiedy Rune podsunęła jej fałszywy dowód tożsamości, z którego wynikało, że ma dwadzieścia trzy lata. Zgodnie z oryginalnym dokumentem — prawem jazdy z Ohio — miała dopiero lat dwadzieścia.

Z początku Robert Kelly był nieco skrepowany, ale to nie stanowiło najmniejszego problemu. Rune była starą wyjadaczką, jeśli chodzi o sztukę podtrzymywania towarzyskiej konwersacji. Wkrótce też jej towarzysz ożywił się i potem już świetnie się razem bawili. Gawędzili

o Nowym Jorku — okazało się, że Robert Kelly doskonale zna to mia-

*

sto, chociaż pochodził ze Środkowego Zachodu. Opowiedział jej o klubach w Hell's Kitchen, w których zwykł dawniej bywać, w rejonie na zachód od Midtown. I o piknikach w Battery Park oraz spacerach po Central Parku w towarzystwie „damy swego serca”. Rune bardzo spodobało się to określenie. Miała nadzieję, że kiedy się zestarzeje, będzie dla kogoś „damą jego serca”. Miała nadzieję...

O, psiakrew...

Rune zatrzymała się jak wryta na środku chodnika. *Cholera jasna*. Przetrzęsła torbę — niestety, nie było w niej kasety, którą dla niego przegrała. Pan Kelly na pewno się zmartwi, tak bardzo się na nią cieszył. Ale przede wszystkim mogło się to źle skończyć dla niej samej. Kasetka została w wypożyczalni i jeśli Tony odkryje, że po piracku skopiowała firmową kasetę... Chryste, z miejsca wyrzuci ją na zbity pysk. Washington Square Video nie było miejscem, gdzie można by liczyć na odroczenie wyroku.

Nie mogła jednak tak po prostu zawrócić i wyciągnąć kasety spod lady, gdzie ją wcześniej ukryła. Zaniesie ją panu Kell/emu za dzień lub dwa, albo dyskretnie wsunie mu do kieszeni następnym razem, kiedy ten przyjdzie coś wypożyczyć.

Bo jakie jest prawdopodobieństwo, że Tony znajdzie tę kasetę? I że wyrzuci Rune z pracy?

A gdyby nawet, to co z tego? *Raz na wozie, raz pod wozem*. Tak sobie zwykle mówiła, a przynajmniej *myślała*, ustawiając się w kolejce do Nowojorskiego Urzędu Pracy. Rune była stałą bywalczynią tej szacownej instytucji i nawet nawiązała tam parę naprawdę udanych przyjaźni.

Raz na wozie, raz pod wozem. Mantra jej bezrobocia. A zarazem ogólnozyciowe credo, jak sama stwierdziła.

Tyle że dziś jej zwykła niefrasobliwość gdzieś się ulotniła i Rune doszła do wniosku, że tym razem chyba nie chciałaby zostać bez pracy. Było to dla niej zupełnie nowe i dziwne doświadczenie, wykraczające poza

zwykłą, jakże upierdliwą konieczność szukania nowej posady, która spadała na nią zawsze z chwilą, gdy kolejny szef wzywał ją do siebie i mówił: „Rune, musimy pogadać” albo: „To nigdy nie jest łatwe...”

Chociaż zazwyczaj było to *bardzo* łatwe.

Rune znosiła zwolnienia znacznie lepiej niż inni pracownicy. Znała na pamięć wszystkie te gadki. Dlaczego więc teraz tak bardzo martwiła ją perspektywa wyrzucenia?

Nie wiedziała. Może po prostu coś wisiało w powietrzu... Wytłumaczenie dobre jak każde inne.

Szła dalej na wschód, przez tę dzielnicę Nowego Jorku, którą uniwersytet i deweloperzy nieruchomości od lat obracali w perzynę, stawiając wszędzie akademiki i nudne bloki z betonu. Jakaś tęga kobieta podsunęła jej petycję do podpisania. Widniało na niej hasło: „Ratujmy naszą dzielnicę”. Rune minęła ją. Nowy Jork już taki był. To miasto wciąż się zmieniało, jak wąż zrzucający skórę. Kiedy twoje ulubione miejsce przestawało istnieć albo zwyczajnie przestawało ci się podobać, szybko znajdowałeś sobie coś nowego, bardziej odpowiadającego twoim gustom. Wystarczyło tylko mieć w kieszeni ważny bilet do metra.

Jeszcze raz spojrzała na widniejący na fakturze adres pana Kel- l/ego. Wschodnia Dziesiąta numer 380, lokal 2B.

Przeszła przez ulicę, przecięła Aleję A, potem Aleję B. Nic dziwnego, że nazwano tę część miasta Alphabet City. Okolica z każdym krokiem robiła się coraz bardziej ponura, nędzna i zapuszczona.

Coraz bardziej przerażająca.

Ratujmy naszą dzielnicę...

3

Haarte nie przepadał za East Village.

Kiedy przed trzema tygodniami, po powrocie z roboty w St. Louis, przyszło im rzucać monetą, kto będzie obstawiał mieszkanie nowego „celu”, Haarte cieszył się jak dziecko, że nie wypadło na niego. Zresztą Zane na pewno świetnie sobie poradzi.

Przystanął na rogu Wschodniej Dziesiątej i rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnych czujek, które mogłyby sterczeć przed wejściem do kamienicy. Jego wspólnik kręcił się tam wcześniej przez dobre pół godziny i przekazał mu, że okolica jest czysta. Sprawdzili, że jakiś czas temu ich „ceF ulotnił się z mieszkania na Upper West Side — mieszkania, które wynajęli mu agenci federalni — i zniknął z oczu swoim opiekunom. Lecz ta informacja nie była najświeższa; w międzyczasie federalni mogli ponownie faceta namierzyć — te gnoje były w stanie odszukać każdego, jeśli tylko im wystarczająco zależało — i być może właśnie w tej chwili obserwowali budynek. Dlatego też Haarte zatrzymał się i omiótł uważnym spojrzeniem ulicę, wyglądając jakichkolwiek podejrzanie zachowujących się osób. Ani śladu „nianiek”.

Ruszył przed siebie chodnikiem. Wokół piętrzyły się sterty śmieci, pokrytych pleśnią książek i czasopism, starych mebli. Wąskie ulice zastawione były nielegalnie zaparkowanymi samochodami. Zauważył kilka ciężarówek do przewozu mebli — wyglądało na to, że mieszkańcy Village ciągle się przeprowadzają. Haarte dziwił się, że w ogóle ktośkolwiek się tutaj *wprowadza*; on sam wyniosłby się stąd najszybciej, jak by się dało.

Tym razem miał na sobie jasnoblękitny kombinezon dezynfektora. W rękę niósł plastikową skrzynkę, w której zamiast narzędzi do walki z robactwem znajdował się automatyczny walther zaopatrzony w profesjonalny tłumik. Haarte ukrył tam także aparat typu polaroid. Takie przebranie nie wszędzie się sprawdzało, ale gdy tylko trafiała się robota w Nowym Jorku — co nie było zbyt częste z uwagi na fakt, że sam tutaj mieszkał — wiedział, że dezynfektor będzie ostatnią osobą, która wzbudzi w tym mieście czyjekolwiek podejrzania.

— Jestem już prawie na miejscu — rzucił półgłosem do wpiętego w kłapę mikrofonu. Inną zaletą Nowego Jorku było to, że nikogo nie dziwił tam widok człowieka, który gada sam do siebie.

Gdy Haarte zbliżył się do budynku numer 380 przy Wschodniej Dziesiątej, jego wspólnik siedzący w zaparkowanym przecznicę dalej zielonym pontiacu zameldował: — Ulica czysta. W oknie widać było czyjś cień. Klient jest u siebie. A przynajmniej *ktoś* tam jest.

W przypadku tego konkretnego zlecenia uzgodnili, że to Haarte będzie strzelał, a Zane zadba o możliwość szybkiej ucieczki.

Haarte odparł: — Oczekaj trzy minuty po tym, jak wejde. Później przejdź na tyły budynku i zaparkuj w bocznej uliczce. Gdyby coś poszło nie tak, rozdzielamy się i spotykamy u mnie.

— Okej.

Wszedł do środka i znalazł się w ciemnym holu. Ależ tu śmierdzi, pomyślał. Psimi szczynami. Albo ludzkimi. Haarte wzdrygnął się lekko. Zarabiał rocznie ponad sto tysięcy dolarów i mieszkał kilka kilometrów stąd, w bardzo porządnym budynku z widokiem na rzekę Hudson oraz New Jersey. Tak porządnym, że nie potrzebowano tam usług truciciela robactwa.

Rozejrzał się uważnie po holu i prowadzącym w głąb budynku korytarzu. „Cer mógł się nie spodziewać zamachu i niewykluczone, że gdyby Haarte zwyczajnie zadzwonił przez domofon i oznajmił, że przyszedł tępić karaluchy, tamten po prostu wpuściłby go do środka.

Równie dobrze jednak mógł się nagle pojawić u szczytu schodów z wycelowanym w Haarte'a gnatem i zacząć do niego strzelać.

Dlatego też zdecydował się postawić na dyskrecję. Podłubał w drzwiach wejściowych cienkim stalowym drutem. Tani zamek poddał się po paru sekundach.

Wszedł do środka i wyjął ze skrzynki pistolet, a następnie ruszył korytarzem w stronę lokalu numer 2B.

Na widok kamienicy, w której mieszkał Robert Kelly, Rune poczuła zaskoczenie.

Zaskoczenie charakterystyczne dla kogoś, kto po raz pierwszy przychodzi z wizytą do nowego znajomego. Mając w pamięci jego skromny ubiór, spodziewała się, że mieszka równie skromnie, ale to, przed czym teraz stała, było najzwyklejszą ruiną. Pokryty liszajami ceglany mur łuszczył się i odpadał drobnymi kawałkami niczym jaskrawoczerwone, pylące się konfetti. Drewniane ramy okienne były spróchniałe, a ściekająca z dachu woda pozostawiła wielkie, rdzawe zacieki na frontowych schodach i chodniku. W miejsce popękanych lub wybitych szyb lokatorzy powstawiali w okna kawałki tektury, poupychali szmaty albo poźółkłe gazety.

Rune wiedziała oczywiście, że East Village nie należy do najlepszych nowojorskich dzielnic — bywała tu często w różnych klubach i spotykała się ze znajomymi w parku na Tomkins Square przy Alei A, gdzie trzeba było uważać na ćpunów i domorosłych gangsterów. Jednak myśląc o dzentelmenie starej daty, jakim w jej oczach był pan Kelly, wyobrażała sobie raczej elegancki dom w stylu angielskim, z fikuśnymi gipsowymi stiukami i tapetą w kwiatki, otoczony schludnym ogrodem i ogrodzeniem z kutego żelaza.

Wszystko jak na planie filmu „My Fair Lady”, który oglądała razem z ojcem jeszcze jako mała dziewczynka. Rune zwykła wyobrazać sobie pana Kelly'ego siedzącego w salonie przed kominkiem w pozie Rexa Harrisona i pijącego herbatę. Piłby ją małymi łykami (w angielskich filmach wypicie filiżanki herbaty trwało całą wieczność) i czytał gazetę, w której nie byłoby ani jednego komiksu.

Teraz jednak poczuła się skrępowana, zażenowana. Zaczęła niemal żałować, że w ogóle tu przysła.

Podeszła bliżej. W ogołoconym z zieleni ogródku przed wejściem leżało przewrócone krzesło bez jednej nogi. Rama od roweru straszyla

przypięta łańcuchem do słupa z zakazem parkowania. Koła, łańcuch i kierownica dawno zostały rozkradzione.

Kto jeszcze może mieszkać w takim miejscu? — zastanawiała się. Najprawdopodobniej sami starsi ludzie. W okolicy było sporo emerytów. Osobiście też wolałaby spędzić ostatnie lata swojego życia tutaj, zamiast w Tampie czy San Diego.

Ale jakie wiatry ich tutaj przygnały? Nie wiedziała.

Odpowiedzi mogło być mnóstwo.

Raz na wozie...

Budynek stojący naprzeciwko kamienicy pana Kelly'ego, po drugiej stronie wąskiej uliczki, wyglądał znacznie lepiej, był pomalowany, czysty i zamykany na bajerancką bramę. W tej chwili właśnie otworzyły się tam drzwi i na ulicę wypadła blondynka w markowym różowym stroju do biegania i modnych sportowych butach. Zaczęła się rozciągać. Była bardzo ładna i wyglądała na irytująco pewną siebie.

Ratujmy naszą dzielnicę...

Runę wspięła się na schody prowadzące do budynku pana Kelly'ego. Nagle przyszło jej coś do głowy. Odbierze od niego kasetę, ale zamiast od razu wracać do wypożyczalni, zrobi sobie wagary. Panu Kelly'emu przyda się trochę rozrywki.

Wybiorą się na długi spacer brzegiem rzeki.

„Poszukajmy potworów morskich!” — zaproponuje mu.

Z niewiadomych przyczyn Runę była święcie przekonana, że on podchwyci jej pomysł. Było w nim coś takiego, co budziło w niej pewność, że są do siebie podobni. Pan Kelly był taki... no, tajemniczy. Nie dostrzegła w nim niczego dosłownego — *brak* dosłowności zaś stanowił według Runę największą zaletę.

Weszła do mrocznej wnęki prowadzącej do wejścia. Spod brudu i gęstwiny pajęczyn prześwitywały fragmenty wyszukanej ceramicznej

mozaiki, mosiężne ozdoby oraz rzeźbione, mahoniowe wykończenia. Gdyby to wszystko odczyścić i odmalować, pomyślała Rune, byłoby to absolutnie fantastyczne miejsce...

Nacisnęła przycisk domofonu przy numerze 2B.

Stwierdziła, że to mogłoby być naprawdę ciekawe zajęcie: wyszukiwanie zapuszczonych starych kamienic i ich renowacja. Oczywiście, niektórzy się z tego utrzymywali. Bogaci ludzie. Nawet takie rudery jak ta mogły po odświeżeniu być warte setki tysięcy dolarów. No cóż, ona sama zaraz pokryłaby wszystkie ściany malowidłami przedstawiającymi postacie z bajek, ozdobiła pomieszczenia pluszakami i zorganizowała w każdym mieszkaniu tajemniczy ogród. Choć domyślała się, że na coś takiego nie byłoby zbyt wielkiego popytu.

W domofonie coś zatrzeszczało, nastąpiła krótka pauza, a potem rozległ się czyjś głos: — Tak?

— Czy to pan Kelly?

— Kto mówi? — padło pytanie, któremu towarzyszyły dalsze trzaski.

— *Tuuuu Johnnyyyyyy!* — zawołała, naśladowując Jacka Nicholsona w „Lśnieniu”. Rozmawiali kiedyś z panem Kellym o horrorach. Wyglądało na to, że sporo wie o kinie — żartowali nawet, że to ciekawe, iż film Kubricka jest tak przerażający, skoro właściwie nic nie dzieje się w nim po ciemku.

Najwyraźniej jednak jej znajomy nie pamiętał tamtej rozmowy. — Słucham?!

Rune była rozczarowana, że nie zrozumiał aluzji. — To ja, Rune. Wie pan, z Washington Square Video. Przyszłam po kasetę.

Cisza.

— Halo? — zawołała.

Kolejna porcja trzasków. — Już schodzę.

— To pan, panie Kelly? — Głos z domofonu był jakiś dziwny. Może to nie on? Może akurat ma gościa...

— Jedną chwileczkę.

— Ale ja mogę wejść na górę...

Milczenie. — Proszę zaczekać — rozkazał po chwili głos.

A to niespodzianka. Zawsze sprawiał wrażenie niezwykle uprzejmego, a teraz... To pewnie wina domofonu.

Minęło kilka minut. Rune niecierpliwie dreptała we wnące, to w jedną, to w drugą stronę.

Akurat wyglądała na ulicę, kiedy usłyszała ze środka odgłos kroków. Ktoś schodził po schodach.

Podeszła do drzwi i zajrzała do środka przez zatłuszczoną szybę. Niewiele było przez nią widać. Jakaś postać zbliżała się ku niej wolnym krokiem. Pan Kelly? Trudno powiedzieć.

Drzwi otworzyły się.

— Och! — wyrwało się zaskoczonej Rune.

W progu stanęła pięćdziesięciokilkuletnia kobieta o oliwkowej cerze i przyjrzała jej się nieufnie. Zanim zrobiła krok naprzód, zaczęła, aż zamkną się za nią masywne drzwi — standardowe nowojorskie zabezpieczenie w sytuacji, gdy przed wejściem kręcą się obce osoby. Kobieta dźwigała torbę pełną pustych puszek po piwie i napojach gazowanych. Zniosła ją na ulicę i opróżniła do stojącego przy krawężniku pojemnika do recyklingu.

— Panie Kelly? — zawołała jeszcze raz do domofonu Rune. — Wszystko w porządku?

Nikt jej nie odpowiedział.

Kobieta wróciła pod drzwi i zmierzyła Runę podejrzliwym spojrzeniem. — Mogę w czymś pomóc? — Mówiła z silnym karaibskim akcentem.

— Jestem znajomą pana Kelly'ego.

— Ach, tak. — Rysy kobiety złagodniały.

— Przed momentem z nim rozmawiałam. Miał tu do mnie zejść.

— Mieszka na pierwszym piętrze.

— Wiem. Mam odebrać od niego kasetę wideo. Pięć minut temu zadzwoniłam, a on powiedział, że już schodzi na dół.

— Mijałam po drodze drzwi jego mieszkania. Były otwarte — zafrasowała się kobieta. — Jesteśmy sąsiadami.

Runę jeszcze raz przycisnęła przycisk domofonu. — Panie Kelly? Halo? Słyszysz mnie pan?!

Cisza.

— Mogę zobaczyć, co się stało — zaproponowała kobieta. — Proszę tu poczekać.

Zniknęła za drzwiami. Po chwili oczekiwania Rune straciła cierpliwość i ponownie zadzwoniła przez domofon. Brak odpowiedzi. Nacisnęła klamkę, bez rezultatu. Nagle przyszło jej do głowy, że może tu być jeszcze inne wejście, na przykład z boku albo na tyłach budynku.

Wyszła na zewnątrz i po paru krokach skręciła z chodnika w boczną uliczkę. Pewna siebie japiszonka wciąż tam była i nadal się rozciągała. Jediną uprawianą przez Rune dyscypliną sportu był taniec w jej ulubionych klubach: World, Area albo Limelight (taniec to prawie to samo co aerobik; poza tym siłując się z pijanymi prawnikami i pracownikami agencji reklamowych w koedukacyjnych kiblach tychże klubów, ćwiczyła mięśnie górnej części ciała).

Nikogo poza japiszonką tam nie było. Ale może ona...

W tej samej chwili rozległ się krzyk.

Rune obróciła się na pięcie i spojrzała na budynek, w którym mieszkał pan Kelly. Dobiegał stamtąd krzyk kobiety w panice wzywającej pomocy. Rune wydało się, że słyszy obcy akcent — może to krzyczała poznana przed chwilą kobieta, sąsiadka pana Kell/ego. — Ratunku! — wołała. — Niech ktoś wezwie policję! Na pomoc, och, na pomoc!

Rune zerknęła na blondynkę; ta odwzajemniła jej zaszokowane spojrzenie.

Nagle gdzieś za nimi zapiszczały głośno opony.

W głębi alejki ukazał się zielony samochód, z piskiem pokonał zakręt i pędził teraz prosto na Rune i amatorkę joggingu. Obie zamarły z przerażenia, niezdolne zejść z drogi szybko zbliżającego się auta.

Co on wyprawia, co on wyprawia, co on wyprawia? — myślała w panice Rune.

Nie, nie, nie...!

Kiedy samochód był już zaledwie parę metrów od nich, rzuciła się biegiem ku wylotowi uliczki. Blondynka w różowym skoczyła w przeciwną stronę. Zabrakło jej jednak zwinności Rune i nie zdążyła uchylić się przed bocznym lusterkiem rozpędzonego auta. Impet uderzenia cisnął nią o ceglany mur kamienicy. Uderzyła o ścianę i z jękiem osunęła się na ziemię.

Samochód z piskiem skręcił w Dziesiątą i zniknął za rogiem.

Rune podbiegła do leżącej na ulicy kobiety — żyła, ale była nieprzytomna, a z jej rozciętego czoła płynęła krew. Rune zerwała się i pobiegła szukać budki telefonicznej. Dopiero przy piątej próbie, trzy przecznice dalej, znalazła działający automat.

4

Drzwi do mieszkania pana Kell/ego były szeroko otwarte.

Rune zatrzymała się w progu i przerażonym wzrokiem omiotła grupę ośmiu osób znajdujących się w tej chwili w środku. Stali albo kucali, pojedynczo albo w grupach, jak manekiny widziane przez nią na wystawie sklepu z towarami importowanymi przy University Place.

Oparła się o framugę, z trudem łapiąc powietrze. Biegła całą drogę od budki telefonicznej z powrotem do budynku, a potem jeszcze na górę po schodach. Tym razem nie miała żadnych trudności z wejściem — zablokowane przez gliniarzy, a może ratowników z karetki, drzwi wejściowe stały przed nią otworem.

Patrzyła teraz na nich: sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Niektórzy mieli na sobie policyjne mundury, inni byli ubrani po cywilnemu, w garnitury albo kostiumy.

Jej spojrzenie zatrzymało się na dziewiątej osobie znajdującej się w pokoju i jej dłonie zaczęły się trząść.

O, nie... Tylko nie to...

Osobą tą był właściciel mieszkania, Robert Kelly. Siedział w wiekowym fotelu z odrzuconymi na boki, bezwładnymi rękami, rozpostartymi dłońmi i nieruchomym spojrzeniem otwartych oczu wbitym w sufit, niczym Jezus czy jakiś inny święty z dziwacznych religijnych malowideł w Metropolitalnym Muzeum Sztuki. Jego ciało było kredowobłede z wyjątkiem klatki piersiowej, na której wykwitła czerwono-brązowa plama krwi. Tej krwi było bardzo dużo.

tylko nie to...

Runę niemal przestała oddychać. Z trudem chwyciła ustami powietrze, zakreśliło jej się w głowie. Cholerny Tony! Niech go szlag trafi. Zmusił ją, żeby tu przyszła, żeby odebrała tę przeklętą kasetę i zobaczyła *coś takiego*. Niech szlag trafi Frankiego Greka i Eddiego, którzy udawali, że naprawiają monitory, a tak naprawdę zależało im tylko na tym, żeby dostać się za friko na koncert...

Łzy szczypały ją pod powiekami. *Niech to szlag...*

Nagle olśniła ją pewna myśl. Skoro to już *musiało* się wydarzyć, lepiej, że *ona* tu jest zamiast nich. Przynajmniej przyjaźniła się z panem Kellym. Eddie albo Frankie wleźliby po prostu do środka i powiedzieli: „O kurde, niezła jatka”. Tak, lepiej, że to na nią trafiło, przez szacunek dla zmarłego.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach wydawało jakieś polecenia trzeciemu, który żywo potakiwał. Umundurowani policjanci kucali w różnych miejscach pokoju; jedni coś notowali, inni posypywali białym proszkiem ciemne przedmioty, a czarnym jasne.

Runę przyjrzała się uważnie ich twarzom. Uderzyło ją w nich coś niezwykłego, ale z początku nie mogła się zorientować, co to jest. Zachowywali się całkiem zwyczajnie; jedni sprawiali wrażenie rozbawionych, inni znudzonych, a jeszcze inni zaciekawionych. Nagle dotarło do niej, że właśnie o to chodzi: ich spojrzenia zasnuwała rutyniarska mgiełka. Nikt tutaj nie wyglądał na zaszokowanego czy przerażonego tym, co ma przed sobą.

Boże drogi, zachowywali się zupełnie jak pracownicy wypożyczalni kaset wideo.

Całkiem jak ja, pomyślała, robię to, co do mnie należy: przez osiem godzin dziennie, cztery dni w tygodniu wypożyczam ludziom kasety. Po prostu robię swoje. Nudny, codzienny kierat.

Tak jakby nie obchodził ich wcale fakt, że ktoś tu właśnie zginął. Jakby to był drobiazg bez znaczenia, którym nie warto zaprzętać sobie głowy.

Jej spojrzenie z wolna wędrowało po pokoju. A więc to *tutaj* mieszkał pan Kelly. Zatluszczona tapeta odłaziła od ścian szerokimi pasmami; pomarańczowy chodnik upleciony był z grubych, sztywnych włókien. Całe pomieszczenie przenikał odór zepsutego mięsa. Na ścianach nie zauważyła żadnych obrazków; kilka oprawionych w ramki staroświeckich afiszy filmowych stało opartych o obszarpaną kanapę. Podłoga zastawiona była jakimś tuzinem kartonów. Wyglądało na to, że w zastępstwie szafek musiały pomieścić cały skromny dobytek gospodarza. Tkwiły w nich nawet jego ubrania i naczynia. Pan Kelly musiał się niedawno przeprowadzić, pewnie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zapisał się do wypożyczalni, to znaczy miesiąc temu.

Rune dobrze pamiętała dzień, kiedy pierwszy raz przestąpił progi Washington Square Video.

— Czy może pan przeliterować swoje nazwisko? — poprosiła go, wypełniając kartę członkowską.

— Mogę — odparł błyskawicznie. — Jak każdy w miarę inteligentny człowiek. Wyglądam chyba pani na takiego?

Bardzo jej się spodobała ta riposta i oboje się roześmieli. Następnie spisała wszystkie dane dotyczące „Kelly'ego Roberta, depozyt — gotówka”. Adres: Wschodnia Dziesiąta Ulica numer 380, lokal 2B. Poprosił o kryminał, a jej natychmiast przyszedł do głowy cytat ze starego serialu „Oblawa”: „Interesują nas fakty, sir, tylko suche fakty”.

I znowu się roześmieli.

Nie miał karty kredytowej. Pamiętała, jak pomyślała wtedy:
„Przynajmniej to jedno nas łączy”.

Jak to brzmiało? Kiedyś niemal na pamięć znała słowa tej modlitwy.
Jakże to szło?

Nie mogła teraz od niego oderwać oczu. Od martwego człowieka, nieco
tęgiego, wysokiego, pełnego godności, łysiejącego siedemdziesię-
ciolatka.

*Wszystko, co mi daje Ojciec, Ten, co wskrzesił Chrystusa z martwych,
przywróci do życia wasze śmiertelne ciała...*

Doszła do wniosku, że tym, co ją najbardziej przeraża, jest całkowity
bezruch pana Kelly'ego. Totalnie nieruchoma ludzka istota, która ani
drgnie. Przeszedł ją dreszcz. Ow bezruch sprawiał, że tajemnica życia
wydała jej się nagle niewiarygodnie bezcenna.

*I usłyszałem głos z nieba mówiący: z prochu jesteś i w proch się
obrócisz, wierzę w ciała zmartwychwstanie, i morze wydało zmarłych,
co w nim byli...*

Teraz słowa same do niej przychodziły. Przed oczami miała obraz ojca,
starannie upozowanego przez utalentowane rodzeństwo z firmy Charles
i Synowie w Shaker Heights. Minęło już pięć lat, a mimo to Runę wciąż
wyraźnie pamiętała człowieka spoczywającego na wyściełającej trumnę
satynowej materii. Tego dnia ojciec robił na niej jednak wrażenie kogoś
obcego, karykatury samego siebie z czasów, gdy jeszcze żył. Cały ten
makijaż, nowiutki garnitur i przygładzone włosy... Było w tym coś
sztucznego. Nie wydawał jej się nawet martwy, po prostu dziwacznie
wyglądał.

Tymczasem pan Kelly wyglądał o wiele bardziej autentycznie. Wcale
nie jak nierzeczywista rzeźba, nic z tych rzeczy! Śmierć we własnej
osobie patrzyła na nią jego oczami. Runę poczuła naraz, że pokój się
przechyla i ze wszystkich sił skoncentrowała się na oddychaniu.
Ciekące po twarzy łzy raniły jej policzki.

Niech Pan będzie z tobą, a dusza twa niech błogosławi imię Pana...

Zauważył ją jeden z otaczających ją mężczyzn. Niski facet w garniturze, z wąsem. Ciemne, starannie przycięte włosy gładko przylegały do głowy po obu stronach centralnego przedziałka, zapewne za sprawą lakieru. Jego oczy osadzone były zbyt blisko siebie, w związku z czym sprawiał wrażenie mało bystrego.

— To pani jest tym świadkiem? Tym, który wezwał pomoc?

Przytaknęła.

Mężczyzna podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, po czym stanął tak, żeby swoim ciałem zasłonić pana Kell/ego.

— Detektyw Manelli — przedstawił się. — Znała pani denata?

— Co się właściwie stało? — Czula suchość w ustach, słowa z trudem wydobywały się z jej ściśniętego gardła. Powtórzyła pytanie.

Detektyw odparł, przyglądając się jej uważnie: — Właśnie tego staramy się dowiedzieć. Znała go pani? — Najwyraźniej próbował umiejscowić ją jakoś w rozległym spektrum możliwych relacji z ofiarą.

Skinęła głową. Nie widziała teraz ciała; jej rozbiegany wzrok padł na niewielką metalową walizkę z napisem „Laboratorium kryminalistyczne”. Nie mogła go od niej oderwać.

— Ja miałam odebrać od niego kasetę. Przysłali mnie.

— Kasetę? Jaką kasetę?

Wycelowała palcem w plastikową torbę z niebieskim nadrukiem „WSV”. — Pracuję w tej wypożyczalni. Wczoraj wypożyczył u nas film. Miałam go odebrać.

— Ma pani przy sobie jakiś dokument tożsamości?

Podawała Manelliemu autentyczne prawo jazdy i swoją pracowniczą kartę rabatową. Detektyw zapisał coś w notesie. — Zamieszkała w Nowym Jorku...?

Podawała mu swój aktualny adres, który również zanotował, po czym oddał jej oba dokumenty. Wyglądało na to, że o nic jej nie podejrzewa. Może w jego zawodzie prawdziwego zabójcę wyczuwało się na kilometr.

Runę dodała cicho: — Ib ja mu wypożyczyłam ten film. Ja. Wczoraj. — Powtarzała szeptem: — Jeszcze wczoraj go widziałam... Nic mu wtedy nie było... Rozmawialiśmy raptem parę minut temu...

— Rozmawiała z nim pani?

— Przez domofon.

— Jest pani pewna, że to był on? — zapytał detektyw.

Jej serce gwałtownie załomotało. Przypomniała sobie, że głos, który słyszała, brzmiał jakoś dziwnie. Czyżby rozmawiała z zabójcą? Nogi się pod nią ugięły. — Nie, nie jestem pewna.

— Rozpoznała go pani po głosie?

— Nie... Ten ktoś wcale nie brzmiał jak pan Kelly. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz... Sama nie wiem... Myślałam, że może go obudziłam albo coś takiego.

— Co to był za głos? Młody, stary? Czy to mógł być ktoś ciemnoskóry? Albo Latynos?

Runę pokręciła głową. — Nie mam pojęcia. Źle go słyszałam.

— Stała pani na zewnątrz? Może coś pani widziała?

— Byłam w uliczce za budynkiem. Tamten zielony samochód próbował nas przejechać.

— Nas? — powtórzył Manelli. — To znaczy panią i tę kobietę z budynku obok?

— Właśnie.

— Co to był za wóz?

— Nie wiem.

— Ciemno czy jasnozielony?

— Ciemnozielony.

— A blachy?

— Co? — nie zrozumiała Rune.

— Tablice rejestracyjne. Zwróciła pani uwagę na numery?

— Ten ktoś próbował nas przejechać!

— Czy mam rozumieć, że nie zauważyła pani numerów rejestracyjnych?

— To właśnie chcę powiedzieć. Nie zauważyłam.

— A może chociaż oznaczenie stanu? — nie poddawał się detektyw.

— Nie.

Manelli westchnął. — To może zapamiętała pani, jak wyglądał kierowca?

— Nie. Światło odbijało się od szyby.

Podszedł do nich inny mężczyzna w garniturze. Czuć go było cierpkim dymem papierosowym. — Co my tu mamy?

Manelli odparł: — Już mówię, kapitanie. Ta oto panienka przyszła z wypożyczalni po kasetę. Zadzwoiła przez domofon. Podejrzewamy, że

rozmawiała ze sprawcą. Prawdopodobnie już po tym, jak stuknął naszego sztywniaka.

Stuknął naszego sztywniaka. Runę rzuciła detektywowi wściekle spojrzenie, wzburzona tak bezduszną relacją.

— Trzy kulki prosto w klatkę. Brak śladów walki, zabójca musiał być naprawdę szybki. Gość nawet nie zdążył się uchylić. Poza tym sprawca rozwalił telewizor.

— Telewizor?

Runę podążyła za ich wzrokiem. Zabójca strzelił do telewizora. Pajęcza sieć pęknięć otaczała nieduży czarny otwór w prawym górnym rogu odbiornika. Zauważyła, że był bardzo stary i bardzo tani.

Manelli mówił dalej: — Później sąsiadka z głębi korytarza... — Zerknął do notesu. — Amanda LeClerc. Weszła na górę i go znalazła.

— Nikt niczego nie słyszał? — spytał kapitan.

— Nie. Nawet odgłosu strzałów... Potem zabójca albo jego wspólnik wsiada do samochodu ukrytego w uliczce na tyłach. Daje w rurę i bierze na maskę jednego ze świadków.

Niewiele brakowało, żeby i mnie przejechał, przeszło jej przez myśl. Ale co to ich obchodzi.

Manelli jeszcze raz rzucił okiem do notesu. — Trafiło na niejaką Susan Edelman. Mieszka po sąsiedzku. — Ruchem głowy wskazał kamienicę, przed którą Runę widziała gimnastykującą się amatorkę joggingu.

— Skasował ją? — zainteresował się kapitan.

Skasował... stuknął... Ci ludzie nie mieli żadnego szacunku dla żywych istot.

— Nie — ożywił się Manelli. — Ale ta Edelman nie jest w stanie zeznawać. Przynajmniej na razie.

Runę przypomniała sobie ciało kobiety leżące na brudnym bruku. Krew na jej różowym stroju do biegania... Znowu dopadło ją poczucie winy na myśl, że tak pochopnie zaszufładowała biedaczkę jako zarozumiałą japiszonkę.

— Ta oto młoda dama — Manelli skinął na Runę — też tam była. Ale niewiele ma nam do powiedzenia.

— Czyżby? — Kapitan popatrzył na nią niechętnie. — Nie przyjrzała się pani naszemu ptaszkowi?

— Komu?!

— Ptaszkowi.

Runę bezradnie pokręciła głową. — Nie mówię waszym żargonem. To obcy mi język.

— Pytałem o kierowcę.

— Nie widziałam go.

— Ile osób było w aucie? — pytał dalej kapitan.

— Nie wiem. Światło odbijało się od przedniej szyby. Już raz to mówiłam.

— No tak — westchnął z powątpiewaniem kapitan. — Czasami ludziom wydaje się, że oślepiło ich światło, bo tak naprawdę *nie chcą* niczego zobaczyć. Ale nie musi się pani bać, potrafimy zadbać o naszych świadków. Będzie pani bezpieczna.

— Nie jestem żadnym świadkiem. *Niczego* nie widziałam. Próbowalam zejść z drogi komuś, kto najwyraźniej chciał mnie zabić, a wtedy trudno jest się na czymkolwiek skupić...

Jej spojrzenie znowu pobiegło w stronę martwego ciała; zorientowała się, że mimowolnie przesunęła się nieco w bok, dalej od wolno

myślącego policjanta, który zasłaniał sobą pokój. Dopiero po dłuższej chwili zmusiła się, żeby odwrócić wzrok. Spojrzała na Manellego.

— Ta kasetka — powiedziała.

— Że co?

— Mogę zabrać kasetę? Miałam ją odnieść do wypożyczalni, w której pracuję.

Obok telewizora dostrzegła puste pudełko z tytułem „Śmierć na Manhattanie”.

Manelli podszedł do magnetowidu i wcisnął przycisk uwalniający kasetę. Mechanizm zaterkotał i kasetka wysunęła się na zewnątrz. Manelli gestem przywołał do siebie specja od kryminalistyki, a kiedy ten podszedł bliżej, detektyw spytał: — Jak myślisz? Możemy jej to oddać?

— Jeden z moich najgorszych koszmarów. — Policjant wyciągnął rękę w lateksowej rękawiczce, wyjął kasetę z magnetowidu i dokładnie ją obejrzał.

— Jak to? — nie załapał Manelli.

— Wypożyczam „Debbie podbija Dallas” i ginę pod kołami autobusu, zanim zdążę zwrócić film. Wdowa po mnie dostaje rachunek na zaległe dwa tysiące dolarów za pornola i...

Rune przerwała mu z gniewem: — *On* takich rzeczy nie wypożyczał. Poza tym to chyba nie miejsce i pora na takie żarty.

Technik odchrząknął, nie przestając głupkowato się uśmiechać. Nie przeprosił, powiedział tylko: — Popatrzcie na telewizor. Po co gość miałby do niego strzelać? Może to tylko zbieg okoliczności, ale lepiej poszukajmy odcisków palców na tej kasecie. Może sprawca miał ją w ręku? Trzeba to sprawdzić. Tyle że później nie wkładałbym jej już do odtwarzacza. Proszek daktyloskopijny zniszczy każdą głowicę.

— Nie możecie tak po prostu zabrać naszej kasety — zaprotestowała Rune.

Nie martwiła się wcale o stan inwentarzowy wypożyczalni Washington Square Video. Gdzie tam; po prostu nie mogła znieść myśli, że policjanci mieliby zatrzymać jedyny przedmiot łączący ją z Robertem Kellym. Wiedziała, że to głupie, ale mimo to chciała odzyskać kasetę.

— Tak się akurat składa, że możemy.

— Nieprawda. Nie należy do was. Macie mi ją oddać.

Kapitan wyglądał na zirytowanego jej sprzeciwem, ale Manelli, nawet jeśli sam też był wkurzony, usiłował zachować pozory zawodowej uprzejmości. — Może zejdziemy na dół? — zaproponował. — I tak nie powinno tu pani być.

Rune rzuciła ostatnie spojrzenie Robertowi Kelly'emu, po czym wyszła za detektywem na korytarz — gorący, duszny, przesycony wonią kurzu, pleśni i gotowania. Zeszli po schodach.

Na zewnątrz Manelli oparł się o nieoznakowany wóz policyjny i powiedział: — Jeśli chodzi o kasetę, to niestety, musimy ją zatrzymać. Przykro mi. Jeśli pani szef zechce złożyć zażalenie, niech skontaktuje się z naszym działem prawnym, osobiście albo przez prawnika. Ale *musimy* to zrobić. To może być ważny dowód w sprawie.

— Dlaczego? Myśli pan, że zabójca oglądał film?

Detektyw odparł: — Mógł wziąć kasetę do ręki, żeby zobaczyć, czy nie warto jej gwizdnąć.

— A potem strzelił do telewizora, bo uznał, że jednak nie warto?

— Może — odparł detektyw.

— Przecież to kompletne wariactwo — oburzyła się Rune.

— Mordercy to wariaci.

Przed oczami Rune wciąż miała zarys krwawej plamy na piersi pana Kell/ego.

Nagle detektyw odezwał się: — Powiedz mi prawdę, moja panno. Dobrze go znałaś?

Przez chwilę Rune milczała. Potem otarła oczy i nos połą swojej przerobionej na kamizelkę koszuli. — Nie bardzo. Był po prostu kolejnym klientem, i tyle.

— I nic nie możesz nam o nim powiedzieć?

Rune już chciała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że policjant właściwie ma rację. Wszystko, co wiedziała o panu Kellym, a było tego sporo, najzwyczajniej w świecie sobie wymyśliła: zmarłą na raka żonę, dzieci, które wyprowadziły się do innych miast, wybitną służbę wojskową na Pacyfiku, pracę w branży odzieżowej, fantastyczne przyjęcie z okazji przejścia na emeryturę, które po dziesięciu latach wciąż by wspominał. Przyjaźnie nawiązane w ciągu ostatnich kilku lat z całkiem sporą grupą emerytów z East Village; nie było miesiąca, żeby nie wpadali na siebie w supermarkecie, ubezpieczalni czy którejś z obskurnych aptek albo kawiarenek przy Alei A bądź B. Po pewnym czasie — musiało go trochę minąć, bo pan Kelly był bardzo nieśmiały — zaproponowałby im partyjkę brydża albo wycieczkę do kasyna w Atlantic City. A może woleliby odłożyć trochę pieniędzy i wybrać się na próbę do Metropolitan Opera...

Bez trudu mogła sobie wyobrazić te wszystkie sceny. Sceny zapamiętane z filmów, które oglądała dziesiątki razy.

Tyle że nic z tego nie było prawdą.

Jedyne, co mogła powiedzieć temu gliniarzowi, to to, że „Kelly Robert, depozyt — gotówka” nawet na emeryturze chodził w garniturze i pod krawatem. Że chętnie się śmiał, był bardzo uprzejmy, a na urlopie miał odwagę samotnie jadać w restauracjach.

I że byli do siebie bardzo podobni.

Powiedziała jednak tylko: — Nie, właściwie niczego o nim nie wiem.

Detektyw podał jej wizytówkę. — I naprawdę nic nie widziałaś?

— Naprawdę.

Nie naciskał już więcej. — Dobrze. Zadzwoń, gdyby coś ci się przypomniało. Czasami tak *bywa*. Mija dzień czy dwa i ludziom wraca pamięć.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach, kiedy Runę rzuciła: — Panie władzo!

Policjant zatrzymał się i obejrzał za siebie.

— Super by było, gdybyście złapali tego gnoja, który to zrobił. Wie pan?

— Właśnie dlatego wybrałem ten zawód. — Manelli ruszył na górę.

Po drodze minął go technik kryminalistyki, taszczący na dół swoją metalową skrzynkę. Runę rzuciła mu niechętne spojrzenie i już miała odejść, ale zawróciła. Policjant spojrział na nią przelotnie, idąc do furgonetki.

Runę zawołała za nim: — I jeszcze jedno! Zapamiętajcie sobie, że pan Kelly nigdy nie wypożyczał pornosów. Z jakiegoś powodu — nie mam pojęcia, dlaczego — wołał filmy o policjantach.

Na pewno był to pewien problem. Pytanie, jak bardzo poważny?

Haarte bił się z myślami, idąc szybkim krokiem w stronę stacji metra.

Dzień był całkiem chłodny. Ciągąca znad Missisipi wiosenna duchota tego dnia, kiedy sprzątnęli Gittlemana, była już tylko odległym wspomnieniem, a mimo to pot lał się z Haarte'a strumieniami. Po drodze zrzucił z siebie roboczy kombinezon — jednorazowy rekwizyt, standardowa procedura — ale nadal było mu gorąco.

Rozmyślał o tym, co się właśnie wydarzyło. Do pewnego stopnia można było mówić o pechu, ale on sam też nie był zupełnie bez winy. Po pierwsze zdecydował się nie wynajmować nikogo miejscowego do pomocy, ponieważ „cel” nie znajdował się pod obserwacją policji ani nikogo innego. Uznał więc, że wystarczy, jeśli on i Zane sami

przeprowadzą rozpoznanie i wykonają zlecenie. W przypadku roboty w St. Louis sprawdziło się to koncertowo. Tym razem jednak powinien był przewidzieć, że na miejscu może się pojawić postronna osoba. Nowy Jork to cholernie wielkie miasto, a im więcej ludzi, tym więcej przypadkowych świadków.

Doszedł też do wniosku, że za wcześnie posłał współnika na tyły budynku. Zwyczajnie tego nie przemyślał. Dlatego nikt nie ostrzegł go przed dziewczyną, która zjawiała się nie wiadomo skąd i nacisnęła przycisk domofonu dokładnie w chwili, gdy Haarte miał pociągnąć za spust. „Cel” akurat wstawał z fotela. Zobaczył Haarte'a. Ten strzelił. Staruszek upadł na pilota i telewizor ryknął na cały regulator. Więc Haarte strzelił też do telewizora. To z kolei spowodowało niepotrzebny hałas i sprawiło, że mieszkanie wypełniło się gryzącym dymem.

Wtedy tamta jeszcze raz zadzwoniła. Miała zaniepokojony głos. A chwilę później zawołała od drzwi *kolejna* kobieta.

Zupełnie jak na dworcu. Jezu Chryste...

Wiedział, że coś podejrzewają i że lada moment zechcą sprawdzić, co się dzieje w mieszkaniu ofiary.

Dlatego uznał, że powinni się rozdzielić. Zane niech wraca do mieszkania Haarte'a, a on sam pojedzie metrem. Zdążyli naprawdę w ostatnim momencie. W tej samej chwili, gdy Haarte wychodził przez okno na schody ewakuacyjne po wschodniej ścianie budynku, w drzwiach mieszkania rozległ się krzyk. Sekundę później jego współnik odpalał już wóz, a Haarte zeskakiwał w uliczkę za kamienicą, żeby zaraz zniknąć za rogiem.

Po dziesięciu minutach ku swemu przerażeniu Haarte odebrał wiadomość. Wspólnik poinformował go, że nie obyło się bez świadków. Dwie kobiety. Jedną z nich potrafił uciekający pontiac, druga w ostatniej chwili zdołała uskoczyć.

— Myślisz, że cię rozpozna? — zapytał Haarte.

— Trudno powiedzieć. Tablice są już zmienione, ale chyba na wszelki wypadek powinniśmy na pewien czas wyjechać z miasta.

Przez chwilę Haarte rozważał tę sugestię. Zleceniodawca z St. Louis nie zapłaci im, dopóki nie będzie miał pewności, że „cel” został sprzątnięty. A Haarte nie zdążył zrobić zdjęcia. Poza tym nie chciał zostawiać przy życiu żadnych świadków.

— Nie — odparł. — Zostajemy. Słuchaj, Zane, teraz już na pewno potrzebujemy wsparcia. Zorientuj się, kto jest akurat wolny.

— Kogo dokładnie szukamy?

— Kogoś, kto potrafi celnie strzelać.

Ej, ty tam!

Runę, która stała dotąd oparta o ogrodzenie przed kamienicą Roberta Kellj^ego, odwróciła się. Kobieta spotkana wcześniej w drzwiach wejściowych, kobieta z siatkami pełnymi puszek, chwiała się niepewnie na podeście schodów, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i twarzą mokrą od łez.

Przed chwilą sanitariusze wynieśli z budynku ciało. Po rozstaniu z Manellim Runę początkowo zamierzała odejść, ale ostatecznie zdecydowała, że jednak zostanie. Sama nie wiedziała dlaczego.

— To pani jest Amanda?

Kobieta otarła łzy kawałkiem papierowego ręcznika i przytaknęła.

— Tak. Skąd wiesz?

— Gliny coś wspominały. Ja jestem Rune.

— Rune... — powtórzyła tamta z roztargnieniem.

Inni mieszkańcy już jakiś czas wcześniej zbili się w zatrwożoną grupkę na parterze; poplotkowali trochę o strzelaninie, po czym część wróciła do mieszkań, a reszta wyszła na ulicę i oddaliła się w nieznanym kierunku.

Odjechało także dwóch detektywów. Manelli rzucił w stronę Rune:

— Do widzenia! — Kapitan nawet nie raczył na nią spojrzeć.

Amanda jeszcze przez chwilę płakała.

Rune, nie mogąc się powstrzymać, zawtórowała jej. A potem znowu wytarła twarz połą koszuli.

— Skąd go znałaś? — Amanda mówiła z wyraźnym akcentem. Rune doszła do wniosku, że kobieta brzmi jak żeńskie wydanie Boba Marleya. Jej głos był niski, zmysłowy.

— Z wypożyczalni kaset. Washington Square Video. Pożyczał od nas filmy.

Amanda spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby magnetowid i wypożyczanie filmów stanowiły luksus przekraczający możliwości jej wyobraźni.

Rune zapytała więc: — A pani gdzie go poznała?

— Byliśmy sąsiadami. Poznaliśmy się, kiedy się tu wprowadziłam, będzie z miesiąc temu. Szybko się polubiliśmy. Robert był wyjątkowy, umiał z człowiekiem *rozmawiać*. Tutaj nikt z nikim nie rozmawia. Zawsze wypytywał o moje dzieci, pytał, skąd jestem i takie tam... Trudno dziś znaleźć kogoś, kto naprawdę lubi słuchać.

Amen, przyklasnęła jej w duchu Rune.

— Często mnie wypytywał o moje sprawy. Ale o sobie mówił raczej niewiele.

— To fakt. Zupełnie, jakby nie lubił mówić o przeszłości.

— Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Jak myślisz, o co mogło chodzić? Dlaczego ktoś zrobił coś tak okropnego?

Rune wzruszyła ramionami. — Założę się, że to był jakiś narkoman. Taka okolica... Co innego mogło się stać?

— Nie rozumiem tylko, dlaczego go zamordowali. Nikomu nie zagrażał. Skoro chcieli go okraść, mogli po prostu zabrać pieniądze i zostawić go w spokoju. Po co od razu zabijać?

Mordercy to wariaci...

— Był taki miły — mówiła dalej Amanda, zniżając głos. — Taki miły. Zawsze, kiedy miałam kłopoty z gospodarzem albo z tymi z urzędu imigracyjnego, pan Kelly mi pomagał. Znaliśmy się niewiele ponad miesiąc, a on już pisał listy w moim imieniu. Był taki mądry. — Znowu otarła łzy. — I co ja teraz zrobię?

Rune objęła ją.

— Pomagał mi z czynszem. Ci z imigracyjnego zabrali mi wszystkie pieniądze. Rozumiesz, z wypłaty. Pracuję, a oni odbierają mi mój zarobek! Wystąpiłam o kartę, wiesz? Chciałam dobrze, nikogo nie oszukałam ani nic. A oni zabrali mi moje pieniądze... Wtedy pan Kelly pożyczył mi na czynsz. Co teraz ze mną będzie?

— Odeślą panią z powrotem?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— To znaczy dokąd? — pytała Rune. — Gdzie jest pani dom?

— *Pochodzę z Dominikany* — odparła Amanda i zaraz dodała bojowym tonem: — Ale mój dom jest teraz *tutaj*. W Nowym Jorku... — Spojrzała za siebie, na odrapaną kamienicę. — Dlaczego musieli zabić kogoś takiego jak on? **Tylu** tu złych ludzi, ludzi o złych sercach. Dlaczego zabili kogoś takiego jak Robert?

Na to pytanie oczywiście nie było dobrej odpowiedzi.

— Muszę już iść — powiedziała Rune.

Amanda skinęła głową i otarła oczy pogniecionym papierowym ręcznikiem. — Dziękuję ci.

— Za co? — zdziwiła się Rune.

— Ze zaczęłaś, aż go zabiorą. Żeby się pożegnać. To bardzo ładnie z twojej strony. Naprawdę, bardzo ładnie.

Zbliżał się czas zamknięcia wypożyczalni, Tony właśnie wrócił z miasta.

— Gdzie się u diabła podziewałaś przez całe popołudnie?

— Musiałam uporządkować myśli — odparła Rune.

Tony zachichotał. — Do tego trzeba więcej niż jednego popołudnia.

— Odwal się, Tony. *Por favor!*

Tony rzucił plecak na ladę, zręcznie wyminął tekturową podobiznę Sylvestra Stallone'a dzierżącego wielką, tekturową giwerę i wziął się za przeglądanie rachunków. — Trzeba się było kłócić z tym gliniarzem. Chryste, taka kasetka... W hurcie chodzi za ponad stówę.

— Podałam ci jego nazwisko. Jak chcesz, to sam możesz z nim pogadać — odgryzła się Rune. — To nie *mój* zakichany interes. *Ty* tu jesteś szefem.

— Dobra, dobra. Mogłaś przynajmniej od razu wrócić do roboty. Frankie Grek został całkiem sam. Dobrze wiesz, że jak musi sam pracować, przegrzewa mu się pod sufitem.

Rime mruknęła pod nosem: — Przegrzewa mu się nawet, kiedy sam musi zawiązać buty.

Frankie, chudy jak patyk kandydat na gwiazdę rocka, jakiś czas temu zakończył edukację na poziomie liceum. Jako posiadacz długich, kręconych włosów kojarzył się Rune z pudlem, identycznym jak ten zdobiący jej różową spódnicę kupioną przed tygodniem w Second-Hand Rose, na Broadwayu. Akurat teraz Frankie przebywał na zapleczu.

— No, więc *gdzie* się podziewałaś? — drażył Tony.

— Spacerowałam — rzuciła wyzywająco Rune. — Nie miałam ochoty wracać do pracy. Zrozum, człowieku, on nie żył. Widziałam jego zwłoki. Leżały parę metrów ode mnie.

- O kurczę. A widziałaś dziury po kulach i całą resztę?
- Chryste Panie, Tony! Wyluzuj, okej?
- Wyglądały tak jak na filmach?

Rune odwróciła się demonstracyjnie i wróciła do przecierania lady płynem do czyszczenia szyb. Zarówno Tony jak i Frankie palili, przez co szklana tafla była ciągle brudna.

- Tak czy owak, trzeba było zadzwonić. Martwiłem się o ciebie.
- O mnie? *Akurat*, już to widzę!
- Następnym razem po prostu zadzwoń.

Rune czuła przez skórę, że tym razem Tony jednak jej odpuści. A więc jeszcze w tym tygodniu obędzie się bez wizyty w pośredniaku. *Raz na wozie...* Naszła ją ochota, żeby skorzystać z nadarzającej się okazji, i tak też zrobiła. — *Nie będzie* następnego razu. Na przyszłość nie odbieram już żadnych kaset, jasne? Taka nowa tradycja.

- Ejże, przecież wszyscy się tu lubimy, nie? Jedna wielka rodzina z Washington Square Video. — Tony rzucił okiem na Frankiego; chudzielec właśnie wyłonił się z zaplecza.
- Chyba uda mi się naprawić ten monitor — oznajmił.
- Świetnie, ale nie to masz teraz robić. Skup się na tym, żeby przed wyjściem wszystko pozamykać.

Postawny szef po tych słowach zarzucił sobie na ramię brudny, czerwony, nylonowy plecak i zniknął za drzwiami.

A Frankie zagadnął Runę: — Słyszałem, jak gadałaś z Tonym.

- No i?
- Dlaczego zwyczajnie nie nazmyślałaś? Żeby się wytłumaczyć ze spóźnienia. Mogłaś przecież powiedzieć, że matka ci się rozchorowała albo coś takiego.

— A po co miałabym okłamywać *Tony'ego* — zdziwiła się Rune. — Okłamuje się tylko tych, którzy mają nad tobą jakąś władzę... Jak tam sprawy z Palladium?

Frankie wyglądał na przybitego. — Zdobyliśmy tylko jedną wejściówkę, losowaliśmy i Eddie, kurczę, wygrał. Cholera. A miała być też Blondie.

Spojrzał na stos zwróconych kaset z filmami porno, które trzeba było ułożyć z powrotem na półkach. Jeden z tytułów szczególnie go zainteresował. Odłożył go na bok. Potem powiedział: — Aten gość, który zginął? To był ten staruszek, którego lubiłaś, tak?

— Aha.

— Słabo go pamiętam. Fajny był?

Rune oparła się o ladę i bawiąc się bransoletkami, wyjrzała przez szybę. Uliczne latarnie rzucały na chodnik dziwne, pomarańczowe światło. Zbliżała się jedenasta wieczorem, ale przez ten blask można było mieć wrażenie, że nadal jest popołudnie, a miasto właśnie jest świadkiem częściowego zaćmienia słońca. — No. Fajny. — Schyliła się i wydobyła spod lady piracką kopię filmu, którą zrobiła dla pana Kel- lja^ego. Z zastanowieniem obróciła ją w (Koniach. — Taki jakby... inny.

— Znaczy się jaki? Dziwny?

— Nie w tym sensie, o jaki *tobie* chodzi.

— A o jaki sens mi chodzi?

Rune nie odpowiedziała. Myślała: „**Rzeczywiście**, była jedna dziwna rzecz. Ale nie chodziło o niego samego. To był najmiłszy staruszek, jakiego można sobie wyobrazić. Po prostu chodząca uprzejmość”.

— No, czyli co w nim było takiego dziwnego?

— Wiesz, że wypożyczał u nas dopiero od miesiąca?

— I co z tego?

— To, że często brał ten sam film.

— Co to znaczy często?

Palce Rune zastukały w klawiaturę stojącego na ladzie małego, przenośnego komputera. Przeczytała na głos: — Osiemnaście razy.

— Kurczę — Frankie był pod wrażeniem. — To faktycznie dziwne.

—

— „Śmierć na Manhattanie” — dodała Rune.

— Pierwsze słyszę. Kryminał?

— Tak, o jednym gliniarzu pilnującym swojego rewiru na Manhattanie. Stary kryminał z lat czterdziestych. Wiesz, wszyscy faceci noszą tam wielkie dwurzędowe garnitury i zaczesują włosy do tyłu na brylantynę. Sami nieznani aktorzy. Dana Mitchell, Charlotte Goodman, Ruby Dahl...

— Co to za jedni?

— I tak nie będziesz wiedział. Żadne z nich nie było z topu. Zresztą nieważne. Film wyszedł na wideo dopiero miesiąc temu. Nie dziwię się, że nikt się z tym nie spieszył. Obejrzałam, nie w moim stylu. Chociaż lubię czarno-białe filmy. Koloryzacja to najgorsze, co może być. Dla mnie grzech śmiertelny. Wyobraź sobie, że pan Kelly zjawił się u nas dzień po premierze filmu. Wywiesiliśmy w oknie plakat od dystrybutora... Gdzieś tu jeszcze jest, o tam, z tyłu...

Frankie obejrzał się za siebie. — A tak, już pamiętam.

Rune opowiadała dalej: — Przyszedł i chciał go wypożyczyć. Nie miał naszej karty, więc poprosił, żeby go zapisać. I teraz uważaj, to jest dopiero dziwne — zapytał mnie, jak się wkłada kasetę do telewizora. Dasz wiarę? Nie miał zielonego pojęcia o istnieniu magnetowidu! Powiedziała, że skoro nie ma odtwarzacza, musi go sobie kupić, i pokazałam, gdzie są tanie sklepy ze sprzętem RTV. Domyśliłam się, że nie ma za wiele kasy, bo zaraz zapytał: „Myśli pani, że przyjmą ode

mnie ten czek? Niedawno się wprowadziłem i nie ma na nim jeszcze mojego adresu..." Taka gadka, ale od razu skojarzyłam, że jeśli z tym czekiem miałby być jakikolwiek problem, to nie z powodu braku adresu, tylko środków na koncie. Powiedziałam mu, w którym miejscu przy Canal Street jest komis z używanym sprzętem, gdzie już za pięćdziesiąt dolców powinien kupić sprawny magnetowid.

— Założę się, że tylko starą betę — skrzywił się Frankie.

— Nie, mają też VHS-y. Poszedł i myślałam, że już go więcej nie zobaczę. Ale następnego dnia wrócił tuż po otwarciu i oznajmił, że znalazł całkiem dobry odtwarzacz. Zapisał się i wypożyczył film, który tak bardzo go interesował. Później okazało się, że jest naprawdę kochany, zaczęliśmy ze sobą żartować, gadaliśmy o filmach...

— Wiem, wiem: twój narzeczony — przerwał Frankie. — Teraz już pamiętam.

— Wcale ze mną nie flirtował, nic z tych rzeczy. Po prostu rozmawialiśmy. Zabrał film ze sobą, a nazajutrz Eddie odebrał kasetę. A teraz słuchaj: kilka dni później staruszek dzwoni i zamawia dostawę do domu. Wypożycza coś, czego nie znam, i co jeszcze? Oczywiście „Śmierć na Manhattanie". I tak przez parę tygodni.

Frankie pokiwał głową, aż jego niechlujne loki zafalowały.

— Chryste — westchnęła Rune. — Było mi go strasznie żal. Wyobrażałam sobie, że musi wydawać na ten głupi film całą swoją emeryturę. Powiedziałam mu, że taniej będzie, jeśli po prostu go sobie kupi. Ale znasz Ibny^go. Wiesz, jaką marżę nalicza. Chciał za ten film prawie dwie stówy! Rozbój w biały dzień. No więc obiecałam panu Kelly* emu, że zrobię dla niego kopię.

— Cholercia, Tony nieźle się wkurzy, jak się o tym dowie. — Frankie zniżył głos, jakby obawiał się, że w wypożyczalni jest zainstalowany podsłuch.

— Wszystko jedno. — Rune wzruszyła ramionami. Przed oczami znów stanął jej pan Kelly. — Szkoda, że go wtedy nie widziałeś. Myślałam, że się rozplacze, tak bardzo się ucieszył. A że akurat było koło

południa, zapytał, czy może zaprosić mnie na lunch, no wiesz, żeby mi podziękować.

— I co, udało ci się skombinować mu tego pirata?

Rune posmutniała. Po chwili milczenia odparła: — Tak, udało się. Ale dopiero parę dni temu. I już nie zdążyłam mu go dać. Szkoda. Szkoda, że nie mógł chociaż raz obejrzeć filmu z kasety, którą *ja* dla niego przegrałam. Powiedział, że w tej chwili nie może mi dać niczego w zamian, ale kiedy się wzbogaci, będzie o mnie pamiętał.

— Tak, jasne. Gdzieś to już słyszałem.

— No, nie wiem... Powiedział to tak jakoś dziwnie, coś jak: *Jiiedy* rozbiję bank". Zupełnie jakby... Słuchaj, Frankie, czy ty wierzysz w bajki?

— Hm... Czy ja wiem? Takie jak „Jaś i Małgosia”?

Rune przewróciła oczami. — Myślałam raczej o pewnej japońskiej bajce. O rybaku, który nazywał się Urashima.

— Co to za jeden? — Frankie Grek też miał oczy osadzone zbyt blisko siebie, jak tamten glina w mieszkaniu pana Kelly'ego. Detektyw Manelli.

— Urashima ocalił żółwia przed dziećmi, które ciskały w niego kamieniami. **A** potem zaniósł go z powrotem do oceanu. **Tyle** że żółw okazał się czarodziejski i zabrał go ze sobą do podwodnego pałacu króla mórz.

— To jak ten rybak tam oddychał?

— Oddychał, i już.

— Ale...

— Nie zwracaj sobie tym głowy. Normalnie oddychał, rozumiesz? W pałacu córka króla podarowała mu niezliczone bogactwa, perły i klejnoty. Może nawet wieczną młodość, już dobrze nie pamiętam.

— Kurczę, nieźle — ucieszył się Frankie. — A potem żyli długo i szczęśliwie!

Rune milczała przez chwilę. — Niezupełnie. Rybak wszystko stracił.

— Jak to? — Frankie sprawiał wrażenie minimalnie zainteresowanego.

— Córka króla podarowała mu między innymi szkatułkę, której nie wolno mu było otworzyć.

— Dlaczego?

— Nieważne. On jednak ją *otworzył* i szast-prast w niecałe pięć sekund zmienił się w starca. Widzisz, w bajkach też obowiązują pewne zasady, których należy przestrzegać. Rybak je złamał. Trzeba zawsze słuchać czarodziejskich żółwi i czarodziejów. Właśnie o czymś takim pomyślałam, kiedy pan Kelly wspomniał, że mógłby się wzbogacić. Że zrobiłam dobry uczynek, za który on mnie kiedyś wynagrodzi.

Frankie mruknął: — Tylko nie otwieraj żadnych czarodziejskich szkatulek.

Rune spojrzała na niego. — To by było na tyle, jeśli chodzi o historię pana Kell/ego. Niesamowita sprawa, nie?

— Pytałaś go kiedyś, dlaczego tak często wypożycza ten sam film?

— Pewnie. Chcesz usłyszeć naprawdę smutną odpowiedź? Odparł: „Ten film? To moje najcenniejsze wspomnienie”. Nic więcej nie chciał powiedzieć. Założę się, że oglądali go z żoną podczas miodowego miesiąca. A może pan Kelly miał romans z jakimś wampem w dniu premiery, może kochali się w hotelu przy Times Square, a tuż obok odbywał się pierwszy seans?

— A co mówią gliny? Domyślają się, dlaczego ktoś go stuknął?

— Niczego nie wiedzą. I nic ich to nie obchodzi.

Frankie przerzucił kilka stron jakiegoś rockowego czasopisma, zdjął jeden z licznych kolczyków, przyjrzał mu się, po czym wpiął go w trzecią dziurkę w drugim uchu. — Ty widziałaś ten film, prawda? — odezwał się po chwili. — Myślisz, że mógł być dla kogoś najcenniejszym wspomnieniem?

— Zależy, jak nieciekawe miało się życie.

— O czym to właściwie jest? — spytał. — No wiesz, ten film?

— Jakoś w latach trzydziestych czy czterdziestych bandyci napadają na bank. Gdzieś przy Wall Street. Zatrzymują w banku zakładnika, a pewien młody gliniarz — wiesz, taki gość, co to kocha się w porządnej dziewczynie z sąsiedztwa o imieniu Mary — wchodzi do środka i proponuje im wymianę: on w miejsce zakładnika. Zabija jednego z bandytów, a później... zwyczajnie nie może się oprzeć pokusie. Jest zakochany, chciałby się ożenić, ale brakuje mu forsy. Zgarnia więc łup i ukradkiem wymyka się z banku, a potem ukrywa gdzieś zrabowane pieniądze. Gliny wpadają na jego trop, wylatuje ze służby, aresztują go i trafia do więzienia.

— I to wszystko?

— Wreszcie chyba wychodzi i ginie, zanim uda mu się odkopać łup. Znudziło mnie to i pod koniec oglądałam już jednym okiem.

Frankie ożywił się. — O, tu jest. Posłuchaj. — Zaczął czytać na głos z katalogu dystrybutora filmów wideo: — „Śmierć na Manhattanie”, tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy. O rany, ale chała. Słuchaj: „Trzymający w napięciu dramat młodego nowojorskiego policjanta-idealisty, rozdartego między chciwością a obowiązkiem”.

Runeę spojrzała na zegar. Pora zwijać interes. Zamknęła drzwi na klucz. — Jedno ci powiem: gdybym kiedykolwiek nakręciła film, zabiłabym każdego, kto nazwałby go „trzymającym w napięciu dramatem”.

Frankie odparł: — Jeśli *ja* nakręcę kiedyś film, ludzie będą mogli o nim mówić, jak im się będzie żywnie podobało, pod warunkiem że mój kawałek znajdzie się na ścieżce dźwiękowej. Ty wiesz, tutaj piszą, że film został nakręcony w oparciu o autentyczną historię prawdziwego

napadu na bank na Manhattanie. Ktoś ukradł milion dolarów. Piszą, że pieniędzy nigdy nie odnaleziono!

Naprawdę? Runę nic o tym nie słyszała.

— Późno już — rzuciła. — Idziemy. Muszę jeszcze...

Drgnęli, słysząc głośnie pukanie do przeszklonych drzwi. Przed wypozyczalnią stały trzy osoby — mężczyzna i kobieta, pod rękę, i jeszcze jedna kobieta. Wszyscy w wieku dwudziestu kilku lat. Para ubrana była na czarno w dżinsy i podkoszulki. Ona była od niego wyższa, blada blondynka o bardzo krótko przystrzyżonych, prawie białych włosach. Gruba warstwa makijażu, ciemnofioletowe wargi. Mężczyzna miał na nogach czarne buty z cholewką. Był bardzo szczupły, o pociągłej twarzy, przystojnej, o ostrych rysach. Wysokie kości policzkowe. Szyje obojga oplatały żółte przewody słuchawek walkmanów Sony. Przewód dziewczyny nikał w kieszeni chłopaka. Stanowili uosobienie wielkomiejskiego szyku obnoszonego niczym barwy wojenne.

Druga kobieta była tęga, miała sterczące na wszystkie strony pomarańczowe kosmyki i rytmicznie poruszała głową — najwyraźniej w rytm tylko przez siebie słyszanej muzyki (ona akurat *nie miała* walkmana). Styl i barwa jej fryzury przywiodły Runę na myśl postać Woody'ego Woodpeckera, tego dzięcioła z kreskówek.

Ponownie zastukano do drzwi.

Frankie popatrzył na zegar. — Co mam im powiedzieć?

— Wystarczy jedno słowo — odparła Rune. — Przeciwnieństwo słowa „otwarte”.

W tej samej jednak chwili ubrany na czarno młody mężczyzna dotknął drzwi gestem ciekawskiego kosmity i posłał Rune uśmiech, który mówił: „Jak możesz nam to robić?” Następnie uniósł obie dłonie, złożył je jak do modlitwy w błagalnym geście, a wreszcie, patrząc prosto w oczy Rune, ucałował złączone czubki palców.

Frankie zawołał głośno: — Już jest, tego, zamknięte!

Rune rzuciła krótko: — Otwórz im.

- Co mówisz?
- Otwórz drzwi.
- Ale przecież...
- Otwórz im drzwi.

Frankie zrobił, co mu kazano.

Stojący na zewnątrz chłopak powiedział: — **Tylko** jeden film, piękna damo, tylko jeden jedyny. A potem na zawsze znikniemy z twego życia.

- Wracając tylko po to, aby go zwrócić — zauważyła Rune.
- Ależ oczywiście — przytaknął i wszedł do środka. — Dzisiaj jednak potrzebujemy dobrej zabawy. Dotkliwie.

Rune zagadnęła blondynkę: — Nie powinien przypadkiem wrócić do wariatkowa?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Kobieta-dzieciół nic nie mówiła, przechadzała się za to wzdłuż półek z kasetami, czytając tytuły, podczas gdy jej głowa wykonywała nadal te same, rytmiczne ruchy

- Macie karty członkowskie? — spytała Rune.

Blondynka machnęła jej przed nosem kartą wypożyczalni „Washington Square Video”.

- Trzy minuty — zarządziła Rune. — Macie dokładnie trzy minuty.
- Cóż to jest wobec wieczności? — zadumał się nieznajomy.
- Dwie i trzy czwarte — odparła Rune. — Zegar tyka.

Czyżby chłopak miał nierówno pod sufitem? Rune nie potrafiła tego stwierdzić.

Blondynka najwidoczniej postanowiła działać i zwróciła się do Frankiego z pytaniem: — Co dobrego polecasz?

— Eee, tego, nie wiem. Jestem tu nowy.

— Wszyscy jesteśmy nowi na tym łoż padole — zauważył znacząco młodzieniec w czerni, popatrując na Rune. — Zawsze i wszędzie. Rodzimy się co trzy, co dwie i pół minuty. David Bowie tak powiedział. Lubisz go?

— *Uwielbiam* — odrzekła Rune. — Jakim cudem ma każde oko innego koloru?

Mężczyzna patrzył jej teraz prosto w twarz. Nie odpowiadał. Ale to nie miało znaczenia; Rune już nie pamiętała, że w ogóle zadała mu jakieś pytanie.

Odszukała w torbie szminkę i starannie umalowała usta. Przeczesała palcami włosy i niemal natychmiast pomyślała, że nie powinna go kokietować. Spojrzała na zegarek. — Dwie minuty. Nawet trochę mniej.

Chłopak zagadnął ją: — Masz ochotę na imprezę?

Rune zajrzała mu w oczy. Były brązowe i mieniły się tysiącami odcieni. Odpowiedziała: — Może. A gdzie?

— U ciebie, skarbie — odparł.

Aha, skąd my to znamy...

Musiał właściwie odczytać jej minę, bo nagle dodał już całkiem rzeczowym tonem: — Mam na myśli nas wszystkich. Wspólna impreza. Wino i chipsy. Nic zdrożnego, przysięgam.

Rune zerknęła na Frankiego, ale ten pokręcił swoją kudłatą głową. — Moja siostra lada chwila urodzi. Muszę być w domu.

— Proooszę — dodał przeciągle pan Wielkowiejski Szyk.

Właściwie dlaczego nie? — pomyślała Rune. Przypomniała sobie, że kiedy ostatni raz szła na randkę, na ulicach leżały jeszcze zaspły śniegu.

— Jedna minuta — zauważył tamten. — Nasz czas powoli się kończy. — Znow bujał w obłokach i zwracał się do blondynki. Ta spojrzała na swoją koleżankę o pomarańczowych włosach i oznajmiła: — Musimy znaleźć jakiś film. Wybierz coś.

— Ja? — zdziwiła się kobieta-dzieciół.

— Pospiesz się — syknęła blondynka.

A chłopak dodał: — Zostało nam mniej niż minuta. Potem ziemia zadrży, a oceany wystąpią z brzegów...

— Ty tak zawsze? — spytała go Rune.

W odpowiedzi uśmiechnął się.

Kobieta-dzieciół chwyciła z półki pierwszą lepszą kasetę.

— Może to?

— Ujdzie — zgodziła się niechętnie blondynka.

Frankie zainkasował pieniądze.

Nieznajomy zawołał: — Ding-dong, czas minął. Idziemy.

6

To jest flagowe dzieło Stanforda White'a — poinformowała Rune pozostałą trójkę.

Jechali na górę windą towarową. Metaliczny zgrzyt mechanizmu, postukiwanie łańcuchów, wszechobecna woń smaru, pleśni i mokrego betonu. Piętra w remoncie, piętra opuszczone i pogrążone w mroku przesuwwały się wolno w dół przed ich oczami. Odgłos kapiącej wody. Znajdowali się w budynku w rejonie TriBeCa — trójkacie poniżej Canal Street — którego historia sięgała dziewiętnastego wieku.

— Stanforda White'a? — powtórzyła blondynka.

— Słynny architekt — wyjaśniła Rune.

Tajemniczy nieznajomy dorzucił: — Który umarł z miłości.

To on o tym *wie*? — zdziwiła się Rune; była pod wrażeniem.
Dodała: — Zamordowany przez zazdrosną kochankę na dachu
pierwszej siedziby Madison Square Garden.

Blondynka wzruszyła ramionami, jakby miłość *nigdy* nie była warta,
żeby z jej powodu umierać.

Kobieta-dzieciół zapytała: — Legalnie tak tu sobie mieszkasz?

— A cóż to znaczy legalnie? — zadumał się młody człowiek. —
Pytam, *czyich* praw mamy przestrzegać? Borykamy się wszak z całym
gwiazdozbiorem praw, niektóre są obowiązujące, inne nie.

— Co ty *bredzisz*? — zdziwiła się Rune.

W odpowiedzi chłopak uśmiechnął się tylko, unosząc znacząco brwi.

Okazało się, że ma na imię Richard. Rune była rozczarowana. Ktoś

0 tak nieszablonowym wyglądem powinien się nazywać Jean-Paul
albo Vladimir.

Na najwyższym piętrze winda przystanęła, a jej pasażerowie znaleźli się
w niewielkim pomieszczeniu pełnym kartonów z koreańskimi napisami
kaligrafowanymi czarnym tuszem oraz piętrzących się walizek; był tam
także popsuty telewizor i pomalowana na wojskową zieleń metalowa
beczka obrony cywilnej do transportowania wody pitnej. Oprócz tego
wszędzie wałały się stare czasopisma poświęcone modzie

1 urodzie. Kobieta-dzieciół zaraz podeszła do jednej z takich stert i
przestudiowała kilka okładek. — Zamierzchłe czasy — zauważyła. Na
jedynych drzwiach w pomieszczeniu widniała informacja „Toaleta”
wypisana rozmazanym, czarnym tuszem.

— Nie ma okien? Jak ty tu wytrzymujesz? — zapytał Richard.

Rune nie odpowiedziała i znikła za ścianą kartonowych pudeł.

Szybko wbiegła po bogato zdobionych metalowych schodach znajdujących się na środku pomieszczenia. Znalazłszy się na poddaszu, zagwizdała ostro, przenikliwie. — Hej, wy tam! Zapraszam... Wyobrażacie sobie, jak ciężko wtargać tu zakupy? Nie, żebym je tak często robiła.

Trójka gości wdrapała się na górę i zamarła z wrażenia. Znajdowali się w przeszklonej wieży: olbrzymiej nadbudówce na szczycie budynku o ścianach wznoszących się w górę niczym wieńcząca dach korona. Dziesięć pięter pod nimi rozciągało się miasto. W oddali widać było masywną sylwetkę Empire State Building, srogą niczym niewzruszony olbrzym z ilustracji Maxfielda Parrisha. Z tyłu za nim majaczył elegancki budynek Chryslera. W kierunku południowym miasto niczym niezmierny ocean toczyło swoje wody ku białym słupom Dwoch Wież. Na wschodzie przyciągały wzrok strojne zdobienia budynku Woolwortha i miejskiego ratusza. Za nimi aż po horyzont migotały światła Brooklynu i Queensu. Po przeciwnej stronie miękka ciemność otulała New Jersey. Przez oszklone, kopulaste sklepienie widać było płynące nisko chmury, muśnięte różem odbitych światła miasta.

— Mojej współlokatorki nie ma — wyjaśniła Rune, rozglądając się dokoła. — Dziewczyna lubi grać w rosyjską ruletkę w barach dla singli. Jeżeli o tej porze nie siedzi w domu przed telewizorem, wcinając lody i oglądając jakiś durny serial, to znaczy, że jej się poszczęściło. A przynajmniej *ona* tak to nazywa.

Rune ściągnęła marynarkę, która wylądowała na wieszaku umocowanym na pozbawionym żarówki i klosza stojaku lampy podłogowej; wisiało już tam boa ze strusich piór i sportowa marynarka z imitacji skóry zebry. Potem rozsznurowała buty i postawiła je na podłodze obok dwóch sfatygowanych walizek na kółkach. Otworzyła jedną z nich i zaczęła przeglądać podkoszulki i bieliznę, wygładzając fałdy, rozprostowując zagniecenia albo na nowo składając niektóre części bijącej kolorami po oczach garderoby. Na koniec zdjęła skarpetki i schowała je do drugiej walizki.

— Moja komoda i kosz na brudną bieliznę — rzuciła w stronę Richarda tonem wyjaśnienia. Ruchem głowy wskazała dopiero co otwarte walizki.

— Wynajmujesz tę metę? — zainteresowała się kobieta-dzieciół.

— Po prostu tu mieszkam. Nie płacę żadnego czynszu.

— Dlaczego nie?

— Bo jak dotąd nikt mi nie kazał.

— Jak tu trafiłaś? — spytał Richard.

Runę wzruszyła ramionami. — Przypadkiem. Znalazłam, wprowadziłam się. Innych chętnych nie było.

— To miejsce do ciebie pasuje. — Uśmiechnął się.

— Byt jako proces stawania się... — mruknęła Runę, przypominając sobie podsłuchaną przed tygodniem lub dwoma rozmowę dwóch gości w wypożyczalni.

Richard uniósł brwi. — Nie mów mi, że znasz Hegla.

— Jasna sprawa — odparła Runę zadowolona. — Uwielbiam jego filmy.

Okragłą przestrzeń podłogi dzieliła ściana z pustaków, którą Runę pomalowała na jasny błękit i ozdobiła białymi obłoczkami chmur. Po jej stronie poddasza stały cztery stare kufry, telewizor i magnetowid, jeden na drugim leżały trzy materace, a w rogu piętrzyło się kilkanaście poduszek. Do tego dwa regały pękające w szwach od książek, głównie starych wydań. I mała lodówka.

— A gdzie gotujesz? — zapytała kobieta-dzieciół.

— Co to znaczy, *gotujesz*? — odparła Runę z twardym, węgierskim akcentem.

Richard przerwał im: — Wyczuwam w tym miejscu potencjał jakiegoś objawienia. No wiecie, jakiegoś przełomu. — Otworzył lodówkę. W środku znalazł torbę na wpół roztopionych kostek lodu, dwa sześciopaki piwa i pomarszczone jabłko. — Nie jest włączona.

— Nie działa.

— A skąd masz elektryczność?

Runę wskazała im wijący się w dół po schodach pomarańczowy przedłużacz. — Robotnicy z dołu pozwalają mi korzystać z prądu. Bardzo ładnie z ich strony, nie?

Kobieta-dzieciół miała już w zanadrzu kolejne pytanie. — A jak już właściciel dowie się, że się tu zainstalowałaś, i cię wykopie?

— Znajdę sobie coś innego.

— Cóż za egzystencjalne podejście — zauważył Richard.

Na co blondynka rzuciła: — Może byśmy wreszcie rozkręcili tę imprezę?

Runę pogasiła światła i zapaliła kilkanaście świec.

Z boku dobiegł ją trzask jeszcze jednej zapalki. W łukowato wygiętych szybach załśnił pomarańczowy blask, a pomieszczenie wypełniło się gryzącym zapachem haszu. Joint zaczął krążyć z ręki do ręki. Tak samo piwo.

Blondynka zwróciła się do kobiety-dziecióła. — Nastaw ten film, który wybrałaś.

Runę i Richard usiedli wygodnie oparci o poduszki i patrzyli, jak blondynka bierze od koleżanki kasetę i otwiera plastikowe pudełko. Runę szepnęła: — Wy dwoje jesteście ze sobą czy coś w tym rodzaju? — Ruchem głowy wskazując blondynkę. Zaraz jednak się poprawiła: — A może robicie to we trójkę?

Spojrzenie mieniących się wszystkimi odcieniami brązu oczu Richarda pobiegło w ślad za blondynką, która przykucnęła, żeby włączyć

telewizor i magnetowid. Odparł: — Tej rudej w ogóle nie znam. A tamtą... poznałem rok temu na Sorbonie, kiedy pisałem pracę na temat semiotycznych interpretacji wzornictwa tekstylnego.

Co to miało być, żart?

— Siedziałem przy bulwarze St. Germain, ona wysiadała z limuzyny i ogarnęło mnie przemożne poczucie predeterminizmu.

— Czyli że z woli Boga — rzuciła Runę, przypomniawszy sobie w porę coś, co usłyszała kiedyś od matki, dobrej prezbiterianki.

Richard odwrócił głowę. Zmarszczył brwi i przyjrzał się jej uważnie, chwilowo wypadając z roli. — Nie, raczej *predestynacja*. Cóż, nie do końca o to mi... — Pokiwał głową, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym uśmiechnął się. — Ale generalnie, czego by się nie robiło, i tak wyjdzie źle... Nieźle to ujęłaś...

— Zdarza mi się od czasu do czasu. — O co tu do cholery chodzi? — pomyślała. Wszystko jedno, stwierdziła. *Wyglądało* na to, że udało jej się zrobić na Richardzie wrażenie. Grunt to pozory. W tej samej chwili olśniło ją, że nadal nie ma pojęcia, co właściwie łączy go z ponurą blondynką.

Już miała powiedzieć coś dowcipnego i oryginalnego na temat „Casablanki” — a dokładnie Ricka i lisy w Paryżu — kiedy Richard nachylił się i pocałował ją w usta.

Hola, hola...

Runę cofnęła się gwałtownie i obejrzała na blondynkę niepewna, czy nie dojdzie tu za moment do jakiejś szarpaniny. Tamta jednak niczego nie zauważyła albo zwyczajnie jej to nie obchodziło. Odeszła kawalek, żeby podać jointa kobiecie-dzięciołowi, która akurat nastawiała telewizor.

Czy ja przypadkiem nie zwariowałam? Żeby zapraszać do siebie troje obcych ludzi...

Na pewno zwariowałam.

Pod wpływem nagłego impulsu oddała Richardowi pocałunek. Odsunęła się od niego dopiero, gdy poczuła jego dłoń na swojej piersi. Wtedy wyprostowała się. — Zwolnijmy trochę, dobra? Znam cię ledwie pół godziny.

— Przecież czas to pojęcie względne.

Cmoknęła go w policzek — niewinny buziak. Nie mając zadatków na wysoką, zmysłową kochankę, Runę do mistrzostwa opanowała sztukę flirtu.

— No, to już nie fair. — Richard wydał wargi.

Runę już chciała rzucić mu kolejne spojrzenie z gatunku: „Och, daruj sobie...”, okazało się jednak, że chłopakowi chodziło o trzymanego przez kobietę-dzieciola jointa.

— Wolnego, skarbie. Każdemu wedle jego potrzeb. — Kobieta głęboko wciągnęła *dym* w płuca i podała mu skręta.

Richard zaciągnął się i przekazał jointa Rune. —A teraz przyjmijmy pozycję tantryczną — zarządził.

— Tantryczną? — powtórzyła Rune.

— Chodzi o te łózkowe akrobacje? — zaciekała się kobieta-dzieciół.

Runę zachnęła się zniecierpliwiona.

Richard bronił się: — Ludziom wydaje się, że w jodze tantrycznej chodzi tylko o seks, a to nieprawda. Chodzi o oddychanie. Joga uczy

prawidłowego oddychania.

Runę odparła: — Tyle że ja *potrafię* oddychać. Świetnie mi to wychodzi. Robię to od urodzenia.

— Przyjmijmy tę pozycję czy nie?

Chciała go walnąć poduszką, ale on usiadł w dziwnej pozie, niecały metr od niej i zaczął głęboko oddychać. — W pełnym odzieniu — dodał. — Zamierzałem to podkreślić.

Runę prychnęła śmiechem. — Wyglądasz, jakby cię coś bolało.

Ekran telewizora zamigotał i pojawiła się na nim informacja o prawach autorskich do filmu.

— Usiądź przy mnie — poprosił Richard.

Runę zawahała się, po czym usłuchała. Ich kolana się zetknęły. Poczują coś jakby przeskakującą między nimi iskrę, ale nie przysunęła się bliżej. — I co dalej?

— Oddychaj głęboko i oglądaj przedstawienie.

— A właśnie — zawołała Runę do kobiety-dzieciola — co to za film, ten który wypożyczyłaś?

Na ekranie rozbłysnął tytuł „Lesbijska miłość”. Blondynka ospałym ruchem przyciągnęła do siebie kobietę-dzieciola i nakryła jej wargi swoimi. Oplotły się ramionami, a ich palce zaczęły manipulować przy guzikach.

Runę szepnęła do Richarda: — O które przedstawienie ci chodziło?

Ten wzruszył ramionami. — Wszystko jedno.

Rankiem, kiedy Runę się obudziła, Richard robił kawę na jej turystycznej kuchence.

— Gdzie się podziały twoje koleżanki? — zapytała i zanurkowała pod stertę poduszek. Po chwili wychynęła stamtąd z pastą Colgate i szczoteczką do zębów w ręku.

Richard rozejrzał się. — Bo ja wiem?

— A znalazłeś tu kibel?

— Tak, na dole. I podobały mi się plastikowe dinozaury. Domyślam się, że ten wystrój to twoje dzieło.

Runę przyjrzała mu się badawczo. Naraz wydał jej się nie na miejscu, w tym swoim ciemnym stroju — nocnych ciuchach — na jasnym, rozświetlonym słońcem poddaszu.

— Jak masz naprawdę na imię? — zagadnął. — Chyba nie Runę, prawda?

— Wszyscy ciągle pytają mnie o imię.

— I co im mówisz? — zainteresował się. — Prawdę?

— Czymże jest prawda? — Runę uśmiechnęła się dwuznacznie. Richard roześmiał się. — Tb, że masz zmyślane imię, jest bardzo

interesujące z filozoficznego punktu widzenia. Wiesz, co Walker Percy mówi o nazywaniu? I nie chodzi mu tylko o imiona czy nazwiska, ale

o nadawanie różnym rzeczom nazw przez człowieka. Twierdzi, że nazywanie różni się od wszystkiego innego we wszechświecie. To akt jedyny w swoim rodzaju. Pomyśl o tym.

Zrobiła to, a po chwili odezwała się: — Rok temu pracowałam w takim jednym barze przy Dziewiątej Alei. Wtedy nazywałam się Doris. Teraz myślę, że wzięłam tę robotę tylko z powodu identyfikatorów z imieniem, które nam dawali. Napisane na nich było: „Chelsea Diner. Witaj! Mam na imię Doris”.

Richard skinął niepewnie głową. — Doris. Runę postanowiła zmienić temat. — Czym ty się właściwie zajmujesz, Richard?

— Różnymi rzeczami.

— Aha... — W jej głosie zabrzmiało powątpiewanie.

— No dobra. Pracuję nad powieścią. — *Wiedziała*, że musi być pisarzem albo artystą. — O czym ona będzie?

— Nie chciałbym na razie za wiele ujawniać. Przeżywam akurat mały kryzys.

Coraz lepiej: tajemniczy mężczyzna piszący tajemniczą powieść. Na dodatek w samym środku kryzysu twórczego.

— Ja też piszę — powiedziała.

— Doprawdy?

— Pamiętnik. — Runę zdjęła z półki gruby, noszący ślady wody

1 rozmazanego tuszu brulion. Jego okładkę zdobił wycięty z jakiegoś czasopisma i przyklejony wizerunek rycerza. — Moja mama przez całe życie dzień w dzień pisała pamiętnik. Ja robię to dopiero od paru lat, ale zapisuję wszystkie najważniejsze wydarzenia. — Ruchem głowy wskazała kilkanaście innych brulionów stojących w równym rzędzie na regale.

- Wszystkie? — powtórzył.
- Prawie wszystkie.
- A o mnie też coś napiszesz? — spytał Richard. Przyglądał się dziennikom takim wzrokiem, jakby miał wielką ochotę do któregoś zajrzeć.
- Może — odparła Rune, przeczesując włosy palcami.
- I na pewno chcesz zostać aktorką. Mam rację?
- Pudło. Chyba pomyliłeś mnie z tą, jak jej tam, kobietą-dzieciółem.
- Z kim?
- Z twoją wczorajszą koleżanką. Tą z pomarańczowymi włosami. Tą, która uciekła z twoją dziewczyną.
- Hola, hola — to nie była moja dziewczyna. Nawet nie jest biseksualna. Raz próbowałem ją poderwać...
- Niemożliwe. Ty? — Rune nie kryła sarkazmu.
- Poznaliśmy się tydzień temu na imprezie. Robimy razem niezły show.
- Słucham?
- Dobrze razem wyglądamy — wyjaśnił Richard. — Mamy szykowne wejścia. I to wszystko. Trudno to nazwać poważnym związkiem. Nawet nie wiem, jak ma na imię.
- W takim razie lepiej nie przedstawiaj jej swoim rodzicom.
- Nie miałem takiego zamiaru. — Przyniósł jej kubek z kawą i postawił na podłodze obok materaca.
- A jak się do tego ma Sorbona? — spytała Rune.

— *Pas de Sorbonne.*

— Tak też podejrzewałam.

— Ale we Francji byłem.

Mógłby mieć też na imię „Jean-Pierre”. Albo François”. Tak, zdecydowanie wyglądał na kogoś, kto się nazywa François”.

Trzeba mu będzie wybić z głowy tego „Richarda”.

Rune wyjrzała przez okno, sięgnęła pod materac i wyciągnęła spod niego parę okularów przeciwsłonecznych. Wsunęła je na nos.

— Robimy dziś za gwiazdę? — zapytał Richard, wskazując ruchem głowy podrabiane ray-bany.

W tym samym momencie zza budynku wznoszącego się po wschodniej stronie wyszło słońce i całe pomieszczenie zalało jaskrawe światło.

— Au — jęknął Richard oślepiiony.

— Może kiedyś dorobię się zasłon. Ale na razie mnie na nie nie stać, a moja współlokatorka nie chce się dołożyć.

— Przecież nie płacisz czynszu, to po co ci współlokatorka?

— No wiesz, do czegoś tam się dokłada. A poza tym dobrze mieć współlokatora. To twarda szkoła życia. Hartuje.

— Nie wyglądasz mi na szczególnie zahartowaną.

— O to właśnie chodzi — żeby być twardym, a wcale na takiego nie *wyglądać*. Tak czy inaczej, za parę miesięcy i tak będę musiała się stąd wyprowadzić. Właściciel sprzedał budynek i póki co mieszkam tu tylko dlatego, że przedstawiłam się tym od remontu jako porzucona kochanka poprzedniego właściciela. Mogę tu zostać tak długo, aż nie zaczną remontować poddasza. To co, umówisz się ze mną na randkę?

— Na randkę? Strasznie dawno nie słyszałem tego słowa. Zupełnie, jakbyś mówiła do mnie w suahili. Całkiem o nim zapomniałem.

Racja, pomyślała Rune. Naprawdę szykowni ludzie nie zapraszają innych szykownych ludzi na randki. Po prostu *idą* gdzieś razem. A jednak w koncepcji randki zawierało się jakieś zobowiązanie. Dlatego też powtórzyła: — Randka, randka, randka. Widzisz, już ci przypominałam, jak to brzmi. Teraz możesz się ze mną umówić.

— Spędziliśmy razem tylko jedną noc...

— I to na osobnych materacach — podkreśliła.

— ...a ty chcesz iść za mną na randkę?

— Właśnie tak.

— Ib może zaproszę cię na kolację?

/

— Świetny pomysł.

— Okej. Zapraszam cię. Jesteśmy umówieni. Zadowolona?

— To jeszcze nie wszystko. Musisz mi powiedzieć, kiedy się spotkamy. I chodzi mi o dokładną datę. Nie o miesiąc, nie o tydzień.

— Zadzwoń do ciebie.

— *Proszę cię...* Chyba żartujesz? Czy wszyscy mężczyźni są genetycznie zaprogramowani w taki sposób, żeby wypowiadać właśnie te trzy słowa? Nie osłabiaj mnie.

Richard rozejrzył się bezradnie. — Nie mam przy sobie kalendarza.

Powiedział, że do niej *zadzwoń*, i na dodatek był posiadaczem kalendarza. Przerazające. Urok Richarda bladł w błyskawicznym tempie.

— Nie przejmuj się tym — rzuciła bez troski.

— Dobrze, to może jutro? — poddał się. — Wiem, że akurat jutro jestem wolny.

tylko bez zbędnego entuzjazmu, ostrożnie. — Może być.

— Dokąd chciałabyś pójść?

— Możesz przyjść tutaj. Ugotuję coś.

— Myślałem, że nie gotujesz.

— Nie gotuję *dobrze* — odparła — Ale w ogóle potrafię to robić. Kiedy indziej wybierzemy się do Four Seasons. — Spojrzała na swój nadgarstek, na którym miała dwa zegarki. Oba nie chodziły. — Która godzina?

— Ósma.

— Cholera, muszę lecieć — rzuciła Runę, ściągając przez głowę podkoszulek.

Wyczuła, że Richard jej się przygląda; jego wzrok przesunął się po jej szczupłym ciele. Odwróciła się i stanęła przodem do niego ubrana tylko w majtki z podobizną królika Bugsa. — No i co się tak gapisz? — Oparła dłonie na biodrach.

Zaczerwienił się pod jej spojrzeniem.

Tak jest! Punkt dla mnie.

— Cieszę się, że nie ubierasz się u drogich projektantów — zauważył.

Celna riposta. Ten chłopak zdecydowanie miał potencjał.

Kiedy się ubierała, zapytał: — Dokąd się tak spieszysz? Myślałem, że wypożyczalnię otwierają dopiero w południe.

— Ale ja nie idę do pracy — wyjaśniła. — Idę na policję.

7

Panno Rune... — detektyw Manelli nie krył zniecierpliwienia — zajmujemy się tą sprawą.

Rune spojrzała na jego uporządkowane biurko. Teraz, kiedy razem z nimi w pokoju nie było nieboszczyka, policjant robił na niej wrażenie agenta ubezpieczeniowego. Zbyt blisko osadzone oczy już tak bardzo nie raziły; przypatrywały jej się badawczo i Rune doszła do wniosku, że gość może być bystrzejszy, niż początkowo sądziła. Na imię miał Virgil. Aż dwa razy zerknęła na identyfikator, żeby mieć pewność, że ją wzrok nie myli.

Ruchem głowy wskazała leżące na biurku otwarte akta, nad którymi go zastała. — Ale to nie jest sprawa pana Kelly'ego.

Detektyw nabrał w płuca powietrza i zaraz je wypuścił. — Rzeczywiście.

— Która to teczka? — spytała ostro, wskazując na piętrzącą się z brzegu stertę. — Ta z góry czy bliżej spodu?

Do gabinetu wpadł kapitan — ten sam, którego spotkała w mieszkaniu pana Kelly'ego. Rzucił jej nieuważne spojrzenie. Odniosła wrażenie, że ją poznał, ale nic nie powiedział.

— Chcą mieć dzisiaj oświadczenie — oznajmił Manelliemu. — W sprawie zabójstwa turysty.

— Dostaną je — odparł ze znużeniem Manelli.

— Macie coś?

— Nie.

— Burmistrz, „The Post”, „The Daily News”...

— Wiem.

Kapitan raz jeszcze spojrzał na Rune i wyszedł z gabinetu.

— Robimy wszystko zgodnie z procedurą — zapewnił ją Manelli.

— Co to za turysta?

— Ktoś z Iowa. Zadźgany nożem na Times Square. Nie chcę teraz o tym mówić.

Rune wzięła się pod boki. — Jeśli dobrze rozumiem, nie jest pan bliżej złapania zabójcy, niż był pan wczoraj.

Na biurku Manelliego niczym egzotyczny kwiat rozpościerała się pognieciona serwetka, a na niej pysznił się spory kukurydziany muffin. Detektyw ułamał kawałek i włożył sobie do ust. — Słuchaj no, moja panno, może dałabyś nam dzień lub dwa na zaobrączkowanie tego typu?

— Na co...?

— Na aresztowanie zabójcy.

— Ja tylko chcę wiedzieć, co się tam stało.

— W Nowym Jorku mamy półtora tysiąca zabójstw rocznie.

— Ile osób zajmuje się sprawą pana Kelly'ego?

— Głównie ja sam. Ale jeszcze paru innych detektywów bada tropy... Panno Rune...

— Wystarczy Rune.

— Dlaczego tak się tym interesujesz?

— Był bardzo miły.

— Masz na myśli denata?

— Co za obrzydliwe określenie. Pan *Kelly* był miłym *człowiekiem*. Lubiliśmy się. Nie zasłużył na taką śmierć.

Detektyw sięgnął po kubek z kawą, upił trochę, odstawił z powrotem. — Pozwól, że ci powiem, jak to tutaj działa.

— Wiem, jak to działa. Widziałam w filmach.

— W takim razie nie masz zielonego pojęcia. Wydział zabójstw...

— Dlaczego używacie tych wszystkich napuszonych stów? Denat, zabójstwo. *Zamordowano człowieka*. Może gdybyście nazywali sprawę po imieniu, szybciej by wam szło szukanie mordercy.

— Moja panno, morderstwo to tylko jeden z rodzajów zabójstwa. Pan Kelly mógł zginąć w wyniku nieumyślnego spowodowania śmierci, zabójstwa w afekcie albo popełnić samobójstwo...

— Samobójstwo? — Runę uniosła brwi z niedowierzaniem. — Niech pan będzie poważny.

Manelli warknął: — Wielu ludzi pozoruje swoje samobójstwo w ten sposób, żeby wyglądało na morderstwo. Kelly mógł wynająć kogoś, żeby go zabił. Dla ubezpieczenia.

Hm. O tym nie pomyślała. Zapytała jednak: — A miał polisę ubezpieczeniową?

Manelli zawahał się, po czym odparł: — Nie.

— Rozumiem.

— A ja mogę dokończyć?

Runę wzruszyła ramionami.

— Przesłuchamy wszystkich lokatorów i przechodniów, którzy mogli być w pobliżu w momencie zabójstwa. Spisaliśmy już numery rejestracyjne wszystkich aut w promieniu najbliższych trzech przecznic i zamierzamy przesłuchać ich właścicieli. W tej chwili przeglądamy rzeczy osobiste dena... Pana Kell/ego. Sprawdzamy, czy miał jakichś krewnych, czy jacyś jego znajomi nie wyjechali ostatnio z miasta, bo większość umoczonych...

— Zaraz, zaraz. Mówi pan o sprawcach?

— Tak. Większość sprawców zna zwykle swoją ofiarę. To krewni, przyjaciele albo zwykli znajomi. Jeśli dopisze nam szczęście, zdobędziemy rysopis podejrzanego. Coś w rodzaju: „mężczyzna rasy białej, metr osiemdziesiąt wzrostu”. Albo: „Czarna mężczyzna, metr siedem-

dziesiąt sześć, w ciemnym kapeluszu". Bardzo pomocne, nie uważasz?
— Detektyw zajrzał do notesu. — Standardowo sprawdzamy też wyniki analizy balistycznej, żeby wiedzieć, jakiej broni użyto. — Zawahał się.
— To zwykle podsuwa nam jakiś trop.

Runę uczepiła się ostatniego zdania. — I dowiedzieliście się czegoś na temat broni?

Detektyw utkwiał wzrok w swoim drugim śniadaniu, ale to go nie uratowało.

— Przecież widzę, że pan *coś* wie — nie ustępowała Rune. — Coś się wam nie zgadza, prawda? Proszę mi powiedzieć!

— Ib był kaliber dziewięć milimetrów, wyposażony w profesjonalny tłumik. Kupiony w sklepie, a nie zrobiony domowym sposobem, jak większość tłumików. — Widać było, że detektyw walczy ze sobą, ale chyba czuł, że jest jej to winien. — Naboje... kule... miały teflonową powłokę.

— Taką jak garnki i patelnie?

— Taką samą. Tego typu pociski mogą przebić kamizelkę kuloodporną. Dlatego ich posiadanie jest nielegalne.

Rune skinęła głową. — I to się wam nie zgadza?

— Rzadko się je widuje. Zwykle używają ich zawodowi zabójcy. I tylko zawodowcy używają profesjonalnych tłumików.

— Niech pan mówi dalej. O przebiegu śledztwa.

— Prędzej czy później, za jakieś trzy, może cztery miesiące, dostaniemy cynk. Ktoś zostanie wyrolowany przez gościa, którego kuzyn przechwalał się na imprezie, że stuknął kogoś podczas napadu, bo nie spodobało mu się, jak tamten na niego patrzy. Weźmiemy podejrzanego na przesłuchanie i tak długo będziemy go maglować i doszukiwać się nieścisłości w jego zeznaniach, aż delikwent się przyzna. Tak to zwykle wygląda. Tak to *zawsze* wygląda. Rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć? Na to wszystko trzeba *czasu*. Nic tu nie dzieje się z dnia na dzień.

— Nie, jeśli nikomu na tym nie zależy — mruknęła Rune i zanim Manelli zdążył się wkurzyć, zadała następne pytanie: — Więc na razie nie macie *żadnego* punktu zaczepienia?

Manelli westchnął. — Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? To fatalna dzielnica. Moim zdaniem jacyś gówniarze z Alphabet City potrzebowali forsy na narkotyki i zabili go dla paru dolców.

— Bajeranckimi kulami?

— Znaleźli gdzieś broń albo ukradli jakiemuś gangsterowi z Brooklynu. Takie rzeczy się zdarzają.

Rune przewróciła oczami. — Pana zdaniem zdesperowany narkoman rozwaliłby telewizor? I zostawił nietknięty magnetowid? A propos, czy pan Kelly miał przy sobie jakieś pieniądze?

Manelli znowu westchnął. Wyciągnął teczkę wetkniętą mniej więcej w środek wysokiego stosu akt, otworzył i przejrzał jej zawartość. — Tylko drobne. W sumie czterdzieści dwa dolary. Sprawca musiał spanikować, kiedy zadzwoniłaś, i uciekł, niczego nie zabierając.

— Czy z mieszkania coś zginęło?

— Nie wygląda na to.

Runę oświadczyła zdecydowanie: — Chcę je zobaczyć.

— Mieszkanie? — zaśmiał się detektyw. — Nie ma mowy. Lokal jest zaplombowany. Nikt nie może wejść do środka. — Przyjrzał jej się uważnie. — Słuchaj, nawet o tym nie myśl... Jeśli spróbujesz się tam dostać, uznam to za wtargnięcie na teren prywatny. To już przestępstwo, a ja z największą przyjemnością podam twoje nazwisko prokuratorowi. — Odłamał następny kawałek muffina, obejrzał i odłożył na serwetkę. — O co ci właściwie chodzi? — zapytał. W jego głosie nie było zniecierpliwienia, tylko autentyczna ciekawość. Mówił cicho, spokojnie.

— Wie pan, że w ciągu ostatniego miesiąca pan Kelly aż osiemnaście razy wypożyczał kasetę, która była u niego w magnetowidzie?

— No i?

— Nie wydaje się to panu dziwne?

— Miałem do czynienia z ludźmi, którzy rzucali się z Mostu Brooklyńskiego, bo byli przekonani, że ich kota opętał szatan. Nic mnie już nie zdziwi.

— **Tyle** że ten film — niech pan uważa — to historia autentycznego przestępstwa. Rabusie ukradli milion dolarów, którego nigdy nie odnaleziono.

— Kiedy? — Detektyw zmarszczył brwi. — Nic o tym nie wiem.

— Jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Teraz to Manelli przewrócił oczami.

Runę nachyliła się ku niemu, rozentuzjasmowana. — Przecież to jest zagadka! Nie ciekawią pana zagadki?

— Nie. Ciekawi mnie *rozwiązywanie* zagadek.

— Właśnie tę zagadkę należałoby rozwiązać.

— I tak się stanie. W odpowiednim czasie. Teraz muszę wracać do pracy.

— A co z drugim świadkiem? — zapytała Rune. — Z Susan Edelman? Tą potrąconą przez samochód?

— Nadal jest w szpitalu.

— Powiedziała coś?

— Jeszcze jej nie przesłuchaliśmy. A teraz już naprawdę muszę...

— Co się stanie z ciałem pana Kelly^{go}? — przerwała mu Rune.

— Wygląda na to, że nie miał żadnych żyjących krewnych. Jego siostra zmarła kilka lat temu. Miał za to zaprzyjaźnioną sąsiadkę,

Amandę LeClerc, która złożyła wniosek o wydanie ciała. Do czasu jego rozpatrzenia pozostanie ono w kostnicy zakładu medycyny sądowej. To wszystko, co mogę ci na ten temat powiedzieć. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wrócić do moich obowiązków.

Odczuwając dziwną mieszankę gniewu i żalu, Rune wstała i podeszła do drzwi. Detektyw powiedział jeszcze: — Uważaj, moja panno. — Zamarła z dłonią na klamce. — Widziałas, co spotkało pana Kell/ego i panią Edelman. Domyślam się, co czujesz, ale nie próbuj nas wyręczać. Gdzieś tam na wolności jest prawdziwa kanalia. Życie to nie film. Każdego może spotkać krzywda.

Rune odwróciła się. — Ostatnie pytanie. Mogę?

W ciasnym gabinecie zapadła cisza. Z zewnątrz dobiegał szum drukarek, stukot maszyn do pisania, podniesione głosy z innych pomieszczeń. — Czy gdyby pan Kelly był bogatym bankierem, jego śmierć też by was nie obchodziła?

Przez chwilę Manelli stał nieruchomo. Potem spojrział w dół, na swoje drugie śniadanie. Milczał. Rune pomyślała: „Ma mnie serdecznie dosyć. Chyba mnie lubi, ale ma mnie powyżej uszu”.

Po dłuższym czasie detektyw odezwał się: — Gdyby mieszkał na Upper East Side i był współnikiem znanej kancelarii? Wtedy w ogóle nie przydzieliliby mi jego sprawy. A gdyby nawet, to i tak byłaby siódma w kolejce.

Rune wskazała mu piętrzącą się na biurku stertę teczek. — Proszę spojrzeć. Teraz już leży na samym wierzchu.

8

Zadzwoiła do mieszkania Amandy LeClerc, ale jej nie zastała. Znowu nie miał jej kto wpuścić do budynku pana Kell/ego.

Pozostawał tradycyjny sposób. Ten sam, który nieopatrznie podpowiedział jej detektyw Manelli.

Włamanie.

Rune wstąpiła do sklepiku przy tej samej ulicy. — Dwie paczki pieluch — rzuciła. — I proszę zapakować w dwie siatki.

Zapłaciła dwadzieścia dolarów za parę gumowych rękawiczek i dwa wielkie opakowania jednorazowych pieluch.

— *Muchos nihos?* — zapytała ekspedientka.

Rune chwyciła wypchane siatki z zakupami i odparła: — *Si*. Dużo dzieci. Papier, katoliczka, rozumiesz?

Niewiele starsza od Rune dziewczyna ze współczuciem pokiwała głową.

Rune wyszła na ulicę i skręciła w stronę Alei B. Mimo wczesnej pory było tu już upalnie i duszno. Z bocznych uliczek buchał odór gnijących śmieci. Po drodze minęła galerię sztuki. Na wystawie przyciągały wzrok płótna jakiegoś szalonego artysty — zamaszyste czerwono-czarne maźnięcia. Przechodząc obok ukraińskiej knajpy, poczuła woń dużonego mięsa. Nad wejściem do koreańskich delikatesów wisiała tablica z informacją: „GORĄCE DANIA. PÓŁTORA DOLARA ZA 100 GRAMÓW”.

Alphabetville...

Dotarłszy do kamienicy pana Kelly'ego, Rune wspięła się po betonowych schodach i stanęła przed wejściem do obskurnego holu. Przypomniała sobie obcy głos w domofonie. Kto to mógł być? Zadrzała, wpatrując się w osnuty pajęczyną głośnik.

Jeszcze raz spróbowała zadzwonić do Amandy, ale nikt nie odpowiadał. Obejrzała się. Na ulicy zauważyła tylko jednego człowieka, przystojnego trzydziestoparolatka, lalusia o twarzy gangstera z filmów Martina Scorsese. Miał na sobie roboczy kombinezon, jak inkasent z gazowni albo ci, co odczytują liczniki elektryczne. Siedział na schodach budynku po drugiej stronie ulicy i czytał jakąś kolorową gazetę. Nagłówki krzyczały o śmierci turysty zaszytowanego na Times Square. Sprawa, o której detektyw Manelli miał rozmawiać z kapitanem. Rune odwróciła się, postawiła siatki, otworzyła paczkę pieluch i we-

pchnęła sporo z nich pod swój czarny podkoszulek. Następnie zapięła białą bluzę. Wglądała teraz na jakiś trzynasty miesiąc ciąży.

Podniosła zakupy, z trudem wetknęła sobie obie siatki pod ramię i otworzyła torbę w lamparcie cętki. Zmarszczyła brwi i zajrzała do jej ciemnego wnętrza, zanurzając dłoń w gęstwinie kluczy, długopisów, kosmetyków do makijażu, cukierków i chusteczek higienicznych. Kolejno jej oczom ukazywały się: scyzoryk, zużyte opakowania po kondomach, skrawki papieru, stare listy, kasety magnetofonowe, kostka sera topionego. Gmerała tak przez pięć minut, aż usłyszała zbliżające się kroki. Po schodach wchodził jakiś młody chłopak.

Runę spojrzała na niego zawstydzona i niezręcznie upuściła jedną z siatek. Pieluchy wysypały się na posadzkę.

Po prostu udawaj idiotkę, nakazała sobie w duchu, w końcu masz w tym niezłą wprawę. Schyliła się, żeby podnieść siatkę, i jednocześnie wypuściła z ręki torebkę.

— Może ci pomóc? — zagadnął chłopak, otwierając kluczem drzwi wejściowe i przytrzymując je, żeby mogła wejść do środka.

-Runę chwyciła torbę i wcisnęła ją pod drugą pachę. — Musiałam wrzucić klucze na samo dno — wyjaśniła. Uznała, że powinna przejąć inicjatywę, więc zmarszczyła brwi i zapytała szybko: — Zaraz, zaraz... ty tu chyba jesteś nowy? Nie przypominam sobie, żebyśmy się wcześniej spotkali.

— Bez przesady, mieszkam tu już pół roku. — W głosie chłopaka pojawił się obronny ton.

Runę udała, że jej ulżyło. Minęła go. — Przepraszam, ale wiesz, jak jest. W końcu to Nowy Jork.

— Spoko, jasne.

— Dzięki.

— Nie ma sprawy. — Zniknął w głębi ciemnego korytarza na parterze.

Runę wdrapała się na pierwsze piętro. Drzwi mieszkania pana Kelly'ego oklejono czerwonymi taśmami. „NIE WCHODZIĆ. MIEJSCE PRZESTĘPSTWA. WYDZIAŁ POLICJI NOWOJORSKIEJ”. Były zamknięte. Wyjęła z torby młotek i wielki śrubokręt. Eddie z wypożyczalni, który kazał jej natychmiast zapomnieć o tym, że kiedykolwiek udzielił jej lekcji wyłamywania zamków, powiedział, że jedynym prawdziwym problemem może być zasuw. Jeśli przypadkiem trafi się na tak zwany bezpieczny zamek i metalową ościeżnicę, od razu może zapomnieć o całej sprawie. Ale zwykły zamek bębnekowy oraz

drewniane drzwi nie powinny stanowić problemu i jeżeli Runę nie przeszkadza odrobina hałasu...

Mając na uwadze odciski palców, założyła gumowe rękawice. Kupiła najmniejszy z dostępnych rozmiarów, ale i tak były na nią za duże i utrudniały jej swobodne ruchy. Wbiła końcówkę śrubokręta między drzwi i futrynę w miejscu, gdzie powinna się znajdować zapadka zamka. Rozejrzała się po korytarzu i mocno ujęła młotek obiema rękami. Uniosła go w górę jak kij baseballowy, przypominając sobie licealne rozgrywki z chłopakami. Jeszcze raz się rozejrzała. Korytarz był pusty. Zamachnęła się z całej siły, celując młotkiem w uchwyt śrubokręta.

Oczywiście chybiła, zupełnie jak w czasach liceum. Rękawiczki zsunęły jej się z dłoni, a młotek o włos minął końcówkę śrubokręta i z hukiem wystrzału przebił cienką dyktę drzwi.

— Cholera jasna!

Szarpnęła młotek, który utkwił w drzwiach; kawałek strzaskanej dytki zaskrzypiał, ułamał się i upadł na podłogę.

Runę zrobiła krok do tyłu i jeszcze raz się zamachnęła; w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że w wybitej w drzwiach dziurze swobodnie zmieści się jej ręka. Sięgnęła do środka, odszukała zamek oraz zasuwę i zdołała ją odsunąć. Następnie pchnęła drzwi, weszła do środka i szybko zamknęła je za sobą.

I stanęła jak wryta.

A to dranie!

Mieszkanie wyglądało jak po przejściu huraganu. Albo jakby wybuchła w nim bomba. Cholerne gliny! Wszystkie książki leżały na podłodze, każda szuflada została wysunięta, przez rozciętą tapicerkę wylewały się wybebeszone wnętrza kanapy. Kartony były poprzewracane, a ubrania porzucane po całym pokoju. Jedyne wolne skrawki podłogi w tym całym bałaganie: miejsce pod lampą, tuż obok fotela pana Kell/ego, na którego obiciu wciąż widniała makabryczna, ciemna plama. Z dziur w tapicerce poszatowanego przez kule oparcia sterczały

brązowe kłaczki. Ktokolwiek przetrząsał pokój, musiał właśnie tutaj stać — a może nawet siedzieć w zakrwawionym fotelu! — i przeglądać w świetle lampy kolejne rzeczy, zanim cisnął je na podłogę.

Cholerni dranie.

Pierwszą myślą Rune było: „Jak gliny mogły zrobić coś takiego?”. Była gotowa złapać taksówkę, pognać prosto na komisariat i zrobić karczemną awanturę Virgilowi Manelliemu, temu zezowatemu sukinsynowi. Zaraz jednak przypomniała sobie porządek na jego biurku, schludną fryzurę i jego starannie przystrzyżone wąsy i doszła do wniosku, że to musiał być ktoś inny. Przez otwarte okno dostrzegła zewnątrz schody ewakuacyjne. Każdy mógł się tutaj dostać. Jej się przecież udało.

Tyle że tym razem to też na pewno nie byli narkomani: magnetowid i budzik z radiem stały tam, gdzie wcześniej.

Kto w takim razie tu był? I czego szukał?

Godzinę zajęło jej przekopanie się przez doczesny dobytek pana Kelly'ego. Obejrzała wszystko — to znaczy *prawie* wszystko. Nie tknęła ubrań; nawet w gumowych rękawiczkach bała się ich dotykać. Całą resztę uważnie przestudiowała: książki, listy, ledwo zaczęty dziennik

— raptem trzy wpisy z ubiegłego roku, z których nie dowiedziała się niczego nowego poza tym, jaka była pogoda i jak akurat czuła się siostra zmarłego — kartony z jedzeniem, w których buszowały już bezczelne karaluchy, rachunki, recepty, zdjęcia i pudełka po butach.

Podczas tych poszukiwań udało jej się całkiem sporo dowiedzieć o niejakim Robercie Kellym.

Urodził się w 1915 roku w Cape Girardeau w stanie Missouri. Do Nowego Jorku przyjechał w 1935. Później przeniósł się do Kalifornii, zgłosił na ochotnika do lotnictwa i służył w dziewiątej eskadrze sił powietrznych jako sierżant sztabowy. W kilku Ustach (zaadresowanych do „najdroższej siostry” i „ukochanej matki”; już na widok samych nagłówek Rune wzruszyła się do łez) pan Kelly pisał o bombach ład-

wanych do A-20 i nocnych nalotach na okupowaną Francję i Niemcy. Przyznawał, że zdarza mu się stawiać kredą swój podpis na dwustukilogramowych bombach; był dumny ze swojego udziału w zwycięskiej wojnie.

Znalazła też jego zdjęcia z kabaretowych występów dla wojska organizowanych w miejscu o nazwie East Anglia. Pan Kelly miał na nich smutną twarz objazdowego komika.

Po wojnie w jego życiu następowała pięcioletnia luka. Nie wiadomo, co robił między 1945 a 1950 rokiem.

W 1952 ożenił się w Los Angeles i zaczął pracować jako komiwojażer. Przez pewien czas sprzedawał ubezpieczenia, potem jakieś maszyny drukarskie. Dziesięć lat temu zmarła mu żona. Wyglądało na to, że nie mieli dzieci. Był za to blisko związany ze swoją siostrą. Po przejściu na wcześniejszą emeryturę wylądował z powrotem w Nowym Jorku.

Większość odkryć stanowiły zwykłe biograficzne fakty. Jednak parę rzeczy nie dawało Rune spokoju.

Pierwszą była fotografia przedstawiająca pana Kelly'ego z siostrą

— na odwrocie były ich imiona — zrobiona przed pięcioma laty. Pan Kelly wyglądał dokładnie tak samo jak tydzień temu. Rune przyszło do głowy, że musiał wcześniej się zestarzeć, tak jak jej ojciec, a potem na wiele lat czas się dla niego zatrzymał. Tym, co ją zastanowiło, był fakt, że ktoś podarł zdjęcie na kawałki. Pan Kelly nie mógł tego zrobić, jako że jeden ze strzępów leżał na zaschniętej plamie krwi. Musieli je zatem podrzeć włamywacze.

Drugą rzeczą, która zwróciła jej uwagę, był stary wycinek z gazety, wsunięty jako zakładka w sfatygowany egzemplarz powieści Daphne du Maurier. Był to artykuł z „New York Journal American” z roku 1948, a jego tytuł brzmiał: „Prawdziwa historia rabunku w Gotham nareszcie opowiedziana w filmie”. Wiele linijek było popodkreślanych, a na marginesach ktoś powstawiał odnośniki w formie gwiazdek.

„Widzowie filmu *Śmierć na Manhattanie* wyświetlanego obecnie przy Czterdziestej Drugiej Ulicy rozpoznają na ekranie bohaterów historii najsłynniejszego nowojorskiego..

Na korytarzu rozległy się kroki. Runę poderwała głowę. Ktoś minął drzwi, nieznacznie przy tym zwalniając. Tak jej się przynajmniej wydawało. Poczowała chłodne igiełki paniki wzdłuż kręgosłupa. Uświadomiła sobie, gdzie jest i co robi. Przypomniała też sobie ostrzeżenie Manelliego, żeby nie ważyła się tu przychodzić.

I to, że morderca wciąż pozostawał na wolności...

Pora się zmywać.

Schowała wycinek do torby i wstała. Spojrzała na drzwi, potem na okno i uznała, że zawodowiec wybrałby schody ewakuacyjne. Podeszła do okna i szybkim ruchem odsunęła zasłonę.

Jezu Chryste!

Runę cofnęła się gwałtownie. Pół metra od siebie zobaczyła twarz mężczyzny stojącego na podeście zewnętrznych schodów. Aż wrzasnęła ze strachu.

Nie był to jęk, ani nawet krzyk, ale autentyczny, jeżący włos na głowie wrzask. Facet też nie na żarty się przeraził. Musiał stać za oknem, usiłując ostrożnie zajrzeć do środka. Teraz sparaliżowany strachem zaczął się wolno cofać, stopień za stopniem pokonując tyłem schody wiodące na górę. Po chwili odwrócił się i ruszył biegiem na drugie piętro.

Runę oceniła go na sześćdziesiąt kilka lat. Łysiał, a jego grubo ciosana twarz była ospowata, o szarej, nieświeżej cerze. Jeśli miałyby być szczerą, nie wyglądał na tyle przerażająco, żeby trzeba było od razu tak wrzeszczeć.

Mimo to szok i zaskoczenie były tak ogromne, że serce wciąż waliło jej w piersiach, a nogi były jak z waty. Zebrała się w sobie i ostrożnie wystawiła głowę za okno.

Mrużąc oczy, obserwowała uciekającego intruza — napięty jak bęben brzuch podskakiwał nad tęgimi, szybko przebierającymi nogami. Osobnik wkrótce zniknął w oknie znajdującym się dokładnie nad mieszkaniem pana Kelly'ego. Po chwili usłyszała nad głową ciężkie, szybkie kroki. Piętro wyżej trzasnęły drzwi.

Runę zawahała się, podeszła do drzwi, przyklękła i wyjrzała przez szczelinę na korytarz. Po schodach ktoś schodził; zobaczyła zdarte buty, workowate spodnie grubasa, przyciasną w ramionach marynarkę. Na koniec ukazała się grubo ciosana, ospowata twarz częściowo ukryta pod rondem brązowego kapelusza.

Tak, to był on, mężczyzna z za okna. Szedł bardzo cicho, najwyraźniej chciał przemknąć się niezauważony.

Wychodzi. Dzięki ci, Boże...

Jego twarz miała teraz odcień gotowanej wieprzowiny, na czole błyszczał pot.

...dzięki, dzięki, dzięki...

Na piętrze mężczyzna przystanął i długo wpatrywał się w drzwi mieszkania pana Kelly'ego. **Tylko** spokojnie. Na pewno myśli, że już sobie poszłam. Nie będzie próbował dostać się do środka.

Dzięki...

Mężczyzna zrobił krok naprzód. O nie... Runę uspokajała się w duchu, że nic jej nie grozi. Gość z pewnością podejrzewa, że kiedy on był na górze, ona wyszła przez okno, zbiegła na dół po schodach ewakuacyjnych i znikła w uliczce na tyłach budynku.

...ci Boże.

Kolejny krok. Czujny jak Don Johnson podkradający się do gangu handlarzy narkotyków w „Policjantach z Miami” mężczyzna zatrzymał się jakieś pół metra od drzwi.

Runę bała się przesunąć zasuwę czy choćby założyć łańcuch; była przekonana, że tamten ją usłyszy. Przycisnęła dłonie do drzwi i zaparła się z całej siły. Mężczyzna podszedł bliżej i znowu przystanął, zaledwie kilka centymetrów od niej. Teraz chroniła ją przed nim tylko cienka dykta, którą własnoręcznie przebiła młotkiem. Drobne ramiona Runę drżały, mocno oparte o drzwi.

Dokładnie w tym samym momencie z kieszeni wysunął jej się śrubokręt. Przerazona, jakby w zwolnionym tempie obserwowała jego upadek. Scena zupełnie jak z filmu Briana DePalmy. Wyciągnęła rękę po spadający śrubokręt, pochwyciła go niezgrabnie, śrubokręt wysliznął jej się z palców... *O nie!*

Błyskawicznie sięgnęła w dół i zdołała złapać śrubokręt dosłownie dwa centymetry nad dębowymi deskami podłogi.

Dzięki ci, Panie...

Runę zastygła ze śrubokrętem w dłoni, nieruchoma jak w tej grze, w którą bawiła się jako dziecko, i czujnie nasłuchiwała zza drzwi ciężkiego oddechu tamtego. Cisza.

Przecież on *musi* wiedzieć, że już mnie tu nie ma. Po prostu *musi!*

Włożyła śrubokręt z powrotem do kieszeni. Jej przedramię otarło się przy tym o metalową końcówkę młotka, który tkwił dotąd bezpiecznie wsunięty za pasek jej spodni. Młotek spadł prosto na podłogę, odbijając się dwukrotnie z głuchym stukotem od drewnianych desek.

— Psiakrew! — zaklęła szeptem Rune. Wspierając stopy o przeciwną ścianę, oparła się całym ciężarem ciała o drzwi i przechyliwszy w bok głowę, czekała na pięść, która za chwilę — była tego pewna — z impetem przebije cienką dyktę, a palce intruza zaczną szukać jej włosów, jej oczu. Zginie tak samo jak Robert Kelly. Wszystko rozegra się w ciągu kilku minut, kilku sekund i Rune rozstanie się z życiem.

A może jednak...? Tak. Intruz odwrócił się nagle i zbiegł na dół po schodach.

Chwilę to potrwało, zanim Rune doszła do siebie. Zapatrzona w swe drżące dłonie odtwarzała w myślach scenę z oglądanego niedawno filmu, którego nastoletnia bohaterka zdołała wyrwać się z rąk mordercy i skamieniała ze strachu takim samym zbaraniałym wzrokiem wpatrywała się w swoje trzęsące się ręce. Wtedy Rune pogardliwym prychnięciem skwitowała tak banalne zachowanie, teraz jednak nie wydawało jej się ono już tak banalne. Dłonie drżały jej tak bardzo, że z trudem otworzyła drzwi. Ostrożnie wyjrzała na korytarz, nasłuchując odgłosów rozmów. Gdzieś w oddali hałasował telewizor i pokrzykiwały dzieci.

Cały czas zadawała sobie te same pytania. Dlaczego uciekł? Kim był? Jeszcze jednym świadkiem? Wspólnikiem mordercy?

Samym mordercą?

Każdy miesiąc jej drobnego ciała drżał ze zdenerwowania. Szybkim krokiem podeszła do drzwi spalarni, pochwyciła z ziemi siatki z pieluchami i zaczęła pośpiesznie schodzić na dół. Na półpiętrze dwie pogrążone w rozmowie kobiety skinęły jej z roztargnieniem na powitanie.

Rune minęła je, wbijając wzrok w podłogę. Zaraz jednak przystała i poirytowanym tonem rzuciła w przestrzeń: — Co się z tymi ludźmi porobiło? Już wcale nie potrafią się zachować...

Kobiety popatrzyły na nią z uprzejmym zainteresowaniem.

— Facet, który przed chwilą tędy schodził, prawie mnie przewrócił.

— Mnie też potracił — podjęła ochoczo jedna z kobiet. Siwe włosy miała nawinięte na różowe lokówki.

— Co to za jeden? — zainteresowała się Rune. Wielce zasapana oparła się o poręcz.

— Pan Symington spod numeru 3B. To wariat. — Kobieta nie wdawała się w szczegóły.

A więc mieszkał tutaj! To by znaczyło, że prawdopodobnie nie był mordercą, już prędzej świadkiem.

— Właśnie — dodała jej znajoma. — Wprowadził się w zeszłym miesiącu.

— Jak ma na imię?

— Chyba Victor. Albo jakoś tak. Nikomu nie mówi dzień dobry.

— I dobrze — zaciętrzewiła się ta w lokówkach. — Z takim typem to w ogóle szkoda gadać.

— No, nie wiem — odparta urażonym tonem Rune. — *Ja* miałabym mu parę słów do powiedzenia.

Kobieta w lokówkach wskazała na siatkę z jednorazowymi pieluchami. — Najwspanialszy wynalazek na świecie.

— Zaraz po telewizorze — podkreśliła jej znajoma.

— Święte słowa — przytaknęła Rune i ruszyła na dół po schodach.

Na rogu wpadła na Amandę.

— Popatrz tylko — oznajmiła kobieta. Wraciała właśnie ze sklepu, gdzie nabyła ramkę do zdjęć z fałszywego srebra, w którą opравиła fotografię przedstawiającą ją samą w towarzystwie pana Kelly ego. Była Gwiazdka, a oni stali przy mizernej choineczce przystrojonej łańcuchem

i kilkoma światełkami. Na szkle wciąż widoczny był ślad po zdartej nalepce z ceną.

— Bardzo ładnie — pochwaliła Rune i po raz kolejny się rozplakała.

— Masz dzieci? — Amanda obrzuciła wzrokiem wypchane pieluchami siatki.

— Długo by opowiadać. Przydadzą się pani?

Amanda zaśmiała się cicho. — Minęło wiele lat od czasu, kiedy ich potrzebowałam.

Rune wyrzuciła pieluchy do śmietnika. — Mam jedno pytanie. Co pani wie o niejakim Victorze Symingtonie?

— Tym z góry?

— Właśnie.

Amanda wzruszyła ramionami. — Niewiele. Mieszka tu od jakichś sześciu tygodni. A może od miesiąca. Z nikim się nie wita, do nikogo nie zagaduje. Nie przepadam za nim. Bo niby dlaczego nie mówić ludziom dzień dobry? Co w tym trudnego? No, sama powiedz.

— Mówiła pani, że pan Kelly niechętnie opowiadał o sobie...

— Bo tak było.

— Nigdy nie wspominał o napadzie na bank? Albo o filmie „Śmierć na Manhattanie”?

— A wiesz, że chyba opowiadał mi kiedyś o jakimś filmie. Nawet parę razy. Bardzo się cieszył, że go wreszcie znalazł. Ale nigdy nie mówił o żadnym napadzie.

— Urządzi mu pani pogrzeb? Na policji powiedzieli, że chce go pani pochować.

Kobieta skinęła głową. Rune pomyślała: „O takich jak ona mówi się *przystojne* Amanda nie była piękną, ale nie wyglądała na swoje lata i

można ją było uznać za atrakcyjną. — Nie miał nikogo bliskiego — odpowiedziała. — Mój znajomy kosi trawę na cmentarzu Forest Lawn. Może uda mi się z nim dogadać, żeby pochowali tam pana Kelly'ego. To ładne miejsce. Oczywiście, o ile mnie nie odeślą ze Stanów. Ale czarno to widzę.

— Niech się pani tak szybko nie poddaje — szepnęła jej Rune.

— Jak to?

— Wydaje mi się, że pan Kelly liczył na spory przyływ gotówki.

— On? — Amanda wybuchnęła śmiechem. — Nigdy nic o tym nie wspominał.

— Nie mam pewności, ale chyba się nie mylę. I podejrzewam, że ten Symington wie coś na ten temat. Da mi pani znać, jak go pani znowu zobaczy? Tylko proszę mu o niczym nie mówić... — Podła kobiecie numer telefonu wypożyczalni. — Niech pani zadzwoni do mnie do

pracy.

— Dobrze, dobrze. Zadzwonię.

Rune dostrzegła na jej twarzy cień sceptycyzmu.

— Nie wierzy mi pani, prawda? — zapytała.

Amanda ponownie wzruszyła ramionami. — W to, że pan Kelly miał zdobyć jakieś pieniądze? — Znow się roześmiała. — Nie, nie wierzę. Ale gdybyś je znalazła, Rune, od razu daj mi znać. — Popatrzyła ze smutkiem na zdjęcie. — Koniecznie.

Dawno, dawno temu...

Rune maszerowała na zachód w kierunku Alei A, rozglądając się za Symingtonem. Ani śladu gościa.

Upał był nie do zniesienia. Miejski skwar, lepki, wilgotny. Nie miała ochoty się spieszyć, ale nie uśmiechała jej się też kolejna słowna

utarczka z Tonym. Ostatecznie więc złamała jedną ze swoich świętych zasad i przyspieszyła kroku, żeby zdążyć na czas do pracy.

Dawno, dawno temu, w wielkim i potężnym królestwie pełnym cudów żyła sobie księżniczka. Naprawdę mała księżniczka, której nikt nie traktował serio...

Rune szła chodnikiem i czuła, że ogarnia ją rosnące podniecenie. Właśnie spotkała na swojej drodze pierwszego czarnego rycerza — ospowatego sześćdziesięciolatka w brzydkim, brązowym kapeluszu — i zdołała wyjść cało ze śmiertelnej potyczki.

Księżniczka była śliczna, chociaż za niska, żeby zrobić karierę jako modelka. A byłaby jeszcze piękniejsza, gdyby tylko odrosły jej włosy. Pewnego dnia strasznie się zasmuciła, bo jakiś okrutny smok zabił dobrego staruszka i wykradł mu jego skarb. Tajemniczy skarb, którym staruszek obiecał podzielić się z księżniczką i który mógł ocalić ich wspólną znajomą dręczoną przez ohydne gnomy z urzędu imigracyjnego...

Trzecia Aleja. Broadway. University Place.

Tak więc piękna księżniczka wyruszyła na poszukiwanie smoka. Znalazła go i zabiła, albo przynajmniej skopała mu tyłek tak, że przez kolejne dwadzieścia pięć do trzydziestu lat nie wyjrzał z pierdła. Potem odzyskała ukryte złoto, podzieliła się nim równo ze swoją nową znajomą i każda zarobiła na tym okrągłe pół miliona.

Rune pchnęła drzwi wypożyczalni. Tony już brał głęboki wdech, żeby zapytać, gdzie się u diabła podziewała, ale go uprzedziła.

— Przepraszam. — Uniosła dłonie obronnym gestem. — Miałam fatalny ranek.

Stanąła za ladą i zaczęła się logować do komputera z takim pośpiechem, że nie zauważyła po przeciwnej stronie ulicy młodego mężczyzny. Ochrzczony przez nią w myślach Lalusiem facet, wcześniej występujący w stroju inkasenta, rozsiadł się wygodnie przy kawiarnianym stoliku i nadal uważnie ją obserwował, tak jak robił to już wcześniej,

kiedy szedł za nią krok w krok od Dziesiątej Ulicy, od budynku, w którym zastrzelili staruszkę.

Rune zgarnęła z lady narecze kaset i zaczęła układać je na półkach. Myślała przy tym:

A potem księżniczka żyła długo i szczęśliwie...

9

Zadzwoiła do Susan Edelman.

Amatorka joggingu w różowym dresie, potrącona przez samochód w uliczce na tyłach kamienicy, w której mieszkał pan Kelly, nie mogła długo rozmawiać. Sprawiała wrażenie półprzytomnej. — Jutro... hm... Jutro chyba mnie wypuszczą. Mogłabyś wtedy... hm... do mnie zadzwonić?

Podawała Rune swój numer telefonu, ale było w nim tylko sześć cyfr; spróbowała zatem ponownie, ale tym razem zapomniała ostatnich czterech.

Fantastyczny świadek, pomyślała kwaśno Rune.

— Znajdę w książce telefonicznej — uspokoiła ją. — Chyba że to zastrzeżony numer?

— Hm... nie...

— To szybkiego powrotu do zdrowia.

— Potrącił mnie samochód — oznajmiła nagle Susan, jakby Rune o tym nie wiedziała.

Odłożyła na miejsce jeszcze kilka kaset, a gdy tylko Tony wyszedł, oświadczyła Frankiemu, że idzie na kawę, i wybiegła z wypożyczalni.

Rozejrzała się po ulicy. Wydało jej się, że widzi znajomą postać — młodego mężczyznę z ciemnymi, kręconymi włosami — ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna. Stał tyłem do niej. W jego postawie,

muskularnej budowie ciała było coś znajomego. Już go gdzieś widziała, tylko gdzie?

Gdzie?!

Ale niemal w tej samej chwili tamten zniknął w drzwiach delikatesów i Rune natychmiast o nim zapomniała. Tak to już było w Greenwich Village; człowiek na każdym kroku napotykał te same osoby. Ludziom wydaje się, że Nowy Jork to wielkie miasto, ale to nieprawda — to tylko zbiorowisko małych miasteczek. Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i po dwudziestu minutach wchodziła do gmachu miejskiej biblioteki publicznej.

Książki dotyczące ogólnej historii metropolii — a były ich setki — nie na wiele jej się przydały. Historia nowojorskich *przestępstw...* to już była inna para kaloszy. Runę dowiedziała się na przykład, że na Manhattanie zdarzało się więcej napadów na banki na kilometr kwadratowy niż w jakimkolwiek innym amerykańskim mieście, a większość miała miejsce w piątek. Tradycyjny dzień wypłaty. W obliczu tych statystyk skokowi na Union Bank nie poświęcono zbyt wiele miejsca. Runę zdołała wyszperać zaledwie kilka wzmianek o tej historii. Najobszerniejsza była w książce o mafii, której autor stwierdzał jedynie, że Rodzina raczej nie była w ów napad zaangażowana.

Bardziej pomocne okazały się gazety, chociaż i one nie poświęciły napadowi wiele uwagi, jako że dzień, w którym miał on miejsce, nie był zwykłym dniem. W tym samym czasie, gdy bohaterski policjant targował się z rabusiami o życie zakładnika, cała reszta świata z zapartym tchem śledziła skandal związany z abdykacją króla Edwarda, której szczegóły zapełniały większe i mniejsze rubryki nowojorskich wydań. Runę nie mogła się powstrzymać, żeby nie przeczytać kilku artykułów na ten temat, i szybko doszła do wniosku, że to najbardziej romantyczna historia, o jakiej kiedykolwiek słyszała. Uważnie przyjrzała się fotografii pani Simpson.

Czy ktokolwiek zrezygnowałby *dla mnie* z korony?

Na przykład Richard?

Nie potrafiła znaleźć zadowalającej odpowiedzi na to pytanie, więc wróciła do artykułów opisujących skok na Union Bank.

Po całej akcji i strzelaninie jeden z przestępców wylądował w kostnicy, a po milionie dolarów wszelki ślad zagał. Początkowo nikt nie zdawał się tym zbytnio przejmować; zakładnik był bezpieczny, a posterunkowy Samuel Davies został bohaterem. Ogólną radość psuła tylko wątpliwość co do tego, w jaki sposób rabuś zdołał przekazać walizkę z pieniędzmi współnikowi na zewnątrz banku, zanim jeszcze Davies zaczął z nim negocjować.

Podejrzewa się, że współnik zabitego przestępcy wy dostał się ukradkiem z banku i korzystając z zamieszania, zbiegł z łupem, w chwili gdy posterunkowy Davies bohatersko wkraczał do środka.

Miesiąc później gazety znalazły już odpowiedź na pytanie, co się stało z pieniędzmi, a ton artykułów uległ diametralnej zmianie.

Bohaterski policjant skazany za kradzież w sprawie o napad na Union Bank. Chłopiec przyznaje się do ukrycia łupu w domu matki. »Wstyd i hańba" — mówi komisarz.

Siedząc przy olbrzymim dębowym stole, Rune czuła, że na samą myśl o młodym policjancie ścisła ją w żołądku. Śledztwo wykazało, że po jego namowach rabuś zgodził się, aby posterunkowy zamienił się miejscami z zakładnikiem, który w te pędy uciekł z banku. Następnie Davies zdołał przekonać złodzieja, aby ten oddał mu rewolwer.

Tb, co się wydarzyło potem, pozostawało w sferze domysłów. Davies z uporem utrzymywał, że przestępca nieoczekiwanie zmienił zdanie i rzucił się na niego. Wywiązała się szamotanina. Rabuś przewrócił policjanta i chwycił za broń. Davies próbował mu ją odebrać. Podczas walki rewolwer wypalił i napastnik zginął.

Jednocześnie młody pucybut zeznał, że kiedy z ukrycia obserwował bank, ciekaw, co też się tam dzieje, w pewnej chwili zobaczył otwierające się tuż obok drzwi i ujrzał wyglądającego na zewnątrz mężczyznę. Był to policjant Davies.

Tak jest, mogę potwierdzić, że to był on. Wyglądał tak samo jak ten człowiek, Wysoki Sądzie, tyle że wtedy miał na sobie mundur.

Policjant spytał chłopca, gdzie mieszka, a następnie podał mu walizkę i kazał ją zanieść prosto do domu.

Powiedział... zagroził mi, że jeśli ją otworzę albo powiem komuś o tym, co widziałem, pošle mnie do poprawczaka, gdzie codziennie będą mnie tłuc na kwaśne jabłko. Dlatego zrobiłem to, co mi kazał, Wysoki Sądzie.

Davies wszystkiemu zaprzeczył; twierdził, że nie zastrzelił celowo rabusia, nie ukraść pieniędzy, nie włamał się do domu małego pucybuta na Brooklynie i nie zabrał walizki, której następnie nie ukrył w sobie jedynie znanym miejscu. Gazety donosiły, że ze łzami w oczach odpierał zarzuty, nie przekonał jednak ławy przysięgłych, która wydała surowy wyrok: od pięciu do piętnastu lat więzienia. Towarzystwo Dobroczynne Posterunkowych z uporem utrzymywało, że Davies został wrobiony, i domagało się dla niego ułaskawienia. Z wyroku odsiedział siedem lat.

Zwolnienie z więzienia nie położyło kresu kontrowersjom dotyczącym jego osoby. Dwa dni po opuszczeniu słynnego zakładu karnego Sing Sing w Ossining w stanie Nowy Jork w 1942 roku Davies zginął zastrzelony na rogu Piątej Alei i Dziewiątej Ulicy, tuż przed gotyckim gmachem hotelu Fifth Avenue. Nie wiadomo, kto stał za tą zbrodnią, która wyglądała na robotę zawodowca. Skradzionych pieniędzy nigdy nie odnaleziono.

Później całymi latami gazety milczały na temat napadu, aż do tamtej krótkiej wzmianki o filmie „Śmierć na Manhattanie” — wycinka znalezionej przez Rune w mieszkaniu pana Kelly'ego.

Do jej bibliotecznego stolika przysiadł się bezdomny. Rune pociągnęła nosem, wyczuwając w powietrzu ciągnący się za nim odór. Jak większość degeneratów jednocześnie przerażał i budził litość. Szepcząc do siebie, zaczął coś notować na wymiętym kawałku papieru. Rune nigdy jeszcze nie widziała, żeby ktoś stawiał tak mikroskopijne litery.

Jeden z zegarków zdobiących jej nadgarstek najwyraźniej się przebudził. Zerknęła na niego. O cholera! Już po drugiej. Jej dziesięciminutowa przerwa przeciągnęła się do ponad dwóch godzin. Tony mógł już wrócić do wypożyczalni. Złapała taksówkę i podała kierowcy adres w Village, ale pod wpływem nagłego impulsu poprosiła go, żeby zatrzymał się przy Piątej Alei pod numerem 24, w miejscu, gdzie stał niegdyś hotel Fifth Avenue. Spacerowała tam i z powrotem, zastanawiając się, gdzie dokładnie znajdował się Samuel Davies, kiedy dosięgła go zdradziecka kula — co robił, o czym myślał w chwili śmierci? Czy zdążył zobaczyć wycelowaną w siebie czarną lufę?

Stopniowo zataczała coraz większe kręgi, zanurzając się w tłum przechodniów, aż wreszcie policjant — prawdziwy gliniarz z nowojorskiej drogówki — który stał dotąd wygodnie oparty o swój wóz patrolowy, uznał to zachowanie za podejrzané i ruszył wolno w jej stronę. Rune natychmiast skupiła całą swoją uwagę na karcie dań w oknie ekskluzywnej restauracji na rogu; zmarszczyła nos, pokręciła głową, a następnie odeszła niespiesznie w kierunku University Place.

Gliniarz natychmiast przestał się nią interesować.

W wypożyczalni Tony już na nią czekał. Wygłosił dwuminutowy wykład na temat punktualności, podczas którego Rune robiła wszystko, żeby wyglądać na skruszoną.

— I co teraz powiesz? — gderał Tony. — Myślałaś, że wyszedłem na cały dzień, hę?

Jakbyś zwykle tego nie robił, pomyślała. Ale głośno powiedziała: — Przepraszam, przepraszam, przepraszam! To się już więcej nie powtórzy. Przyrzekam.

— *Wiem.* To twoja ostatnia szansa. Jeszcze jedno spóźnienie i wylatujesz z roboty. Na twoje miejsce czeka kolejka chętnych.

— Kolejka? — Rune wyjrzała za drzwi. — A niby gdzie, Tony? Chyba że tam z tyłu, od zaplecza. — W duchu przywołała się zaraz do porządku i zrobiła skruszoną minkę. — Wybacz. Żartowałam.

Tony rzucił jej gniewne spojrzenie i podał różowy świstek z zanotowaną na nim wiadomością. — I jeszcze jedno. To nie centrala telefoniczna. A teraz leć po kawę i postaraj się być dla mnie miła.

— Już się robi — odparła radośnie. Na co Tony przyjrzał jej się ze zdziwieniem.

Wiadomość była od Richarda i brzmiała: *Potwierdzam naszą „randkę”*. Spodobało jej się, że użył cudzysłowu. Złożyła różową karteczkę i schowała do kieszeni koszuli.

— Trzymaj — mruknął Tony, wręczając jej drobne na kawę.

— Nie trzeba. — Uśmiechnęła się. — Ja stawiam.

Tony do reszty zbaraniał.

Więc jesteś z Ohio?

Właśnie wybiła ósma wieczorem. Siedzieli w królestwie Runę pod szklaną kopułą i słuchali kanonu Pachelbela. Runę miała aż osiem różnych nagrań tego utworu. Zawsze go lubiła, nawet jeszcze zanim stał się równie popularny jak „Greensleeves” czy „Simple Gifts”.

Richard dodał: — Nie znam nikogo, kto by stamtąd pochodził.

Runę miała na sobie czarny podkoszulek z krótkimi rękawami, obcisłe czarne spodnie i czerwono-białe, prążkowane skarpetki. Ubierając się w ten sposób, chciała nawiązać do wyglądu Richarda z poprzedniego wieczoru. On jednak stawił się tym razem na spotkanie w workowatych

szarych spodniach, modnych sportowych butach i roboczej beżowej koszuli pracownika stacji benzynowej, z imieniem „Ralph” wyhaftowanym na kieszonce.

Ten facet był uosobieniem wielkowiejskiego szyku. Runę już go uwielbiała.

Zanuciła: — „Co po bokach okrągłe jest, a pośrodku uderza w śmiech? No zgadnij co? O-HI-O!” Lepiej żeby Rodgers i Hammer-stein napisali o nas musical zamiast o Oklahomie...

— Ohio — powtórzył z namysłem Richard. — Tak, coś w tym jest. Solidność, zaufanie. Klasa robotnicza. To w pewnym sensie metafora. Byłaś tam, a teraz jesteś — zatoczył ręką krąg — tutaj.

— Ohio jest w porządku — zaprotestowała.

— Nie miałem niczego złego na myśli. Ciekawi mnie tylko, dlaczego wybrałaś akurat Nowy Jork, a nie Chicago czy Los Angeles. Z powodu pracy?

— Nie.

— Już wiem. Na pewno chodziło o chłopaka.

— Pudło.

— Nie bałaś się całkiem sama zamieszkać na Manhattanie?

— Na prawdziwą wyprawę *trzeba* się wybrać samotnie. Pamiętasz „Władcę pierścieni?”

— Piąte przez dziesiąte. Przypomnisz mi?

— Piąte przez dziesiąte?! Jak możesz nie pamiętać najlepszej książki wszech czasów? Na początku na wyprawę wyrusza ich cała paczka, hobbici razem ze swoimi kumplami, ale koniec końców to Fro- do musi stanąć nad ognistą otchłanią, żeby zniszczyć pierścień na Górze Przeznaczenia. Sam jeden, samiuteńki!

— Okej. — Richard pokiwał głową niepewny, jak to się wszystko ma do ich rozmowy. — Ale dlaczego akurat Manhattan?

— Popołudnia rzadko spędzałam w domu — wyjaśniła. — To znaczy zaraz po szkole. Mój tato poważnie chorował, więc mama wysyłała nas z siostrą na dwór, żebyśmy się pobawiły. Ona miała swoich chłopaków, a ja swoje książki.

— Książki?

— Stale przesiadywałam w bibliotece publicznej w Shaker Heights. Był tam taki album ze zdjęciami Manhattanu. Jak tylko go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że muszę tutaj przyjechać. — Po chwili zapytała: — A jak to było z tobą?

— Spodobało mi się, co o mieście pisał Rimbaud.

— Aha. — Momencik. *Widziała* ten film, był beznadziejny, ale nie wiedziała, że „Rambo” wyszedł też jako książka. Przed oczami stanęła jej wycięta z kartonu postać naturalnych rozmiarów, stojąca dumnie w ich wypożyczalni — napakowany Sylvester Stallone w tej swojej kretyńskiej opasce na czole. — Nie przypominam sobie.

— Nie pamiętasz jego wiersza o Paryżu?

Wiersz? Jaki znowu wiersz?! — Chyba nie.

— Rimbaud napisał, że miasto jest jak śmierć bez łez, pracowita córka i służąca, zrozpaczona kochanka i drobna złodziejka zawodząca w błocie ulicy.

Rune milczała. Ze wszystkich sił starała się rozgryźć Richarda. Wielkomijski dandys, a przy tym jeszcze *inteligentny*. Nigdy nie znała nikogo takiego jak on. Obserwowała jego oczy, jego smukłe palce odprawiające skomplikowany rytuał wyplątywania puszki piwa z plastikowych uchwytów sześciopaka, stukające w wieczko, żeby piana opadła, powoli podważające zawleczkę, żeby otworzyć puszkę. Patrzyła na jego szczupłe nogi, długie stopy, badała barwę jego tęczówek. Miała wrażenie, że to tylko fasada, która skrywa coś więcej. Tylko co?

I dlaczego *aż tak* ją do niego ciągnie? Czy dlatego, że jest w nim coś, czego do końca nie pojmuję?

Z powodu tej tajemnicy?

Richard pierwszy przerwał milczenie. — Cały czas unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Dlaczego tutaj przyjechałaś?

— Bo tu jest moje zaklęte królestwo.

— Nie odniosłaś się do metafory Rimbauda.

Nie odniosłaś się? Czy on nie mógłby mówić normalnie?

— A kojarzysz coś z serii „Czarnoksiężnik z krainy Oz”? — zapytała.

— *Follow the yellow brick road...* — *zaśpiewał piskliwie.*

— To piosenka z filmu. Ale Frank Baum, autor oryginalnej powieści, napisał potem jeszcze kilka części. W jego czarodziejskim królestwie Oz było wiele krain, każda inna. W jednej mieszkali ludzie z porcelany, a w innej dyniogłowi. Jeszcze gdzieś indziej mieszkańcy jeździli na koziołkach do piłowania drewna. Tak samo jest z Nowym Jorkiem. Inne miasta są jak sklepy z przecenionym towarem. No wiesz: czyste, tanie, łatwo dostępne, ale w gruncie rzeczy rozczarowują, ot co. Są zbyt *dostowne*. Brak im magii. A teraz chodź. — Wzięła go za rękę i zaprowadziła do okna. — Co widzisz?

— Budynek Con Edison.

— Gdzie?

— Tam.

— Ja tam nie widzę żadnego budynku. — Runę odwróciła się i spojrzała na niego rozszerzonymi oczami. — Widzę wieżę z marmuru wykutą przez trzy olbrzymy przed tysiącem lat. Założę się, że mieli magiczne narzędzia. Kryształowe młoty i dłuta ze złota i lazurytu. Myślę, że jeden z nich, nie pamiętam już, jak się nazywał, zbudował też zamek, w którym się teraz znajdujemy. Widzisz te światła tam w dole?

Wokół nas? To latarnie przyczepione do rogów wołów o złotej skórze, krążących wokół granic królestwa. A wiesz, skąd się wzięły rzeki? Ich koryta wyłobiły stopy tańczących bogów. Poza tym... tutaj wszędzie są ogromne tunele. Słyszysz czasami spod ziemi takie głucho dudnienie? To gigantyczne dżdżownice prują z prędkością stu kilometrów na godzinę. A kiedy mają już dość życia w ciemnościach, zmieniają się w smoki i wylatują w niebo. — Chwyliła go gwałtownie za ramię. — Patrz, jeden z nich właśnie tu leci!

Richard z kamienną twarzą śledził lot Boeinga 727, który wolno podchodził do lądowania na lotnisku LaGuardia. W milczeniu.

W końcu Runę odezwała się: — Masz mnie za wariatkę, prawda? Dlatego, że wierzę w bajki?

— Nie ma w tym nic złego. Nie musi być.

— Kolekcjonuję je, wiesz?

— Bajki?

Runę podeszła do półki z książkami. Przesunęła palcem po grzbietach prawie pięćdziesięciu książek. Hans Christian Andersen, bracia Grimm, bajki Charlesa Perraulta, stare baśnie francuskie, legenda króla Artura, trzy czy cztery tomy encyklopedii „Człowiek, mit, magia” Cavendisha. Wzięła do ręki jedną z nich. — Oryginalne wydanie „Historii Tuathy Ds Danann i Fianny z Irlandii” pióra Lady Gregory. — Podała mu.

— To coś cennego? — Richard przekartkował wiekowy wolumin swoimi boskimi palcami.

— Dla mnie bardzo.

— I żyli długo i szczęśliwie... — Nieuważnie przebiegł wzrokiem tekst.

— Bajki wcale się tak nie kończą — zaprotestowała Rune. — A w każdym razie nie wszystkie. — Odebrała mu książkę i zaczęła wolno przewracać strony. W pewnej chwili przestała. — Tutaj na przykład

masz opowieść o Diarmuidzie. Był jednym z ludu Fianna, starożytnych strażników Irlandii. Diarmuid pozwolił okropnej starej wiedźmie spędzić noc w swojej chacie, a ona zmieniła się w piękną dziewczynę z czarodziejskiej krainy zwanej Stroną.

— Wszystko to strasznie cukierkowe.

— Ale to jeszcze nie koniec. — Rune odwróciła się twarzą do okna. Za swoim niewyraźnym odbiciem w szybie widziała panoramę miasta. — Diarmuid stracił swoją ukochaną. Oboje musieli być wierni swojej naturze — on nie mógł zamieszkać w Stronie, a ona pozostać na ziemi. Diarmuid powrócił do krainy śmiertelnych. Utracił miłość i nigdy już nikogo nie pokochał, bo do końca życia wspominał swoją ukochaną. Czy to nie smutne?

 Nie wiedzieć czemu przypomniał jej się Robert Kelly.

 I ojciec.

 Poczuła pieczenie pod powiekami.

— Faktycznie masz tu sporo bajek — zauważył Richard, lustrując zawartość półek.

— Uwielbiam je. — Odwróciła się ku niemu. Nie mogła oderwać od niego oczu. Zauważył to i uciekł ze wzrokiem. — Kiedy tu po raz pierwszy przyszedłeś, pomyślałam, że jesteś do niego podobny. Tamtego wieczoru, cały w czerni. Kiedy cię zobaczyłam, zaraz pomyślałam

o Diarmuidzie. Byłeś jak błędny rycerz poszukujący swojego Graala. — Wykrzywiła się. — W towarzystwie dwóch pospolitych dziewczek.

Richard roześmiał się. Po chwili dodał: — Szukałem swojego Graala. Ciebie. — Pocałował ją. — Jesteś moim Świętym Graalem.

Zamknęła oczy i oddała pocałunek. Potem zaproponowała nagle: — Zjedzmy coś.

Na stole leżała deska w kształcie świnki do krojenia pieczywa. Przecięła na pół bochenek żytniego chleba i posmarowała obie strony majonezem. Zauważyła, że Richard bacznie ją obserwuje. — A teraz patrz uważnie. Mówiłam ci, że potrafię gotować.

— To ma być gotowanie?

— Naprawdę uważam, że potrafię gotować. Po prostu zbyt rzadko to robię. Za to mam całe mnóstwo książek kucharskich. — Znowu wskazała mu półkę z książkami. — Dostałam je od mamy, kiedy wyjeżdżałam z domu. Myślę, że chciała dać mi diafragmę, ale w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi, więc wręczyła mi grube tomy Fannie Farmer i Craiga Claiborne'a. Nie mam z nich wielkiego pożytku, bo większość dań trzeba przygotowywać na kuchence.

Otworzyła karton z zimnym chińskim daniem i przełożyła jego zawartość na przekrojony bochenek. Sos z kawałkami zimnej wieprzowiny wyciekał brzegami, kiedy oburącz zagarniała chińszczyznę i rozsmarowywała ją dokładnie między połówkami żytniego chleba.

— Hm — mruknął z powątpiewaniem. — Wygląda ciekawie.

Gdy jednak podała mu kanapkę, zjadł ją ze smakiem. Jak na takiego chudzielca miał całkiem zdrowy apetyt. Wyglądał przy tym *baardzo* francusko. Naprawdę powinien mieć na imię François.

— Powiedz mi — zagadnął. — Spotykasz się z kimś?

— W tej chwili nie.

Ani w tej chwili, ani w żadnej innej od czterech miesięcy i trzech tygodni.

— A połowa moich znajomych się żeni — rzucił. Jeszcze raz powtórzył od początku cały rytuał związany z puszką piwa; smukłe palce wybijające nierówny rytm na wieczku puszki, potem otwierające ją

1 nalewające piwo do szklanki trzymanej pod odpowiednim kątem.

— Niech się żenią — odparła wymijająco.

Do czego to wszystko *zmierza*?

Lecz on znalazł już nowy temat. — Co teraz planujesz?

Odgryzła duży kęs żytniego chleba. — Chyba zjeść kolację.

— Miałem na myśli twoje życiowe cele.

Runę zamrugała powiekami i uciekła w bok spojrzeniem. Mogłaby przysiąc, że jeszcze nigdy w życiu nie zadała sobie takiego pytania. — Nie mam pojęcia. Zjeść kolację. — Prychnęła śmiechem. — Potem zjeść śniadanie. Tańczyć. Pracować. Włóczyć się po mieście... Przeżywać przygody!

Richard nachylił się i pocałował ją w usta. — Smakujesz chińskim majonezem. Chodźmy do łóżka. — Otoczył ją ramionami.

— Nie. — Runę właśnie opróżniała drugą puszkę piwa.

— Na pewno?

Nie...

Tak...

Poczuła, że mocniej ją przytula, ale nie miała pewności, czy to on ją przyciąga, czy też ona sama się do niego przysuwa. Zupełnie jak różdżka w dłoni radiestety. Położył się na niej. Całowali się przez jakieś pięć minut. Podniecenie niczym ciepły strumień obmywało jej łydki i uda.

Nie... tak... nie.

Dylemat rozwiązał się sam, kiedy gdzieś obok nich wesoły głos zawołał: — Już jestem! — Nad podestem schodów ukazała się głowa młodej kobiety. — Wciągaj portki!

Pod trzydziestkę, czarna krótka sukienka i czerwone pończochy. Stała na ostatnim stopniu. Szpilki. Włosy miała krótko obcięte i za-

czesane do góry w stylu lat pięćdziesiątych. Ufarbowane na czarno i fioletowo.

A więc tym razem jej współlokatorce się nie poszczęściło. Niestety.

Runę wymamrotała: — Sandra, Richard, Richard, Sandra.

Sandra przyjrzała mu się uważnie i zwracając się do Runę, rzuciła: — Moje gratulacje. — Po czym zrobiła w tył zwrot i przeszła do swojej części lokalu, po drodze rozpinając sukienkę i ukazując szerokie ramiączko białego stanika.

Runę szepnęła: — Sandra projektuje biżuterię. A przynajmniej chciałaby to robić. W ciągu dnia pracuje jako pomoc w kancelarii adwokackiej. Ale jej prawdziwym hobby jest kolekcjonowanie mężczyzn. Jak dotąd zaliczyła pięćdziesięciu ośmiu. Prowadzi statystykę, naprawdę! Oczywiście doszła tylko dwadzieścia dwa razy, więc ma pewne wątpliwości, co się powinno liczyć, a co nie. W takich sprawach zawodzi klasyczna matematyka.

— Domyślam się.

Richard spojrział w okno, w którego szybie niewyraźnie odbijała się sylwetka Sandry. Stała po drugiej stronie ściany ozdobionej chmurkami i wolno zdejmowała z siebie ubranie. Wiedziała, że jest obserwowana. Jako ostatni zsunęła biustonosz.

Runę roześmiała się, chwyciła Richarda za podbródek i pocałowała go. — Kochanie, nawet o tym nie myśl! Ta kobieta to istna bomba z opóźnionym zapłonem. Pójść z nią do łóżka to jak przespać się z setką nieznajomych, którzy nie wiadomo gdzie się szlajali. Chryste... — Runę ściszyła głos. — Martwię się o nią. Nie lubię jej, ale na moje oko dziewczyna ma instynkty samobójcze. Wystarczy, że jakiś facet na nią spojrzy, a ona już jest jego.

— Istnieją różne zabezpieczenia — zauważył Richard.

Runę pokręciła głową. — Znałam kiedyś takiego jednego, pracował w restauracji, gdzie byłam barmanką. Na moich oczach jego chłopak zachorował i umarł. Niedługo potem musiałam patrzeć, jak mój znajo-

my choruje i umiera. Byłam u niego w szpitalu, widziałam te wszystkie rurki, monitory, igły. Pamiętam kolor jego skóry, wyraz jego oczu, wszystko. Byłam przy nim, kiedy umarł.

Z półmroku wyłoniła się twarz Roberta Kell/ego siedzącego w fotelu.

A zaraz potem twarz jej ojca...

Richard milczał i Runę zorientowała się, że popełniła podstawowy nowojorski grzech: okazała za dużo emocji. Uprzątnęła zatem pozostałości kolacji, cmoknęła Richarda w ucho i powiedziała: — Chodź, obejrzymy film.

— Film? Dlaczego?

— Bo muszę schwytać jednego mordercę.

10

Widziała już „Śmierć na Manhattanie”, ale teraz, oglądając film po raz drugi, czuła się całkiem inaczej.

I nie dlatego, że była „na randce” z Richardem i że leżeli obok siebie u niej na poddaszu, pod oszkloną kopułą, przez którą widać było zamglone gwiazdy nad ich głowami.

Ale dlatego, że gdy oglądała go po raz pierwszy, był to tylko jeszcze jeden kryminal, wypożyczony przez sympatycznego, dziwaczного starszka. Teraz jednak stał się dla niej wlotem króliczej nory, początkiem wspaniałej przygody.

Film był niesamowicie sztuczny, pełen obrazków typowych dla przyciężkiej stylistyki epoki, o której opowiadała Frankiemu Grekowi. Nic, tylko workowate garnitury, wybrylantynowane fryzury i sztywne dialogi. Młody policjant mówił na przykład, kręcąc swoją gumową pałką: „Cóż za wspaniały poranek, droga pani McGrath! A jak tam odciski szanownego małżonka?”

Tym razem jednak Runę nie zwracała uwagi na staroświeckie stroje i archaiczny język. Uderzył ją specyficzny klimat filmu, wprawiający

jej serce w niespokojny trzepot. Wszechobecne cienie, ostro skontrastowana czerń i biel, niespodziewana przemoc. Strzelaniny — jak ta, podczas której rabuś zabija jednego z gliniarzy i przypadkowego przechodnia, albo scena śmierci głównego bohatera na ulicy przed hotelem — budziły w niej niepokój pomimo braku efektów specjalnych oraz faktu, że twórcy oszczędzili widzom widoku krwi rozbryzgującej się w zwolnionym tempie, jak w produkcjach Sama Peckinpaha. Zupełnie jak w starym, dobrym „Jeźdźcu znikąd” z Alanem Laddem — w przeciwieństwie do współczesnych dreszczowców w całym filmie padało może z pół tuzina strzałów, były jednak na tyle głośne i zaskakujące, że każdy z nich rezonował człowiekowi głęboko w trzewiach.

Przy tym na pierwszy rzut oka „Śmierć na Manhattanie” była niemalże filmem familijnym. Runę uznała, że wytwórnia wycięła niezły numer, jeśli chodzi o postać dziewiczej narzeczonej głównego bohatera, granej przez — co za pretensjonalny pseudonim! — niejaką Ruby Dahl. Runę nie miała wątpliwości, że biedaczkę aż skręca z pożądania. Nikt nie domyśliłby się tego na podstawie jej wypowiedzi („Och, Roy, nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu umieram ze strachu o ciebie. Na świecie jest... tyle zła”). Ale chociaż sukienki i sweterki miała zawsze zapięte pod samą szyję, jej jędrne, sterczące piersi niemal przebijały materiał i gołym okiem było widać, że szepcząca lukrowane słówka Ruby chętnie wskoczyłaby Royowi do łóżka. To na *nią* skierowana była kamera w scenie, kiedy sędzia odczytuje wyrok skazujący jej narzeczonego na więzienie. I to z jej powodu Runę zalewała się łzami.

O drugiej nad ranem Sandra cisnęła w nich butem, więc Runę wyłączyła magnetowid i telewizor.

— Jeden raz w zupełności by wystarczył — zauważył Richard. — Dlaczego musieliśmy to oglądać aż dwa razy? — On sam był tego wieczoru zmuszony zrezygnować ze swoich planów i od ładnych paru godzin trzymał ręce przy sobie.

— Bo za pierwszym razem nie robiłam notatek. — Runę przewinęła kasetę, którą nielegalnie skopiowała dla Roberta Kelly'ego. Zerknęła na płataninę bazgrołów pokrywającą odwrotną stronę ulotki reklamującej jakiś klub odnowy.

Richard przeciągnął się i nieoczekiwanie przyjął dziwną pozycję zaczerpniętą z jogi. Wykonawszy coś w rodzaju pompki, wygiął się w łuk, przycisnął biodra do podłogi, a głowę odrzucił do tyłu pod niesamowitym kątem, wpatrując się w widoczne w górze gwiazdy. — Jeśli mam być szczery, za drugim razem większość filmu przespałem. A z tym mordercą to, jak rozumiem, żartowałaś?

— Nie. Z powodu tego filmu jeden z naszych klientów nie żyje.

— Najwyraźniej obejrzał go o jeden raz za dużo, nie zdierzył i popełnił samobójstwo.

— Nie żartuj sobie z tego — szepnęła. Richard nie wychwycił w jej szepcie gniewnego tonu.

Sięgnęła do torby i podała mu wycinek znaleziony w mieszkaniu pana Kell/ego. Rzucił nań okiem, ale odłożył po przeczytaniu raptem kilku zdań. Zamknął oczy. Runę zmarszczyła brwi i wzięła do ręki poźółkły, delikatny papier.

— Chodzi o to — wyjaśniła — że ten film powstał w oparciu o autentyczne wydarzenia. W latach trzydziestych *naprawdę* żył policjant, który przywłaszczył sobie część skradzionych w czasie napadu na bank pieniędzy i gdzieś je ukrył. Później wszystkiemu zaprzeczył i nikt nigdy nie odnalazł tego miliona dolarów. Parę dni po wyjściu z więzienia ktoś go zastrzelił i podobno zabrał do grobu tajemnicę ukrytej fortuny, której nie zdążył odzyskać. Dokładnie tak samo, jak w tym filmie.

Richard ziewnął.

Runę przysiadła na piętach jak gejsza, ściskając w dłoni prasowy wycinek. — Moim zdaniem to było tak: pan Kelly kupił starą książkę w którymś z antykwariatów na St. Marks... Znasz to miejsce, gdzie handlują książkami, niedaleko Cooper Union? W książce był ten wycinek. Pan Kelly przeczytał artykuł — myślę, że interesował się historią Nowego Jorku, więc cała historia bardzo mu się spodobała, ale nie zaprzątał sobie nią zbyt głowę. Oczywiście do czasu...

— To znaczy?

— To znaczy — podjęła — że miesiąc temu, przechodząc obok naszej wypożyczalni, zauważył plakat reklamujący film. Wypożyczył go, obejrzał i coś go tknęło. Rozumiesz, co mam na myśli? Tknęło go. — Runę na moment przerwała. Richard sprawiał wrażenie zasłuchanego. Mówiła więc dalej: — Czasami człowiek po prostu czuje, że na coś wpadł, chociaż jeszcze nie wie, na co. Ale nie ma wyjścia i *musi* rozwikłać tajemnicę.

— To całkiem jak z tobą. Jesteś bardzo tajemnicza.

Poczuła przyjemny dreszcz. — Moje imię właśnie to oznacza, wiesz?

— Runę? Myślałem, że runy to rodzaj pisma.

— Też. Ale po celtycku „runę” znaczy „tajemnica”.

— A „Doris”?

— Wracając do tematu — Runę zignorowała zaczepkę — uważam, że pan Kelly i ja mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Byliśmy do siebie podobni, trochę jak my dwoje.

Umilkła, pozwalając, aby ostatnie zdanie wybrzmiało w ciszy między nimi, a gdy nie zareagował, pomyślała: „Ciekawe, na czym polega twoja tajemnica, François Jean-Paulu Vladimirze Richardzie?”

Dopiero po dłuższej chwili rozległ się głos Richarda: — Nie śpię, słucham cię.

Runę podjęła swój wywód: — Dlatego moim zdaniem pan Kelly postanowił odnaleźć pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Te, które ukradł tamten gliniarz! Te, których nigdy nie odnaleziono!

— Tamten milion dolarów? Daj spokój, Rune. Kiedy zdarzył się tamten napad, pięćdziesiąt lat temu?

— Pewnie, że do tej pory ktoś mógł je odnaleźć. Mogły się też spa-
lić... Zawsze można znaleźć jakąś wymówkę, żeby przerwać poszuki-
wania, nim się je jeszcze rozpoczęło. Ale tu nie chodzi tylko o odnale-
zienie pieniędzy, Graala, klejnotów, czy czego tam jeszcze, tylko o
przygodę! Pan Kelly całymi latami był samotny. Bez rodziny, z garstką
znajomych, sam jak palec. Wreszcie miał szansę na przeżycie
wspaniałej przygody. Wyobraź sobie, jak musiało wyglądać jego życie.
Całymi dniami przesiadywał w oknie, obserwując gołębie i
przejeżdżające samochody. Aż tu nagle pewnego dnia nadarzyła się
okazja, żeby zabawić się w poszukiwacza skarbów... — Coś sobie
przypomniała i zaczęła się rytmicznie kołysać. — Posłuchaj tylko *tego*\
Posłuchaj, co mi kiedyś po-

**wiedział. Tego dnia, kiedy zaprosił
mnie na lunch, obiecał, że kiedy się
wreszcie wzbogaci, zrobi dla mnie coś
milego. Co innego mógł mieć na myśli,
jeśli nie tamten milion dolarów?**

**Richard odparł: — Jestem
zmęczony. A jutro czeka mnie ciężka
praca.**

— **Nad powieścią?**

**Na moment się zawahał. Runę
odniosła wrażenie, że nie jest z nią
szczery, kiedy w końcu odpowiedział: —
Właśnie.**

**Pierwsza randka. Za wcześnie, żeby
na niego naciskać. Zapytała więc tylko:
— Napiszesz coś o mnie? W tej swojej
powieści?**

— **Może.**

— **Tylko zrób tak, żebym była wyższa
i miała dłuższe włosy, dobrze?**

— **Nie. Bo podobasz mi się taka, jaka jesteś.**

Przewrócił się na bok, a Runę pochyliła głowę nad pośliskim wycinkiem z gazety.

— **Pamiętasz, co w filmie stało się ze zrabowanym łupem?**

Richard mruknął półprzytomnie: — Gliniarz wyniósł forszę z banku

i przekazał małemu pucybutowi, a ten zaniósł ją do domu. Później gliniarz włamał się tam i zabrał pieniądze. Akurat tego kawałka nie przespałem.

— **Jak w melodramacie następuje gwałtowna szamotanina przy wtórce ogłuszającej muzyki, a w rezultacie matka chłopaka spada ze schodów — dodała Rune. — Zauważyłeś, że w**

starych filmach staruszki ciągle spadają ze schodów? Drugi ulubiony motyw to dzieci o anielskich loczkach zapadające na tajemniczą, nienazwaną chorobę, która powoli je wyniszcza. — Wróciła myślą do filmu. — Dobra, gazety *faktycznie* pisały o tym pucybucie. Policjant — który naprawdę nazywał się Samuel Davies, a nie Roy — przekazał dzieciakowi lup i kazał ukryć go w domu, grożąc, że w przeciwnym razie stłucze go na kwaśne jabłko. W tym miejscu w rzeczywistości po pieniądzach ginie wszelki ślad. Ale w filmie gliniarz odbiera pucybutowi lup i ukrywa go na jakimś cmentarzu. Kto mógł wpaść na ten pomysł ukrycia pieniędzy na cmentarzu?

— Kto jak nie scenarzysta? Wymyślił sobie takie zakończenie. — Richard mówił z zamkniętymi oczami.

— Scenarzysta... Tak, to ciekawe...

Nagle jej uwagę ponownie przykuł telewizor. Włączyła magnetowid i przewinęła kasetę na podglądzie aż do sceny, w której Dana Mit-

chell grający ciemnowłosego policjanta o kwadratowej szczęce ukrywa walizkę z pieniędzmi na miejskim cmentarzu.

Wcisnęła na pilocie przycisk „pauza” i zaczęła przesuwać film klatka po klatce.

Śledząc przesuwaną się powoli obrazy, powiedziała głośno, ale jakby do siebie: — Gdzieś tutaj jest odpowiedź. Musi być. Obejrzał ten film osiemnaście razy, osiemnaście razy, osiemnaście... — powtarzała jak mantrę. — Pan Kelly wpadł na trop, domyślił się, gdzie są

ukryte pieniądze. Albo może... Sam nie mógł ich wydostać, bo był już stary, miał reumatyzm, utykał. Nie mógłby własnoręcznie rozkopać grobu. Potrzebował kogoś do pomocy. I znalazł go. Opowiedział o wszystkim jakiemuś przyjacielowi, znajomemu, komuś młodszemu od siebie, kto mógł mu pomóc. Zdradził mu swoją tajemnicę. A tamten? Odnalazł ukryty łup i zabił pana Kelly'ego. Może to kierowca tamtego zielonego samochodu...

— **Jakiego zielonego samochodu?**

Runę zawahała się. Kolejna ważna życiowa zasada: nigdy nie mów facetowi na pierwszej randce, że morderca próbował cię przejechać na miejscu zbrodni.

— **Policja wspominała, że zabójca jeździ zielonym samochodem.**

— W takim razie już po zawodach — zauważył Richard. — Gość prysnął z miasta razem z milionem dolarów. Co jeszcze możesz zrobić?

— Mogę go wytropić, ot co. Zabił mojego przyjaciela. Poza tym część tych pieniędzy należy do mnie. A sąsiadkę i dobrą znajomą pana Kelly'ego deportują, jeśli szybko nie zdobędzie forsy.

— Dlaczego po prostu nie zgłosisz się z tym na policję? — spytał.

— Na policję? — Runę parsknęła śmiechem. — Oni mają to gdzieś.

— A drugi powód? — Richard przyglądał jej się teraz uważnie.

— Niech ci będzie — westchnęła. — Policja zatrzymałaby całą kasę... Jestem pewna, że te pieniądze gdzieś tam są. Ib

znaczy, mogą być. Powiedziałeś wcześniej coś o scenarzystcie... że wymyślił sobie takie zakończenie. Ale chyba najpierw musiałby dokładnie zbadać całą sprawę, przejrzeć akta, co?

— Pewnie tak — przyznał Richard.

— Pisarze tak przecież postępują, no nie? Ty też musisz robić jakąś dokumentację do swojej powieści.

— Jasne, że tak. Całe mnóstwo.

Runę myślała głośno: — Może on coś wiedział... Napisał ten scenariusz pół wieku temu. Myślisz, że jeszcze żyje?

— Któż to może wiedzieć?

— Jak to sprawdzić?

Richard wzruszył ramionami. — Najlepiej byłoby popytać na wydziale filmowym na uniwersytecie albo w szkole filmowej.

To był doskonały pomysł. Runę cmoknęła go w ucho. — Widzisz? Lubisz przygody tak samo jak ja.

— Nie wydaje mi się. Ale mam przeczucie, że nie wybije ci z głowy tych poszukiwań. Mam rację?

— Mhm. Z wyprawy się nie zawraca. Można tylko zwyciężyć albo... — Urwała, znowu mając przed oczami

**tamten straszny obraz: kredowobiała
skóra Roberta Kelly'ego zbryzgana jego
własną krwią, pędząca w jej stronę
maska zielonego auta, ciało Susan
Edelman uderzające o ceglany mur. —
Trzeba zwyciężyć, i już. Koniec, kropka.**

**Popatrzyła na twarz Richarda, na
jego zamknięte oczy, lekko rozchylone
usta. Nie mogła się zdecydować, co jej się
bardziej podoba: jego obecne
rozmazanie — rozmazony wyglądał
po prostu rewelacyjnie — czy
przeszywające spojrzenie mieniących się
wieloma odcieniami brązu oczu,
wpatrzonych w nią badawczo.
Ostatecznie doszła do wniosku, że chyba
to pierwsze. Zdecydowanie nie należał
do gatunku wojowników, jak Artur,
Cuchulain czy Parsifal z Galii. Nie, on
był raczej rycerzem-poetą. Albo
rycerzem-filozofem.**

Słyszała, jak oddycha spokojnie, równomiernie. Pomyślała, że bardzo miło jest czuć obok siebie przez sen czyjś ciepły ciężar. W tej chwili marzyła tylko o tym, żeby położyć się obok i poczuć go całym swoim ciałem.

Zamiast tego ściągnęła skarpetki ozdobione wizerunkiem Złej Czarownicy i wycelowała pilota w magnetowid, po czym obejrzała cały film jeszcze raz, dopóki na ekranie nie zamigotał napis „KONIEC”.

11

Na ekranie trwał pojedynek mistrzów karate.

Mężczyźni o azjatyckich rysach i w czarnych jedwabnych spodniach szybowali w powietrzu, a ich zaciśnięte pięści przecinały je z dźwiękiem przypominającym szum odrzutowców.

Przy każdym celnym uderzeniu rozlegał się jakby trzask łamanego drewna.

W pewnym momencie jeden z chińskich aktorów zrobił krok w kierunku rywala i odezwał się z południowym akcentem, charakterystycznie przeciągając samogłoski: — No dobra, wy dwaj. Spadajcie stąd, to nic się wam nie stanie.

Rune, siedząca na wysokim stolku za kasą wypożyczalni Washington Square Video, odchyliła się do tyłu i, mrużąc oczy, spojrzała na ekran. — Słyszałeś? Ale jazda! Gość mówi zupełnie jak John Wayne.

Tony w jednej ręce trzymał niebieski papierowy kubek z kawą i papierosa, a drugą przetrzącał strony „New York Posta”. Z krytyczną miną rzucił okiem na ekran. — W dziesięć sekund zrobi z tamtych krwawą miazgę.

Okazało się, że zajęło mu to trochę więcej, bo niecałą minutę. Walka jeszcze trwała, gdy Rune zaczęła głośno myśleć. — Sądysz, że to łatwe? Mówię o dubbingu. Uważasz, że dałabym radę robić coś takiego?

— Nie drażnij mnie, Rune — poprosił Tony. — Chcesz odejść? Czy raczej zastanawiasz się, gdzie by się zaczepić, kiedy cię w końcu zwolnię?

Rune z roztargnieniem obracała bransoletki wokół nadgarstka. — Chyba nie trzeba uczyć się tekstu na pamięć, co? Siedzi się w studiu i czyta listę dialogową. To byłoby super, zupełnie jak być aktorką, tyle że bez wychodzenia na scenę i uczenia się roli na pamięć.

Frankie Grek usiłował rozczesać swoje rozczochrane włosy wykalaczką. Potarł wąsik, który zaczął zapuszczać przed miesiącem; wyglądało to tak,

jakby miał pod nosem smugę brudu.
Spojrzał na ekran. — Cholera, popatrz
no, co ten gość wyprawia! Zalał czterech
jednym kopnięciem. —
Odwrócił się do Rune: — Wiesz, czego
się właśnie dowiedziałem? Większość
muzyki do filmów dodaje się na samym
końcu. Jak wszystko jest już
zmontowane.

— A co, myślałeś, że mają zespół,
który przygrywa im na planie?

— Rune wyłączyła magnetowid.

Tony spojrzał na ekran telewizora.
— Co ty wyprawiasz?

— Przecież to szajs — oświadczyła.

— Żaden szajs, tylko genialny film.

— Żenujące aktorstwo, kretyńskie
kostiumy, fabuła żadna...

Frankie Grek dodał: — I właśnie dlatego jest taki, no wiesz, tego...

— Zgubił wątek, jak to często w jego przypadku bywało, i zaszył się między regałami w poszukiwaniu nowego filmu.

Rune rozejrzała się po wypożyczalni: poplamiona, szara, przemysłowa wykładzina, czarne sznurki — pozostałości po materiałach promocyjnych — dyndające smętnie z klimatyzatora, spłowiałe czerwono-zielone gwiazdkowe dekoracje przytwierdzone do ścian pożółkłym klejem. — Zajrzałam ostatnio do wypożyczalni na Upper East Side. Zdecydowanie większa klasa, jeśli chodzi o wystrój.

Tony popatrzył dokoła. — Co ci się nie podoba? Tak jak metro, świadczymy społecznie cenne usługi. Ludzie mają w dupie, czy lokal ma klasę, czy nie.

Runę wydała dwie kasety młodemu mężczyźnie, jednemu z „nocnych marków”, jak ich nazywała. Wypożyczali filmy w ciągu dnia, a w nocy pracowali — aktorzy, kelnerzy, barmani, pisarze. Z początku zazdrościła im tego stylu życia, tak innego od wszystkiego, co знаła, ale z czasem doszła do wniosku — obserwując ich wiecznie zaczerwienione oczy, fakt, że stale sprawiali wrażenie półprzytomnych czy skacowanych i pachnieli tak, jakby rano zapomnieli umyć zęby — że jalo-wość takiej egzystencji jest dla niej przygnębiająca. Stwierdziła, że lepiej zrobiłoby im poszukiwanie przygód. Wszyscy powinni to robić.

Podejmując przerwany wątek, zwróciła się do Ton/ego: — W tamtej wypożyczalni mieli zagraniczne filmy, balet i przedstawienia teatralne. O większości nawet nie słyszałam. Ta tego

rodzaju miejsce, że gdybyś wszedł i poprosił o „Predatora”, włączyłby się alarm, a obsługa raz-dwa wyrzuciłaby cię na ulicę.

Tony nie raczył nawet podnieść głowy znad rubryki porad „Zapytaj Abby”. — Mam dla ciebie nowinę, skarbie. „Predator” na siebie zarabia, pieprzone arcydzieło teatralne nie.

— Czekaj, naprawdę jest taki film?
— zainteresował się Frankie. —
„Pieprzone arcy...” co?

— Chryste Panie — mruknął Tony.

Runę nie poddawała się. — Uważam po prostu, że powinniśmy trochę odszykować tę norę. Kupić nową wykładzinę. I może zorganizować wieczorek z winem i koreczkami serowymi.

Frankie Grek zapalił się do tego pomysłu. — No, mógłbym ściągnąć chłopaków z zespołu! Moglibyśmy zagrać, na przykład w jakiś piątek wieczorem. Albo wiecie co? Można by tak ustawić kamerę, żeby było nas widać na monitorach na wystawie. Wtedy każdy by nas zauważył i wszedł do środka. Super pomysł, nie?

— Do kitu, i tyle.

— To tylko luźna propozycja. — Frankie Grek wsunął nową kasetę do odtwarzacza.

— Jeszcze jeden? — Runę zerknęła na napisy początkowe.

— Nie, to coś zupełnie innego —
odparł Frankie. Pokazał Tony'emu
okładkę.

— Ib rozumiem. — Tony złożył
gazetę i wpatrzył się w ekran. Z
cierpliwością godną księdza
puczającego nowicjusza zwrócił się do
Runę: — Wiesz, kto to jest? To Bruce
Lee. Najprawdziwsza klasyka. Za sto lat
ludziska ciągle będą go oglądać.

— Wychodzę na lunch — oznajmiła
na to ona.

— Nie wiesz, co tracisz.

— Na razie.

— Masz być z powrotem za
dwadzieścia minut.

— Okej — zawołała i już zza drzwi
dodała: — Postaram się.

Pomysł Richarda, żeby zasięgnąć języka w szkole filmowej, okazał się strzałem w dziesiątkę. Okazało się jednak, że nie musiała iść aż na sam wydział.

Po drodze wstąpiła do delikatesów przy Ósmej, zbijających kokosy na sprzedaży drogich jak diabli kanapek nadzianym studentom i profesorom Uniwersytetu Nowojorskiego.

W progu przystanęła i rozejrzała się po sklepie. To były te same delikatesy, w których schował się poprzedniego dnia facet z loczkami — ten, który wydał jej się skądś znajomy. Znowu przeszło jej przez myśl, czy przypadkiem jej nie obserwował.

Czyżbym miała *więcej* tajemniczych wielbicieli? — zastanawiała się. Najpierw Richard, teraz ten. Od przybytku...

Zejdź na ziemię, dziewczyno — przywołała się do porządku. Podeszła do sprzedawcy, który rzucił odruchowo: — Następny, proszę... O, cześć, Rune!

— Siemasz, Rickie — powitała go Rune.

Rickie zarabiał na studia, pracując za ladą. Był na przedostatnim roku wydziału filmowego i wyglądał jak młodszy brat Roberta Redforda. Na początku swojej pracy w wypożyczalni Rune spędzała w tym sklepie długie godziny; wydawała kupę kasy, gawędząc z Rickiem o filmach i mając nadzieję, że ten kiedyś się z nią umówi. Koniec końców zostali dobrymi przyjaciółmi, ale najpierw Rickie przedstawił ją swojemu stałemu chłopakowi.

Uniosła w górę opakowaną w folię spożywczą szarlotkę, żeby mógł nabić cenę, i zaczęła jeść. Podał jej to, co

zwykle — kawę z mlekiem, bez cukru. Przez kolejne pięć minut rozmawiali o filmach, podczas gdy Rickie robił piętrowe kanapki z pieczoną wołowiną, indykiem i ozorem.

Miał solidną wiedzę na ten temat i chociaż zawsze mówił „kino” albo „dziesiąta muza”, a nigdy „film”, to jakimś cudem udawało mu się unikać pozy pretensjonalnego snoba. Runę skończyła szarlotkę, a Rickie dołał jej kawy.

— Rickie, znasz taki film „Śmierć na Manhattanie”? — zapytała nagle.

— Pierwsze słyszę.

— Nakręcony pod koniec lat czterdziestych.

Rickie pokręcił głową. Runę zadała kolejne pytanie: — A czy na waszym

wydziale jest może coś w rodzaju
muzeum kina?

— Mamy bibliotekę, ale nie muzeum.
Jest dział filmowy w bibliotece
publicznej w Centrum Lincolna. Poza
tym jeszcze w Muzeum Sztuki
Współczesnej mają specjalne archiwum,
ale chyba nie wpuszczą tam byle kogo.

— Dzięki, skarbie. — Runę skrzywiła
się.

— Nie ja ustalałem zasady. Zaczynij
pracować nad projektem grantu albo
postaraj się o list od swojego promotora,
wtedy na pewno cię wpuszczą. Ale mają
tam głównie ambitne tytuły. Kino
eksperymentalne, niezależne. Co cię
właściwie interesuje?

— Muszę odszukać scenarzystę tego
filmu.

— **Która wytwórnia to nakręciła?**

— **Metropolitan.**

Rickie skinął głową. — Stare, dobre Metro. Nie lepiej zadzwonić od razu do nich i zapytać?

— **To oni jeszcze istnieją?**

— **Tak jak wszyscy dzisiaj sprzedali się jakiemuś wielkiemu koncernowi. Ale owszem, nadal istnieją.**

— **I ktoś tam będzie wiedział, gdzie szukać tego scenarzysty?**

— **To najpewniejszy adres. Gildia Scenarzystów Filmowych raczej nie udziela informacji o swoich członkach... Kurczę, na twoim miejscu nie zawracałbym sobie głowy telefonami, tylko po prostu bym ich odwiedził.**

Runę zapłaciła. Rickie policzył jej pięć centów za ciastko. Mrugnęła mu z wdzięcznością i dodała: — Nie stać mnie jednak na samolot do Los Angeles.

— **Pojedź metrem, wyjdzie taniej.**

— **Trzeba by się cholernie często przesiadać — zauważyła Rune.**

— **Mówię o nowojorskim oddziale wytwórni. Na Manhattanie.**

— **Metro ma tutaj swoje biuro?**

— **Jasne. Jak wszystkie wytwórnie. Oczywiście filia ze Wschodniego Wybrzeża najchętniej wypralaby flaki tym z Zachodniego i na odwrót, ale mimo wszystko to wciąż jedna firma. Taki wysoki budynek przy Central Park West. Na pewno go kojarzysz.**

— Mówisz tak, jakbym stale bywała
w centrum.

Mocna rzecz.

**Biurowiec Entertainment
Corporation of America, dumnego wła-
ściciela wytwórni Metropolitan Pictures.**

**Czterdzieści pięter z widokiem na
Central Park. I wszystko to należące do
jednej firmy. Rune nie mogła sobie
wyobrazić, jak to jest mieć pod sobą i
nad sobą po dwadzieścia pięter pełnych
pracujących ludzi (spróbowwała
wyobrazić sobie czterdziestopiętrową
wypożyczalnię Washington Square
Video pełną Tonych, Eddiech i
Frankiech Greków; wizja okazała się
przeróżająca).**

**Ciekawiło ją, czy wszyscy
pracownicy wytwórni jadają wspólnie
lunch w jednej stolówce i czy jeżdżą na**

**firmowe pikniki, zajmując dla siebie
cały Central Park.**

**W oczekiwaniu na to, aż strażnik
skończy rozmawiać przez telefon,
zastanawiała się także, czy przypadkiem
ktoś nie weźmie jej za aktorkę, nie
zaciągnie na plan zdjęciowy i nie wciśnie
do ręki scenariusza...**

**Jednak już kartkując roczne
sprawozdanie z działalności firmy
zrozumiała, jak znikome są na to szanse,
jako że akurat ten konkretny oddział
wytwórni nie miał nic wspólnego z
produkcją filmów. Nowojorska filia
Metropolitan zajmowała się wyłącznie
finansami, zakupem i sprzedażą licencji,
reklamą, promocją oraz PR-em.
Żadnych castingów, żadnych zdjęć. Ale
to nie miało znaczenia, bo życie Rune
było już wystarczająco wypełnione.
Gdzie tu miejsce na zmianę zawodu i**

karierę, która zaprowadziłaby ją aż do samego Hollywood!

W końcu strażnik wręczył jej przepustkę i polecił wjechać ekspresową windą na trzydzieste pierwsze piętro.

— Ekspresową? — powtórzyła Rune z uśmiechem. *Bomba!*

W doskonale wyciszonej, wyłożonej miękkim chodnikiem windzie zatkały jej się uszy. Dwadzieścia sekund później wysiadła na trzydziestym pierwszym piętrze i ignorując recepcjonistkę, podeszła wprost do przeszklonej ściany, za którą rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Central Park, Harlem, Bronx, Westchester, aż po krańce ziemi!

Rune była jak zahipnotyzowana.

— Czym mogę służyć? — Pytanie to aż trzy razy musiało paść z ust recepcjonistki, zanim Runę się odwróciła.

— Na pani miejscu nie byłabym w stanie pracować — mruknęła.

— W takim razie niedługo by tu pani zabawiła.

Runę niechętnie oderwała się od szyby. — Taki widok można by mieć, latając do pracy na pterodaktylu. — Kobieta w recepcji wytrzeszczyła na nią oczy. Runę grzecznie wyjaśniła: — Pterodaktyl to latający dinozaur. — Cisza. Runę przywołała się do porządku i spróbowała przez chwilę zachowywać się jak dorosła osoba. Uśmiechnęła się do recepcjonistki. — Dzień dobry. Mam na imię Runę i mam się tu spotkać z panem Weinhoffem.

Recepcjonistka zerknęła na
przypiętą do korkowej tablicy rozpi-
skę. — Proszę za mną. — I Runę
podążyła za nią cichym korytarzem.

Jego ściany zdobiły plakaty
reklamujące starsze produkcje wy-
twórni. Runę przystanąła i delikatnie
dotknęła spłowiałego, pomarszczonego
papieru. W głębi korytarza wisiały
nowsze plakaty. Widać było, że sposób
reklamowania filmów niewiele się
zmienił przez lata: fotos seksownego
bohatera lub bohaterki, tytuł i jakiś
durny slogan.

*On szukał spokoju, ona zapomnienia.
Razem przeżyli największą przygodę
swojego życia.*

Runę widziała film promowany tym
właśnie sloganem i jeśli to, co się w nim
wydarzyło, uznać za najwspanialszą

przygodę w życiu bohaterów, to musiało być ono nudne jak flaki z olejem.

Zatrzymała się jeszcze, żeby po raz ostatni ucieszyć oczy widokiem czarodziejskiego królestwa oglądanego z lotu ptaka, po czym podreptała grzecznie za recepcjonistką w głąb wąskiego korytarza.

Założyła się sama ze sobą, że gabinet pana Weinhoffa będzie totalnie odjazdowy: narożny, z oknami wychodzącymi na północ i zachód, z barkiem i wygodną kanapą. A może nawet gnębiony tęsknotą za Kalifornią Weinhoff zażyczył sobie, żeby postawiono mu w gabinecie palmy? Do tego biurko o marmurowym blacie i skórzana kanapa. No i na sto procent barek. Czy zaproponuje jej aperitif? I co to właściwie jest?

Jeszcze jeden zakręt.

^obrazila sobie Weinhoffa jako grubasa w trzyczęściowym garniturze w pepitkę, kopącego cygaro i gawędzącego z gwiazdami filmowymi. Co będzie, jeśli Tom Cruise zadzwoni akurat, kiedy ona będzie w gabinecie? Czy wypada powiedzieć, że chciałaby zamienić z nim dwa słowa? Kurczę, a dlaczego by nie? Albo Robert Duvall! A może Sam Shepard? Och tak, och tak, och tak...

Skrećily raz jeszcze i przystanęły przy zdezelowanym automacie z pepsi. Recepcjonistka skinęła głową. — To tutaj — i odwróciła się.

— Gdzie? — Rune rozejrzała się zbita z tropu.

Kobieta wskazała jej wejście, które Rune w pierwszej chwili wzięła za drzwi do szafy, i odeszła, zostawiając ją samą.

Rune podeszła bliżej; na ścianie przy drzwiach wisiała mała tabliczka z nazwiskiem „S. WEINHOFF”.

Gabinet, na oko trzy na trzy metry, nie miał ani jednego okna. Na dobrą sprawę to chyba nawet nie było trzy na trzy, bo wzdłuż wszystkich ścian piętrzyły się sterty czasopism, wycinków prasowych, książek i plakatów. Biurko — drewniane, o odrapanym blacie noszącym ślady gaszenia papierosów — było tak zagracone i tandetne, że nawet detektyw o blisko osadzonych oczach nie zechciałby przy nim pracować.

Weinhoff podniósł wzrok znad wydania „Variety” i gestem zaprosił ją do środka. — A więc to ty jesteś tą studentką... Jak ci na imię? Mam okropną pamięć do imion.

— Rune.

— **Bardzo ładnie. Podoba mi się. Rodzice byli hipisami, co? Pokój, miłość, słońce, Era Wodnika i tak dalej. Widzisz tu coś, na czym mogłabyś usiąść?**

Przynajmniej co do jednego się nie pomyliła: rzeczywiście był gruby. Czerwony nos i popękane naczynka na tłustych policzkach. Wypisz, wymaluj święty Mikołaj — o ile święty Mikołaj mógł być Żydem. Nie miał tylko garnituru w pepitkę — w ogóle nie miał garnituru, tylko koszulę z poliestru, białą w brązowe prążki. A do tego brązowy krawat i szare, luźne spodnie.

Rune usiadła.

— **Napijesz się kawy? Chociaż jeśli mam być szczery, jesteś o wiele za młoda na kawę. Moja wnuczka pije kawę i pali jak smok. Panie, ty to widzisz i nie grzmisz! Oczywiście tego nie pochwalam, ale sam jestem**

grzesznikiem, więc jak mogę rzucić w nią kamieniem?

— Dziękuję, nie piję.

— A ja się napiję, jeśli nie masz nic przeciwko temu. — Wyszedł na chwilę na korytarz i zalał sobie rozpuszczalną kawę wodą z dystrybutora.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o aperitif.

Zasiadłszy ponownie za biurkiem, zapytał: — Jak mnie tu znalazłaś?

— Zadzwoiłam do waszego działu PR? — Jej intonacja sugerowała pytanie. — Widzi pan, chodzę na zajęcia, które nazywają się „Początki kina *noir*”, i mam do napisania pracę. Chciałam się dowiedzieć czegoś o pewnym filmie, więc powiedzieli, że

skierują mnie do kogoś, kto jest tutaj najdłużej.

– **„Jest tutaj najdłużej”. To mi się podoba. Eufemizm jak nic.**

– **I dlatego tu jestem.**

– **Powiem ci, dlaczego cię do mnie przysłali. Wiesz dlaczego?**

– **Właściwie to...**

– **Już ci mówię. Pełnię tutaj nieoficjalną funkcję historyka wytwórni. To znaczy, że pracuję w Metro od prawie czterdziestu lat i gdybym godziwie zarabiał albo miał coś wspólnego z produkcją, już dawno wylaliby mnie na zbity pysk. Ale ponieważ tak nie jest, szkoda im zachodu, żeby mnie zwalniać. Dlatego też ciągle tu jestem i odpowiadam na pytania uroczych młodych studentek.**

**Nie masz mi za złe, że to mówię,
prawda?**

— **Niech się pan nie krępuje.**

— **Świetnie. Przekazano mi — wprost
nie mogłem w to uwierzyć — że masz
jakieś pytania dotyczące „Śmierci na
Manhattanie”.**

— **Zgadza się.**

— **To bardzo interesujące. Większość
studentów i dziennikarzy chce się
dowiedzieć czegoś o Scorsesem, Wellesie,
Hitchcocku. Zawsze też można liczyć na
Fassbindera, Spielberga, Lucasa,
Coppolę. Trzy, cztery lata temu modny
był Cimino. Pamiętasz „Wrota niebios”?
Telefony po prostu się urywały! Ale nie
pamiętam, żeby ktokolwiek pisał coś o
reżyserze „Śmierci na Manhattanie”
Halu Reinharde. Ale odbiegam od**

tematu. Co dokładnie chciałabyś
wiedzieć?

— Film powstał w oparciu o
autentyczne wydarzenia, prawda?

Weinhoff zmrużył oczy. — Otóż to!
Dlatego to taki ważny film. Nakręcony
poza studiem, oparty na historii
prawdziwego przestępstwa... Nie grali w
nim ani Gable, ani Trący, ani Lana
Turner, ani Bette Davis, ani Gary
Cooper, nikt z gwiazd. Rozumiesz? Ani
jedno nazwisko nie gwarantowało
filmowi, choćby nie wiem jak dobremu
czy złemu, *otwarcia*... Wiesz, co mam na
myśli, mówiąc „otwarcie”?

— Jasne. — Rune zawzięcie notowała
w swoim kajecie. Kupiła go pół godziny
wcześniej, na okładce napisała wielkimi
literami „Film *noir*, kurs 101” i niczym
doświadczony falszerz rozmazała na niej
tuszą, żeby zeszyt wyglądał na używany.

— To, że ludzie przychodzą na film bez względu na to, o czym on jest.

— Święte słowa. Można powiedzieć, że „Śmierć na Manhattanie” była prawdopodobnie pierwszym filmem niezależnym.

— To dlaczego dziś już nikt o nim nie pamięta?

— Ponieważ był to zarazem *kiepski* film niezależny. Widziałaś go?

— Cztery razy.

— I może mi jeszcze powiesz, że prosisz dentystę o borowanie bez znieczulenia? No, skoro tyle razy go widziałaś, to sama wiesz, że twórcom nie udało się uciec od schematu melodramatycznych kryminałów typowych dla wielkich wytwórni z lat trzydziestych. Reżyser Reinhart nie

mógł się powstrzymać, żeby nie pokazać matki małego pucybuta spadającej ze schodów. Ujęcia z góry i muzyka tak głośna, że aż bębni w uszach pękają — żeby widz przypadkiem nie przegapił kluczowej sceny. Dlatego w przeciwieństwie do innych ten film jest dziś praktycznie zapomniany. Ale w swoim czasie był prawdziwym punktem zwrotnym w historii kina.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Runę przyłapała się na tym, że z zapalem mu potakuje.

— A „Bumerang” widziałas? Elia Kazan nakręcił całość w plenerach. Jeśli chodzi o kryminały, nie jest to może najlepsza historia pod słońcem. Chodzi mi o to, że niemal od początku wiadomo, kto zabił. Ale fabuła nie jest tutaj istotna, tylko sposób, w jaki została opowiedziana. Ten film też powstał w oparciu o prawdziwą zbrodnię. Dzięki

temu stał się — jak to się teraz mówi? — krokiem naprzód w stosunku do tego, co dotąd uchodziło za właściwe wśród producentów z Hollywoodu. W tym sensie „Śmierć na Manhattanie” odegrała podobną rolę.

Musisz wiedzieć, że za podobny obrót spraw, za to nagle zainteresowanie nowym stylem filmowym, odpowiadała również w znacznym stopniu sama epoka. Podczas wojny wytwórnie potraciły ludzi i materiały. Nie mogło być mowy o wielkich epickich produkcjach kręconych w kosztownych dekoracjach. I bardzo dobrze się stało. Jeśli chcesz znać moje zdanie — chociaż kogo ono właściwie obchodzi? — to uważam, że filmy w rodzaju „Śmierci na Manhattanie” umożliwiły kinu wyjście ze sztucznej teatralnej rzeczywistości i stworzenie własnego, charakterystycznego świata.

**„Bumerang”, „Dom przy 92 Ulicy”...
Ten ostatni wyreżyserował Henry
Hathaway. Och, cóż to był za
dżentelmen! Wyciszony, uprzejmy.
Nakręcił ten film chyba w czterdziestym
siódmym. „Śmierć na Manhattanie”
wpisywała się w tamten nurt. To słaby
film, ale niezwykle ważny.**

— **I naprawdę wszystkie te filmy były
prawdziwe! — spytała Rune.**

— **Cóż, nie były to dokumenty. Ale
owszem, były solidnie udokumentowane.
Kręcąc „Dom”, Hathaway konsultował
się z FBI.**

— **Więc jeśli w filmie była jakaś
scena, na przykład bohaterowie dokądś
szli, to znaczy, że naprawdę tak było?**

— **Być może.**

– **A znalazł pan kogoś, kto pracował na planie „Śmierci”? To znaczy, osobiście?**

– **Pewnie. Danę Mitchella.**

– **Grał Roya, tego policjanta!**

– **Dokładnie tak. Kawał przystojniaka. Nie byliśmy kumplami, ale zjedliśmy ze dwa czy trzy razy kolację. Z nim i chyba z jego drugą żoną. A Charlotte Goodman zagrała w kilku naszych filmach w latach pięćdziesiątych. Rzecz jasna znalazłem też Hala. Pracował dla nas na zlecenie, w tamtych czasach to wciąż jeszcze było dość powszechne. Nakręcił...**

– **„Na zachód od Fortu Laramie”. I „Lotny patrol”.**

– **O, widzę, że znasz jego dorobek. Hal nadal żyje, ale nie miałem z nim kontaktu od dobrych dwudziestu lat.**

– Mieszka tutaj, w Nowym Jorku?

– Nie, na Zachodnim Wybrzeżu. Nie mam pojęcia, gdzie dokładnie. Dana i Charlotte oboje już nie żyją. Producent wykonawczy filmu zmarł jakieś pięć lat temu. Niewykluczone, że żyje jeszcze parę osób z ekipy, ale tutaj ich nie znajdziesz. I nie jest branża dla starych ludzi. Parafrazuję Yeatsa. Znasz jego poezję? Chyba przerabiacie teraz na studiach jakichś poetów?

– Tak, tak, jasne. Yeatsa, Erikę Jong, Stallone'a.

– Stallone'a?

– No tak, wie pan — Rambo.

– Dziwnych rzeczy was uczą. Ale kto zrozumie ministerstwo edukacji?

— Czy w Nowym Jorku znajdę jeszcze kogoś, kto pracował przy tym filmie? — zapytała Rune.

— Wolnego, kochanie, duch wszakże ochoczy, ale umysł słaby. — Weinhoff wyciągnął indeks filmowy i otworzył na właściwej stronie. — Aha, tu cię mam. Posłuchaj tego: „Śmierć na Manhattanie”, 1947 rok. Oczywiście, Ruby Dahl, jak mogłem o niej zapomnieć? Zagrała narzeczoną Roya.

— Nadal mieszka w Nowym Jorku?

— Ruby? Skąd, już dawno nie żyje. To co zwykle, alkohol i prochy. Co to za branża, co za branża...

— A scenarzysta?

Weinhoff zajrzał do książki. — Jest. Oczywiście. Raoul Elliott. Skoro napisali, że był autorem scenariusza, to

znaczy, że samodzielnie go napisał. Bez
niczyjej pomocy. Znałem Raoula, był
prawdziwym scenarzystą starej daty.
Nie to, co teraz: gotowi są zabić, byle
zobaczyć swoje nazwisko w czołówce. —
W tym miejscu Weinhoff wyrecytował
śpiewnie: — „Dokonałem korekty
sześćdziesięciu siedmiu stron dziesiątej
wersji scenariusza, więc powinni
wymienić mnie w czołówce wołowymi
literami. Tamten drugi łach zredagował
tylko pięćdziesiąt trzy strony, więc
czcionka powinna być trzy razy
mniejsza albo w ogóle mógłby nie być
wymieniany". *Ple, ple, ple...* Nie to, co
Raoul. Jeśli jego nazwisko jest tutaj, to
musiał sam napisać cały scenariusz, od
pierwszego szkicu aż po wersję
reżyserską.

— Mieszka w Nowym Jorku?

— Ach, biedaczysko. Ma alzheimera,
miej go Panie w swojej opiece. Przez

parę lat był rezydentem domu aktorów filmowych i teatralnych, ale w ubiegłym roku mu się pogorszyło i teraz mieszka w domu opieki w Jersey.

— Zna pan adres?

— Oczywiście, ale chyba niewiele będzie mógł ci powiedzieć.

— Mimo to chciałabym się z nim spotkać.

WeinhofF zapisał jej na kartce nazwisko i adres. Pokręcił głową. —

Dziwne. Tyle się dzisiaj słyszy o studentach: tego nie chcą, to im się nie podoba. Ale ty — od razu cię przejrzałem, nie miej mi za złe, że to mówię — ty jesteś inna. Z powodu byle pracy semestralnej zadać sobie tyle trudu i odwiedzić takiego starego grzyba jak ja...

**Runę wstała i uścisnęła dłoń
staruszka. — Moim zdaniem człowiek
dostaje od życia tyle, ile sam daje.**

No dobra. Dwie godziny spóźnienia.

**Tym razem już się nie spieszyła,
tylko pędziła na złamanie karku. I to po
co! Żeby zdążyć do pracy. Nie pamiętała,
żeby kiedykolwiek zrobiła coś
podobnego. W uszach rozbrzmiewał jej
echem głos Tony'ego mówiącego: „z
powrotem za dwadzieścia minut”, „z
powrotem za dwadzieścia minut”.**

**Ósma Ulica. Minąć Piątą Aleję.
University Place. Wymijała studentów i
ludzi robiących zakupy, biegła jak
piłkarz, jak Prezydent Reagan w
tamnym starym filmie. Tym bez małpy.**

**Wielkie rzeczy. Tony na pewno
zrozumie. W końcu rano byłam
punktualnie.**

Raz na wozie, raz pod wozem.

**Przecież mnie nie wywali za marne
dwie godziny spóźnienia.**

**Sto dwadzieścia minut. Średnia
długość trwania filmu.**

**Miałby się wkurzyć z takiego
powodu? Wolnego!**

**Rune pchnęła drzwi wypożyczalni i
zamarła jak rażona gromem. Tony
rozmawiał ze stojącą przy ladzie młodą
kobietą, która najwyraźniej miała ją
zastąpić, bo pokazywał jej, jak
obsługiwać kasę i terminal kart
płatniczych.**

Cholera jasna...

**Tony podniósł głowę i zobaczył ją. —
Rune, jak się masz? A propos, jesteś**

**zwolniona. Zabieraj swoje rzeczy i
wynoś się.**

**Od miesiący nie widziała go tak
uradowanego.**

12

**Kobieta, atrakcyjna rudowłosa
dwudziestokilkulatka, zerknęła nie-
pewnie na Rune. A zaraz potem na
Ton/ego.**

**Rune zaczęła: — Posłuchaj, Tony,
naprawdę strasznie, okropnie mi
przykro. Tak się składa, że...**

***Okłamuje się tylko tych, którzy mają
nad tobą jakąś władzę...***

**Ale ja nie chcę stracić tej pracy! Nie,
nie i jeszcze raz nie.**

**— ...utknęłam w metrze. Przerwa w
dostawie prądu. A może ktoś wpadł pod**

**pociąg? W każdym razie koszmar.
Egipskie ciemności, smród, duchota.
Ana dodatek...**

– **Rune, mam tego powyżej uszu.
Zaraz po twoim wyjściu siostra
Frankiego Greka zaczęła rodzić i musiał
zawieźć ją do szpitala. *Wiem, że tak było,*
bo zadzwoniłem do jej położnika, żeby
się upewnić.**

– ***Co takiego?***

**Tony wzruszył ramionami. — Mógł
mnie bajerować. Skąd mogłem
wiedzieć? Ale sama powiedz, co mam
zrobić z taką durną wymówką jak ta
twoja przygoda w metrze? Zadzwonić
do zarządu transportu miejskiego?
Zapytać, czy rzeczywiście pociąg linii E
utknął przy Trzydziestej Czwartej
Ulicy?**

– **Proszę cię, nie wyrzucaj mnie!**

— **Rune, przez cholerne dwie godziny musiałem robić wszystko sam.**

— **Jezu, Tony, przecież to nie budka z hot dogami na stadionie Gigantów po pierwszej połowie meczu! Ilu klientów raptem dzisiaj miałeś?**

— **Nie w tym rzecz. Przez ciebie nie poszedłem na lunch.**

— **Zmienię się, naprawdę...**

— **O nie! — zawołała ruda, dając im obojgu znak, żeby się zamknęli, po czym powiedziała: — Rezygnuję z tej posady.**

— **Co takiego? — Tony odwrócił się i spojrzał na nią.**

— **Nie mogę zabierać komuś pracy.**

— **Nie zabierasz. Zwolniłem ją, zanim jeszcze przyjąłem ciebie. Tyle że ona o tym nie wiedziała.**

— Tany — przerwała mu Rune.
Nienawidziła błagać, ale nie mogła się powstrzymać. Co sobie pomyśli Richard, jeśli zostanie bez pracy? I tak już uważał Rune za skrajnie nieodpowiedzialną.

— Miałabym wyrzuty sumienia —
dodała ruda.

— Mówiłaś, że potrzebujesz pracy —
zauważył Tany.

— Bo to prawda. Ale znajdę sobie coś
innego.

— Spokojnie, skarbie, o nic się nie
martw.

Na co ruda odparta lodowatym
tonem: — Jeśli ją zwolnisz, ja też
odchodzę.

Tony na chwilę przymknął powieki.
— Chryste Panie. — Po czym nachylił

się i wbił w Rune wściekle spojrzenie. —
Dobra. Frankie będzie na razie pracował
na pół etatu, dopóki jego siostra nie
wróci do domu. Możesz go zastępować.
Ale jeśli jeszcze raz zawalisz dyżur, bez
ważnego powodu, to z nami koniec.

— Dzięki ci, dzięki, dzięki!

Tony uśmiechnął się do tamtej
kobiety; wydawało mu się chyba, że
swoją hojnością zarobił u niej
dodatkowe punkty. Nie zauważył jednak
sposobu spojrzenia, jakim go obrzuciła — tak
patrzy się na karalucha, zanim się go
rozdepcze.

— Rune, poznaj więc Stephanie.
Śliczna jest, nie? Wspaniałe włosy, nie
uważasz? Może pokażesz naszej pięknej
nowej koleżance, na czym polegają jej
obowiązki? Ja lecę na siłownię.

Wciągnął brzuch, zarzucił na ramię plecak i pchnął drzwi.

Śliczna jest, wspaniałe włosy...

Rune zdołała zdusić rodzącą się w niej zazdrość na tyle, żeby rzucić lekkim tonem: — Dzięki. Nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę sobie teraz pozwolić na to, żeby zostać bez roboty.

— **Świetnie cię rozumiem. — Stephanie popatrzyła na drzwi i znikającego w głębi ulicy Tony'ego. — Naprawdę poszedł na siłownię?**

— **Jasne — wyszeptała Rune.**

I zaraz dodała: — Do Burger Kinga — w tym samym momencie, w którym Stephanie zasugerowała: — Do McDonalda? — Na co obie wybuchnęły śmiechem.

Pamiętaj, żeby nie mieszać kaset z pornosami dla gejów i heteryków, kiedy odstawiasz je na półkę — wyjaśniła Rune.

— **W porządku. Nie zapomnę. — Babka *faktycznie* miała rewelacyjne włosy — długie rudoblond loki opadające na ramiona w sposób, który możliwy jest wyłącznie w reklamach szamponów.**

— **Możesz powtórzyć, jak masz na imię? — zapytała Rune. Wiedziała, że zaczynało się na „S”, ale miała kłopot z imionami na tę literę. Susan, Sally, Suzanne...**

— **Stephanie.**

Racja. Rune umieściła informację w odpowiedniej przegródce swojego mózgu i podjęła przerwane szkolenie. — Jak widzisz, pornosy nie mają okładek,

więc ludzie muszą je wypożyczać po tytułach. Z niektórymi jest łatwo, kołnierzyki", „Ujeżdżalnia", „Chłopcy i ich wielkie ciężarówki", rozumiesz? Ale czasami trudno jest się domyślić. Kiedyś pewien gość wypożyczył „Wielki blond" i okazało się, że to wcale nie jest film o kobietach. Zorientowałabyś się? Bo ja nie. Tak czy inaczej zamiast babek z wielkimi cyckami miał facetów z wielkimi fujarami. Jak się pewnie domyślasz, nie był zbyt zadowolony... Słuchaj, masz totalnie odjazdowe włosy. To twój naturalny kolor?

— Teraz tak. — Stephanie przyglądała się nadgarstkowi Rune. — A mnie się podobają twoje bransoletki.

— Naprawdę? — Rune potrząsnęła ręką. Bransoletki zabrzęczały.

— Ktoś mnie kiedyś namawiał na zagranie w pornosie — przyznała się

Stephanie. — W Los Angeles. Jeden taki twierdził, że robi dyplom na wydziale filmowym. Zaczepił mnie w kawiarni — siedziałam sobie i czytałam „Variety” — i zapytał, czy nie chciałabym zagrać w rozbieranym filmie.

— Żartujesz. — Nikt jeszcze nie zaproponował Rune roli w pornosie. Zastanowiła się, czy nie powinna czuć się urażona.

Stephanie zamilkła i przez chwilę wpatrywała się w plakat reklamujący dreszczowiec „Gasnący płomień”. — Ingrid Bergman. Ta to była piękna.

— Nawet z krótkimi włosami — zauważyła Rune. — Jak w „Komu bije dzwon”. — Przesunęła palcami po głowie, przyklepała sterczące kosmyki. Może trzeba pomyśleć o peruce? — I co, zagrałaś w tamtym pornosie?

– Skąd. Źle bym się z tym czuła.

– A ja umarłabym ze strachu, że coś złapię, wiesz?

Stephanie wzruszyła ramionami. —
Gdzie ty je wynajdujesz? Te

wszystkie bransoletki?

– Wszędzie. Idę ulicą i nagle czuję
coś dziwnego. Ta wzywa mnie nowa
bransoletka. Mijam kolejny sklep i co
widzę? Leży na wystawie i czeka na
mnie.

Stephanie przyjrzała jej się
sceptycznie.

– Mówię prawdę! Przysięgam na
Boga.

– Tony mówił, że się obijasz.

— Każda sekunda, kiedy wokół niego nie skaczę, kwalifikuje się jako obijanie. Tymczasem mój znajomy został niedawno zamordowany, a ja próbuję się czegoś dowiedzieć.

— Nie!

— Naprawdę.

Stephanie zmarszczyła brwi. —
Mnie kiedyś w Hollywood napadnięto w samochodzie. Jechałam hondą. Trudno sobie wyobrazić, że można kogoś zabić dla hondy, ale ja byłam święcie przekonana, że mnie zastrzelą. Pozwoliłam im zabrać wóz. Odjechali, stanęli na czerwonym świetle i wrzucili prawy migacz, jak gdyby nigdy nic. Czy to nie dziwne, że można stracić życie z powodu samochodu? Albo nawet paru marnych setek?

Albo *miliona* dolarów? — pomyślała Rune. Przed oczami znowu stanął jej Robert Kelly, martwy i bezwładny w swoim fotelu. Podziurawiona klatka piersiowa. Przestrzelony telewizor.

Stephanie dodała: — Po tej historii zapisałam się na kurs samoobrony. Ale żaden taki kurs nie pomoże, jeśli napastnik ma broń.

Rune odsunęła od siebie niewesołe myśli i weszła między regały, żeby odłożyć resztę kaset na półki. Gestem dała znać Stephanie, by za nią poszła.

— Pracując tutaj, można się naprawdę dużo dowiedzieć o ludzkiej naturze. Dlatego wzięłam tę robotę. Oczywiście nie mam pojęcia, jak właściwie mogłabym wykorzystać tę wiedzę, ale i tak fajnie jest obserwować ludzi. Chyba muszę mieć w sobie coś z podglądacza.

– A czego to można się dowiedzieć o ludziach w takim miejscu jak wypożyczalnia?

– Już ci mówię. Weźmy na przykład takiego jednego maklera. Przystojny facet, zawsze czuć go było czosnkiem, ale mimo to z nim flirtowałam. Ciągłe wypożyczał filmy z Charlesem Bronsonem, Chuckiem Norrisem, Schwarzeneggerem. Aż pewnego wieczoru zjawia się u nas z uwieszoną na ramieniu laską, taką super odstawioną japiszonką, rozumiesz? I co się okazuje? Nagle „Komando” już go nie interesuje! Pyta o „Siódmą pieczęć”, Felliniego i najnowsze Woody Alleny, wiesz, nie żaden „Bananowy czubek”, tylko poważne kino, trudne związki, te sprawy. Wszystko, co można znaleźć na kablówce. I tak to trwa przez cztery tygodnie, po czym Pani Kulturalna znika z horyzontu, a nasz gość na kolejnych parę miesięcy wraca do

„Życzenia śmierci 8". Później przychodzi z inną panną, całą w nabijanej ćwiekami skórze. Wiem, co sobie pomyślałaś, ale nie zgadniesz, co wypożyczają? Stare musicale. Dorothy Lamour, Binga Crosby^go, Boba Hope'a, Freda i Ginger. I tak przez *kolejne* dwa miesiące. Prędeż czy później facet nabawi się kompleksów. No, bo chyba trzeba być wiernym własnym upodobaniom, nie?

Stephanie zaczęła rozczesywać włosy.

Runę ciągnęła: —A wracając do filmów dla dorosłych... Tylko przypadkiem nie mów o nich „pornosy", bo Tony bardzo tego nie lubi. Poza tym to kokosowy biznes. Przynoszą czterdzieści procent zysków brutto, chociaż stanowią zaledwie dwanaście procent wszystkich tytułów... Ale co to ja chciałam powiedzieć? Aha, to, że w dzisiejszych

czasach kobiety wypożyczają prawie tyle samo pornosów, co mężczyźni. I to wcale nie damsko-męskie igraszki, tylko filmy dla gejów.

— **No co ty? — Stephanie ożywiła się nieco, a w jej znudzonych oczach pojawił się błysk zainteresowania. Choć na krótko. Szczotka do włosów też zniknęła w torebce. Runę przeszło przez myśl, że Stephanie zabawi w Washington Square Video góra miesiąc. W byle restauracji znajdzie równie nudne zajęcia za trzy razy lepszą pensję. — Czemu kobiety wypożyczają te gejowskie pornosy?**

— **Moim zdaniem — odparła Runę — faceci w takich filmach wyglądają o wiele lepiej niż w zwykłych, no wiesz, to prawdziwe ciacha. Wysportowani, zadbani. W zwykłych pornosach zdarzają się zwyczajne flejtuchy... Tak przynajmniej słyszałam.**

Stephanie obrzuciła regał z filmami dla dorosłych znudzonym spojrzeniem i zauważyła: — Wygląda na to, że lesbijki nie mają tu czego szukać.

— Nie, skąd, to kolejny świetny rynek. Mamy na przykład... Popatrzmy... „Dziewczyny lubią dziewczyny”, „Lesbijską miłość”, „Ekspres *Safona*”... "tyle że te z kolei najczęściej biorą faceci. Najwięcej lesbijek mieszka w West Village, tutaj nie ma ich aż tak wiele.

Wróciła za ladę i nastroszyła sobie fryzurę palcami. Stephanie spojrziała wtedy na jej włosy i powiedziała: — Interesujący efekt kolorystyczny. Jak to zrobiłaś?

**— Sama nie wiem. Tak jakoś wyszło.
— Nie była pewna, czy uznać komentarz Stephanie za komplement. Chyba nie.**

Interesujący, psiakrew. Co za okropne określenie. Interesujący.

— Często zdarzają się wariaci?

— Zależy, co masz na myśli — odparta Rune. — Mamy tu takiego, który zna na pamięć wszystkie dialogi z „Nocy żywych trupów”, nawet z wersji telewizyjnych i radiowych. A pewien prawnik zwierzył mi się, że zawsze po seksie wypożyczają z żoną „Casablankę”. Wystarczy rzut oka do komputera, żeby stwierdzić, że muszą przeżywać jakiś poważny kryzys. Jest też taki jeden, którego nazywamy Mad Max, prawdziwy czubek — wypożycza same najgorsze jatki. Durne gnioty jak „Halloween” czy „Piątek trzynastego, część 85”.

— Seksistowskie gnoje — oburzyła się Stephanie. — Mam na myśli tych, co kręcą takie filmy.

— A tymczasem gość jest pracownikiem opieki społecznej w dużym szpitalu w centrum i bierze udział w akcjach dobroczynnych jako wolontariusz.

— Poważnie?

— Mówię ci... W wypożyczalni można się sporo nauczyć.

Stephanie spytała nagle: — Masz chłopaka?

— Nie jestem pewna — odparta Rune. Uznała, że to stwierdzenie będzie najbliższe prawdy.

— A Rune to twoje prawdziwe imię?

— W tej chwili tak.

Przed ladą uformowała się kolejka, więc Rune zapoznała Stephanie z procedurą wydawania kaset.

— Nie mogę uwierzyć, że to twój pierwszy dzień. Jesteś urodzoną kasjerką — pochwaliła ją potem.

— Wielkie dzięki. — Stephanie przeciągała słowa. — Nie mów Tony'emu, ale mam nadzieję poznać tu jakiegoś producenta czy agenta, który zaprosi mnie na casting. Tak naprawdę to chcę być aktorką, ale póki co nie miałam szczęścia. Od miesiąca nie byłam na żadnych zdjęciach próbnych.

— A co z tymi wszystkimi przesłuchaniami w Los Angeles?

— Przesłuchanie nie oznacza jeszcze, że dostaniesz rolę. Los Angeles jest do niczego. Liczy się przede wszystkim Nowy Jork.

— *Wiedziałaam, że cię polubię.* — Rune uśmiechnęła się i wręczyła „Siedmiu samurajów”, „Śpiącą

królową" oraz „Szał zmysłów" sympatycznemu łysawemu biznesmenowi.

13

Rzeki to fosy, a wieżowce to blanki...

Chwileczkę, czy aby na pewno? Co to właściwie są „blanki"?

Wszystko jedno...

Wieżowce to blanki. Kamienie wytarte i poszarzałe od upływu czasu oraz obmywającej je mętnej wody. Jednostajne kapanie kropel. Śliskie od wilgoci stalaktyty i stalagmity. Ciemne, zakratowane okna lochów. Jedziemy coraz dalej i dalej w głąb... Kopyta naszych wierzchowców dźwięczą głucho na zimnym bruku. Skrywa nas tajemne przejście wiodące pod fosą, prowadzące poza zaczarowane królestwo Rune, poza Stronę...

Richard wprowadził starego dodge'a do tunelu, obierając kierunek na New Jersey.

— **Niesamowite, co? — odezwała się Rune. Po bokach migaly pomarańczowe światła, przez okno do wnętrza samochodu wpadała słod- kawa woń spalin.**

— **Co takiego?**

— **To, że w tej chwili mamy nad sobą jakieś trzydzieści metrów wody i szlamu. To naprawdę coś.**

Richard spojrział z powątpiewaniem na jarzący się żółto sufit tunelu, ponad którym rzeka Hudson przetaczała swoje wody do Zatoki Nowojorskiej.

— **Naprawdę coś — powtórzył słabo.**

Dodge, w którym siedzieli, należał do Richarda. Było to dosyć dziwne; Richard mieszkał na Manhattanie i był właścicielem samochodu. Każdy, kto spełniał te dwa warunki, musiał wieść dość konwencjonalne życie. Płacić podatki, wносить opłaty rejestracyjne i parkingowe. Trochę jej to przeszkadzało, ale nie narzekała. Okazało się, że dom opieki, w którym przebywał scenarzysta „Śmierci na Manhattanie”, znajdował się ponad sześćdziesiąt kilometrów za miastem, a jej nie stać było na wynajęcie samochodu celem kontynuowania tego etapu przygody.

— O co chodzi? — zaniepokoiła się.

— O nic.

Resztę klaustrofobicznego żółtego tunelu przejechali w milczeniu. Runę

zachowywała daleko posuniętą
ostrożność; kiedy mężczyźni mieli
kiepski humor, potrafili być naprawdę
nie do zniesienia. Posadzić ich z
kumplami, pozwolić im się spać, zgrywać
się na mięśniaków, ćwiczyć rzuty piłką,
perorować o filmach Bunuela czy
zasadzie działania skrzydeł samolotu i
będą szczęśliwi. Ale, na świętego Piotra,
niechże tylko wyniknie coś
poważniejszego — zwłaszcza gdy w grę
wchodzi kobieta — a ich psychika sypie
się jak domek z kart.

Kiedy po dwudziestu minutach
wyjechali z tunelu, Richard wyraźnie się
rozluźnił i oparł dłoń na jej udzie.
Zaiskrzyło. Jak on to u diabła robi? —
zastanawiała się.

Kiedy zbliżali się do wjazdu na
płatną autostradę, Runę rozejrzała się.
— Co za ohyda. — Wielopiętrowe
skrzyżowania, las sygnalizatorów,

platanina linii wysokiego napięcia,
ogrodzenia z siatki, stacje benzynowe.
Spróbowała odnaleźć wśród nich logo
swojej ulubionej — pegaza — ale bez
powodzenia. Właśnie tego nam trzeba,
pomyślała, skrzydlatego konia, który by
nas uniósł i przeleciał ponad całym tym
syfem.

— Jakim cudem udało ci się wziąć
dzisiaj wolne? — zainteresował się
Richard.

Była niedziela, a Runę powiedziała
mu wcześniej, że w niedzielę ma dyżur w
wypożyczalni.

— Eddie mnie zastąpił. Wczoraj
wieczorem do niego zadzwoniłam. To
chyba pierwszy raz, kiedy zrobiłam coś
tak odpowiedzialnego.

Richard roześmiał się, ale nie był to
wesoły śmiech.

Zdjął rękę z jej uda i mocniej chwycił kierownicę. Skręcili na południowy zachód. Teraz po obu stronach autostrady rozpościerały się płaskie pola, niczym ogromne bure trawniki. Za nimi widać było mokradła, fabryki, wysokie metalowe rusztowania i wieże. Działki pełne naczep od ciężarówek, długie, równe rzędy aut ciągnące się kilometrami.

— Zupełnie jak pole bitwy — zauważyła Rune. — A te tam — co to właściwie jest? Rafinerie czy coś w tym rodzaju? Wyglądają jak statki kosmiczne z Alfa Centauri.

Richard zerknął we wsteczne lusterko i nic nie powiedział. Wcisnął mocniej pedał gazu, żeby wyminąć pękatą śmieciarkę. Rune pociągnęła za wyimaginowany gwizdek, a kierowca odwzajemnił się dwoma głośnymi sygnałami swojego klaksonu.

— **Opowiedz mi o sobie — poprosiła Richarda. — Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów.**

Wzruszył ramionami. — Nie ma o czym mówić.

O rany. Czy on musi się zachowywać jak *każdy facet*!

Mimo wszystko rzuciła pogodnie: — Na pewno coś się znajdzie!

— **Okej. — Richard nieco się ożywił; powrócił cię wczorajszego lekkoducha. — Przyszedł na świat w Scarsdale, jako syn sympatycznego małżeństwa z przedmieścia. Wychowywano go na lekarza, prawnika albo innego członka elity uciskającej klasę robotniczą. Jego dzieciństwo nie obfitowało w ciekawsze wydarzenia; warto wspomnieć jedynie**

o klubie szachowym, kółku
łacińskim oraz całkowitym braku
jakichkolwiek uzdolnień sportowych.
Wybawieniem okazał się dla niego rock
and roli, a dzięki wizytom w Mudd Club
i Studio 54 doczekał wieku męskiego.

– Super! Uwielbiałam te miejsca!

– Później z niewiadomej przyczyny
Fordham postanowiło przyznać mu
dyplom z filozofii, chociaż przez cztery
lata swoim nieposłuszeństwem
doprowadzał wielbnych ojców jezuitów
do rozstroju nerwowego. Następnie
skorzystał z nadarzającej się okazji,
żeby poznać świat...

– A więc jednak *byłeś* w Paryżu.
Zawsze chciałam tam pojechać. Rick i
Lisa... „Casablanca”. I jeszcze garbus z
tego wielkiego kościoła. Strasznie mu
współczułam. Ty wiesz, że...

— Właściwie to nie pojechałem do Francji — przerwał jej Richard

¹ znowu podjął narrację w trzeciej osobie: — Wylądował w Anglii, gdzie przekonał się, że samodzielne podróżowanie po świecie znacznie się różni od zagranicznych *wakacji*. Praca operatora dziurkarki w Londynie — o ile oczywiście komuś uda się zdobyć taką posadę — niczym się nie różni od pracy operatora dziurkarki w Trenton w stanie New Jersey. Nasz młody podróżnik powrócił więc do Nowego Jorku, gdzie został modnym bezrobotnym filozofem, włóczył się po klubach, próbował zrobić magisterkę i doktorat, znowu włóczył się po klubach, podrywał bezimienne blondynki i brunetki posługujące się pseudonimami, dalej włóczył się po klubach, w ciągu dnia dorywczo pracował, aż w końcu znudził się klubami i zatęsknił za chwilą

intersubiektywności dzielonej z jakąś kobietą. No i zaczął pracować.

— **Nad swoją pierwszą powieścią.**

— **Właśnie. Nad swoją pierwszą powieścią.**

Wydawało się, że jak dotąd nadają na tych samych falach — pomimo samochodu i huśtawki nastrojów. Ją pasjonowały bajki, jego filozofia. Z pozoru dwie całkiem inne rzeczy, ale — jak doszła do wniosku — w sumie dokładnie to samo. Dwie dyscypliny pobudzające wyobraźnię i całkowicie bezużyteczne w realnym świecie.

Stwierdziła, że tylko w kimś takim jak Richard — może w nim, a może w kimś innym — ale tylko w kimś *takim jak on* byłaby w stanie naprawdę się zakochać.

— Już wiem, co cię gryzie —
powiedziała.

— Dlaczego uważasz, że coś mnie
gryzie?

— Tak uważam, i już.

— W porządku. W takim razie
słucham.

— Pamiętasz tę historię, którą ci
opowiadałam?

— Którą? Opowiedziałś mi
mnóstwo różnych historii.

— Tę o Diarmuidzie? Mam wrażenie,
że jesteśmy jak z czarowany król i
królowa, którzy opuścili Stronę — wiesz,
swoje z czarowane królestwo... —
Odwróciła się i gwałtownie wciągnęła
powietrze. — Och, musisz to zobaczyć!
Odwróć się, Richardzie, *popatrz*!

— Przecież prowadzę!

— Dobrze, w takim razie opowiem ci, co tam widać. Warownię z setką wież, a wszystko zrobione ze srebra. Słońce odbija się od iglic, budowle błyszczą, kradnąc słońcu całą jego energię. Jak myślisz, ile energii ma słońce? Tak czy owak cała ta energia splywa przez iglice i wieże do zaklętego królestwa... — Poczula nagły lęk, jakby udzielił jej się zły nastrój Richarda. Jakieś przeczucie... Po chwili znowu się odezwała: — Chyba nie powinnam tego robić. Nie powinnam była przechodzić przez fosę, tak opuszczać Strony. Dziwnie się czuję, zupełnie jakbyśmy robili coś złego.

— Tak opuścić Stronę — powtórzył w zamyśleniu Richard. — A może właśnie o to chodzi. — Znowu spojrzął we wsteczne lustro.

Mógł mówić poważnie albo sarkastycznie. Runę nie potrafiła tego wyczuć.

Odwróciła się i zapięła pas. Jeszcze jeden długi zakręt autostrady i znaleźli się na wsi. Otoczyły ich wzgórza, lasy i pola. Otwarta panorama zachodu. Runę już-już miała zwrócić uwagę Richarda na wielką chmurę w kształcie idealnego, białego kielicha, górującą nad horyzontem niczym ogromny Święty Graal, ale po namyśle postanowiła się nie odzywać. Samochód przyspieszył i resztę drogi do Berkeley Heights w New Jersey przejechali w milczeniu.

Od miesiąca nikt go nie odwiedzał — poinformowała Runę pielęgniarka.

Stały na trawiastym wzniesieniu w pobliżu budynku administracyjnego należącego do domu opieki. Richard został w bufecie z książką.

— **Wielka szkoda, bo wiem, jak dobrze takie odwiedziny wpływają na naszych pacjentów — mówiła dalej kobieta.**

— **Jak on się czuje?**

— **Czasami zachowuje się całkiem normalnie, ale miewa też gorsze dni. Dzisiaj na przykład jest w całkiem niezłej formie.**

— **A kto go odwiedził miesiąc temu? — zainteresowała się Rune.**

— **Starszy pan, o takim irlandzkim nazwisku...**

— **Może Kelly?**

— **Bardzo możliwe. Tak, chyba tak.**

Serce Rune zaczęło szybciej bić.

**Czyżby przyjechał dowiedzieć się
czegoś o zaginionym milionie dolarów?**

**Uniosła w górę różę zapakowaną w
celofan. — To dla niego. Mogę mu ją
dać?**

**— Prawdopodobnie zaraz zapomni,
że ją dostał. Ale tak, oczywiście, że może
mu ją pani dać. Pójdę po niego. Proszę
tutaj poczekać.**

**Rzadko mnie ktoś odwiedza.
Ostatnio chyba... Zaraz, zaraz... Nie,
nikt do mnie nie przyjeżdża. W
niedziele, tak mi się przynajmniej wy-
daje, mamy tutaj przyjęcia. Są
naprawdę bardzo, bardzo miłe. Jeśli po-
goda dopisuje, rozkładamy obrusy na
stołach piknikowych i jemy jajka na
twardo, oliwki i krakersy. — Nagle
zapytał, zwracając się do Rune: — Już
prawie jesień, prawda?**

Pielęgniarka odparła tonem, jakim mówi się do trzylatka: — Panie Elliott, dobrze pan wie, że mamy teraz wiosnę.

Rune przyglądała się twarzy i rękom starego człowieka. Sprawiał wrażenie, jakby ostatnimi czasy gwałtownie schudł i poszarzała skóra zwisała mu z ramion i szyi jak gruba szmata. Wręczyła mu różę. Popatrzył na nią z zaciekawieniem, po czym położył na kolanach. Odezwał się niepewnie: — Panienska mówi, że nazywa się...

— Rune.

Twarz pana Elliotta rozpromieniła się uśmiechem szczerym aż do bólu. — Oczywiście. Oczywiście, już pamiętam. — A zwracając się do pielęgniarki, spytał: — A gdzie Bips? Gdzie się znowu podziało to psi-sko?

Rune już chciała szukać psa, ale pielęgniarka pokręciła głową i Rune pojęła, że Bips od lat przebywa w raju dla czworonogów.

— Bawi się, panie Elliott — odparła pielęgniarka. — Niedługo wróci. Nic mu nie będzie, proszę się nie martwić. — Siedzieli na niewielkim trawiastym pagórku pod ogromnym dębem. Pielęgniarka zablokowała hamulce wózka inwalidzkiego i odeszła, mówiąc: — Będę za dziesięć minut.

Rune skinęła głową.

Raoul Elliott wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Jego skóra była delikatna i bardzo sucha, ścisnął lekko palce Rune, potem jeszcze raz i zaraz puścił, jak sztubak badający, na ile może sobie pozwolić z dziewczyną na szkolnej potańcówce. A potem powiedział: — Bips. Nie uwierzy panienka, co z nim wyprawiają. Te

wszystkie dziewczuchy i chłopaki. Dźgają go patykami, jeśli zanadto zbliży się do siatki. Myślałby kto, że będą lepiej wychowani. Jaki mamy dzisiaj dzień?

- **Niedzielę — odrzekła Rune.**
- **Wiem. Chodzi mi o datę.**
- **Piętnasty czerwca.**
- **Wiem. — Pan Elliott pokiwał głową i utkwił spojrzenie w spacerującej ścieżką starszej parze.**

Teren domu opieki był czysty i zadbany, a trawniki równo przystrzyżone. Wiekowe pary, z reguły tej samej płci, przechadzały się wolno po utwardzonych ścieżkach. Nigdzie nie było schodków, krawężników, stopni ani niskich roślin — niczego, o co staruszkowie mogliby się potknąć.

— **Widziałam jeden z pańskich filmów, panie Elliott.**

Co rusz któreś z nich było obiektem zainteresowania jakiejś brzęczącej muchy, która zaraz odlatywała niesiona ciepłym powiewem wiatru. Wielkie, kłębiaste, białe obłoki rzucały poszarpane cienie na trawę. Pan Elliott powtórzył: — Moje filmy...

— **Naprawdę bardzo mi się podobał. To była „Śmierć na Manhattanie”.**

Jego oczy rozbłysły. Pamiętał. — Pracowałem przy tym filmie z... Ech, ta moja dziurawa pamięć. Czasem wydaje mi się, że tracę rozum. Było tam kilku chłopców... Jak się nazywali? Ależ mieliśmy frajdę! Opowiadałem ci o Randym? Nie? Randy był w moim wieku, może rok czy dwa lata starszy. Wszyscy mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Byli wśród nas dziennikarze, pisywali w

redakcji „Atlantica” albo byli redaktorami u Scribnera czy w Conde Nast. Ale wszyscy byliśmy nowojorczykami. O, w tamtych czasach to było zupełnie inne miasto, zupełnie inne. Wytwórni się to podobało, lubili nowojorczyków. Takich jak Frank O'Hara. Przyjaźniliśmy się z Frankiem. Chodziliśmy często do baru przy Rockefeller Center, nazywał się chyba... Mniejsza z tym, bywaliśmy w wielu miejscach. Również w Hollywood. Włóczyliśmy się razem po Hollywood.

— Pracował pan w gazecie?

— Oczywiście.

— A w której?

Milczenie. Pan Elliott uciekł spojrzeniem w bok. — Och, no wiesz, w tych, co wszyscy. Teraz gazety nie są już takie jak dawniej...

— Panie Elliott, pamięta pan, jak pisał scenariusz „Śmierci na Manhattanie”?

— Oczywiście. To było raptem kilka lat temu. Charlie dał nam doskonałą recenzję. Frankowi też się podobało. To był dobry chłopak. Tak jak Henry. Wszystko to byli dobrzy chłopcy. Mawialiśmy, że recenzji się nie czyta, bo recenzenci to tacy ignoranci, że szkoda czasu na czytanie ich wypocin. — Roześmiał się, rozbawiony własnymi słowami. Naraz jego twarz spoważniała. — Ale obchodziło nas, co o nas piszą, o tak. Zresztą ojciec panienki może jej to samo powiedzieć. A w ogóle, co się z nim teraz dzieje? Jest gdzieś tutaj? — Głowa staruszka, otoczona aureolą wysuszonych kosmyków, obracała się niepewnie to w jedną, to w drugą stronę.

— Mój ojciec?

— To Bobby Kelly nie jest ojcem
panienki?

Rune nie widziała powodu, dla
którego miałaby mówić staremu
człowiekowi o śmierci pana Kelty ego.
Odparła więc: — Nie, to mój znajomy.

— Gdzież on się podział? Przed
chwilą tutaj był.

— Musiał na moment odejść.

— ABips?

— Bawi się.

— Boję się, żeby nie wybiegł na ulicę.
Bardzo się podnieca na widok
samochodu. A jeszcze ci okropni
chłopcy. Dźgają go patykami.
Dziewczyny zresztą też. — Przypomniał
sobie o róży i dotknął lekko jej płatków.
— Podziękowałem panience za różę?

— **Jak najbardziej. — Runę usiadła po turecku na trawie obok wózka. — Panie Elliott, czy robił pan jakąś dokumentację do tego filmu? Do „Śmierci na Manhattanie”?**

— **Dokumentację? Mieliśmy od tego ludzi. Wytwórnia im za to płaciła. Ładne dziewczyny, takie ładne jak panienka.**

— **I to one badały historię, na której został oparty scenariusz? Historię tego gliniarza, który okradł Union Bank?**

— **Na pewno już tam nie pracują. Założę się, że wszystkie przeszły do redakcji „Time-Life”. Albo do „Newsweeka”. Wytwórnia co prawda lepiej płaciła, ale wielu nie odpowiadał ten wariacki tryb życia. A co słyhać u Hala? I u Dany? Cóż to był za przystojny mężczyzna...**

— Świetnie, obaj mają się wspaniale. Dowiedział się pan może czegoś ciekawego o tamtym policjancie? Mam na myśli prawdziwego policjanta, tego, który ukradł pieniądze?

— Oczywiście, że tak.

— Aczego?

Pan Elliott spojrział na swój przegub, gdzie dawniej zapewne zwykł nosić zegarek. — Znowu go zgubiłem. Wie może panienka, kiedy odjeżdżamy? Dobrze będzie wrócić wreszcie do domu. Między wami mówiąc... *Ib* znaczy, między *nami* mówiąc, nie przepadam za podróżami. Ale nie mogę narzekać, rozumie panienka? To kiedy ruszamy w drogę?

— Nie wiem, panie Elliott, naprawdę nie wiem... Czego się pan dowiedział o policjancie, który ukradł pieniądze?

- **O jakim policjancie?**
- **Ty¹¹¹ ze »Śmierci na Manhattanie".**
- **Napisałem scenariusz do tego filmu. Staralem się, żeby to była ciekawa historia. Wie panienka, nie ma to jak naprawdę ciekawa historia. Nic nie może się z tym równać.**
- **To była fantastyczna historia, panie Elliott. — Runę ukłękła przy wózku. — Najbardziej podobała mi się scena, w której Roy ukrywa pieniądze. Kopał jak szalony, pamięta pan? W filmie lup był ukryty na cmentarzu, a w rzeczywistości? Nie domyślał się pan, gdzie tamten policjant mógł ukryć pieniądze?**
- **Pieniądze? — Mężczyzna popatrzył na nią i po raz drugi w jego oczach pojawiło się coś na kształt zrozumienia. — Tyle pieniędzy...**

Rune poczuła lekkie ukłucie w żołądku, coś jakby skurcz. Wszeptała: — *Co się z nimi stało?*

Oczy pana EUiota znowu się zamglily. Rzekł: — *Wie panienka, co nam tu urządzają? Kiedy pogoda sprzyja, rozkładają papier na stołach, takie papierowe obrusy i mamy piknik. Podają nam orzeszki w małych papierowych kubkach. Takie różowe, wyglądają jak maleńkie, odwrócone parasolki. Nie wiem, gdzie są teraz te stoły. Mam nadzieję, że niedługo znów będziemy mieli piknik... A gdzie jest Bips?*

Rune opadła na pięty. Uśmiechnęła się. — *Bawi się, panie Elliott. Zaraz go poszukam. — Przez chwilę siedzieli w milczeniu, po czym Rune zapytała: — A czego chciał Robert Kelly, kiedy miesiąc temu był u pana z wizytą?*

Głowa starca odwróciła się ku niej, a jego jasny, przytomny wzrok ją zaskoczył.

— **Kto, Bobby? Wypytywał mnie o ten cholerny film. — Jego pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech. — Tak samo jak teraz ty, przez całe popołudnie.**

Rune nachyliła się bliżej, badając twarz staruszka, jego pomarszczone policzki, wyostrome rysy. — O czym dokładnie rozmawialiście z Bobbym Kellym?

— **Z Bobbym, twoim ojcem? Och, o tym co zwykle. Pracowałem przy „Śmierci...” z kilkoma chłopakami.**

— **Wiem. A o co pytał pana Bobby?**

— **O różne rzeczy.**

— O różne rzeczy? — powtórzyła zachęcająco.

Pan Elliott zmarszczył brwi. — Ktoś jeszcze mnie o to pytał. Ktoś jeszcze chciał się dowiedzieć...

Silniejsze uderzenia serca. — Kiedy to było, panie Elliott? Pamięta pan?

— W ubiegłym miesiącu. Nie, nie, całkiem niedawno. Czekał, już pamiętam — to było dzisiaj, ale wcześniej. — Skoncentrował się na jej twarzy. — To była dziewczyna, ostrzyżona jak chłopak. Bardzo do ciebie podobna. Poczekaj, a może to byłaś ty.

Zmrużył oczy.

Runę miała wrażenie, że lada moment wydarzy się coś ważnego. Przez chwilę milczała — jak wtedy, gdy wraz z ojcem jeździli na ryby w Ohio, łowić wielgachne sumy na cienkie wędki z supermarketu. Jeśli się nie uważało, wystarczył ułamek sekundy, żeby ryba się zerwała.

— Bobby Kelly — spróbowała jeszcze raz. — O co pana pytał, kiedy wpadł z wizytą?

Pan Elliott spuścił wzrok i przymknął powieki. — O to, co zwykle, no wiesz. Jesteś jego córką?

— Tylko znajomą.

— A gdzie on teraz jest?

— Jest zajęty, nie mógł ze mną przyjechać. Prosił, żebym pana po-

**zdrowiła i przekazała, że spędził miło
czas, gawędząc z panem miesiąc temu.
Mówił, że rozmawialiście o... Co to było?**

– **O tym miejscu.**

– **Jakim miejscu?**

– **Tym miejscu w Nowym Jorku,
dokąd go wysłałem. Powiedział, że od
dawna go poszukiwał.**

**Serce waliło jej jak młotem.
Odwróciła się do niego i spojrzała prosto
w jego zamglone oczy.**

– **Bardzo się cieszył, kiedy mu
powiedziałem, dokąd ma pójść. Szkoda,
że go wtedy nie widziałś. Ależ był
szczęśliwy! A gdzie jest Bips?**

– **Bawi się, panie Elliott. Zaraz go
poszukam. Dokąd pan wysłał
Bobby'ego?**

— Strasznie mu zależało, żeby tam trafić, a ja od razu go skierowałem we właściwe miejsce. Tak było.

— Pamięta pan dokąd?

— Och, to było jedno z tych miejsc... Tyle ich jest, wiesz?

*Runę nachyliła się jeszcze bliżej.
Błagam, spróbuj sobie przypomnieć.
Proszę, zaklinam... Czekala.*

Cisza. Staruszek kręcił głową. Czuł, jak bardzo to dla niej ważne, i w jego oczach malowała się frustracja. — Nie pamiętam. Bardzo mi przykro. — Potarł o siebie kciuk i palec wskazujący. — Czasem wydaje mi się, że tracę rozum. Zwyczajnie wariuję. Jestem już bardzo zmęczony. Chciałbym się zdrzemnąć.

— Nic nie szkodzi, panie Elliott. — W ustach Runę czuła gorzki smak porażki.

Uśmiechnęła się jednak i poklepała go po ramieniu, ale zabrała szybko dłoń, czując pod palcami jego przeraźliwą chudość. Pomyślała o ojcu. — Już dobrze, proszę się tym nie martwić.

Wstała, przeszła do tyłu i ujęła białe, plastikowe ręczki wózka. Zwolniła hamulce i zaczęła pchać wózek w kierunku ścieżki. — Hotel Florence — powiedział nagle pan Elliott. — Zachodnia Czterdziesta Czwarta numer 514. Na rogu Dziesiątej Alei.

Rune zamarła. Przykucnęła obok wózka, zaciskając dłoń na kruchym ramieniu starca. — To tam pan go wysłał?

— Tak... Tak sędzę. W tej chwili sobie przypomniałem.

— To cudownie, panie Elliott. Strasznie panu dziękuję. — Pochyliła się

i cmoknęła go w policzek. Musnął palcem to miejsce i miała wrażenie, że lekko się zarumienił.

Na ścieżce pojawił się Richard. Ruszył ku nim i już chciał coś powiedzieć, ale Rune uniosła w górę otwartą dłoń i umilkł.

Raoul Elliott dodał: — Chciałbym się teraz zdrzemnąć. Gdzie Bips?

— Bawi się, panie Elliott. Zaraz przybiegnie.

Staruszek rozejrzał się dokoła. — Mogę coś panience powiedzieć?

— Pewnie.

— Skłamałem.

Rune zawahała się. Po chwili odparła: — Nie szkodzi. Może mi pan jeszcze powiedzieć prawdę.

— Bips to zwykła gadzina. Od lat próbuję się go pozbyć. Nie zna panienka kogoś, kto chciałby wziąć psa?

Rune roześmiała się. — Niestety nie. Przykro mi.

Pan Elliott znów z zaciekawieniem spojrzał na leżący na kolanach kwiat. Próbował zdjąć celofanowe opakowanie, ale szybko się poddał i odłożył różę z powrotem na podolek. Rune odwinęła celofan. Staruszek wziął różę delikatnie w obie ręce i powiedział: — Odwiedzisz mnie jeszcze, dobrze? Na wiosnę wydają tu dla nas przyjęcie. Porozmawiamy o filmach. Bardzo bym tego chciał.

— Z przyjemnością — obiecała.

— I pozdrów ode mnie ojca.

— Tak zrobię.

**Podeszła do nich pielęgniarka.
Głowa staruszka przechyliła się i zwisała
bezwładnie z boku wózka. Jego oddech
stał się wolny i równomierny. Powieki
były lekko rozchylone, ale mężczyzna
spal. Zaczął nawet lekko pochrapywać.**

**Rune przyglądała mu się, myśląc, jak
bardzo przypomina jej ojca, kiedy był
już u kresu swojego życia. Rak, AIDS
czy starość... Śmierć zawsze wygląda tak
samo.**

**Pielęgniarka skinęła jej głową,
chwyciła rączki wózka i skierowała go
na ścieżkę. Róża zsunęła się na ziemię.
Pielęgniarka podniosła ją i położyła z
powrotem na kolanach pana Elliotta.**

**Padł na nich mroczny cień chmury,
która skojarzyła się Rune ze smokiem
stojącym na potężnych tylnych łapach.
Odwróciła się do Richarda. — Jedźmy
stąd. Wracajmy do Strony.**

Hotel Florence, w pobliżu rzeki Hudson, znajdował się w Hell's Kitchen, na zachód od Midtown.

Rune dobrze znała historię swojego miasta. Kiedyś ta dzielnica należała do najniebezpieczniejszych w Nowym Jorku, była domem Sulo i Hudson Dusters, bezlitosnych gangów, przy których dzisiejsza mafia robiła wrażenie kółka różańcowego. Większość szemranego elementu zniknęła albo ucywilizowała się, gdy zbudowano tunel prowadzący do New Jersey. Po okolicy wciąż jednak kręciły się niedobitki irlandzkich i latynoskich gangów. Krótko mówiąc, nie było to miejsce, gdzie dobrze byłoby samotnie spacerować po zmroku.

Stokrotne dzięki, Richardzie, pomyślała.

Wysadził ją tu i zostawił całkiem samą przed hotelem Florence — trzypiętrowym budynkiem o spękanej i łuszczącej się elewacji, w którym różni biedacy za grosze wynajmowali tandetne pokoje. Miała zamiar jeszcze raz zapytać, o co właściwie mu chodzi, ale instynkt podpowiedział jej, że to naprawdę kiepski pomysł.

— Trochę się spieszę — oznajmił. — Poradzisz sobie sama?

— Nic mi nie będzie. Odważna ze mnie kobieta.

— Muszę się spotkać z paroma osobami. Zostałbym, gdyby nie to.

Nie zapytała, z kim, chociaż umierała z ciekawości.

— Nie ma sprawy. Jedź.

– Na pewno?

– Tak.

Z paroma osobami...

Patrzyła, jak samochód odjeżdża. Richard oficjalnie pomachał jej na pożegnanie. Wahala się przez chwilę, po czym ostrożnie ominęła bezdomnego, chrapiącego smacznie pod wąskim oknem i skrzynką na kwiaty po brzegi wypełnioną pustymi puszkami po piwie. Pchnęła drzwi wejściowe i znalazła się w holu hotelowym. W środku unosiła się woń wilgotnych tapet, środka do dezynfekcji i jakieś nieokreślone, acz niemile zapachy zwierzęce. W miejscach takich jak to człowiek odruchowo wstrzymywał oddech.

Recepcjonista spojrzal na nią spoza ochronnej szyby z pleksi, która zniekształcała jego rysy. Był to chudy

mężczyzna o włosach gładko zaczesanych do tyłu, ubrany w białą koszulę i rdzawe sztruksowe spodnie. Na koszuli były ciemne plamy, a na spodniach jasne.

– Tak? — odezwał się.

– Z opieki społecznej na Brooklynie, no wie pan?

– Pani mnie pyta?

– Mówię panu, kim jestem.

– Aha, rozumiem. Opieka społeczna.

– Chciałabym się czegoś dowiedzieć o jednym z moich pacjentów, mężczyźnie, który mieszkał tutaj przez około miesiąc.

– To nie mówicie o nich „podopieczni”?

- Słucham?
- Ci z opieki społecznej stale się tutaj kręcą. Ale oni nie mają pacjentów, tylko podopiecznych.
- To jeden z moich podopiecznych — poprawiła się.
- Ma pani jakiś dowód?
- Dowód? Słuchaj pan, jestem starsza niż...
- No, legitymację pracownika opieki społecznej.

Legitymację?

- Ach, rozumiem. Widzi pan, przed tygodniem mnie okradziono. Miałam akurat zlecenie w Bedford Stuyvesant. Odwiedzałam podopiecznego. Zabrali mi torebkę — drugą torebkę, tę wyjściową — w której miałam wszystkie

papiery. Zgłosiłam to już w ośrodku, ale wie pan, ile się czeka na nową legitymację?

— Domyślam się, że zaraz mi to pani powie.

— Dłużej niż na paszport. Ładnych parę tygodni.

Recepcjonista uśmiechnął się szeroko. — A gdzie pani kończyła

kurs na pracownika socjalnego?

— Na Harvardzie.

— Poważnie? — Uśmiech nie schodził z jego twarzy. — Jeżeli to wszystko, to do widzenia. Jestem bardzo zajęty. — Wziął do ręki „National Geographic” i zaczął go kartkować.

— Niech pan posłucha, mam tu do załatwienia ważną sprawę. Chodzi o

człowieka, który nazywa się Robert Kelly.

Mężczyzna spojrział na nią znad otwartego czasopisma. Nic nie powiedział. Ale nawet przez porysowany plastik Runę dostrzegła w jego oczach wzmożoną czujność.

Mimo to ciągnęła: — Wiem, że przez pewien czas tutaj mieszkał. Najprawdopodobniej trafił tu z polecenia niejakiego Raoula Elliotta.

— Raoula? Nie znam żadnego Raoula.

Siląc się na cierpliwość, zapytała: — A pamięta pan Roberta Kellyego?

Recepcjonista wzruszył ramionami.

– **Może zostawił coś na przechowanie? Walizkę? Albo jakiś pakunek w sejfie?**

– **W sejfie? Czy ten hotel wygląda na taki, który by miał sejf?**

– **To naprawdę ważne.**

Mężczyzna znowu nie odpowiedział. Naraz ją olśniło. Obejrzała w końcu wystarczająco dużo filmów. Powoli wzięła do ręki torbę, otworzyła ją, sięgnęła do środka i wyjęła pięć dolarów, które następnie uwodzicielsko przesunęła w jego stronę. Całkiem jak w tym filmie oglądanym jakiś miesiąc temu. Harrison Ford. Albo Michael Douglas.

Jemu się udało, ona została wyśmiana.

**Wręczyła recepcjoniście jeszcze
dziesięć.**

— **Słuchaj no, mała. Aktualna stawka
za udzielanie informacji to pięćdziesiąt
dolców. Obowiązuje w całym mieście.
Zupełnie, jakbyśmy mieli związek
zawodowy.**

Pięćdziesiąt? Cholera.

**Dała mu dwadzieścia. — To
wszystko, co mam.**

**Mężczyzna wziął od niej pieniądze.
— Nie wiem nic...**

— **Ty draniu! To oddawaj forszę!**

— **...poza jedną rzeczą o tym twoim
„podopiecznym”, Kellym. Jakiś ksiądz
czy pastor, ojciec Jak-mu-tam, dzwonił
tu, będzie z parę dni temu. Powiedział, że
Kelly zostawił mu na przechowanie**

walizkę. W domu go nie zastał, a to był jedyny namiar, jaki po sobie zostawił. Księżulo wykombinował, że może dowie się ode mnie, gdzie mógłby znaleźć Kelly'ego. Nie wiedział, co ma zrobić z tą walizką.

Wszystko się zgadzało! Runę przypomniała sobie scenę z filmu, w której Roy zakopuje łup na cmentarzu w pobliżu kościoła!

— Znakomicie, fantastycznie! Wie pan, gdzie jest ten kościół? Chociaż w przybliżeniu?

— Nie zapisałem adresu. Ale tamten powiedział chyba, że dzwoni z Brooklynu.

— Z Brooklynu! — Rune oparła się dłońmi o szybę z pleksi. Pochyliła się i zaczęła podskakiwać na palcach. — To po prostu rewelacja!

Recepcjonista schował pieniądze do kieszeni. — Życzę miłego dnia. —
Ponownie otworzył czasopismo i zagłębił się w artykule o pingwinach.

Na zewnątrz Rune odszukała automat telefoniczny i zadzwoniła do Amandy LeClerc.

— Amanda? Mówi Rune. Jak się czujesz?

— Bywało lepiej. Brak mi go, wiesz? Roberta... Krótko się przyjaźniliśmy, ale tęsknię za nim bardziej niż za paroma osobami, które znalazłam wieki całe. Sporo o tym myślę i wiesz, co wymyśliłam?

— No?

— Że może szybciej zbliżyliśmy się do siebie, bo oboje nie byliśmy już tacy młodzi. Tak jakbyśmy czuli, że nie zostało nam zbyt wiele czasu.

- **Ja też za nim tęsknię, Amando.**
- **A ja nie wiem niczego nowego o panu Symingtonie.**
- **Nie pokazał się więcej?**
- **Nie, nikt go tu nie widział. Pytałam sąsiadów.**
- **Za to ja mam dobre wiadomości.**
— **Opowiedziała jej o kościele i walizce.**

**Przez chwilę kobieta milczała. —
Rune, naprawdę myślisz, że tam mogą
być jakieś pieniądze? Stale mnie cisną w
sprawie czynszu. Szukałam jakiejś
pracy, ale nie jest to łatwe. Nikt nie
zatrudnia teraz takich starych bab.**

- **Myślę, że jesteśmy na właściwym tropie.**
- **To co mam zrobić?**

– **Zaczynij obdzwaniać kościoły na Brooklynie. Trzeba sprawdzić, gdzie pan Kelly zostawił walizkę. Możesz przejść się do biblioteki i wziąć książkę telefoniczną Brooklynu. Mamy taką w wypożyczalni. Ja wezmę parafie od „A” do „L”, ty możesz sprawdzić od „M” do „Z”.**

– **„Z”? Myślisz, że jest jakiś święty na „Z”?**

– **A bo ja wiem? Może święty Zabar?**

– **Dobrze. Od jutra rana zacznę dzwonić.**

Rune rozłączyła się i rozejrzała dokoła. Słońce właśnie zachodziło; w półmroku dzielnica robiła przygnębiające wrażenie. Jednak to, co czuła, tylko po części miało związek ze smutną szarzyzną otoczenia. Przede

wszystkim bowiem był to strach. Czula się bezbronna. Niskie zabudowania — w większości wypalone albo na różnych etapach rozbiórki — parę warsztatów samochodowych, opuszczony bar, kilka zaparkowanych samochodów. Na ulicy nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, gdyby została napadnięta. Gromadka dzieciaków w strojach świadczących o przynależności do gangu przysiadła gdzieś na schodach, dzieląc się butelką piwa czy działką kokainy. Czarnoskóra dziwka w zabójczych szpilkach stała z założonymi rękami, oparta o ogrodzenie z siatki. Paru bezdomnych koczowało przy studzienkach ściekowych i w bramach budynków.

Miała wrażenie, że całkiem straciła orientację. Znow była na Manhattanie, ale wciąż czuła się jak w obcym miejscu, jakby jakiś mur oddzielał ją od jej ukochanej Strony.

Ruszyła przed siebie ze wzrokiem wbitym w brudny chodnik, trzymając się jak najbliżej krawężnika, z dala od ciemnych zaułków i kamienic, w których z pewnością czaili się bandyci i gwałciciele.

Wróciła myślą do „Władcy pierścieni”. Zadumała się nad tym, jak to wszelkie wielkie wyprawy zawsze rozpoczynają się na wiosnę, przy pięknej pogodzie, a poszukiwacze przygód wyruszają w drogę żegnani przez wesołe grono przyjaciół, z solidnym prowiantem i dobrym napitkiem w jukach, by na koniec wylądować w Mordorze, najbardziej ponurej krainie, jaką można sobie wyobrazić, królestwie ognia, śmierci i cierpienia.

Wydawało jej się, że ktoś ją śledzi, ale kiedy się obejrzała, zobaczyła tylko cienie.

Dotarła do Midtown i wsiadła do metra. Godzinę później była już w domu, na swoim poddaszu. Ani śladu liścika od Richarda. A Sandry oczywiście nie było. Randka w niedzielę? Co za niesprawiedliwość! Nikt nigdy nie umawiał się w niedziele. Cholera. Wsunęła kasetę ze „Śmiercią na Manhattanie” do magnetowidu i po raz kolejny włączyła odtwarzanie. Minęła połowa filmu, zanim zorientowała się, że recytuje dialogi do wtóru z aktorami. Mimowolnie nauczyła się wszystkich tekstów na pamięć.

Przerażająca, pomyślała. Ale mimo wszystko obejrzała film aż do samego końca.

Haarte był wściekły.

Był poniedziałek rano, a on siedział w swojej miejskiej rezydencji. Przed chwilą odebrał telefon od współnika,

który poinformował go, że jeden ze świadków, Susan Edelman, niedługo wyjdzie ze szpitala, a druga dziewczyna, ta o dziwnym imieniu, prowadzi dochodzenie z lepszym skutkiem niż nowojorska policja.

Stąd ta wściekłość.

Niedozwolona emocja w tej branży. Haarte'owi *nie wolno* było okazywać gniewu, kiedy był policjantem. Jako żołnierz, a później najemnik nie miał co *zrobić* ze swoim gniewem. Teraz zaś, będąc zawodowym zabójcą, uważał gniew za niepotrzebne obciążenie. I poważne ryzyko.

A mimo to był wkurzony. Po prostu wściekły.

Siedział w domu i rozmyślał o ostatnim pieprzonym zleceniu, o tym, jak bardzo wszystko się skomplikowało.

Zabicie człowieka powinno być najprostszą rzeczą pod słońcem. Miesiąc wcześniej on i Zane upili się w barze hotelu Plaża i zebrali im się na ckliwe filozofowanie. Stwierdzili wtedy, że ich praca bije inne na głowę, ponieważ jest taka prosta. I czysta. Wlewając w siebie szkocką, Haarte głośno szydził z pracowników reklamy, prawników i handlowców: — Ich życie jest zbyt skomplikowane i przez to gównie warte.

Na co Zane: — Ale taka jest rzeczywistość. Prawdziwe życie *jest* skomplikowane.

— Jeżeli taka jest rzeczywistość, to możesz się nią wypchać — odparł Haarte. — Dla mnie liczy się prostota.

Miał na myśli obowiązujący w ich zawodzie dziwny rodzaj etyki. Osobiście szczerze w nią wierzył. Ktoś płacił mu za wykonanie zadania, a jeśli on nie mógł

się wywiązać ze zlecenia, po prostu zwracał pieniądze, ewentualnie próbował jeszcze raz później. Prostota. „Cel” ginął albo nie.

Ale ich ostatnie zadanie przestało być proste. Pojawiło się zbyt wiele niedokończonych spraw. Zbyt wiele pytań. Zbyt wiele kierunków, w jakich wszystko mogło się potoczyć. Rzykował, podobnie jak Zane.

o tak jak ci, którzy ich wynajęli.

Facet z St. Louis nie miał pojęcia, co się tu właściwie dzieje, ale wpadłby w szal, gdyby się dowiedział.

Ta myśl wprowadziła Haarte'a w jeszcze większą wściekłość.

Chciał coś z tym zrobić, ale nie był w stanie podjąć decyzji. W szpitalu leżał jeden świadek... I była ta zwariowana

**dziewczyna z wypożyczalni... Dobrze
byłoby zamknąć przynajmniej kilka
niedopiętych spraw. Jednak popijając
poranne espresso, nie potrafił
zdecydować, jak się za to zabrać. Było
mnóstwo sposobów na
unieszkodliwienie ludzi stanowiących
zagrożenie. Można ich było oczywiście
zabić, co w więk- szości przypadków
okazywało się najskuteczniejszym
rozwiązaniem. Czasami zabójstwo
świadka czy kogoś, kto wtyka nos w nie
swoje sprawy, do tego stopnia utrudnia
policji prowadzenie śledztwa, że koniec
końców sprawa ląduje na dnie szuflady
jako mało priorytetowa. Czasami
jednak taka śmierć odnosi wręcz
przeciwny skutek. Sprawą zaczyna
interesować się prasa, w efekcie czego
gliny zaczynają zwijać się jak w ukropie.**

**Zabójstwo to jeden sposób. Można
też człowieka okaleczyć. Albo go
zastraszyć. Nie trzeba zadawać wiele**

bólu, żeby wyeliminować delikwenta z rozgrywki na długi, długi czas. Wystarczy utrata ręki, nogi albo wzroku... Jeśli ktoś jest wystarczająco bystry, doznaje całkowitej amnezji i zapomina o wszystkim, co widział i słyszał. A gliny nie mogą nawet zarzucić ci morderstwa.

Można też zabić lub skrzywdzić kogoś *bliskiego* osobie, którą chce się zastraszyć, jej przyjaciela albo kochanka. Haarte wiedział z doświadczenia, że to rozwiązanie naprawdę świetnie się sprawdza.

Co wobec tego wybrać?

Haarte wstał i przeciągnął się. Popatrzył na swój drogi zegarek. Następnie przeszedł do kuchni, gdzie zrobił sobie jeszcze jedno espresso. Mocna czarna kawa wprawiała jego współnika w stan niepokoju. Ale

Haarte'a uspokajała, lepiej mu się po niej myślało.

Pociągnął łyk pobudzającego napoju.

Myślał: „To, co miało być proste, nagle się skomplikowało”.

I jeszcze: „Pora coś z tym zrobić”.

A oto i ona. Nareszcie nadchodzi.

Haarte czekał na nią w bocznej uliczce już dobre pół godziny.

Maszeruje ulicą zadumana, zamknięta w swoim małym, własnym świecie.

Haarte sporo o niej myślał. Często zdarzało mu się rozmyślać o ludziach, których miał zabić. Teraz zastanowił się, co właściwie każe mu poświęcać im aż tyle uwagi, tak dokładnie badać ich

codzienne sprawy, skoro jedynym celem tych działań jest odebranie im życia. Ten czy inny fakt, który ktoś postronny mógłby uznać za ciekawy, fascynujący czy po prostu uroczy, mógł w jego przypadku przesądzić o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Jakiś drobiazg, na przykład to, gdzie ktoś robi zakupy, którędy jeździ do pracy, informacja, że łowi ryby w konkretnym jeziorze albo tego i tego dnia posuwa swoją sekretarkę.

Kiedy była już tylko pół przecznicy od niego, zatrzymała się i zapatrzyła na wystawę sklepu. Ciuchy. Czy kobiety zawsze muszą gapić się na ciuchy? Haarte sam dobrze się ubierał i lubił markowe rzeczy. Ale na zakupy szedł tylko wtedy, gdy stary garnitur nie nadawał się już do noszenia albo porwała mu się koszula, a nie po to, żeby dla przyjemności oglądać szmaty upchnięte na wieszakach w dusznym, zatłoczonym sklepie.

Właśnie ten związany z nią fakt starannie odnotował w pamięci. Lubiła chodzić po sklepach — choćby tylko po to, żeby pooglądać — co znakomicie się składało, dlatego że przecnicę od sklepu, przed którym teraz stała, Haarte wypatrzył wznoszące się rusztowania.

Przeciął ulicę i przebiegł obok niej. Nie zauważyła go. Rozejrzał się uważnie. Jakaś firma budowlana otoczyła rusztowaniami czteropiętrowy budynek, który najwyraźniej miał być wyburzony. W budynku byli robotnicy, ale w tej chwili pracowali po drugiej stronie i nie mogli widzieć, co się dzieje na ulicy. Haarte przeszedł pod rusztowaniem i wszedł w otwarte drzwi wejściowe. Omiótł spojrzeniem płataninę kabli i desek w zimnym, surowym wnętrzu, które było niegdyś głównym holem. Na posadzce poniewierało się rozbite szkło, kawałki rur, gwoździe i puste puszki po piwie.

Nic szczególnego, ale będzie musiało mu wystarczyć.

Wyjrzał na ulicę i zobaczył, że dziewczyna znika w sklepie z ubraniami.

Świetnie.

Wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki, wyszukał kawałek liny i odciął z niej około sześciometrowy kawałek brzytwą, którą zawsze nosił przy sobie. Następnie wziął jeszcze kilka rur i zaczął przy nich manipulować. Po pięciu minutach wszystko było gotowe. Haarte cofnął się do wyjścia i ukrył w mroku bramy.

Ciekawe, czy długo trzeba będzie czekać? — pomyślał.

Okazało się, że niedługo, zaledwie cztery minuty.

Dziewczyna zbliżała się do niego spacerowym krokiem. Zadowolona z najnowszego zakupu — cokolwiek to było — nie zwracała na nic uwagi. Ciesząc się wiosennym porankiem, stąpała tanecznym krokiem po chodniku.

Sześć metrów, cztery i pół, trzy...

Weszła pod rusztowanie, a gdy znalazła się dokładnie naprzeciwko bramy, Haarte zawołał: — Halo, proszę pani!

Zatrzymała się w pół kroku, wciągając gwałtownie powietrze. — Przestraszył mnie pan — powiedziała gniewnie.

— Chciałem tylko ostrzec. Powinna pani uważać, dokąd idzie. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Umilkł. Zmrużyła oczy, jakby zastanawiała się, czy już go gdzieś nie spotkała. Zaraz jednak jej spojrzenie przesunęło się z jego twarzy na linę, którą trzymał w ręku, a następnie wzdłuż liny poza bramę i na chodnik, na wysoki metalowy słup, pod którym właśnie stała.

Zrozumiała, co się zaraz stanie. — Nie! Błagam!

Haarte nie usłuchał. Z całej siły szarpnął linę, wrywając słup wspierający pierwsze piętro rusztowania. Wcześniej poluzował inne słupy i powyciągał spod nich drewniane bloczki. Teraz ten, do którego przywiązał linę, był jedynym oparciem dla ważącej kilka ton konstrukcji ze stali i drewnianych belek, wznoszącej się dobre sześć metrów nad stojącą na chodniku dziewczyną.

Krzykowi przerażenia towarzyszył ruch uniesionych w górę rąk. Rozcapierzyła szeroko palce, ale był to jedynie automatyczny gest, czyśto zwierzęcy odruch — jakby chciała w ten sposób zatrzymać potworny ciężar, który się na nią zwałił. Huk był tak głośny, że Haarte nie słyszał nawet jej ostatniego krzyku w chwili, gdy niczym grad gigantycznych włóczni runęły na nią fragmenty drewna i stali, wzniesając przy tym ogromny obłok pyłu.

W ciągu dziesięciu sekund było po wszystkim. Haarte podbiegł do słupa, odwiązał linę i wyrzucił do kontenera na śmieci. Potem zerwał z rąk rękawiczki i opuścił pobożowisko, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę krwi wypływającej spod sterty gruzu na sam środek chodnika.

Stojący na szczycie schodów mężczyzna obrócił się wokół własnej osi, rozglądając się bacznie po poddaszu.

Jakieś zapiski? Pamiętniki? Świadcowie?

Ubrany był w roboczą kurtkę z wyhaftowanym na kieszonce imieniem „Hank”. Poniżej sam dopisał informację: „Wydział robót publicznych. Odczyt liczników”.

Wszedł na górę i przespacerował się wzdłuż regałów, wyciągając pojedyncze książki i uważnie je kartkując.

Coś musiało tu być. Dziewczyna wyglądała na taką, która znosi do domu różności. Taką, która lubi chomikować. I, psiarew, najwyraźniej w tym przypadku pozory go nie zmyliły.

Miał przed sobą sporo pracy: przejrzanie wszystkich książek, papierów i tak dalej. Pluszowe zwierzaki, rozmaite świstki, pamiętniki... Cholera, ta dziewczyna kompletnie nie była zorganizowana. Przekopanie się przez to wszystko zajmie mu całe wieki. W pierwszym odruchu miał ochotę wszystko porzucić, wybebeszyć walizki, pociąć nożem materace. Nie zrobił tego jednak. Pracował wolno, metodycznie. To byłoby wbrew jego naturze. Jeżeli się spieszysz, działaj powoli. Usłyszał to kiedyś od kogoś i na zawsze zapamiętał. Od człowieka, dla którego kiedyś pracował i który już nie żył — nie dlatego, że był nieostrożny, ale dlatego, że w tej branży ludzie po prostu ginęli, i tyle.

Jeżeli się spieszysz, działaj powoli.

Dokładnie oglądał poduszki, zawartość kartonów i półek na książki.

Pod materacem znalazł pudełko z etykietą głoszącą: „Magiczne kryształy”. Wewnątrz były kawałki kwarcu. Magiczne”. Wyszeptał to słowo tak, jakby wymawiał je po raz pierwszy albo jakby pochodziło z japońskiego.

Chryste Panie, trafił do jakiegoś pieprzonego wariatkova.

Wziął do ręki kasetę wideo opatrzoną tytułem „Śmierć na Manhat-tanie” i zaraz ją odłożył.

Usłyszał kroki.

Cholera. *Kto* to może być?

Chichot. A potem kobiecy głos: — Zaczekaj, nie tutaj. Nie teraz!

Sięgnął do kieszeni i zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

Na schodach pojawiła się dwudziestoparolatka w białym staniku i sukience opuszczonej do pasa. Widząc go, znieruchomiała na ostatnim stopniu. W milczeniu patrzyła na niego. On zaś patrzył na jej cycki.

— Coś ty, kurwa, za jeden? — zapytała, niechętnie podciągając do góry sukienkę.

— A ty coś za jedna? — odparował.

Ton jego głosu sprawił, że potulnie odparła: — Sandra.

— Mieszkasz z nią?

— Z Runę? No, chyba tak.

Roześmiał się. — *Chyba* tak? Od jak dawna się znacie?

— No wiesz, nie za długo.

Starannie odnotował tę informację, ocenił też język jej ciała. Starał się rozszyfrować, czy jest niewinna, czy raczej niebezpieczna. Czy kiedykolwiek kogoś zabiła. — Co to znaczy „nie za długo”?

— He?

— Od jak dawna się znacie, do kurwy nędzy?!

— Od paru miesięcy. A czego ty tu szukasz, do cholery?
Zza pleców Sandry wyjrzał facet pod trzydziestkę, blondyn, napakowany typ. Stał obok niej, mrużąc oczy. „Hank” zignorował go.
— Pytałam, czego tutaj szukasz? — powtórzyła Sandra. „Hank” skończył przeglądać biblioteczkę. Jezu, ależ mu się nie chciało kartkować tych wszystkich książek. Musiało ich tu być z pół setki.
— Ej, ty tam — zawołał blondyn. — Ta pani zadała ci pytanie. Zabrzmiało to jak tekst z naprawdę kiepskiego filmu. „Hank” uwielbiał kino. Mieszkał sam i każde sobotnie popołudnie spędzał w pobliskim multipleksie.
Zmrużył powieki. — Jakie pytanie mianowicie?
— Co pan tutaj robi? — powtórzyła niepewnie dziewczyna.
Pokazał jej napis na kieszonce. — Odczytuję liczniki.
— Nie możecie tak po prostu tu włączyć — zaprotestował blondyn. Sandra próbowała go mitygować, mniej zaniepokojona samymi słowami, co tonem jego wypowiedzi. Ale chłopak uciszył ją machnięciem ręki. — Nie możecie wchodzić do lokalu bez pozwolenia. To naruszenie cudzej własności. Na to jest paragraf.
— Aha, paragraf. A co to znaczy?
— Że możemy cię pozwać, ty łachu.
— Aha, paragraf. Tak się jednak składa, że mieliśmy informację o wycieku.
— Tak? Jakim znowu wycieku? — dociekała już odważniej Sandra. — Kto go zgłosił?
„Hank” wyszczerzył zęby w uśmiechu i jeszcze raz popatrzył na jej piersi. Nieźle cycki. Niebrzydka. Przydałoby jej się ufarbować włosy i pozbyć tego punkowego makijażu. I dlaczego nosi biały stanik, jak jakaś stara baba? Wzruszył ramionami. — Nie wiem. Ktoś z dołu zadzwonił ze skargą.
— Ja tu nie widzę żadnego wycieku — oznajmiła. — Więc może by już pan sobie poszedł?
— Nie miałyście tu ostatnio jakiegoś zalania?
— A co gościa od liczników obchodzą przecieki i zalania? — warknął zadziorny towarzysz Sandry.
„Hank” popatrzył przez okno. Mieli stąd zajebiście fajny widok. Spojrzał na tamtych. — Przy wycieku gazu wystarczy spojrzeć na licznik i od razu wiadomo. Brzmi logicznie, zgodzicie się?

— To dlaczego grzebał pan w rzeczach Rune?

— Nie grzebałem. Szukałem licznika.

— Tutaj go nie ma — odparła Sandra. — Może pan teraz wyjść?

— A pani może mnie grzeczniej poprosić?

Blond przystojniaczek zrobił dokładnie to samo, co w podobnej sytuacji zrobiliby Redford, Steve McQueen czy Stallone. Stanął o krok przed Sandrą, skrzyżował ramiona na piersi opiętej koszulką polo i powiedział: — Dama prosi, żeby pan stąd wyszedł.

Zachować się jak zawodowiec czy nie? „Hank” rozważał to przez chwilę. Jak zwykle zwyciężyła w nim *ta druga* strona jego natury i odparł: — Skoro z niej taka dama, to dlaczego pieprzy się z takim dupkiem jak ty?

Blondyn uśmiechnął się krzywo, pokręcił głową i zrobił krok naprzód, napinając rozbudowane na siłowni mięśnie. — Wynocha.

Zabawa okazała się jednak mniej wciągająca, niż „Hank” się spodziewał. Szybko doszedł do wniosku, że nie warto było wdawać się w nieprofesjonalne pyskówki. Gdyby jeszcze trafił na kolesia, który wie, co robi... To byłoby coś. Mogliby zaliczyć parę rund, poćwiczyć zwody i lewe sierpowe. Ale z takim zasmarkanym japiszonem... Chryste.

Trochę się poprzepychali, poszarпали. Parę razy rzucili przez zęby to, co się zwykle mówi w takich sytuacjach: „Ty sukinsynu...”, tego typu rzeczy.

A potem „Hank” się znudził i uznał, że dłuższy pobyt w tym miejscu może być dla niego ryzykowny. Kto wie, kogo ta parka mogła zawiadomić. Wyszarpował się, wymierzył blondynowi cios w splot słoneczny i poprawił w szczękę.

Szast-prast i po sprawie. Dwa ciche uderzenia. Facet osunął się na kolana. Mdłości musiały mu doskwierać bardziej niż ból, jak to zwykle bywa przy ciosach w brzuch. Pewnie to jego pierwsza bójka.

Kurczę, czyżby miał...

Chłopak wymiotował prosto na podłogę.

— Jezu, Andy — mruknęła Sandra. — Co za ohyda.

„Hank” pomógł And/emu wstać. Potem położył go na łóżku.

Okej, wystarczy tego dobrego, pomyślał. Czas zachować się jak na profesjonalistę przystało. Zwrócił się do Sandry: — Sprawa wygląda tak: jestem z firmy windykacyjnej. Twoja przyjaciółka ma na karcie debet na parę tysięcy i od roku nas unika. Miarka się przebrała.

— Ib mi do niej pasuje. Słuchaj, nie wiem, gdzie teraz jest. Nie odzywała się od...

Uciszył ją ruchem ręki. — Jeśli komuś powiesz, że mnie tu widziałeś, zrobię z tobą to samo co z nim. — Popatrzył znacząco na blondyna, który leżał na wznak i jęczał, zasłaniając ręką oczy.

Sandra pokręciła głową. — Nikomu nic nie powiem.

Już wychodził, kiedy zawołała za nim: — Fajnie się bijesz. — Pozwoliła znów sukience opaść i odsłonić piersi. „Hank” podciągnął ją z powrotem i uśmiechnął się: — Powiedz swojemu chłopcasiowi, żeby popracował nad lewym prostym. Za słabo atakuje.

15

Panno Rune?

Właśnie wchodziła do wypożyczalni. Na dźwięk swojego imienia przystanęła w progu i odwróciła się.

Nie patrzyła jednak wcale na mężczyznę, który ją zatrzymał, tylko na odznakę i legitymację w sfatygowanym portfelu, które jej pokazał. Agent federalny.

Super, pomyślała, zanim dotarło do niej, że powinna się zaniepokoić.

— Nazywam się Dixon.

Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać aktor wybrany z castingu do roli agenta federalnego: wysoki, o pobrużdżonej zmarszczkami twarzy. W jego głosie słychać było lekki akcent z Queensu. Pomyślała o detektywie Virgilu Manellim i o tym, że zawsze widziała go w garniturze. Ten natomiast miał na sobie dżinsy i sportowe buty oraz sportową czarną wiatrówkę, odzież typową dla mieszkańców nowojorskich przedmieść. W takim stroju na pewno nie wpuściliby go do Area, jej ulubionego nocnego klubu. I te krótko przystryżone kasztanowe włosy. Wyglądał jak jakiś budowlaniec.

— Proszę mi mówić Rune. Jaka tam ze mnie panna.

Kiedy chował odznakę, zauważyła wielki pistolet wystający z paska jego spodni.

Super... Broń Schwarzeneggera, pomyślała. Z czegoś takiego można strzelać do ciężarówek.

Przypomniała sobie, że powinna być zaniepokojona.

Mężczyzna przymrużył oczy, po czym lekko się uśmiechnął. — Nie pamięta mnie pani?

Pokręciła przecząco głową. Pozwoliła, żeby drzwi się za nią zamknęły.

— Widzieliśmy się w mieszkaniu przy Dziesiątej Ulicy. Byłem w ekipie dochodzeniowej.

— U pana Kelly'ego?

— Właśnie.

Przytaknęła, wracając myślami do tamtego koszmarnego poranka. Ale jedyne, co zapamiętała, to zbyt blisko osadzone oczy detektywa Manelliego.

I jeszcze przestrelony telewizor.

I twarz pana Kelly'ego.

I krew na jego piersi.

Dixon zajrzał do notesu, po czym schował go z powrotem do kieszeni i zapytał: — Kontaktowała się pani ostatnio z niejaką Susan Edelman?

— Z Susan... A tak, tym drugim świadkiem. — Japiszonką w stroju do joggingu. — Wczoraj do niej dzwoniłam i przedwczoraj. Była jeszcze w szpitalu.

— Rozumiem. Mogę wiedzieć, dlaczego pani do niej dzwoniła?

Bo ktoś musi wreszcie znaleźć mordercę, a policja ma wszystko w nosie. Powiedziała jednak: — Żeby zapytać, jak się czuje. Dlaczego pan pyta?

Dixon zawahał się. Nie spodobało jej się, jakim spojrzeniem lustrował jej twarz. Jakby ją egzaminował. W końcu odezwał się: — Pani Edelman przed godziną zginęła.

— Co takiego? — jęknęła Rune. — Nie!

— Obawiam się, że tak.

— Co się stało?

Dixon wyjaśnił: — Przechodziła obok budynku w trakcie rozbiórki. Zawaliło się rusztowanie. To mógł być wypadek, ale raczej tak nie uważamy.

— Ale... Przecież...

—¹ Nikt pani nie groził? A może zauważyła pani coś podejrzanego od czasu tego morderstwa przy Dziesiątej Ulicy?

— Nie. — Skrępowana wbiła wzrok w ziemię, potem spojrzała na agenta.

Dixon przyglądał jej się uważnie. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Powiedział: — Z uwagi na pani bezpieczeństwo i na bezpieczeństwo innych ludzi muszę wiedzieć, jak bardzo jest pani w tę sprawę zaangażowana.

— Ja wcale...

— Proszę pani, to poważna sprawa. Początkowo mogła to pani traktować jak zabawę, ale tak nie jest. Możemy panią zatrzymać i później o tym porozmawiać... Ale naprawdę nie sędzę, żeby chciała pani spędzić tydzień w areszcie śledczym dla kobiet. No, więc jak będzie?

W jego głosie brzmiała autentyczna troska. Oczywiście w pewnym sensie jej groził, ale taki już chyba miał styl. Prawdopodobnie zawodowy nawyk. Rune odniosła wrażenie, że Dixon naprawdę boi się, żeby nie skończyła tak samo jak pan Kelly czy Susan Edelman.

Powiedziała mu więc o paru rzeczach. O filmie, skradzionych pieniądzach i o związku pana Kelly'ego z napadem na bank. Ani słowa o Symingtonie, kościele czy walizce. Ani słowa o Amandzie LeClerc.

Dixon powoli kiwał głową. Rune nie mogła się zorientować, o czym myśli. Jediną rzeczą, która wyraźnie go zainteresowała, był tamten napad sprzed lat.

Dlaczego uniósł brew, kiedy o tym wspomniała?

— Gdzie pani mieszka? — zapytał.

Podala mu adres.

— Numer telefonu?

— Nie mam telefonu. Może pan zadzwonić do wypożyczalni i zostawić dla mnie wiadomość.

Dixon namyślał się przez chwilę. — Nie wydaje mi się, żeby była pani w niebezpieczeństwie.

— Ja naprawdę niczego nie widziałam. **Tylko** tamten zielony samochód. To wszystko. Nie zapamiętałam numeru rejestracyjnego ani twarzy kierowcy. Nie ma *powodu*, żeby mnie zabijać.

To go najwyraźniej rozbawiło. — Nie w tym rzecz, panienko. To, że wciąż pani żyje, wynika wyłącznie z faktu, że ktoś nie chce, aby pani zginęła. Przynajmniej na razie. Gdyby tak nie było, już by pani nie żyła. Na pani miejscu zapomniabym o tamtym napadzie na bank. Może pan Kelly zginął właśnie z tego powodu? W tej chwili najprawdopodobniej nic pani nie grozi, ale jeśli nadal będzie pani węszyć wokół tej sprawy... Kto wie, co się może zdarzyć?

I — Ja tylko...

Jego twarz złagodniała. — Jest pani atrakcyjną, bystrą kobietą. I do tego twarda z pani sztuka. Po prostu nie chciałbym, żeby stało się pani coś złego.

Rune odparła: — Dzięki, postaram się o tym pamiętać. — Jej myśli krążyły jednak wokół dwóch spraw. Po pierwsze, Dixon nie nosił obrączki. A po drugie, był zdecydowanie przystojniejszy, niż jej się z początku wydawało.

Czego on od ciebie chciał? Czy ja dobrze widziałam, że pokazał ci *odznakę*? — Stephanie prawie się zapowietrzyła.

Rune stanęła za ladą wypożyczalni, dołączając do obsługującej kasę Stephanie i odparła: — To agent federalny... — Pokręciła smutno głową. — Świadek morderstwa pana Kelly'ego, wiesz, tamta druga kobieta, nie żyje.

— Nie mów!

— To mógł być wypadek, albo i nie. — Rune wpatrywała się tępo przed siebie. W magnetowidzie nie było żadnej kasety, więc patrzyła na zaśnieszony ekran. — Najpewniej nie — szepnęła.

— A co z tobą? Nic ci nie grozi? — chciała wiedzieć Stephanie.

— On tak uważa.

— *Uważał*

— Ale jest w tym wszystkim coś dziwnego...

— Co?

— Facet powiedział, że jest agentem federalnym.

— Już to mówiłaś.

— Dlaczego ktoś taki miałby prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa kogoś z East Village?

— Co masz na myśli?

Rune zastanawiała się. — Widziałam kiedyś taki film o Dillingerze. Znasz Johna Dillingera?

— Nie osobiście.

— Ha, ha, bardzo śmieszne. Napadał na banki. To przestępstwo federalne, więc nie ścigała go miejska policja, tylko *cichociemni*.

— Kto?

— Agenci federalni. No wiesz, z agencji *rządowej*. Coś jak FBI. Agenci!

— Czekaj, nie myślisz chyba, że gość prowadzi dochodzenie w sprawie tego napadu na bank, o którym mi opowiadałaś. Tfego sprzed pięćdziesięciu lat?

Rune wzruszyła ramionami. — Nic nie mówił, ale nie sądzisz, że to duży zbieg okoliczności? Wydawał się bardzo zainteresowany, kiedy coś o tym wspomniałam.

Stephanie pochyliła się nad numerem „Variety”. — Trochę to czasowo naciągane.

Cóż to jednak znaczy wobec wieczności? — jakby powiedział Richard.

Rune znalazła książkę telefoniczną Brooklynu i otworzyła pod hasłem „kościół”. Wydało jej się czymś dziwnym, że w tym samym spisie można znaleźć agencje towarzyskie, usługi hydrauliczne oraz świątynie.

Przerzuciła kilka stron. Kurczę, sporo tego.

Wzięła do ręki słuchawkę i wykręciła pierwszy numer.

Po półgodzinie Stephanie zapytała: — Myślisz, że dostanę tę rolę?

— Jaką rolę? — odparła z roztargnieniem Rune, przytrzymując ramieniem przyciśniętą do ucha słuchawkę. Kazano jej czekać. To też wydawało jej się dziwne: dzwonisz do kościoła i słyszysz, że masz czekać.

— Nie mówiłam ci? Za tydzień mam przesłuchanie. To tylko reklama, ale mimo wszystko... Świetnie płacą. *Muszą* mnie przyjąć. To dla mnie strasznie ważne.

Rune zeszywniała lekko, słysząc w słuchawce głos księdza.

— Halo?

— Wielebny ojcze, tego... Proszę pana... Próbuję się dowiedzieć czegoś o moim dziadku, Robercie Kellym. Około siedemdziesiątki. Nie wie ksiądz, czy nie należał przypadkiem do księdza parafii?

— Robert Kelly? Nie, panienko, na pewno nie.

— Okej, dziękuję ojcu. I życzę miłego dnia. — Odłożyła słuchawkę na widełki, odsunęła od siebie książkę telefoniczną i zagadnęła Stephanie: — Czy tak się mówi do księży?

— Jak?

— „Życzę miłego dnia”? Nie powinno się mówić czegoś wznioślejszego? Bardziej uduchowionego?

— Mów sobie, co chcesz. — Stephanie odłożyła na bok „Variety” i wzięła się za stertę kaset, które czekały, żeby odstawić je na miejsce. — Normalnie umrę, jeśli nie dostanę tej roboty. Pełnowymiarowa reklama, bite trzydzieści sekund. Zagrałabym młodą żonę z zespołem napięcia przedmiesiączkowego, która nie może cieszyć się kolacją z okazji rocznicy ślubu, dopóki nie weźmie pigułki.

— Jakiej pigułki?
— A bo ja wiem? „Skurczom-stop”.
— Co takiego?
— O rany, czegoś w tym rodzaju. Łykam pigułkę i razem z mężem uśmiechnięci tańczymy walca. Miałabym na sobie długą białą suknię. To ohydne ubierać babki na biało do reklam związanych z miesiączką. Trochę się boję, bo nie umiem tańczyć walca. Taniec nie jest moją najmocniejszą stroną. I — tak między nami — nie najlepiej śpiewam. Cholernie trudno jest znaleźć dobrą pracę w tej branży, kiedy nie umie się tańczyć ani śpiewać.
— Za to masz wspaniałe ciało i świetne włosy.
I jeszcze jesteś wysoka. Cholera.
Przerzucała kolejne strony, pomijając synagogi i meczety. — Amanda też tak wydzwania... Żal mi jej. Biedna kobieta. Wyobraź sobie — jej przyjaciel ginie, a *na dodatek* wyrzucają ją z kraju.
— Nawiasem mówiąc, chyba nie każdy kościół to parafia — zauważyła Stephanie.
— Myślisz, że wkurzyłam ich, mówiąc o parafii? — Runę zmarszczyła brwi.
— Myślę, że wkurzyliby się, gdybyś czciła szatana i rzucała uroki. Ale chyba niespecjalnie ich obchodzi, jak ludzie nazywają ich kościoły. Wspominam o tym tylko dla poszerzenia twoich, no wiesz, horyzontów.
Runę podniosła słuchawkę i zaraz ją odłożyła. Jej uwagę zwróciła wchodząca właśnie szczupła, młoda kobieta o ciemnej karnacji. Ostrzyżona na pazia, miała na sobie granatowy kostium, a w ręku ciężki neseser noszony przez prawników albo księgowych. Runę zmierzyła ją wzrokiem i szepnęła do Stephanie: — Stawiam dolara, że będzie Richard Gere.
Stephanie zaczekała, aż kobieta podejdzie do regału z komediami i zdejmie z półki „Żądło”. Dopiero wtedy sięgnęła do kieszeni i położyła na ladzie cztery ćwierćdolarówki. Runę rzuciła obok jednodolarowy banknot. Stephanie wymamrotała: — Myślisz, że jesteś taka cholernie cwana, co? Wyczuwasz ich na odległość?
— Dokładnie tak — odparła cicho Rune.
Kobieta krążyła między regałami nieświadoma, że Rune i Stephanie obserwują każdy jej krok, jednocześnie udając wielce zapracowane. Wreszcie podeszła do lady i położyła film z Redfordem i Newmanem

na gumowej podkładce obok kasy. — Wezmę ten. — Podała Rune kartę członkowską. Stephanie, uśmiechając się radośnie, sięgnęła po pieniądze. Kobieta zawahała się, po czym dodała: — A może wzięłabym jeszcze jeden? — I cofnęła się do działu obyczajowego.

Po chwili obok „Żądła” znalazła się „Żądza władzy”. Z okładki spojrzwały na nie uwodzicielsko ciemne oczy Richarda Gere'a. Stephanie pchnęła dwa dolary w kierunku Rune i nabiła należność na kasę. Kobieta chwyciła kasety i opuściła wypożyczalnię.

— Skąd wiedziałas? — zwróciła się do Rune Stephanie.

— Popatrz. — Rune wstukała numer karty członkowskiej kobiety do komputera i wyświetliła listę wszystkich wypożyczonych dotąd przez nią filmów.

— Oszukiwałaś!

— Nie zakładaj się, jeśli nie znasz swoich szans na wygraną.

— No, nie wiem, Rune — odparła Stephanie. — Wydaje ci się, że pan Kelly miał bzika na punkcie ukrytych skarbów, a tymczasem mamy tutaj kobietę, która w ciągu pół roku dziesięć razy wypożyczała filmy z Richardem Gerem. To jest co najmniej równie dziwne.

Rune pokręciła głową. — Nie. Wiesz, dlaczego ona to robi? Bo ma z nim wymyślony romans. Wiesz, jak to dzisiaj jest. Seks jest niebezpieczny. Dlatego trzeba brać sprawy *w swoje ręce*, że tak powiem. Moim zdaniem to ma sens.

— Ciekawe. Wyglądasz mi raczej na ryzykantkę — tropisz ukryte skarby, szukasz morderców, ale nie chcesz iść z facetem do łóżka.

— Kiedyś się z kimś prześpię. Chcę tylko mieć pewność, że to będzie właściwa osoba.

— Właściwa? — Stephanie prychnęła pogardliwie. — Ty naprawdę wierzysz w bajki, co?

Rune włożyła do magnetowidu piracką kopię „Śmierci na Manhattanie”. Po kilku minutach westchnęła: — Czyż ona nie była piękna? — Na ekranie Ruby Dahl o przyciętych do ramion jasnych włosach szła pod rękę z Daną Mitchellem, który grał jej narzeczonego, policjanta Roya. W tle za nimi majaczył Most Brooklyński. Było to jeszcze przed napadem. Roy został wcześniej wezwany przez kapitana, który gratulował mu świetnych wyników w pracy. Jednak młody posterunkowy martwił się, że jest bez grosza. Musiał przecież utrzymać z czegoś swoją chorą matkę. Nie wiedział też, kiedy on i Ruby się pobiorą.

Liczył się z tym, że będzie musiał odejść ze służby i zatrudnić się w hucie stali.

Roy, najdroższy, jesteś taki dobry w tym, co robisz. Już dawno powinni cię awansować na komisarza. Gdybym ja była twoim szefem, od razu bym to zrobiła.

Nieziemsko przystojny Dana Mitchell szedł obok w ponurym milczeniu. Po chwili powiedział jej, że jest świetną dziewczyną, a on najszczęśliwszym młodzieńcem pod słońcem. Potem kamera wolno oddaliła się od nich, aż na tle czarno-białego miasta zostały tylko dwie ledwie widoczne kropki.

Runę opuściła wzrok na ladę. — O mój Boże!

— Co się stało? — spytała zaniepokojona Stephanie.

— Tu jest wiadomość do mnie.

— No i?

— Gdzie jest Frankie? Psiakrew. Skopię mu tyłek...

— Dlaczego?

— Zapisał dla mnie wiadomość i zostawił ją tutaj, pod stosem rachunków. — Uniosła w górę jakiś świstek. — Patrz! Patrz! To od Richarda. Od wczoraj się nie odzywał, od kiedy wysadził mnie samą na West Side. — Runę skrzywiła się. — Na pożegnanie cmoknął mnie w policzek.

— Au. 'tylko w policzek?

— Właśnie. I to po tym, jak widział mnie topless.

Stephanie pokręciła głową. — Niedobrze.

— Jakbym sama nie wiedziała.

Wiadomość brzmiała następująco:

Runę, Richard zaprasza cię jutro na kolację o siódmej. On gotuje. Ma dla ciebie niespodziankę. Aha, pytał jeszcze, dlaczego do cholery nie sprawisz sobie telefonu. Ha, ha, oczywiście żartował.

— Nareszcie! A już myślałam, że dał sobie ze mną spokój po tym, jak w niedzielę zabrałam go za miasto do domu opieki.

— Do domu opieki?! Runę, musisz wybierać bardziej romantyczne miejsca na randki.

— No, jasne! Znam takie jedno genialne złomowisko...

— Och, przestań.

— Ale jest naprawdę fantastyczne. — Rozzochrała palcami włosy. — Co powinnam założyć? Mam bluzkę w grochy, dopiero co kupioną w Second-Hand Rose. I spódnicę z tygrysa, długości jakichś dwudziestu centymetrów... No co tak na mnie patrzysz?

— Ze skóry tygrysa?
— No przecież nie *prawdziwej*... Ty chyba nie z tych, co walczą o lasy deszczowe? No, ona jest szyta w New Jersey...
— Rune, zagrożone gatunki nie są tu problemem.
— A co *jest* problemem?
Stephanie przyjrzała jej się uważnie. — Czy to są fosforyzujące kolczyki?
— Kupiłam je rok temu na Halloween — odparła Rune obronnym tonem, dotykając plastikowych czaszek. — Dlaczego tak mi się przyglądasz?
— Lubisz bajki, prawda?
— Oczywiście.
— A pamiętasz Kopciuszka?
— O, ta jest *najlepsza*. Wiesz, że w oryginalnej wersji braci Grimm macocha obcina brzydkim siostronom pięty nożem, żeby ich stopy zmieściły się w...
— Rune. — W głosie Stephanie była anielska cierpliwość.
— Co?
— Wróćmy na moment do wersji Disneya.
Rune spojrzała na nią czujnie. — Okej.
— Pamiętasz ją?
— Tak.
Stephanie obesła Rune wolno, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. — Wiesz, do czego piję?
— Hm... Do czarodziejskiej przemiany?
Stephanie uśmiechnęła się promiennie. — Nie obraż się, ale uważam, że trzeba ci dobrej wróżki.

16

Rune upierała się przy przymiotniku „seksowny”.

Stephanie niechętnie jej uległa, ale ich wyprawa do sklepów specjalizujących się w zmysłowych kolekcjach okazała się porażką. Rune spędziła pół godziny w ciasnej, dusznej przymierzalni, zmieniając kolejne czarne suknie, bawiąc się włosami, zgrywając się na Audrey Hepburn i usiłując wyglądać seksownie. Mimo to wciąż miała w głowie słowo „staromodna” i chociaż rozbierała się i oglądała w lustrze swój

płaski brzuch, szczupłe nogi i ładną buzię, „staromodna” niszczyło cały efekt. Trudno. Nie dla niej wieczorowe suknie.

— Wygrałaś — mruknęła do Stephanie.

— Dziękuję — padła obcesowa odpowiedź. — A teraz do roboty.

Powędrowały na południe, poza Village.

— Richard lubi obcisle, seksowne stroje — tłumaczyła się Rune.

— Wiadomo — odparła Stephanie. — Jak każdy facet. Pewnie podobają mu się też czerwono-czarne gorsety i podwiązki. — I spokojnie zaczęła jej wyjaśniać, że kobieta nigdy nie powinna kupować ciuchów „pod faceta”. Powinna kupować je *dla siebie*, bo wtedy mężczyzna będzie ją bardziej szanował i mocniej jej pożądał.

— Tak myślisz?

— Ja to *wiem*.

— Odjazd — westchnęła Rune.

Stephanie przewróciła oczami i oznajmiła: — Pójdziemy w styl europejski.

— Wiesz, Richard wygląda zupełnie jak Francuz... Chciałabym, żeby zmienił imię.

— Na jakie?

— *Najpierw* myślałam o François, ale teraz skłaniam się ku Jean-Paulowi.

— A co on na to?

— Jeszcze mu nie powiedziałam. Wolę odczekać parę tygodni.

— Mądra dziewczynka.

SoHo, dawna dzielnica magazynów i fabryk sąsiadująca z Greenwich Village, właśnie stawała się modna. Niegdyś stanowiła bastion osiadłych artystów, malarzy i rzeźbiarzy, którzy zgodnie z miejskim podziałem na strefy jako jedyni mogli legalnie osiedlać się w tej okolicy. Jednak wydając zezwolenia wyłącznie dyplomowanym artystom, miasto nie robiło jednocześnie nic, żeby kontrolować ceny olbrzymich loftów. W związku z tym z chwilą, gdy w budynkach komercyjnych rozgościły się galerie sztuki, restauracje i butiki, ceny mieszkań natychmiast poszły w górę, osiągając pułap setek tysięcy dolarów... Zabawne, jak wielu prawników i bankierów nagle odnalazło w sobie talent do rzeźbienia czy malarstwa.

Przeszły obok sklepu z ubraniami, który w środku cały pomalowany był na biało. Rune zatrzymała się przed wystawą i wpatrzyła w czarną, jedwabną bluzkę.

— Genialna!

— Zgadzą się — przyznała łaskawie Stephanie.

— Możemy ją kupić?

— Nie.

— Dlaczego?! Co ci się znowu nie podoba?

— Widzisz tę metkę? To nie jest numer katalogowy, tylko cena.

— Czteryście pięćdziesiąt dolarów!

— Chodź ze mną. Znam tu w pobliżu pewien hiszpański butik.

Skręciły z West Broadway w Spring i weszły do sklepu, który natychmiast podbił serce Rune. Przy drzwiach siedziało bowiem na grzędzie wielkie, białe ptaszysko, które na ich widok zaskrzeczało: „Śmierć frajerom!”.

Rune rozejrzała się. — Może być, ale to nie są imprezowe ciuchy. Nie widzę tu nic w stylu Nowej Fali.

— I tak ma być.

Po dwudziestu minutach starannego dobierania, Stephanie przyjrzała się Rune z aprobatą i dopiero potem pozwoliła jej się przejrzeć w lustrze.

— Niewiarygodne — szepnęła Rune. — Chyba potrafisz czarować.

Rdzawoczerwona spódnica była co prawda długa, ale raczej falująca niż seksownie obcisła. Do tego głęboko wycięty czarny podkoszulek, a na wierzch prześwitująca koronkowa bluzka. Stephanie wybrała jej też parę długich kolczyków z pomarańczowego plastiku.

— Nie jestem to *dawna* ja, ale *tak jakby* nadal czuję się sobą

— Po prostu ewoluujesz — odparła Stephanie.

Gdy sprzedawczyni pakowała zakupione rzeczy, Rune zwróciła się do Stephanie: — Znasz bajkę o czerwonej kurce?

— To coś z „Ulicy Sezamkowej”?

— Raczej nie. Czerwona kurka piekła chleb i nikt nie chciał jej pomóc oprócz jednego zwierzęcia. Nie pamiętam już, co to było. Kaczka? A może królik? Wszystko jedno. Tak czy owak, kiedy chleb był gotowy, pozostałe zwierzęta przyszły do kurki i każde chciało dostać po kawałku. Ale ona powiedziała: „Jazda stąd, parszywe gnojki”. I podzieliła się tylko z tym jednym, które jej pomogło. Wiedz, że kiedy odnajdę te zrabowane pieniądze, podzielę się nimi z tobą.

— Ze mną?!

— Ty mi wierzysz, w przeciwieństwie do Richarda i policji.

Stephanie nie odpowiedziała. Wyszły na ulicę i zawróciły w kierunku West Broadway. — Nie musisz tego robić, Rune — powiedziała w końcu.

— Ale chcę. Może wtedy będziesz mogła rzucić robotę w tej dużej wypożyczalni i skupić się na castingach.

— Naprawdę...

— Nie. — W głosie Rune znów zabrzmiał twardy, węgierski akcent. — Nie kłócić się z kobieta ze wsi. Ja być bardzo uparta... Ojej, zaczekaj! — Rune zauważyła jakiś sklep po przeciwnej stronie ulicy.

Richard powiedział, że ma dla mnie niespodziankę. Też chcę mu coś podarować.

Przebiegły Broadway, wymijając przejeżdżające samochody. Rune zatrzymała się, złapała oddech i spojrzała na wystawę. — Co najbardziej kręci facetów? — spytała.

— Oni sami — prychnęła Stephanie. Weszły do środka.

Na pierwszy rzut oka asortyment sklepu wydawał się futurystyczny, chociaż w rzeczywistości równie dobrze mogą to być antyki, pomyślała Rune. Przypomniała sobie, że tak samo w opowieściach jej matki wyglądały lata sześćdziesiąte — krzykliwe kolory, migające światła, statki kosmiczne, planety oraz podniecająca mieszanka kadzidlanych woni: piżma, paczuli, róży i drzewa sandałowego.

Zauważyła podświetlony od tyłu plakat przedstawiający statek szybujący w powietrzu. — Bardzo w stylu retro.

Stephanie omiotła wnętrze sklepu znudzonym spojrzeniem.

W przegródkach na ladzie można było znaleźć kawałki skał wulkanicznych, kryształy, różnorakie kamienie, opale, srebro i złoto, czarodziejskie różdżki z kwarcu owinięte srebrnym drucikiem, błyszczące tiary, meteoryty, pamiątki związane z NASA oraz taśmy z muzyką elektroniczną. Na jednej z przegródek widniała etykieta z informacją: „Iluzje optyczne”. Po ścianach przesuwwały się ospale barwne plamy światła rozszczępianego przez obracające się pryzmaty.

— Zaraz dostanę ataku epilepsji — narzekała Stephanie.

— To najbardziej czadowe miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. Ale odjazd, co? — Rune wzięła do ręki dwa dinozaury i kazała im tańczyć.

— Bizuterię mają niezłą. — Stephanie pochyliła się nad ladą.

— Jak myślisz, co by mu się spodobało?

— Straszna tu drożyzna. Zwyczajne zdzierstwo.

Rune zakręciła kalejdoskopem. — Zabawki chyba go nie interesują.

Sprzedawca, szczupły ciemnoskóry mężczyzna o pociągłej, przystojnej twarzy obramowanej rastafariańskimi dreadami, zagadnął Rune niskim, melodyjnym głosem: — I co tam widzisz?

— Nirwanę. Sam zobacz. — Podąła mu ciężką tubę.

Włączył się do zabawy i spoglądając w kalejdoskop, zauważył: — Jasne, nirwana jak żywa. Mamy dziś promocję na kalejdoskopy dające oświecenie. Połowa ceny.

Rune pokręciła głową. — Nie podoba mi się, że trzeba płacić za oświecenie.

— To Nowy Jork — odparł. — Czego się spodziewałaś?

Stephanie jęknęła: — Jeść już mi się chce...

W tej samej chwili Rune spostrzegła bransoletki. W wielkiej szklanej piramidzie spoczywało chyba z tuzin srebrnych obręczy. Stanąwszy przy końcu lady, przyglądała im się z lekko rozchylonymi ustami, wydając z siebie przeciągłe westchnienie. *Oooch...*

— Podobają ci się? — zapytał sprzedawca.

— Mogę zobaczyć tę tam?

Wzięła od niego delikatną bransoletkę, przysunęła do twarzy, obróciła raz i drugi. Srebrna obręcz była miejscami węższa, miejscami szersza, a jej końce wyglądały jak dwie splecione dłonie.

Rastafarianin uśmiechnął się szeroko. — Ładna. Dobrze by na tobie wyglądała, ale...

— Ale? — powtórzyła kpiąco Stephanie.

Sprzedawca popatrzył uważnie na Rune. — Myślisz o tym, żeby ją komuś oddać, prawda? Mam rację? — Ujął bransoletkę długimi, zmysłowymi palcami i przez chwilę badawczo jej się przyglądał. Rune pomyślała o dłoniach Richarda niespiesznie otwierających puszkę piwa. Sprzedawca spojrział jej prosto w oczy. — Żeby podarować ją jakiemuś mężczyźnie? Przyjacielowi?

Rune nie zareagowała, za to Stephanie wyraźnie się zainteresowała: — Skąd wiesz?

Uśmiechnął się. Przez chwilę milczał, po czym powiedział: — Myślę, że to dobry człowiek.

Stephanie zerknęła na niego niespokojnie. — *Skąd to wiesz?*

Rune, której wcale nie zdziwiły słowa sprzedawcy, rzuciła tylko: — Biorę.

— Jest zdecydowanie za droga.

Rastafarianin zmarszczył brwi. — Słucham? Ja tu wam proponuję oświecenie, miłość, a wy narzekacie, że droga?!

— Musisz zacząć się z nim targować — nakazała Stephanie.

Rune westchnęła. — Proszę zapakować na prezent.

Rastafarianin zawahał się. — Na pewno?

— Jasne. A bo co?

— Nic, po prostu mam przecucie, że ta bransoletka będzie jeszcze dla ciebie ważna, bardzo ważna. — Dotknął lekko srebrnej obręczy. — Nie oddawaj jej zbyt pochopnie. Nie spiesz się.

— Czy teraz możemy wreszcie coś zjeść? — burknęła Stephanie.
— Jestem potwornie głodna.

Gdy wychodziły, sprzedawca zawołał za Runę: — Nie zapomnisz, co ci powiedziałem?

Runę odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. — Nie zapomnę.

Powiedział: „Ja pójdę, sir”.

Runę podała Stephanie hot doga kupionego w budce przed kościołem Świętej Trójcy niedaleko Wall Street i ciągnęła:

— „Ja pójdę, sir”. Właśnie tak powiedział tamten policjant, Roy — to znaczy Dana Mitchell — do kapitana. Gliniarze otoczyli już bank, stoją z megafonami i bronią gotową do strzału, a on mówi: „Ja pójdę, sir”. Wszyscy są zaskoczeni, bo to tylko zwykły posterunkowy i na dodatek młody chłopak. Wcześniej nikt nie zwracał na niego uwagi. A tymczasem to on się pierwszy zgłasza, żeby ratować zakładnika.

Odebrała od sprzedawcy swojego hot doga. Przysiadły przy ogrodzeniu z kutego żelaza otaczającego przykościelny cmentarz. Broadway był pełen ludzi. Mijały ich tysiące spieszących się przechodniów; niektórzy skręcali w Wall Street i znikali w rzeźbionych portalach stacyjnych, ponurych gmachów.

Stephanie jadła powoli, za każdym kęsem podejrzliwie przyglądając się swojej bułce.

— No więc Roy prosi szefa: „Niech mi pan pozwoli spróbować, sir. Wiem, że potrafię go przekonać”.

— Uhm. — Stephanie patrzyła teraz przed siebie; nieprzerwanie przesuwaną się strumień ludzi działał na nią hipnotyzująco.

— Na to porucznik: „Zgoda, posterunkowy. Skoro chcesz iść, to nie będę cię zatrzymywał”.

Runę wyrzuciła niedojedzonego hot doga do kosza i wstała. — „Ale to bardzo niebezpieczne zadanie”. — Zabrzmiało to równie dramatycznie jak w ustach bohatera filmu. — To już mówi inny gliniarz, kumpel Roya. Na co Dana — pamiętasz to jego rozmarzone spojrzenie? — Dana odpowiada: „Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zginął, kiedy *ja* pełnię służbę”. Potem zaciska te swoje kwadratowe szczęki, poprawia czapkę, oddaje pałkę kumplowi, przechodzi przez ulicę i wdrapuje się do banku przez okno na tyłach... — Runę niecierpliwie dreptała w miejscu. — Chodźmy! Chcę zobaczyć ten bank.

Stephanie spojrzała krytycznie na ostatni kęs bułki i cisnęła ją do kosza, po czym wytarła dłonie i usta cienką papierową serwetką.

Skreśliły w Wall Street. Przez mleczne obłoki przebijało mgliste, białe światło, ale sama ulica, ciasno zabudowana wąskimi, ciemnymi biurowcami, tonęła w przygnębiającym półmroku.

Runę mówiła dalej: — Zdjęcia kręcone były w starym budynku Union Banku, gdzie przed laty miał miejsce prawdziwy napad. Bank dawno już zbankrutował, a budynek został sprzedany. Rok temu kupiła go jakaś firma i otworzyła na parterze restaurację.

— To może napijemy się tam kawy? — poprosiła błagalnie Stephanie. — Królestwo za kawę!

Runę była niezwykle podekscytowana. Wybiegała parę kroków naprzód, po czym zwalniała, czekając, aż Stephanie do niej dołączy. — Czy to nie cudowne? Chodzić po tych samych ulicach, po których czterdzieści lat temu chodzili tamci aktorzy? Może sam Dana Mitchell przystanął akurat w tym miejscu i oparł nogę na tym hydrancie, żeby zawiązać sznurowadło!

— Może.

— Ojej, spójrz! — Runę chwyciła ją za ramię. — Tam, za rogiem! Stamtąd strzelał rabuś, kiedy gliny otoczyły bank, jak włączył się alarm. To fantastyczna scena. — Pobiegnęła w tamtą stronę, wymijając po drodze młodą kobietę w różowym kostiumie, i przywarła plecami do marmurowej elewacji, jakby chciała się schować przed ostrzałem. — Stephanie! Schyl się! Kryj się!

— Zwariowałaś — oświadczyła spokojnie Stephanie, podchodząc do niej wolno.

Runę wyciągnęła rękę. — Chcesz oberwać? Kryj się!

Zaśmiewając się, pociągnęła Stephanie za sobą w dół. Przykucnęły. Kilka osób usłyszało okrzyk Runę i niespokojnie rozejrzało się dokoła. Udając, że nie zna Runę, Stephanie syknęła zniecierpliwiona: — Całkiem kobiecie odbiło! — I zaraz dodała na cały głos, w stronę przechodniów: — Całkiem jej odbiło.

Oczy Runę płonęły. — Wyobraź to sobie! Bank jest tuż za rogiem. A teraz... Słyszysz? — Z oddali dobiegł je hałas wiertarki udarowej. — Karabin maszynowy! Przestępca ma karabin maszynowy, automat! Wali do nas. Jest tuż za rogiem, ma milion dolarów i zakładnika! Trzeba go ratować!

Stephanie roześmiała się i szarpnęła Runę, włączając się w końcu do zabawy. — Nie, nie idź tam! To zbyt niebezpieczne!

Runę poprawiła niewidoczną czapkę i wyprostowała się. — Nikt nie zginie, kiedy ja pełnię służbę. — Po czym skręciła za róg.

W samą porę, żeby zobaczyć, jak buldożer wysypuje resztki tego, co było kiedyś jednym z pięter siedziby Union Banku, do wielkiego metalowego kontenera.

— No nie... — Runę zatrzymała się na środku zatłoczonego chodnika. Zanim zdążyła się przesunąć, wpadło na nią kilku zaaferowanych biznesmenów. — No nie... — Zakryła ręką usta.

Firma rozbiórkowa zdążyła już wyburzyć większą część budynku; pozostała tylko jedna ściana. Pękaty buldożer nagarniał na łyżkę sterty potrzaskanych cegieł, kawałki desek i metalu.

— Jak mogli to zrobić?!

— Co?

— Zburzyć go! Już po banku...

Runę odeszła parę kroków od Stephanie. Jej oczy utkwione były w sylwetkach robotników obsługujących wiertarki udarowe. Stali oni na krawędzi ocalałego muru, dobre dziesięć metrów nad ziemią i pruli cegły pod swoimi stopami. Potem spojrzała w głąb ulicy, po czym wolno przecięła ją i podeszła do płotu ze sklejki, odgradzającego przechodniów od miejsca rozbiórki.

Nie zdołała dosięgnąć do otworów wyciętych w drewnie przez robotników, bo znajdowały się na wysokości oczu wysokiego mężczyzny. Weszła więc na plac budowy przez otwartą bramę z metalowej siatki. Olbrzymi nasyp prowadził w dół, aż do fundamentów, przy których stała ciężarówka z kontenerem. Co rusz dobiegał stamtąd ogłuszający huk, gdy tony gruzu lądowały w jego stalowym wnętrzu.

Dopędziła ją Stephanie. — Chyba nie powinnyśmy tu wchodzić.

— Dziwnie się czuję — oznajmiła Rune.

— Dlaczego?

— Żeby tak po prostu wszystko zniszczyć... Ten budynek był dla mnie jak dobry znajomy. Pamiętałam go dokładnie z filmu, a teraz już go nie ma. Jak mogli coś takiego zrobić?

Pod nimi drugi buldożer uniósł w górę ogromną metalową siatkę ochronną i opuścił ją na obnażone fragmenty muru. W tej samej chwili nad ich głowami rozległ się bolesny jęk syreny. Buldożer wycofał się. Kolejne dwa sygnały. Minutę później odpalono ładunki. Ziemia pod ich

stopami zadrzała od wybuchu. Buchnął dym, a metalowa siatka uniosła się o kilka metrów w górę. Następne trzy sygnały oznajmiły im, że już po wszystkim.

Rune zamruwała powiekami. W jej oczach zabłyśły łzy. — To nie tak miało być.

Schyliła się i podniosła z ziemi kawałek marmuru zdobiącego niegdyś fasadę banku; był szaroróżowy jak pstrąg i z wierzchu idealnie gładki. Runę długo nań patrzyła, zanim schowała go do kieszeni.

— Zupełnie nie tak miało być — powtórzyła.

— Chodźmy stąd. — Stephanie pociągnęła ją za sobą.

Buldożer uniósł siatkę i zaczął nagarniać na łyżkę zwały pogruchootanych cegieł.

17

Zapakowała bransoletkę w ozdobny papier.

Ale zanim doszła do Trzeciej Alei, mijając po drodze sklepy z tanią odzieżą, punkt z okolicznościowymi kartkami oraz delikatesy, zdążyła dojść do wniosku, że takie opakowanie jest dobre dla dziewczyn. Na papierze widniał wzór z liści winorośli — nic bardziej zniewieściałego od tego, co można znaleźć na starych ilustracjach JBaśni tysiąca i jednej nocy" — ale Richard mógł sobie pomyśleć, że to jakieś kwiatki.

W połowie drogi do jego mieszkania wsunęła więc dłoń o świeżo umalowanych paznokciach — dla odmiany na różowo, a nie jak zwykle na zielono czy niebiesko — do torby i zerwała papier oraz wstążkę.

Potem jednak, czekając na przejściu dla pieszych przy Dwudziestej Trzeciej, zaczęła się zamartwiać dołączonym pudełeczkiem. Dawanie komuś prezentu w *pudełku*, prezentu, który miał być — jak to się mówi? — spontaniczny, wydało jej się nagle zbyt oficjalne. A faceci bali się nazbyt przemyślanych gestów.

Cholerni faceci...

Paznokcie znów poszły w ruch i otworzyły pudełeczko, które następnie podzieliło los zgniecionego papieru w arabski wzór na dnie jej torby w lamparcie cętki. Runę wzięła teraz do ręki bransoletkę i obejrzała ją pod światło.

Momencik; czy ona nie jest przypadkiem zbyt kobieca?

Zresztą, jakie to ma znaczenie? Nie zapominaj, że to *rycerz-filozof*, a nie jakiś prostak siekający wieśniaków mieczem na plasterki. Tak czy

inaczej, z *pewnością* miał w sobie coś androgenicznego. Jak herm-afrodyta... Wcześniej o tym nie pomyślała, ale teraz doszła do wniosku, że to jeden z powodów, dla których tak dobrze do siebie pasowali. W końcu u obojga z nich granice między elementem męskim i żeńskim, jin i jang, były bardzo płynne.

Schowała bransoletkę do kieszeni.

Wiesz, akurat szukałam czegoś dla siebie — pamiętasz, jak ci mówiłam, że uwielbiam bransoletki? — ale stwierdziłam, że ta jest dla mnie zbyt męska, i pomyślałam, no wiesz, przyszło mi do głowy, że mógłbyś...

Zatrzymała się na kolejnym przejściu, obok hinduskiego sklepu; przez otwarte drzwi na ulicę wypływały dźwięki sitaru i woń kadzidełek. Światła zmieniły się.

Wiesz, trafiłam na promocję w moim ulubionym sklepie. Dwie bransoletki w cenie jednej. Wyobrażasz sobie? Po prostu bomba. Zaczęłam się zastanawiać, czy znam kogoś, komu chciałabym podarować bransoletkę. I wiesz co? Ty wygrałeś...

Przeszła przez jezdnię.

Ulicę dalej dojrzała budynek, w którym mieszkał Richard. Starła się zachować obiektywizm, ale nie zdołała ukryć rozczarowania. Przed nią wznosił się klockowaty wielopiętrowy blok, wciśnięty między inne klockowate bloki — kawałek przedmieścia w centrum Manhattanu. Runę jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie swojego czarnego rycerza w mieszkanku o wąskich oknach, po sąsiedzku z handlowcami, pielęgniarkami i studentami medycyny.

No cóż... Ruszyła przed siebie i zatrzymała się dopiero na chodniku przed jego blokiem.

Słuchaj, Richard, może chcesz bransoletkę? Jeśli nie, to nie ma sprawy, oddam ją mamie, siostrze, współlokatorce... Ale jeśli ci się podoba... Rewelacyjny wzór, nie uważasz? Popatrz tylko.

Zrobiła krok w tył i przejrzała się w szybie.

O, bransoletka! Runę, jest po prostu fantastyczna! Załóż mi ją, nigdy jej nie zdejmę.

Potarła bransoletką o rękaw i znowu wrzuciła ją do kieszeni.

O, bransoletka. Hm, problem w tym, że ja nie noszę takich rzeczy...

Hm, problem w tym, że moja dziewczyna podarowała mi taką samą w dniu, kiedy popełniła samobójstwo...

Hm, problem w tym, że mam uczulenie na srebro...

Cholerni faceci.

Na widok jego ciemnych włosów i pociągłej, francuskiej twarzy znowu przeszedł ją znajomy dreszcz. Poczula, że zaraz głos jej się załame, i pomyślała: „Na litość boską, dziewczyno, weźże się w garść!”

Jaka powinna być? Kokieteryjna? Zdziwiona? Uwodzicielska? Postawiła na neutralne: „cześć”. Stała nieruchomo w progu. Żadne z nich nawet nie drgnęło.

Richard rzucił jej jedno z tych koszmarnych spojrzeń w rodzaju: „Przecież jesteśmy tylko przyjaciółmi”. Wyglądał niemal na zaskoczonego jej wizytą. — Rune, no cześć, to ty?

— Ja? No tak... A co?

No cześć, to ty?

— Okej. — Skinął głową, a ona zorientowała się, że jest wyraźnie skrepowany. Mimo wszystko przywołał na twarz uśmiech. Rune miały sprzeczne emocje. Z jednej strony chciała rozpuścić się w powietrzu i zniknąć, z drugiej objąć go z całej siły i już nigdy nie puścić. Ale przede wszystkim zastanawiała się, o co tu do cholery chodzi.

Cisza. Jakaś starsza pani o wystającej szczęce i kwaśnym wyrazie twarzy minęła ich, prowadząc na smyczy teriera. Obrzuciła ich pogardliwym spojrzeniem. Wtedy Richard zapytał: — Co tam nowego w przemyśle filmowym? — Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, ale ani słowem nie skomentował nowego stroju Rune. Zerknął na jej kolczyki i też nic nie powiedział.

— Super. Ś^zwietnie.

— Hm, może wejdiesz do środka?

Posłusznie weszła za nim do mieszkania.

Chwileczkę, pomyślała, przyglądając mu się uważnie. Co to ma być? Richard miał na sobie błękitną koszulę, brązowe luźne spodnie i żeglarskie mokasyny. Dobry Boże, *mokasynyl*! Żadnej czerni, żadnych sztywnych dodatków. Wyglądał zupełnie jak jakiś japiszon z Upper East Side.

Dopiero teraz rozejrzała się dokoła. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, żeby ktoś, kto nosi czarną skórę i otwiera puszki z piwem, opukując je najpierw smukłymi palcami, miał w domu białe designerskie meble,

plakaty rock and rollowych zespołów na ścianach i na dodatek wyrzeźbioną w metalu mewę.

Miedziana mewa?!

— Przepraszam cię na chwilę.

Richard zniknął w kuchni. Cokolwiek gotował, pachniało po prostu wspaniale. Żadna z jej koleżanek nie potrafiła wyprodukować w kuchni tak smakowitych zapachów. A już na pewno ona sama była do tego wprost organicznie niezdolna.

Przyjrzała się z bliska zawartości półek z książkami. Głównie techniczne traktaty o rzeczach, których nie rozumiała. Studenckie skrypty, sterty „New York Timesa” i „Atlantic Monthly”.

Richard wrócił do pokoju, stanął naprzeciw niej i skrzyżował ramiona na piersiach. — No więc dobrze... — W jego głosie słychać było lekkie poirytowanie.

— Aha. No cóż... — Przez chwilę nie przychodziło jej do głowy nic sensownego. Potem wypaliła: — Pomyślałam, że może po kolacji wybierzemy się na przejażdżkę. Jest takie jedno genialne miejsce, stare złomowisko w Queens. Znam właściciela, pozwala mi wchodzić na teren. Tam jest naprawdę czadowo, całkiem jak na jakimś cmentarzysku dinozaurów. Można sobie usiąść na jakimś wraku — jest tam całkiem czysto, nie taki syf, jak na zwykłym wysypisku śmieci — i oglądać zachód słońca nad miastem. Coś niesamowitego. Wyobraź sobie, gigantyczne złomowisko... Okej, Richard, dosyć tego. Powiedz mi wreszcie, co spieprzyłam, że się tak zachowujesz.

— Chodzi o to, że...

— Już jestem! — nagle zawołał od drzwi kobiecy głos.

Rune odwróciła się i zobaczyła wchodzącą do środka wysoką, długowłosą blondynkę. Kobieta miała na sobie szary kostium w prążki i czarne, płaskie pantofle. Obrzuciła Rune przyjaznym spojrzeniem, po czym podeszła do Richarda i uściskała go.

— Rune, poznaj Karen.

— Hm, cześć. — Rune odwróciła się do Richarda: — Dostałam od ciebie wiadomość. Zaproszenie na kolację...

Karen uniosła znacząco brew, wyjęła butelkę wina z papierowej torebki i taktownie zniknęła w kuchni.

— Tak się składa — odparł delikatnie Richard — że chodziło o czwartek.

— Zaraz, zaraz. Tam było napisane, że kolacja jest jutro. A wiadomość miała wczorajszą datę.

Richard wzruszył ramionami. — Powiedziałem temu gościowi, Frankiemu Jakiemuśtam, że chodzi o czwartek.

Rune pokiwała głową. — A on myślał, że *dzisiaj* jest czwartek. Przeklęty heavy metal zniszczył mu wszystkie szare komórki... Psiakrew, psiakrew, psiakrew!

Halo, dobra wróżko! Machnij swoją czarodziejską różdżką i zabierz mnie stąd w cholere!

— Może jednak zostaniesz? Napijesz się wina?

To by dopiero był śliczny obrazek, pomyślała. Nasza trójka sącząca wino i Richard kombinujący, jak by tu się mnie pozbyć, żeby mógł pokazać parę tantrycznych figur tej przerośniętej Karen.

— Nie, lepiej już sobie pójdę.

— Dobrze. Odprowadzę cię do windy.

Ależ *nie zatrzymuj* mnie, proszę!

Nagle coś mu się przypomniało. — Aha, mam coś dla ciebie. Zaczekaj chwilę.

— Niespodziankę?

— Właśnie. Myślę, że ci się spodoba...

— Rune, skąd ty znasz Richarda? — zawołała z kuchni Karen.

No tak. Poderwał mnie parę dni temu i od tamtej pory nie ustaje w wysiłkach, żeby mnie przelecieć.

— Poznaliśmy się w wypożyczalni wideo. Czasami spotykamy się, żeby pogadać o filmach.

— *Uwielbiam* filmy! Może wybierzemy się kiedyś razem do kina?

— Może.

Z sypialni wyłonił się Richard. Niósł w ręku białą kopertę.

To ma być ta niespodzianka?

— Zaraz wracam — zawołał do Karen.

— Ten sos jest po prostu *nieziemski!* — odkrzyknęła. Po chwili z kuchni wychyliła się jej szelmowska twarzyczka. — Miło było cię poznać, Rune! Świetne kolczyki!

Gdy szli do windy, Richard odezwał się tonem wyjaśnienia: — Karen to moja dobra znajoma. Pracujemy razem.

Rune zastanowiła się: „Jak można z *kimś* pracować, jeśli pisze się powieść?”

Minęli czworo drzwi, zanim dodał: — To trochę krępujące, ale naprawdę jesteśmy *tylko* przyjaciółmi.

— Ale my nadal się ze sobą spotykamy? *Ty i ja?*

— Pewnie, że się spotykamy. Ale przecież nie przez cały czas, prawda? *Możemy* mieć innych znajomych.

— Jasne. Taki mamy układ.

— Właśnie.

Własnoręcznie uduszę Frankiego Greka...

Richard wcisnął guzik windy.

Co za pośpiech...

— Aha, proszę. — Podał jej kopertę.

Runę otworzyła ją. Wewnątrz było podanie o przyjęcie na studia w New School, w pobliżu Piątej Alei.

Żart. To musi być żart.

— Mam tam kumpla, który pracuje przy rekrutacji — tłumaczył Richard. — Od niego wiem, że otwierają nowy kierunek. Zarządzanie w handlu detalicznym. Nie musiałybyś nawet robić dyplomu. Mają też program licencjacki.

Zrobiło jej się niedobrze. — Moment. Czy ty mi chcesz doradzać w kwestii wyboru kariery?

— Runę, bystra z siebie dziewczyna, masz tyle energii i wyobraźni... Martwię się, że zmarnujesz sobie życie.

Oszołomiona popatrywała to na niego, to na trzymany w ręku papier.

Richard mówił dalej: — Mogłabyś awansować w pracy. Zostać kierowniczką wypożyczalni, a potem może otworzyć własną. Albo nawet całą sieć. Mogłabyś naprawdę piąć się do góry.

Runę zaśmiała się z goryczą. — Ale... To nie byłabym *ja*, Richardzie. Nie jestem z tych, którzy *pną się w górę*. Mówiłam ci już, że pracowałam w restauracji, w warsztacie rowerowym, delikatesach i sklepie z butami. Handlowałam biżuterią na ulicy, obrabiałam zdjęcia w redakcji, sprzedawałam męskie wody kolońskie w domu towarowym, pracowałam w zakładzie fotograficznym. I to wszystko w ciągu zaledwie paru lat, od kiedy tu jestem. Przed śmiercią chcę zrobić jeszcze o wiele więcej. Nie zamierzam poświęcić reszty życia na to, żeby być kierowniczką wypożyczalni kaset wideo. Ani czegokolwiek innego.

— Nie chciałybyś zrobić kariery zawodowej?

Runę poczuła się do reszty zdradzona. Bardziej, niż gdyby zastała Richarda i Karen w łóżku, gdzie prawdopodobnie i tak się znajdują za około dwie minuty.

Kiedy nie odpowiedziała, Richard dodał: — Powinnaś o tym pomyśleć.

Rune odparła: — Czasami nachodzi mnie myśl, żeby iść na studia. Zrobić dyplom. Z prawa albo biznesu, jak moja siostra. Z czegokolwiek. Ale potem wiesz, co się dzieje? Zawsze staje mi przed oczami ten sam obrazek: ja za jakieś dziesięć lat na przyjęciu koktajlowym. Ktoś mnie tam pyta, czym się zajmuję, i najstraszniejsze jest, że ja znam odpowiedź na to pytanie. — Uśmiechnęła się smutno.

— Która brzmi...?

Niczego nie rozumiał. — Właśnie *w tym rzecz*. Nie ma znaczenia, jak brzmi odpowiedź, przerażające jest to, że ją *znam*. Mogę być prawniczką, księgową, producentką tego czy owego. Nieważne. Liczy się to, że jestem zaszufładowana. Jedno czy dwa słowa na wieki mnie definiują. Boję się tego jak diabli.

— Dlaczego tak bardzo przeraża cię rzeczywistość?

— Ależ ja żyję w rzeczywistości. *Tyle że najwyraźniej nie jest to twoja rzeczywistość*.

Richard zachnął się. — Nie, to *nie jest* rzeczywistość. Weźmy tę twoją zabawę...

— Jaką zabawę?

— W poszukiwanie zaginionego skarbu.

— Masz coś przeciwko temu?

— Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, że zginął człowiek? Dociera do ciebie, że dla Roberta Kellj^ego to nie była zabawa? Myślisz czasem o tym, że i tobie może się coś stać? Tbbe albo komuś z twoich bliskich? Czy *kiedykolwiek* choćby przyszło ci to do głowy?

— Wszystko się jakoś ułoży. Trzeba tylko wierzyć...

Jęknęła, kiedy chwycił ją ze złością za ramię i zaciągnął do okna w głębi korytarza. Wyciągnął rękę. W dole pod nimi widać było płataninę autostrad, bocznicę kolejową i rdzewiejący sprzęt — ogromne turbiny i jakieś metalowe części. Dalej znajdowała się niewielka fabryczka otoczona kałużami żółtawej wody. Wszędzie było błoto i brud.

— Co to jest? — zapytał.

Nie zrozumiała. Pokręciła głową.

— Co to *jest*? — Richard podniósł głos.

— O co ci chodzi? — Głos niebezpiecznie jej się załamał.

— To jest fabryka, Rune. Syf i trucizna. Ale daje zatrudnienie ludziom, którzy dzięki temu płacą podatki, dają pieniądze na cele chary-

tatywne i kupują dzieciom buty. Z tych dzieci wyrastają potem prawnicy, nauczyciele, muzycy albo pracownicy innych fabryk. Nic dodać, nic ująć. Tb, co tam widzisz, to nie jest żaden statek kosmiczny, zamek czy ukryte wejście do podziemnego świata. To tylko *fabryka*.

Rune stała jak skamieniała.

— Bardzo cię lubię, Rune. Ale spotykając się z tobą, mam wrażenie, jakbym grał w jakimś dziwnym filmie.

Wytarta nos. Z dołu dobiegał szum przejeżdżających samochodów. — Co masz przeciwko filmom? Ja je uwielbiam.

— Nic, pod warunkiem, że się pamięta, iż to tylko fikcja. Wkrótce przekonasz się, że żaden ze mnie rycerz i że jeśli nawet te pieniądze z napadu faktycznie istniały — co moim zdaniem byłoby najbardziej nieprawdopodobną historią pod słońcem — to już dawno zostały wydane, ukradzione albo zagubione gdzieś przed laty i nigdy ich nie odnajdziesz. A ty tymczasem przepieprzasz życie w cholernej wypożyczalni, rzucając się z jednej fantazji w drugą i czekając sama nie wiesz na co.

— Jeżeli tak ma wyglądać twoja rzeczywistość, to możesz ją sobie zatrzymać — warknęła Rune, ponownie wycierając nos.

— Na bajkach daleko w życiu nie zajdziesz.

— Przecież ci mówiłam, że nie wszystkie dobrze się kończą!

— Nawet jeśli tak jest, Rune, to potem należałoby zamknąć książkę, odłożyć ją na półkę i wrócić do normalnego życia. Twoje bajki to nic innego jak fikcja. A żyjąc tak, jakby były prawdziwe, możesz się poważnie sparzyć.

— Nagle jesteś takim ekspertem od prawdziwego życia? Przecież piszesz powieści.

Richard westchnął i odwrócił wzrok. — Nie piszę powieści. Chciałem tylko zrobić na tobie wrażenie. Nawet ich *nie czytam*. Piszę za to audiowizualne prezentacje dla firm. „Dzień dobry państwu, nazywam się John Jones i jestem tutaj prezesem. Witajcie na Targach Zdrowej Żywności”. Nie ma w tym nic oryginalnego ani ciekawego, ale przynajmniej mam z czego żyć.

— Ale przecież... Jesteś do mnie podobny! Też lubisz chodzić do klubów, tańczyć, kręci cię magia... Podobają nam się te same rzeczy!

— To tylko poza, Rune. Wszyscy tak żyją, z wyjątkiem ciebie. Nikt nie jest w stanie na dłuższą metę tak jak ty bujać w chmurach. Kiedy człowiek jest niepoważny, *nieodpowiedzialny*, uciekają mu autobusy i pociągi, mylą się terminy spotkań...

Przerwała mu: — *Zawsze* jest jeszcze jeden pociąg. — Otarła oczy i zobaczyła, że rozmazał jej się tusz. Cholera. Musi żałośnie wyglądać. Dodała cicho: — Oszukałeś mnie.

Nadjechała winda. Rune odsunęła się od Richarda i weszła do środka.

— Rune...

Stali niecały metr od siebie, ona tu, on tam. Miała wrażenie, że minęły wieki całe, zanim drzwi windy się zamknęły. Gdy w końcu zaczęły się wolno zasuwac, pomyślała, że Diarmuid ani żaden inny prawdziwy rycerz nie pozwoliłby jej odejść w taki sposób. Rzuciłby się za nią, przytrzymał drzwi, wziął ją w ramiona.

Powiedział, że jakoś się dogadają.

Ale Richard zwyczajnie odwrócił się i zniknął w głębi korytarza.

— *Zawsze* jest jeszcze jeden pociąg — szepnęła do siebie, gdy drzwi się zamykały.

Powiedziała: „Twoje przyrodnie siostry każą ci chodzić w takich łachmanach? O, nie, nie, moja droga, tak nie może być. W takim stroju nie zostaniesz królową balu. Co by tu na to poradzić? Ależ tak, to znakomity pomysł!” Tu zamknęła oczy i trzy razy machnęła swoją zaczarowaną różdżką. I zaraz jak spod ziemi ukazała się suknia z jedwabiu i koronek, haftowana srebrem i złotem. Ado tego pantofelki...

Rune recytowała tekst z pamięci, maszerując wzdłuż University Place. W pewnej chwili przystanęła, zgmiotła podanie o przyjęcie na studia w kulkę i wykonała bezbłędny rzut za trzy punkty, trafiając kulką do kosza na śmieci.

Następnie przejrzała się w lustrze wiszącym w sklepie z perukami. Szminka na wargach wyglądała po prostu świetnie, a wesoły róż na policzkach ożywiał jej twarz i dodawał uroku. Dzięki ci, Stephanie. Oczy też były w porządku — a przynajmniej zanim rozmazany przez łzy tusz nie zmienił jej w szopa pracza.

Pociągnęła łyk piwa z trzeciej już puszeki owiniętej w papierową torbę. Po wyjściu od Richarda w najbliższych delikatesach kupiła sześcioopak i dziwnym trafem na dystansie dwóch przecznic zdołała wlać w siebie trzy puszeki piwa.

Minęła ją trzymająca się za ręce para.

Rune nie mogła się powstrzymać, żeby się za nimi nie obejrzeć. Niczego nie zauważyli, tak byli w siebie zapatrzeni.

— »Ale, ale — powiedziała wtedy dobra wróżka. — Zapomnialiśmy o woźnicach. Co ci przyjdzie z zamiany dyni w karocę, jeśli nie będzie cię miał kto zawieźć na bal? Ależ oczywiście, myszy..."

Rune ponownie spojrzała w lustro, rozczochrała włosy i cofnęła się, żeby ocenić rezultat.

Pomyślała: „Wcale nie wyglądam jak Kopciuszek. Wyglądam jak mała zdzira”.

Przygarbiła się i zaczęła gmerać w torebce. Znalazłszy paczkę chusteczek higienicznych, przy ich pomocy usunęła z twarzy resztki makijażu, a następnie uczesała włosy grzebieniem.

Zdjęła pomarańczowe kolczyki, które wzbudziły taki zachwyt u koszykarki Karen, i wrzuciła je do torby.

Co jej dolega? Dlaczego tak trudno jej zainteresować sobą mężczyznę?

Spróbowała obiektywnie ocenić swoją sytuację.

Nie jestem wysoką blondynką, to fakt.

Nie jestem piękną, ale i nie ostatnią maszkara.

Może po prostu jestem lesbijką?

Przez chwilę rozważała tę możliwość.

Nie było to wykluczone. I wiele by tłumaczyło. Na przykład dlaczego faceci tak chętnie ją podrywali, ale jeszcze żaden jej się nie oświadczył — najwyraźniej wyczuwali jej prawdziwą orientację (nie, żeby znowu tak bardzo chciała wyjść za mąż; żałowała tylko, że nie dane jej było dotąd powiedzieć: „Zastanowię się”).

Nie, zdecydowanie nie była typem kobiety, za którą mężczyźni szaleją. Prawdopodobnie składało się na to wiele przyczyn, łącznie z tą, że bogowie taką już ją stworzyli. Sprawili, że była drobna i urocza, a nawet odrobinę podobna do Audrey Hepburn, ale już nie na tyle, żeby mężczyźni — prawdziwi mężczyźni, szarmanccy, tacy jak Cary Grant, błędni rycerze — tracili dla niej głowę. Bogowie na wszystko mieli odpowiedź. Mówili: gdybyś miała być z kimś takim jak Richard, stworzylibyśmy cię o dziesięć centymetrów wyższą, nosiłabyś stanik w rozmiarze 70C albo co najmniej B i byłabyś blondynką.

Ale lesbijką?! To było coś, nad czym Rune musiała się dłużej zastanowić. Czy da sobie z tym radę? Trudno będzie się do tego przyznać, nawet przed samą sobą, ale może tak właśnie trzeba? Od pewnych spraw po prostu nie da się uciec.

Doszedłszy do tego wniosku, Runę doznała wszechogarniającego poczucia ulgi. Od razu stało się jasne, dlaczego ma takie opory przed pójściem z facetem do łóżka zaraz na pierwszej randce — najprawdopodobniej *w ogóle* nie kręcił jej seks z mężczyznami. A jeśli nawet na widok Richarda przechodził ją dreszcz, to zapewne dlatego, że — jak już wcześniej stwierdziła — miał on w sobie coś kobiecego. Tak, to miało sens.

Niełatwo będzie powiedzieć o tym matce.

Może powinna ostrzec się na jeża?

Albo zostać zakonnica?

Albo się zabić?

Na rogu Ósmej Ulicy, zamiast skrócić do metra, które zawiozłoby ją do domu, poszła w przeciwną stronę, z powrotem do wypożyczalni.

Wiedziała już, co robi.

Wypożyczy film. Na przykład „Ich noce”. Skoro i tak będę płakać, to czemu nie robić tego przy odpowiednim filmie? Lody, piwo i dobre kino. Bezbłędne połączenie.

Może też wziąć „Przeminęło z wiatrem”.

Albo „Lesbijską miłość”.

Gdy po dziesięciu minutach otworzyła drzwi wypożyczalni Washington Square Video, siedzący za ladą Frankie Grek wyglądał jak kupka nieszczęścia.

I bardzo dobrze, psiakrew. Za tę historię z wiadomością od Richarda należy mu się piekielna awantura. Widząc jednak, jak nerwowo bawi się pilotem od magnetowidu, zrozumiała, że co innego zaprzęta teraz jego myśli. Frankie *był* zdenerwowany, ale nie z jej powodu.

— Cześć, Rune.

— Co jest, Frankie? U twojej siostry wszystko w porządku?

— Tak, dziękuję — wyrecytował sztywno. — Urodziła dziecko.

— Wiem, już nam mówiłeś. Ib co się stało?

— A jak ty się dzisiaj miewasz? Mam nadzieję, że nieźle, naprawdę nieźle. — Niedoszła gwiazda rocka przemawiająca niczym dobry wujek? Coś tu było nie tak. — O co chodzi?

— O nic, Rune. Słyszałem tylko, że dziś wieczorem miało się znacznie ochłodzić. — Zupełnie, jakby występował w jakimś kiepskim skeczu w „Saturday Night Live”.

— Ochłodzić? O czym ty do cholery...

— Rune? — odezwał się nagle niski męski głos.

Odwróciła się. O, to ten agent. Dixon — przypomniała sobie jego nazwisko.

— Witaj — dodał.

— Dobry wieczór, agencie Dixon.

Roześmiał się. — W twoich ustach brzmi to tak, jakbym był stróżem prawa w jakimś kiepskim westernie. Mów mi Phillip.

Zerknęła na Frankiego, który był bledszy niż Mick Jagger w lutym.

— Pokazał mi odznakę — wymamrotał.

— Tacy jak on aresztują ludzi, którzy nie potrafią dobrze zapisać prostej wiadomości — mruknęła pod nosem Rune.

— Że co?

— Nieważne.

— Co u ciebie? — spytał Dixon z uśmiechem. Zaraz jednak zmarszczył brwi. Przyjrzał się bacznie jej twarzy. — Masz tu trochę... — Wskazał palcem na jej policzek.

Chwyciła papierowy ręcznik i starła resztkę zaschniętego tuszu.

— Tak jest znacznie lepiej — rzucił Dixon. — A przy okazji, świetnie wyglądasz.

— Naprawdę?

Omiótł spojrzeniem jej nowy strój, a ona poczuła, że po kręgosłupie przebiega jej lekki dreszcz. Nie zaiskrzyło tak jak przy Richardzie, ale jednak...

— Ja nie biorę narkotyków — oznajmił nagle Frankie Grek.

Dixon popatrzył tylko na niego zaskoczony.

— Niektórzy muzycy biorą. To znaczy, stale się o tym słyszy. Ale ja nigdy nie brałem. Czasami piszę piosenki o narkotykach, ale to tylko teoria. O czymś trzeba pisać, no nie? Ale ja trzymam się od tego z daleka...

— Brawo.

Rune rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie, po czym zwróciła się do Dixona: — Coś nowego w naszej sprawie?

— Skąd. — Dotarło do niego, że może nie powinien być aż tak poufały, i dodał oficjalnym tonem: — Niestety, nie mamy żadnych nowych dowodów w sprawie śmierci Edelman. — Wzruszył ramionami. — Żadnych odcisków palców na miejscu zdarzenia, żadnych świadków. A ty nie zauważyłaś niczego podejrzanego? Nikt cię nie śledził?

— Nie.
Dixon skinął głową. Obejrzał kilka kaset. Wziął jedną do ręki i zaraz odłożył na miejsce.
— No więc dobrze... — powiedział.
Jednego wieczora usłyszeć dwa razy „no więc” od dwóch różnych facetów. Rime była ciekawa, co to tym razem znaczy.
— Możemy chwilę porozmawiać? — Wskazał na drzwi.
— Jasne.
Stanęli przy witrynie, na której prezentował swoje wdzięki wycięty z kartonu Michael J. Fox. Rune nie mogła się skupić.
— Pomyślałem, że może cię to zainteresować. Chodzi o tę sprawę, o której mi wspominałaś. O napad na Union Bank. Powęszyłem trochę.
— Serio?
Pokręcił głową. — Niestety, niczego nowego się nie dowiedziałem. Teoretycznie sprawa wciąż jest otwarta, ale od lat pięćdziesiątych nikt się nią nie zajmował. Policję interesują tylko niewyjaśnione *morderstwa*. Próbowałem nawet odszukać akta, ale wygląda na to, że ktoś je wyrzucił już dobre dziesięć, dwadzieścia lat temu.
— A ja myślałam, że ty się tym zajmujesz.
— Napadem na bank? Ja? — Dixon ponownie się roześmiał. Miał miły uśmiech. Przyszło jej do głowy, że Richard miał w sobie coś tajemniczego. Coś takiego, co sprawiało, że jego uśmiech nie wydawał się całkiem wiarygodny. W przeciwieństwie do niego uśmiech Dixona robił wrażenie w stu procentach szczerego.
Agent zdjął czapkę z daszkiem, chłopięcym gestem przejechał palcami po włosach i znów ją założył.
Rune odparła: — Stwierdziłam, że to trochę dziwny zbieg okoliczności — te twoje pytania o pana Kelly'ego i o inne rzeczy.
— Napadami na bank zajmuje się FBI. Ja zostałem wezwany tylko dlatego, że zabójca posłużył się pociskami używanymi zwykle przez zawodowych zabójców. Trzeba to było sprawdzić.
— Teflonowe kule — mruknęła Rune.
— Słyszałaś o tym?
— Dowiedziałam się na policji. Ale skoro nie obchodzi cię napad na bank, to dlaczego szukałaś akt tej sprawy?
Dixon wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. — Tak sobie. Wydawało mi się, że to dla ciebie ważne.
Lekkie iskrzenie. Nic równie spektakularnego jak to, co czuła przy Richardzie, ale zawsze *coś*. Poza tym Richard, w którym —jak sądziła

— była zakochana, właśnie zrobił jej gówniany wykład o życiu, podczas gdy ten tutaj, praktycznie obcy człowiek, zadał sobie trud, żeby wesprzeć ją w jej poszukiwaniach.

Bajka o czerwonej kurce...

Rzuciła mu kokietyjne spojrzenie godne samej Scarlett OHary.

— I tylko dlatego tu dzisiaj przyszedłeś? Żeby porozmawiać ze mną o sprawie sprzed pół wieku?

Znowu wzruszył ramionami. Wciąż unikał jej wzroku. — Wpadłem do ciebie, ale cię nie zastałem. Potem zadzwoniłem tutaj i dowiedziałem się, że czasami spotykasz się z różnymi ludźmi, żeby pogadać o filmach. — Zabrzmiało to jak dobrze wyćwiczona kwestia. Jakby nieśmiały nastolatek wykuł na pamięć kilku zdań, by zaprosić dziewczynę na randkę. Wyraźnie skrępowany skrzyżował ręce na piersiach.

— Więc postanowiłeś zaryzykować i sprawdzić, czy przypadkiem nie będzie mnie w pracy?

— Dokładnie tak. — Po chwili dodał: — Założę się, że chciałabyś wiedzieć, po co naprawdę przyszedłem...

— Owszem — odparła. — Chciałabym.

— No cóż. — Przełknął ślinę. Jak to możliwe, żeby ktoś, kto nosi za paskiem takiego wielkiego gnata, tak bardzo się denerwował? — Chyba po prostu chciałem się z tobą umówić. Oczywiście, jeśli nie masz ochoty, to od razu powiedz, ale...

— Runę — zawołał zza lady Frankie. — Telefon do ciebie!

— Zaczekaj tu na mnie — poprosiła Runę i zaraz dorzuciła z mocą: — tylko nigdzie nie idź, okej?

— Dobra. Nigdzie nie pójdę.

Podniosła słuchawkę. Dzwoniła Amanda LeClerc. — Runę, pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć — mówiła szybko, zadyszana. Z powodu podniecenia jej akcent był silniejszy niż zwykle. — Przyszła córka Victora Symingtona. Jest tutaj, w jego mieszkaniu! Chcesz się z nią zobaczyć?

Runę zerknęła na Dixona, który przeglądał stojące na półkach kasety. Kiedy dotarł do regału z filmami dla dorosłych, zarumienił się i szybko odwrócił wzrok.

Runę biła się z myślami. Co powinna teraz zrobić?

Mężczyzna, który chce się z nią umówić, kontra tajemnica.

To było naprawdę nie fair.

— Rune? — Ponagliła ją Amanda. — Ona tu chyba długo nie zabawia...

Rzut oka na Dixona.

Rzut oka na książkę telefoniczną Brooklynu.

A niech to wszyscy diabli!

Rzuciła do słuchawki: — Zaraz tam będę.

18

O, to już urodziłaś?

Rune oderwała wzrok od spisu lokatorów, tak gęsto pokrytego graffiti, że nie była w stanie odszukać w nim numeru mieszkania Amandy LeClerc.

Jej zaskoczone spojrzenie spoczęło na równie zaskoczonej twarzy chłopaka, który dwa dni wcześniej wpuszczał ją do budynku w bardzo zaawansowanej ciąży. Teraz znowu przytrzymał jej drzwi, a ona weszła do środka.

— Tak, dzięki — odparła. — Courtney Madonna Brittany. Dwa kilo osiemset.

— Moje gratulacje. — Nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzucić ukradkowych spojrzeń na jej brzuch. — A ty, tego, dobrze się czujesz?

— Fantastycznie — uspokoiła go Rune. — Wyszłam na moment i zapomniałam zabrać kluczy.

— A gdzie mała? — zapytał.

Jak się powiedziało „A”, trzeba powiedzieć „B”. — Na górze. Ogląda telewizję.

— Ogląda telewizję?!

— To znaczy, jest ze swoim ojcem i to *on* ogląda telewizję. Oboje uwielbiają seriale komediowe... Słuchaj, nie wiesz przypadkiem, pod którym numerem mieszka Amanda LeClerc?

— Amanda? Ta z pierwszego piętra?

— Ta sama.

— Chyba pod 2F.

— No jasne. — Rune ruszyła biegiem po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz.

— Hej, nie powinnaś się teraz bardziej oszczędzać?

— Jestem twarda. Wiejskie wychowanie — odkrzyknęła radośnie.

Na piętrze zauważyła, że dziura w drzwiach mieszkania pana Kelly'ego została załatana kawałkiem dykty. Ktoś założył też na klamkę potężną kłódkę. Obok wisiała nowa taśma policyjna. Minęła je i poszła dalej.

Nielatwo było jej odrzucić zaproszenie Phillipa Dixona, który w przeciwieństwie do Richarda nie miał żadnych problemów ani ze słowem „randka”, ani z samą jej koncepcją.

— Kiedy indziej? — upewnił się.

— Przysięgam. A propos, lubisz złomowiska? — zapytała, wychodząc z wypożyczalni.

Nawet okiem nie mrugnął. — Uwielbiam...

Zastukała teraz do drzwi Amandy i usłyszała kobiece wołanie: — Kto tam?

— To ja, Rune.

Drzwi otworzyły się. — Dobrze, że już jesteś. Ona czeka na górze. Namówiłam ją, żeby na ciebie zaczekała. Nie bardzo chciała, ale się zgodziła.

— Ma jakieś informacje o swoim ojcu?

— Nie pytałam. Mówiłam tylko, że go szukasz i że to ważne.

— Który to numer?

— 3B. '

Runę przypomniała sobie, że Symington mieszkał dokładnie nad panem Kellym.

Wbiegła po schodach. Na piętrze Amandy i pana Kelly'ego czuć było cebulą, tutaj bekonem. Zatrzymała się w połowie korytarza. Drzwi do mieszkania numer 3B były lekko uchylone.

Runę podeszła bliżej. Zobaczyła brzeg spódnicy i dwie szczupłe nogi w czarnych pończochach, skrzyżowane w sposób znamionujący sporą pewność siebie. W pierwszej chwili chciała zapukać, ale po namyśle po prostu pchnęła drzwi, otwierając je na oścież. Siedząca na łóżku kobieta odwróciła się. Na jej kolanach leżał stos jakichś papierów.

Miała wysokie kości policzkowe, twarz błyszczącą od makijażu, a platynowe włosy ułożone w sztywną fryzurę przy pomocy tony lakieru. Wygląda zupełnie jak moja matka, pomyślała Rune. Domyśliła się, że kobieta musi być lekko po czterdziestce. Ubrana w kostium w szkocką kratę paliła długiego, ciemnobrazowego papierosa. Spojrzała na Rune i powiedziała: — Tamta kobieta z dołu... mówiła, że ktoś szuka mojego ojca. To ty?

— Tak.

Kobieta odwróciła się leniwie i zgmiotła papierosa w popielnicze. Zgasł z lekkim chrzęstem. Następnie zmierzyła Rune taksującym spojrzeniem. — Dobry Boże, co jedna to młodsza.

— Słucham?

— Ile ty masz lat, dziecko?

— Dwadzieścia. Ale co to ma do rzeczy? Chciałam tylko zadać pani kilka...

— Co ci obiecał? Samochód? To jego stara śpiewka. Rozdał już całe mnóstwo samochodów. A przynajmniej naobiecował. Porsche, mercedesy, cadillaki. Oczywiście później zawsze pojawiał się jakiś problem z dilerem. Albo z tablicami rejestracyjnymi. Albo z czymś innym.

— Samochód? Ja nawet nie mam...

— Koniec końców zawsze chodziło o pieniądze. Ale takie właśnie jest życie, prawda? Obiecował tysiące, a kończyło się na paru *setkach*.

— O czym pani mówi? — przerwała jej Rune.

Kolejne krytyczne spojrzenie. Wzrok kobiety zatrzymał się na prążkowanych skarpetkach Rune i jej topornych, czerwonych butach. Dopiero wówczas na jej twarzy odmalowała się konsternacja. Pokręciła głową. — Ale ty chyba... Wybacz, ale chyba nie mogłaś liczyć sobie aż tyle. Jaka była twoja *cena*? Za jedną noc?

— Pani myśli, że jestem dziwką?

— Ojciec mówił o nich „moje przyjaciółki”. Kiedyś nawet przyprowadził jedną na obiad w Święto Dziękczynienia. Do mojego własnego domu! W Westchester. Jakaś Lynda, przez „y”. Wyobrażasz to sobie? I to przy moim mężu i dzieciach.

— Ale ja nawet nie znałam pani ojca.

Kobieta zmarszczyła brwi, jakby zastanawiała się, czyjej wierzyć. — Chyba więc zaszło tu jakieś nieporozumienie.

— Łagodnie powiedziane.

— Ty nie...

— Nie — odparła Rune. — Na pewno nie.

Pełen zażenowania śmiech. — Przepraszam. — Kobieta wyciągnęła do niej rękę. — Emily Richter.

— Rune. — Niechętnie ją uścisnęła.

— Ib twoje imię?

— I nazwisko.

— Jesteś aktorką?

— Czasami.
— A więc, Rune, naprawdę nie znasz mojego ojca?
— Nie.
— I nie przyszedłeś tutaj po pieniądze?
W pewnym sensie, pomyślała. Ale pokręciła przecząco głową.
— W takim razie dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? — pytała dalej Emily.
— Wie pani, gdzie mogę go znaleźć?
— Sama próbuję to ustalić. Po prostu zapadł się pod ziemię.
— Wiem.
Emily przyjrzała jej się badawczo. Miała przeszywające spojrzenie; Rune odwróciła wzrok. Emily rzuciła: — A ja mam przeczucie, że ty wiesz, *dlaczego* przepadł.
— Może i tak.
— Co to znaczy?
— Myślę, że był świadkiem morderstwa.
— Chodzi o człowieka, który tutaj zginął? — spytała Emily. — Słyszałam o tym. Mieszkał piętro niżej, prawda?
— Tak.
— I ty sądzisz, że ojciec widział, co się stało?
Runę weszła głębiej i usiadła na tanim tapicerowanym krześle. Rozejrzała się po pokoju. Bardzo się różnił od tego, w którym mieszkał pan Kelly. Początkowo nie mogła zrozumieć dlaczego, ale potem to do niej dotarło. Wszystko tutaj wyglądało jak w hotelu, jakby całe mieszkanie umeblowano, wykonując jeden telefon do sklepu, który sprzedawał wszystko: obrazy, meble, dywany. Sporo jasnego drewna, metalicznych barw i laminatów. Dobrze dobrana podmiejska tandeta.
Co jej to przypominało? O mój Boże, mieszkanie Richarda...
Emily zapaliła kolejnego papierosa.
Runę spojrziała w stronę kuchni. Zobaczyła ilości jedzenia wystarczające, żeby przetrwać długie tygodnie oblężenia. Całkiem jak u mojej matki w spiżarni, pomyślała, pełnej zapasów mąki, pożółkłych paczek rodzynek, płatków owsianych i mąki kukurydzianej oraz różnokolorowych puszek: zielony Del Monte, czerwony Campbell. I wie że tutaj wszystko było nowiusieńkie, podobnie jak meble.
Emily odezwała się ściszym głosem: — To, co mówiłam wcześniej... Nie chciałam niczego insynuować. Od śmierci mamy ojciec zachowuje się... w nieco niezrównoważony sposób. Miał już kilka znacznie młodszych przyjaciółek. Dobrze, że przynajmniej zaczekał, aż

matka umrze, zanim zaczął zgrywać nastolatka. — Pokręciła głową. — Ale morderstwo? W takim razie może mu coś grozić. — Zamarła z papierosem uniesionym do ust; po chwili go opuściła.

— Moim zdaniem nic mu nie jest — pocieszyła ją Rune. — To znaczy, nic mi nie wiadomo, żeby coś mu się stało. Ale to fakt, że po śmierci sąsiada z dołu nie zabawił tutaj zbyt długo.

— Co się właściwie stało?

Rune opowiedziała jej o śmierci Roberta Kell/ego.

— Skąd wiesz, że ojciec to wszystko widział?

— Już po śmierci pana Kelly'ego wróciłam tu, żeby zabrać coś z jego mieszkania. Byłam akurat na dole...

— A skąd go znałaś? Tego pana Kell/ego?

— Przychodził do wypożyczalni, w której pracuję. Przyjaźniliśmy się. Tak czy inaczej, to wtedy zobaczyłam pani ojca. A on zobaczył mnie, w tamtym mieszkaniu. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Czy to nie dziwne, że ktoś mógł się mnie przestraszyć? *Mnie?* — Roześmiała się. — Tak sobie myślę, że tego dnia, kiedy pan Kelly został zamordowany, pani ojciec był akurat na schodach ewakuacyjnych i widział, jak morderca wychodzi z mieszkania po zastrzeleniu pana Kelly'ego. Podejrzewam, że dobrze mu się przyjrzał.

Emily pokręciła głową z powątpiewaniem. — Ale dlaczego miałby uciekać na twój widok?

— Nie wiem. Może nie widział mnie zbyt dobrze i wziął mnie za mordercę, który wrócił, żeby zniszczyć dowody, czy coś w tym rodzaju.

Emily wpatrywała się w podrabiany orientalny dywan. — Ale policja nie próbowała się ze mną skontaktować. — Znowu pokiwała głową. — A to znaczy, że nic im o nim nie powiedziałaś.

— To prawda.

— Dlaczego?

Runę uciekła spojrzeniem w bok. — Po prostu nie lubię glin.

Emily jeszcze przez chwilę uważnie jej się przyglądała. Potem zapytała ostrożnie: — Ale to chyba nie jest *jedyny* powód, prawda? Chodzi o coś jeszcze...

Runę odwróciła wzrok. Starła się zachować spokój i opanowanie. Nic z tego.

— No cóż, jeśli o mnie chodzi, po prostu martwię się o ojca — podjęła Emily. — Potrafi być wkurzający, ale i tak go kocham. Chcę go

odnaleźć i widzę, że ty również. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Nieoczekiwanie dla siebie Runę zdołała przywołać na twarz wyraz „dorosłej” powagi. Uśmiechnęła się do Emily porozumiewawczo, jak kobieta do kobiety. — Czuję przez skórę, że i pani nie o wszystkim mi powiedziała...

Tamta zawahała się. Zaciągnęła się papierosem i odwracając twarz, wypuściła z ust spory obłok dymu. — Może i tak.

— Ręka rękę myje...

Emily wcale nie miała ochoty się uśmiechać, ale trudno jej było zachować powagę. — Dobrze. Chcesz znać prawdę? — Rozejrzała się po mieszkaniu. — Nigdy przedtem tutaj nie byłam. Dzisiaj jest pierwszy raz. Od roku nie byłam w *żadnym* z jego mieszkań... Czy to nie okropne?

Runę nie odpowiedziała. Emily westchnęła. W tej chwili wyglądała znacznie *mniej* dojrzałe niż wcześniej. — Pokłóciliśmy się. Ubiegłego lata. I to poważnie.

Zamilkła.

Potem uśmiechnęła się do Rune. Lekkie wygięcie kącików warg. Jakby chciała zdystansować się do własnych słów. Po chwili uśmiech zgasł. — Uciekł z domu. Czyż to nie żalosne?

— Pani ojciec uciekł z domu? Ale odjazd!

Emily spytała: — Twoi rodzice żyją?

— **Tylko** matka. Mieszka w Ohio. Ojciec zmarł kilka lat temu.

— Jak się dogadywaliście, kiedy jeszcze mieszkałaś w domu?

— Chyba nie najgorzej. Mama jest kochana, a tata... Byłam tak jakby jego oczkieni w głowie. Nijak tylko nie mogłam się do tego przyznać siostrze... Był naprawdę fajny.

Emily przyglądała jej się z przechyloną głową. — Szczęściara. Od kiedy pamiętam, ojciec i ja ciągle się o coś kłóciliśmy. Zaczęliśmy, jak byłam nastolatką. Nigdy nie podobali mu się chłopcy, których przyprowadzałam do domu. Ten był z nieodpowiedniej rodziny, tamten za mało zarabiał, inny był żydem, a jeszcze inny katolikiem... Próbowałam mu się stawiać, ale w końcu był moim ojcem, a ojca trzeba słuchać. Później jednak, kiedy trochę podrosłam i kiedy przed paroma laty zmarła mama, stało się coś dziwnego. Zamieniliśmy się rolami. To *on* stał się dzieckiem. Przeszedł na emeryturę, nie miał zbyt wiele pieniędzy. Tymczasem ja wyszłam za mąż za biznesmena i byłam bogata. On nie miał gdzie mieszkać, więc wprowadził się do nas.

Ale źle to rozegrałam. Nagle to *ja* miałam nad nim władzę i mogłam dyktować warunki. Dokładnie na odwrót, niż kiedy jeszcze mieszkałam w domu. Spartaczyłam sprawę. Ubiegłego lata pokłóciliśmy się, a ja powiedziałam mu kilka okropnych rzeczy. Wierz mi, nie mówiłam poważnie. Część moich zarzutów nawet nie była prawdziwa. Myślałam, że ojciec je podważy albo zignoruje, ale tak się nie stało. Po prostu spakował swoje rzeczy i zniknął. — Jej głos lekko się załamał.

Umilkła. Papieros dymił w jej drżącej dłoni.

— Od tamtej pory wszędzie go szukam. Przez pewien czas mieszkał w schronisku, później w jakimś hotelu w Queensie. Miał też mieszkanie w West Village. Nie wiem, kiedy się tu sprowadził. Wydzwaniałam do jego znajomych — dawnych współpracowników, lekarzy — próbując go odnaleźć. W końcu rejestratorka w przychodni poddała się i przekazała mi ten adres.

Emily wygładziła spódnicę. Była długa, uszyta z drogiego jedwabiu. Rune doszła do wniosku, że do jej opisanie nadaje się tylko jeden przymiotnik. „Seksowna”.

— A teraz znowu się minęliśmy — dodała Emily.

— Nie próbowała pani zadzwonić i go przeprosić?

— Owszem, kilka miesięcy temu. Odłożył słuchawkę.

— Może powinna pani dać mu trochę czasu, żeby się uspokoił? Nie jest jeszcze taki stary, prawda? Dopiero po sześćdziesiątce.

Kolejne spojrzenie na dywan. — Problem w tym, że ojciec jest poważnie chory. Niedługo pociągnie. Tylko dlatego rejestratorka zgodziła się powiedzieć mi, gdzie go znajdzie. Ma raka, w ostatnim stadium.

Rune pomyślała o swoim ojcu. Już wiedziała, dlaczego szara, spoccona twarz Symingtona wydała jej się znajoma.

Pomyślała też: „Byleby tylko nie umarł, zanim go nie odnajdę i nie wypytam o pana Kell/ego i skradzione pieniądze”. Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, ale wiedziała, że taka jest prawda.

— No, a teraz *twoja* kolej. Czego mi nie powiedziałaś? — Konkretna Emily powróciła. — Pora wyłożyć karty na stół.

— Nie jestem pewna, czy był tylko świadkiem — odparła Rune.

— O czym ty mówisz?

— Okej, jeśli naprawdę chce pani wiedzieć... Myślę, że pani ojciec może być mordercą.

To niemożliwe.

Rune odparła: — Moim zdaniem pan Kelly zdobył pewną sumę pieniędzy, pani ojciec się o tym dowiedział, ukradł mu je, a jego samego zabił.

Emily pokręciła głową. — Mówię ci, że to niemożliwe. Ojciec nigdy by nikogo nie zabił.

Rune po raz kolejny przypomniała sobie twarz Symingtona i wyraz przerażenia, jaki się na niej malował. — W takim razie może miał współnika i to on strzelał.

Emily już miała ponownie zaprzeczyć, ale zawahała się.

— No słucham — zareagowała natychmiast Rune. — Proszę mi powiedzieć!

— Tata nikogo by nie zabił. Tego jestem *pewna*.

— Ale... Widzę, że coś nie daje pani spokoju. Proszę mówić dalej. — Świetny tekst, prosto z jakiegoś filmu z Carym Grantem. Audrey Hepburn z milion razy musiała wypowiadać podobne zdania.

— Kiedy z nim ostatnio rozmawiałam — odparła powoli kobieta — spytałam, czy nie potrzeba mu pieniędzy, a on się okropnie zdenerwował i powiedział, że wkrótce będzie miał więcej forsy, niż jestem sobie w stanie wyobrazić, i już nigdy nie weźmie złamanego centa ode mnie i Hanka.

— Naprawdę tak powiedział? — Rune nie kryła podniecenia.

Emily przytaknęła.

— Musimy go odnaleźć — oświadczyła na to Rune.

— Oddasz go w ręce policji? — spytała Emily.

Rune już chciała skłamać, ale ugryzła się w język.

Oklamuje się tylko tych, którzy mają nad tobą jakąś władzę...

— Nie wiem. Chyba ma pani rację, mówiąc, że nie zabił pana Kelly'ego. Chcę z nim najpierw porozmawiać. Tylko gdzie on jest? Jak go odnaleźć?

— Gdybym to wiedziała, nie byłoby mnie tutaj. — Emily wzruszyła ramionami.

— A znalazła pani coś ciekawego? — Rune wskazała stos listów, które Emily przeglądała.

— Nie, to głównie korespondencja z administracji... Jedyne trop to nazwa jego banku. Dzwoniłam tam, żeby dowiedzieć się o jego aktualny adres, ale nie chcieli mi niczego powiedzieć.

Rune przypomniał się inny film, widziany przed kilkoma laty. Kto w nim grał? De Niro? Harvey Keitel? Główny bohater, detektyw, blefował, żeby wydobyć z banku cenne informacje.

A może to był Sean Connery?

Pan nic nie rozumie... Ten człowiek umiera! Na litość boską, proszę mi podać ten cholerny adres! Tu ma pan numer jego konta.

— *Nie mogę, sir. To wbrew regulaminowi.*

— *Do diabła z regulaminem. Chodzi o ludzkie życie.*

— Ma pani numer jego konta? — Rune zwróciła się do Emily.

— Nie.

— To może chociaż adres oddziału banku?

— Adres mam.

— To nam powinno wystarczyć.

— Nie wydaje mi się, żeby udzielili ci jakichkolwiek informacji.

— Zdziwiłaby się pani. Potrafię być bardzo przekonująca.

Rune otarta z oczu łzy, zastanawiając się jednocześnie, jak zrobiłaby to Stephanie, jedyna aktorka, jaką osobiście знаła.

— Przepraszam. Ale to naprawdę bardzo ważna sprawa.

Siedzący naprzeciwko niej młody mężczyzna był wiceprezesem banku, ale wyglądał raczej na stażystę w McDonald'sie, z tym swoim anemicznym wąsikiem i gładkimi policzkami dziecka.

Była dziewiąta trzydzieści rano. Filia banku właśnie otworzyła swe podwoje dla klientów, ale póki co obszerny hol świecił pustkami.

Wiceprezes nie czuł się chyba zbyt pewnie, patrząc na siedzącą przed nim, zalaną łzami dziewczynę. Bezradnie spuścił spojrzenie na blat biurka, by po chwili znowu zerknąć na Rune. — W ogóle nie przychodzą do niego wyciągi?

— Nie dostał ani jednego. Bardzo się tym martwi. Dziadek jest strasznie znerwicowany. Pewnie dlatego miał ten udar. Jest taki... jak to się mówi?

— Drobiazgowy? — podsunął mężczyzna. — Skrupulatny?

— Właśnie. Kiedy zorientował się, że nie dostaje wyciągów, Jezu, miał regularny atak!

— Ma pani numer jego konta?

Rune zaczęła przetrząsać zawartość swojej torby. Minęła minuta, dwie. Lśniący białym marmurem hol rozbrzmiewał sączącą się z głośników muzyką. Rune wbiła wzrok w otwartą torbę. — Nie mogę znaleźć tej kartki. Zresztą i tak pewnie byśmy jej nie odczytali. Dziadek próbował zapisać mi numer, ale kiepsko panuje nad prawą ręką i to go niesamowicie frustruje. Nie chciałam, żeby się niepotrzebnie denerwował.

— Bez numeru konta nic nie mogę dla pani zrobić...

— Cały poczerwieniał i oczy wyszły mu z orbit. Myślałam, że zaraz pęknie mu...

— Jak brzmi nazwisko dziadka? — spytał szybko mężczyzna. Potarł lekko swój anemiczny wąsik i pochylił się nad komputerem.

— Vic Symington. To znaczy Victor.

Wiceprezes wstukał nazwisko do komputera. Zmarszczył brwi. Znowu coś wystukał. Jego palce śmigają po klawiaturze. Przeczytał coś na ekranie monitora i ponownie zmarszczył brwi. — Nic z tego nie rozumiem. Pani dziadek chciałby otrzymać jeszcze jedną kopię swojego *ostatniego u nas* wyciągu?

— Ostatniego u was wyciągu? Dziadek niedawno się przeprowadził, rozumie pan, i wyciąg nie dotarł pod nowy adres. Jaki adres macie wpisany do komputera?

— Jest pewien problem, proszę pani. — Wiceprezes o wyglądzie sprzedawcy hamburgerów popatrzył na nią poważnie.

Runę poczuła, że zaczyna się pocić. Ścisnęło ją w dołku. Wszystko schrząniała. Najprawdopodobniej właśnie w tej chwili facet przyciska jeden z tych ukrytych guzików wzywających ochronę. Cholera. — Jaki problem? — zapytała słabym głosem.

— Dwa dni temu ktoś zamknął rachunek pani dziadka. Jeśli wydaje mu się, że nadal ma u nas jakieś pieniądze, to niestety, jest w błędzie.

— Jakim cudem mógłby sam zamknąć swój rachunek? Ten człowiek nawet nie je bez pomocy!

— Nie zrobił tego osobiście. Przy ostatniej wypłacie jest adnotacja: „O.U”. Osoba upoważniona. Dziadek musiał wystawić komuś pełnomocnictwo, żeby ten dokonał wypłaty i zamknął rachunek.

— To na pewno matka! No nie! — Runę zakryła twarz rękami. — Zawsze powtarzała, że puści dziadka z torbami. Jak mogła? — Runę znowu zaczęła lkać, ocierając dłońmi wyimaginowane łzy. — Musi mi pan powiedzieć! Proszę! Czy to była ona? Muszę to wiedzieć!

— Przykro mi, proszę pani, ale regulamin nie zezwala na ujawnianie informacji o naszych klientach bez ich pisemnej zgody.

Brzmiało to znajomo. Runę pamiętała tę kwestię z filmu.

Nachyliła się do przodu. — Do diabła z regulaminem. Chodzi o ludzkie życie.

— Życie? — Powtórzył łagodnie wiceprezes, sadowiąc się wygodnie. — A to dlaczego?

— No bo... — W filmie z De Niro, Keitelem czy Connerym urzędnik w tym momencie po prostu się poddał.

— Bo co? — W głosie mężczyzny nie było podejrzliwości; był zwyczajnie ciekawy.

— Chodzi o ten jego udar. Jeśli matka ukradła mu pieniądze... Ib może go zabić. Kolejny udar, albo nawet zawał. *Naprawdę* się o niego martwię.

Mężczyzna westchnął. Potarł wąsik. Westchnął jeszcze raz. Zerknął na ekran monitora. — Czek wystawiono na niejakiego Ralpa Steina, prawnika...

— Och, dzięki Bogu — wykrzyknęła Rune. — To prawnik dziadka. S-t-i-n-e, mówi pan?

— E-i-n.

— No oczywiście. Mówimy na niego wujek Ralph. Złoto nie człowiek. — Runę zerwała się z krzesła. — Ma kancelarię na Manhattanie, zgadza się?

— W budynku Citicorp.

— To na pewno on.

Wiceprezes, stukając w klawiaturę niczym agent biura podróży, zapytał jeszcze: — To dziadek myśli, że wciąż ma u nas otwarty rachunek?

Runę ruszyła do wyjścia. — Biedaczysko, całkiem już zdziecinniał, wie pan?

Mężczyzna złożył dłonie w piramidkę. Miał krótkie, grube palce. Runę przeszło przez myśl, że musi zostawiać wielkie odciski na wszystkim, czego się dotknie, jak jakiś złodziej amator. Za jego paznokciami widać było brud.

Gabinet, w którym siedzieli, był przestronny, pomalowany na żółto, pełen różnych kartonów i zakurzonych ksiąg prawniczych. Na parapecie, pod brudnym oknem, stał uschnięty kwiat doniczkowy. Na

jednej ze ścian, obok zegara, wisiały dyplomy uczelni, o których Runę nigdy nie słyszała.

Była druga po południu — aż tyle czasu zajęło jej odszukanie kancelarii adwokata Steina. O czwartej musiała być w pracy, ale wciąż jeszcze miała szansę zdążyć. Tylko bez paniki, powtarzała sobie.

Prawnik zmierzył ją chłodnym wzrokiem. Przyszło jej do głowy określenie „neutralny”. Sprawiał wrażenie człowieka, który zawsze stara się dostrzec w kimś jakąś słabość, tylko po to, aby dać mu do zrozumienia, że o niej wie, nawet jeśli głośno o tym nie mówi.

Mężczyzna miał na sobie przyciasny garnitur. Przy wystających z rękawów mankietach Runę zauważyła spinki z monogramem. Wycieczonym gestem przyciskał do siebie parówkowate paluchy.

— Skąd pani zna Victora? — spytał cicho, obojętnie. To ją zaskoczyło; dotąd uważała, że prawnicy zawsze zadają pytania ostrym tonem, siląc się na złośliwość i szyderstwo.

Runę przełknęła ślinę; dotarło do niej, że nie może już udawać wnuczki Symingtona. Stein mógł sporządzić jego testament — w takim przypadku świetnie znałby wszystkich krewnych swojego klienta. Na szczęście w porę przypomniało jej się, za kogo początkowo wzięła ją córka Symingtona, Emily. Uśmiechnęła się i odparła: — Jestem jego *przyjaciółką*. — Kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo.

Mężczyzna skinął głową. Również obojętnie. — Skąd się znacie?

— Byłam jego sąsiadką. W East Village. Czasami go odwiedzałam.

— Ach tak. A skąd zna pani moje nazwisko?

— Często pana wspominał. Zawsze bardzo ciepło.

— A więc go pani *odwiedzała*. — Prawnik obejrzał ją sobie od góry do dołu. Przez wargi przemknął mu lubieżny uśmiezek.

— Raz, czasami dwa razy w tygodniu. Jak na starszego faceta był całkiem... hm, żwawy. Powie mi pan, gdzie go mogę znaleźć?

— Nie.

Ponownie przełknęła ślinę wściekła, że aż tak się denerwuje z powodu tego człowieka. Czasami naprawdę trudno jest być dorosłym. Odchrząknęła i nachyliła się ku niemu. — Dlaczego nie?

Prawnik wzruszył ramionami. — Klauzula poufności. Dlaczego chce się pani z nim zobaczyć?

— Wyniósł się w pośpiechu. Chciałam z nim tylko porozmawiać, to wszystko, ale nie zdążyłam. Jednego dnia mieszkał przy Dziesiątej, a drugiego już go nie było.

— Ile pani ma lat?
— Czy to przypadkiem nie przestępstwo pytać kogoś o wiek?
— Nie dyskryminuję pani z powodu wieku. Chcę się tylko dowiedzieć, ile pani ma lat.

Rune odparła: — Dwadzieścia. A pan?

— Domyślam się, że tak naprawdę wcale nie chce pani z nim *rozmawiać*. Mam rację? Domyślam się też, że wasz związek, czy jak chce to pani nazywać, nie opierał się wcale na rozmowach. A teraz...

— Pięć stów — przerwała mu. — Jest mi winien pięć stów.

— Za noc? — Stein ponownie zmierzył ją wzrokiem.

— Za godzinę — warknęła.

— Za godzinę — powtórzył.

— Jestem naprawdę dobra.

— Ale chyba nie aż tak — odparł prawnik. — Miałem klienta, który za dwie godziny płacił cztery tysiące.

Cztery tysiące?! To co tam się musiało dziać? Przyszło jej na myśl parę scen z najchętniej wypożyczanych filmów porno: *Madame Q* i „Kocham ból”.

Ludzie są chorzy.

Prawniki mówili dalej tym samym obojętnym tonem: — Czy gdybym zapłacił pani teraz te pięćset dolarów, zapomniałaby pani o panu Symingtonie? Zapomniałaby pani, że wyprowadził się w takim pośpiechu? I że w ogóle istniał?

— Nie — rzuciła gwałtownie Rune. Mężczyzna zamrugał powiekami. Czymś go jednak zaskoczyła. Znowu przybrała na twarz maskę dorosłości. — Ale za dwa tysiące dałabym radę.

Co zaskoczyło go na tyle, że aż się uśmiechnął. Rzecz jasna obojętnie, ale mimo wszystko uśmiech to uśmiech. Odparł: — Tysiąc pięćset.

— Umowa stoi. — Chciała podać mu rękę, ale najwyraźniej nie było to przyjęte w tego rodzaju negocjacjach.

Prawniki przysunęli sobie kartkę papieru. — Dokąd mam przesłać czek?

— Tutaj proszę. — Wyciągnęła do niego otwartą dłoń.

Kolejny uśmiech. Tym razem lekko poirytowany, już nie tak obojętny. Najwidoczniej spodziewał się głupiej, zastraszonej gęsi. A tu proszę: patrzy mu spokojnie prosto w oczy jak ktoś — powiedzmy — dorosły. Mężczyzna wstał od biurka. — To nie potrwa długo. Rozumiem, że czek ma być płatny w gotówce?

— Tak by było najlepiej.

Prawnik w milczeniu wyszedł z gabinetu, zapinając po drodze marynarkę. Wrócił później, niż się spodziewała. Przypuszczała, że zechce tylko zlecić sekretarce przygotowanie czeku, ale nie — nie było go przez bite pięć minut.

Więcej, niż Rune potrzebowała, żeby pochylić się nad biurkiem, przekartkować notes Steina i odnaleźć dane Victora Symingtona. Pod kilkakrotnie przekreślonym adresem widniał wpisany nowy.

Na Brooklynie. Mieszkał teraz na Brooklynie. Rune kilka razy powtórzyła adres na głos. Potem zamknęła oczy i spróbowała odtworzyć go z pamięci. Udało jej się. Zamknęła notes i odłożyła go na miejsce.

Rozsiadła się wygodnie i utkwivszy wzrok w ścianie gabinetu, zastanawiała się, czy dyplomy trzeba oprawiać w specjalne ramki. Pan Idź-na-studia-zrób-coś-ze-swoim-życiem Richard nie miał nawet *jednego* dyplomu na *swoich* paskudnych beżowych ścianach, żywcem wziętych z tandetnego przedmieścia.

Mogłaby się założyć, że agent federalny Phillip Dixon nie skończył nawet college'u, a mimo to wyglądał na zadowolonego z życia. Zanim jednak zdążyła na dobre oddać się swojej ulubionej zabawie polegającej na wymyślaniu mu szczegółowego życiorysu — poczynając od dnia, gdy jego partner został śmiertelnie ranny podczas strzelaniny i wyzionął ducha w jego ramionach — adwokat Stein powrócił.

W rękę miał kopertę oraz kartkę papieru, którą podał Rune. Pośpiesznie przebiegła wzrokiem dokument pełen zwrotów w rodzaju „na mocy którego”, „zwolnienie od odpowiedzialności” czy „zrzeka się wszelkich praw”. Rune poddała się po pierwszym akapicie.

— To jest pokwitowanie odbioru pieniędzy. Potwierdza ono, że w przypadku niedotrzymania przez panią warunków naszej umowy będziemy mogli panią pozwać do wysokości niniejszej kwoty plus koszty sądowe oraz...

Rune wpatrywała się tępo w otrzymany czek.

— ...odszkodowanie.

Wszystko jedno.

Podpisała i schowała czek do torby.

— I proszę pamiętać, że pan Symington nigdy nie istniał.

— Jaki pan...?

No i jak się wam udało randka? — spytała Stephanie.

— Z Richardem?

— Az kimże innym? — zdziwiła się rudowłosa.

Rune zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią. Potem odparła pytaniem na pytanie: — Mówi ci coś „Rodan”?

Stały za ladą wypożyczalni Washington Square Video.

— Masz na myśli tego rzeźbiarza?

Kogo?! To coś jak z tą poezją Stallone'a. — Nie, mam na myśli latającego dinozaura, który zrównał z ziemią Tokio. Albo Nowy Jork. Nieważne. Chodzi o film z lat pięćdziesiątych.

— Wybacz, ale nie kojarzę.

— Krótko mówiąc, moja randka tak właśnie wyglądała. Kompletna katastrofa. Nawet nie dreszczowiec Spielberga, tylko jakiś film katastroficzny klasy B.

Opowiedziała Stephanie o Karen.

— Cholera, kiepska sprawa. Inna kobieta. Trudno to obejść.

Raz na wozie...

Rune sięgnęła do torby i podała Stephanie pomarańczowe kolczyki.

— Masz.

— Nie ma mowy — zaprotestowała tamta. — Zatrzymaj je.

— Nie chcę. Kończę z *haute couture*. Ale mogłabyś coś dla mnie zrobić.

— Co?

— Muszę skoczyć na Brooklyn. Możesz mnie zastąpić?

— Chyba tak. A Tony się nie wkurzy?

— Powiedz mu... Sama nie wiem co. Że musiałam gdzieś pojechać.

Do szpitala, odwiedzić siostrę Frankiego.

— tylko że ona jest już w domu. Razem z dzieckiem.

— No to poszłam odwiedzić ją w domu.

— Tony do nich zadzwoni, żeby cię sprawdzić.

Rune skinęła głową. — Masz rację. Po prostu coś wymyśl, wszystko mi jedno.

— A po co jedziesz na Brooklyn?

— Po forszę. Mam trop, który doprowadzi mnie do pieniędzy.

— Chyba nie tych skradzionych z banku?

— Tych samych. Pamiętaj, co ci mówiłam. Ta bajka o czerwonej kurce...

Stephanie uśmiechnęła się. — Pozwolisz, że póki co nie będę rzucać pracy.

— I słusznie. — Rune zarzuciła sobie na ramię torbę w lamparcie cętki i podeszła do drzwi. — Ale nie trać wiary. Jestem już naprawdę blisko.

Dziesięć minut później była już w drodze na Brooklyn. W poszukiwaniu Victora Symingtona.

Pasażerowie metra wydali jej się milczący i przygnębieni. Jakaś kobieta rozmawiała półgłosem sama ze sobą. Młode małżeństwo wiozło telewizor; ich nabytek zajmował osobne siedzenie, cały oplątany szpagatem, z metką taniego sklepu przyklejoną do kartonu. Jakiś Latynos stał pochylony do przodu, ze wzrokiem wbitym w plan linii metra; sprawiał wrażenie kogoś, komu jest wszystko jedno, dokąd jedzie. Skąpani w ostrym, zielonym świetle, całkowicie zubożniali, nie zareagowali nawet, gdy pociąg z gwałtownym szarpnięciem wjechał na ostatnią stację na Manhattanie przed wjazdem do tunelu pod East River.

Znowu poczuła niepokój.

Opuszczała Stronę, *swoje* terytorium.

Drzwi wagonu już się zamykały, gdy do środka wszedł sztywnym krokiem jakiś mężczyzna. Był biały, ale jego skóra nosiła ślady jasnobrązowej opalenizny. Trudno było określić jego wiek. Wagon nie był zatłoczony, ale nieznajomy usiadł dokładnie naprzeciwko Rune. Miał na sobie zakurzone ubranie. Musiał wracać do domu po całym dniu ciężkiej pracy, na przykład na placu budowy. Zmęczony, zmarnowany. Był tak chudy, że Rune zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem chory. Natychmiast zasnął, a ona nie mogła oderwać od niego wzroku. Głowa mężczyzny kołysała się i podskakiwała w rytm jazdy, ale oczy pozostawały zamknięte. Chwiał się, a ona miała wrażenie, że przez cały czas przypatruje jej się przez zaciśnięte powieki.

Pomyślała: „Oto Śmierć”.

Głęboko w trzewiach poczuła chłód. Śmierć, Hades, Jeździec Apokalipsy. Czarny anioł, który wtargnął do szpitalnej sali jej ojca, żeby go jej odebrać. Groźny duch, który otulił swoim płaszczem pana KelT/ego i przytrzymał go bezbronego w cuchnącym stęchlizną

fotelu, podczas gdy ktoś inny strzelił mu w pierś tymi straszliwymi kulami.

Światła zamigotały, gdy pociąg zmienił tory i zwolnił, wtaczając się na kolejną stację. Po chwili znów jechali. Po pięciu minutach pociągiem znów szarpnęło. Rozległ się zgrzyt hamulców, a drzwi wagonu rozsunęły się z hałasem. Mężczyzna obudził się. Otwierając oczy, spojrzał prosto na Rune. Zadrżała i odruchowo odchyliła się do tyłu, ale nie była w stanie odwrócić od niego wzroku. Mężczyzna wyrwał przez okno i wyprostował się gwałtownie. — Cholera, przegapiłem swój przystanek. Przegapiłem przystanek. — Pospiesznie wysiadł z wagonu.

I tylko dlatego, że patrzyła za nim, jak szurając nogami, oddala się w głąb peronu, Rune zobaczyła śledzącego ją mężczyznę.

Pociąg właśnie ruszał, a jej spojrzenie pobiegło w prawo i zatrzymało się we wnętrzu sąsiedniego wagonu. Ujrzała krępego młodego człowieka o wyglądzie włoskiego gangstera.

Zamrugła powiekami niepewna, skąd go zna, i zaraz przypomniała sobie, że widziała już kogoś podobnego w jakimś innym miejscu. Tylko gdzie? Na poddaszu? Nie, w East Village, w pobliżu mieszkania pana Kell/ego...

A dokładnie przed jego budynkiem tego dnia, gdy się tam włamała. Tak jest! Na dodatek to ten sam facet, który z takim pośpiechem wpadł do delikatesów, kiedy ona wychodziła akurat z wypożyczalni Washington Square Video.

Laluś w roboczym kombinezonie. Siedzący na schodach z papierosem i wydaniem „New York Posta”.

Czy aby na pewno?

Był do tamtego *bardzo podobny*. Ale pewności nie miała. Zwłaszcza że dziś miał na sobie całkiem zwyczajne ubranie.

Ciemnowłosa mężczyzna wcale nie patrzył w jej stronę, zdawał się wręcz nie wiedzieć o jej istnieniu. Pochylony nad książką czy czasopiśmie wyglądał na całkowicie pogrążonego w lekturze.

Nie, to nie mógł być on.

Po prostu ma paranoję. Spotkanie z człowiekiem o żółtych oczach, spotkanie ze Śmiercią, zrobiło z niej wariatkę.

Musi się przyzwyczaić, że żyje w mieście szaleńców i brudnych, zgrzytliwych wagonów metra, w mieście, w którym rocznie dochodzi

do półtora tysiąca zabójstw, pełnym detektywów o zbyt blisko osadzonych oczach i agentów federalnych, którzy lubią flirtować.

Paranoja. O cóż innego może chodzić?

Zejdź na ziemię, do diabła; może chodzić na przykład o milion dolarów.

Albo o morderstwo.

Tak, może jeszcze chodzić *o morderstwo*.

Światła znowu przygasły, gdy pociąg pokonywał kolejną zwrotnicę. Runę z bijącym sercem zerwała się z miejsca, gotowa do natychmiastowej ucieczki, przekonana, że Laluś lada moment wedrze się do jej wagonu i ją udusi.

Jednak kiedy światła z powrotem się zapaliły, mężczyzna zniknął. Prawdopodobnie stał teraz przy drzwiach w grupie innych pasażerów wysiadających na najbliższej stacji.

Widzisz? Po prostu masz paranoję.

Usiadła i zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić. Tłum wysypał się z wagonu, a mężczyzny wciąż nie było nigdzie widać.

Dwie stacje dalej, przy Bay Ridge, Runę wysunęła się z wagonu i czujnie rozejrzała po peronie. Ani śladu Lalusia od liczników. Przeszła przez bramkę i ruszyła schodami do wyjścia.

Na ulicy znowu się rozejrzała, usiłując zorientować się w swoim położeniu.

I wtedy go zobaczyła. Wyłaniającego się z drugiego wejścia na stację, pół przecznic dalej. Rozglądał się dokoła, najwyraźniej próbując wypatrzeć ją w tłumie. O słodki Jezu...

A jednak ją śledził.

Runę odwróciła się, usiłując zachować spokój. Nie może się zorientować, że go zauważyła. Tymczasem mężczyzna bezceremonialnie przepychał się przez uliczny tłum, powiększony o dziesiątki opuszczających stację pasażerów. Wyraźnie kierował się w jej stronę.

Starając się robić to nonszalancko, ruszyła wolno przed siebie. Udawała, że ogląda mijane wystawy sklepów, a w rzeczywistości miała nadzieję, że dojrzy w którejś odbicie nadjeżdżającej taksówki. Laluś był coraz bliżej. Po drodze musiał na kogoś wpaść, bo usłyszała typowo męską wymianę zdań: „Wal się” i „Ty się wal”. Lada chwila ją dopędzi. Wyciągnie broń i zastrzeli ją tymi swoimi kulami z teflonu...

Wreszcie w szybie drogerii zauważyła odbicie sunącej wolno taksówki. Odwróciła się na pięcie, niemal potrącając przy tym ciężarną kobietę, i jednym szarpnięciem otworzyła drzwiczki, zanim jeszcze kierowca zdążył zahamować.

— Co jest, do cholery?! — wrzasnął taksówkarz z twardym bliskowschodnim akcentem.

— Jedź pan!

Kierowca pokręcił głową. — O, nie, nie, nie... — Palcem pokazał jej wyłączoną tabliczkę na dachu swojego żółtego chevroleta.

— Właśnie, że tak! — krzyknęła. — No już, jedziemy! *

Zobaczyła, że Lalus przystanął zaskoczony, niepewny, co ma dalej robić. Przez chwilę stał nieruchomo z papierosem w dłoni, po czym ruszył ostrożnie w ich stronę. Być może bał się, że dobiegające z taksówki pokrzykiwania ściągną mu na kark policję.

Musiał jednak dojść do wniosku, że to bez znaczenia, bo nagle puścił się biegiem w stronę taksówki.

Rune błagała taksówkarza: — Proszę! To tylko parę przecznic! — Podała mu adres na Fort Hamilton Parkway.

— Nie, nie, nie...

— Zapłacę dwadzieścia dolarów.

— Dwadzieścia? Nie, nie, nie...

Rune obejrzała się. Lalusia dzieliło od niej już tylko kilkanaście metrów. Prawą rękę trzymał w kieszeni.

— Trzydzieści? Błagam pana!

Kierowca zastanowił się. — No dobrze, trzydzieści.

— Jedźże pan wreszcie! — krzyknęła.

— Co ci tak spieszno? — zdziwił się taksówkarz.

— Cholera, człowieku! Czterdzieści dolarów! Jedź już!

— Czterdzieści? — Kierowca wcisnął pedał gazu i **Chevrolet** ostro ruszył z miejsca, zostawiając za sobą szaroniebieski obłok dymu z palonych opon i zaskoczonego Lalusia.

Rune skuliła się na poplamionym, krytym winylem siedzeniu. — Psiakrew — wyszeptała z mocą, gdy jej serce nieco zwolniło. Otarła pot ze skroni.

Co to za jeden? Wspólnik Symingtona? Wszystko na to wskazywało. Mogłaby się założyć, że to on zabił pana Kelly'ego. „Cyngiel” — tak gliniarze w „Śmierci na Manhattanie” nazwali zbira, który skosił Roya z karabinu maszynowego na Piątej Alei przed hotelem Florence.

Spoglądając w ciemne oczy mężczyzny, Rune nie miała wątpliwości, że *ją* także zamierza zabić.

Może nadeszła pora, żeby zawiadomić policję? Zadzwoić do Mannelliego. Albo do Phillipa Dixona... To miało sens. *Jedyne* posunięcie, które miało w tej chwili jakiś sens.

Ale w grę wchodził jeszcze zaginiony milion dolarów... Pomyślała o Amandzie i o własnej, wielce niepewnej sytuacji zawodowej. Pomyślała, jak bardzo chciałaby zajechać limuzyną pod blok Richarda, żeby jemu i Karen oko zbiegło.

I szybko postanowiła: żadnej policji. Przynajmniej na razie.

Kilka minut później taksówka zatrzymała się przed jednopiętrowym, szeregowym budynkiem z cegły, z szarzieloną patyną na elewacji.

Kierowca oznajmił: — Czterdzieści dolarów. Napiwku nie trzeba.

Rune stała na chodniku i kryjąc się za anemicznymi iglakami, spoglądała na niski budynek, w którym — jeśli wierzyć wpisowi w notesie prawnika — zamieszkiwał obecnie Victor Symington. Na trawniku przed domem stał na drucianej nodze różowy flaming. Przy schodach obok młotka do krykieta leżał pożółkły bożonarodzeniowy wieniec. Żelazny dżokej o ciemnej twarzy pomalowanej białą farbą trzymał w dłoni obręcz do przywiązywania koni.

— No dalej — ponagliła samą siebie. Nie miała zbyt wiele czasu. Lalus zapewne szuka właśnie automatu, żeby zatelefonować do Symingtona, powiedzieć, że nie zdołał jej zatrzymać, i ostrzec, że Rune zaraz tu będzie. Sam Lalus wkrótce pewnie też się tu pojawi.

Stwierdziła, że z Symingtonem powinna dać sobie radę. Ale już jego uzbrojony wspólnik mógł napytać jej biedy. Zwłaszcza że wyglądał na narwanego.

Zadzwoiła do drzwi. Miała już przygotowaną historyjkę, jak sądziła, całkiem przekonującą. Zamierzała oświadczyć Symingtonowi, że wie, czego on i Lalus się dopuścili, i dodać, że zostawiła swojemu prawnikowi list, w którym wszystko opisała, wymieniając ich obu z nazwiska. Jeśli cokolwiek jej się stanie, Ust trafi w ręce policji.

Okazało się, że jest tylko jeden szkopał. Symingtona nie było w domu. Cholera jasna. Tego nie wzięła pod uwagę.

Załomotała pięścią w drzwi.

Żadnej odpowiedzi. Przekręciła gałkę. Drzwi były zamknięte na zasuwę.

Rozejrzała się po ulicy. Lalusia nigdzie nie było widać. Zbiegła z tupotem po szaro pomalowanych schodach i obeszyła dom, szukając tylnego wyjścia. Minęła gipsową gromadkę siedmiu krasnoludków, pilnujących bocznej ściany budynku, i przeszła przez bramę w ogrodzeniu z taniej siatki, otaczającym dom od tyłu.

Znalazszy się przy tylnych drzwiach, przycisnęła twarz do szyby i osłoniła oczy przed odbijającym się światłem. Ale wewnątrz było ciemno i Runę niewiele zobaczyła.

Jakiś głos ostrzegał ją, że Lalus lada moment tu będzie.

Inny kazał jej wybić szybę łokciem. Wsunęła rękę przez dziurę i otworzyła drzwi. Następnie cisnęła odłamki szkła do ogródka na tyłach budynku, zarośniętego gęstą, soczystą trawą, i weszła do środka.

Przeszła przez salon, mamrocząc: — Cóż za minimalistyczny wystrój. — W sypialni zastała pojedyncze łóżko, komodę i podłogową lampę. W kuchni stał stół i dwa krzesła. Dwie szklanki na staroświeckim blacie szafki, pokrytym barwnymi maźnięciami w stylu Jacksona Pollocka. Kilka wyszczerbionych naczyń, sztuce. W salonie zaś jeden rozkładany fotel i nic poza tym.

Stała przed drzwiami łazienki. Zamiast szyby znajdował się w nich wielokolorowy witraż. — Ale szpan. — Pod spodem widniały czyjeś inicjały. „W.C.” Zastanawiała się, czy to może chodzić o gościa, który zbudował ten dom.

Zajrzała do szaf — wszystkich z wyjątkiem tej w sypialni, której drzwi zamknięte były na nowiutką, wielką, lśniącą kłódkę. Pod trzeszczącym łóżkiem znalazła dwie walizki. Ciężkie, poobijane, ze skóry. Wyciągnęła je. Poczula, że zaczyna się pocić w dusznym, zatęchłym pokoju. Podniosła się z podłogi i spróbowała otworzyć okno, ale rama była zabita gwoździami. Ciekawe dlaczego?

Ponownie pochyliła się nad walizkami i otworzyła pierwszą z nich. Ubrania. Sama starzyzna, wystrzępione mankiety i kołnierzyki, spłowiałe brązy, pożółkłe biele. Zamknęła wieko walizki i wsunęła ją z powrotem pod łóżko. W drugiej walizce znalazła brzytwę, zużytą maszynkę do golenia z podwójnym ostrzem i tubkę kremu do golenia przypominającego pastę do zębów. Wielofunkcyjny scyzoryk, jakieś klucze, niewielkie metalowe pudełko ze spinkami do mankietów, nożyczki do paznokci, szczoteczka do zębów.

Przekopała się aż do dna.

I znalazła grubą, sfatygowaną brązową teczkę spiętą gumką. Bardzo ciężką. Runę zajrzała do środka. Znalazła list — z kancelarii Weis-

sman, Burków, Stein i Rubin — informujący, że oszczędności Symingtona w kwocie około pięćdziesięciu pięciu tysięcy zostały przelane na jego konto w banku na Kajmanach. W kopercie był też bilet lotniczy w jedną stronę do Georgetown na Wielkim Kajmanie. Samolot wylatywał pojutrze.

Obok listu leżał paszport. Runę nigdy przedtem nie widziała paszportu. Dokument był stary, wytarty i poplamiony, a z tyłu znalazła dziesiątki urzędowo wyglądających stempli.

Już miała odłożyć go na miejsce, ale coś ją tknęło. Spojrzała na nazwisko.

Momencik. Kim u diabła jest Vincent Spinello?!

Niech to szlag trafi! Przeglądając notes w gabinecie Steina, była tak zdenerwowana, że musiała pomylić nazwiska. Przeczytała „Vincent Spinello” i pomyślała: „Victor Symington”. Chryste, co za wpadka! I jeszcze wybiła biedakowi szybę w drzwiach!

Wszystko na próżno. Nie mogła w to uwierzyć. Naraziła się na niebezpieczeństwo, ryzykując spotkanie z Lalusiem... i wszystko na nic.

— Psiakrew — wyszeptała z pasją.

Zaraz, zaraz... A list?

Ponownie wzięła go do ręki. Na kopercie widniało nazwisko Symingtona. Adres też się zgadzał. Co w takim razie robi tutaj paszport Vincenta Spinello?

Jeszcze raz przyjrzała się uważnie niewyraźnej fotografii w paszporcie. Nie mogło być wątpliwości. Vincent Spinello był mężczyzną, którego widziała tamtego dnia za oknem mieszkania Roberta Kelly^{go}. Kim wobec tego był?

Zajrzała na samo dno teczki i wszystko stało się jasne. Tym, co tak bardzo ją obciążało, był owinięty w kawałek gazety pistolet. Obok znajdowało się pudełko z taniej tektury, w zielono-brązowy wojskowy wzór. Ono również było dosyć ciężkie. Napis z boku wyglądał jej na niemiecki. Zrozumiała tylko jedno słowo. *Teflon*,.

Dobry Boże...

Symington — albo Spinello — był człowiekiem, który zastrzelił Roberta Kelly'ego. Wspólnie z Lalusiem *odnaleźli* pieniądze zrabowane z Union Banku. Ukradli je i zabili jej przyjaciela! A łup ukryli tutaj, w tej szafie!

Runę opadła na kolana i z bliska przyjrzała się broniącej dostępu do szafy solidnej kłódce. Nachyliła się bliżej, mrużąc oczy. Szarpnęła. Rozległ się metaliczny szczęk.

Zamarła, słysząc w tym samym momencie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Od frontu czy od tyłu? Nie potrafiła tego stwierdzić. Wiedziała jedno: to na pewno Laluś albo Symington. I wiedziała coś jeszcze: obaj chcieli ją zabić.

Ostatni raz pociągnęła za kłódkę. Drzwi nie ustąpiły choćby o milimetr.

Odgłos kroków wewnątrz mieszkania. Coraz bliżej. Jeśli mnie tu znajdzie, zabije! Wepchnęła teczkę do torby i zarzuciła ją na ramię.

Zatrzeszczała podłoga.

O nie, o nie...

Doszła do wniosku, że odgłos kroków dochodzi od frontu, z salonu, który nie był widoczny z miejsca, w którym stała. Jest szansa, że uda jej się niezauważenie wymknąć od tyłu. Wyjrzała na korytarz i błyskawicznie schowała się z powrotem do sypialni. Wszystko gra. Droga wolna.

Wzięła głęboki oddech i wybiegła z sypialni.

By natychmiast odbić się od szerokiej piersi Victora Symingtona.

Mężczyzna stęknął z przerażenia i cofając się, zgubił swój brzydki kapelusz. Zaraz jednak odruchowo zamachnął się i z całej siły zdzielił Runę pięścią w brzuch. Dziewczyna zgięła się wpół. — Boże święty — jęknęła. Potworny ból promieniował przez klatkę piersiową aż do jej szczęki. Chciała krzyknąć, wzywać pomocy, ale zdołała wydobyć z siebie jedynie zduszony szep. Upadła na podłogę, z trudem chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami.

Rozwścieczony Symington złapał ją za włosy i szarpnął, aż się obróciła. Osunął się na kolana; ręce czuć mu było czosnkiem i tytoniem. Zaczął ją brutalnie przeszukiwać.

— Pracujesz dla nich? — sapał. — Kim ty, kurwa, jesteś?

Nie była w stanie mu odpowiedzieć.

— Oczywiście, że dla nich pracujesz. Mów prawdę! — Uniósł w górę zaciśniętą pięść. Runę zasłoniła twarz ramieniem.

— Dla kogo? — zdołała wreszcie wydusić.

— Jak tutaj...

Urwał. Runę podniosła głowę, usiłując złapać oddech. Symington wpatrywał się w otwarte drzwi. Ktoś w nich stał. Luluś? Runę zamru-gała powiekami i spróbowała uklęknąć.

Nie... Dzięki ci, Boże! To była jego córka, Emily.

Fala wdzięczności, jaka ją zalała, była tak wielka, że Runę dopiero po chwili zadała sobie oczywiste pytanie: jak Emily tu trafiła? Czyżby ona *takie* ją śledziła?

Chwileczkę, coś tu było nie tak.

Symington puścił Runę i cofnął się pod ścianę.

Emily odezwała się: — Jesteś ciekaw, jak cię znaleźliśmy? Haarte ma swoje kontakty.

Haarte? — Jaki znowu Haarte? — spytała Rune.

— O nie, tylko nie Haarte — wyszeptał zbielełymi wargami Symington. Bezradnie pokiwał głową. — Powinienem był się domyślić, że to on...

— Czy ktoś mi powie, o co tu właściwie chodzi? — dopytywała się Rune.

Symington błagalnie wpatrywał się w Emily. — Proszę...

Emily nie odpowiedziała.

— Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że mam teraz mnóstwo pieniędzy? — jęknął z rozpaczą mężczyzna.

— Tak, ma pieniądze! — wykrzyknęła Rune. — To on zabił pana Kelly'ego i ukradł mu pieniądze!

Ani Symington, ani Emily nie zwrócili na nią uwagi.

— Czy mogę cię jakoś przekonać? — błagał Symington.

— Nie — odparła krótko Emily. I wyjąwszy z kieszeni pistolet, strzeliła mu prosto w serce.

21

Upadające ciało ocaliło Rune.

Pistolet był niewielki, ale siła wybuchu odrzuciła Symingtona w tył tak, że uderzył w lampę podłogową, która się przewróciła i rozbiła o drzwi łazienki, zasypując korytarz gradem szklanych odłamków.

Emily odskoczyła w bok, żeby przed nimi uciec, dzięki czemu Rune zdążyła rzucić się z powrotem do sypialni. Tamta jednak szybko się pozbierała i ponownie pociągnęła za spust. Runę ogłuszyła istna kakofonia dźwięków: huk wystrzału za jej plecami zmieszał się z

trzaskiem gipsowej ściany, dziurawionej przez kule zaledwie kilka centymetrów od jej głowy.

Zanurkowała i wyskoczyła przez zamknięte okno sypialni. Ból znów zaparł jej dech w piersiach.

Oslaniając rękami twarz przed deszczem rozbitego szkła, ciągnąc za sobą urwaną zasłonę, Runę wylądowała na anemicznych iglakach, potoczyła się na trawę i zatrzymała na jednym z gipsowych krasnali. Leżała na trawniku, dysząc ciężko. Otoczył ją zapach ziemi i wilgotnej trawy. Ponad jej głową ptaki spierały się o coś zawzięcie w gałęziach drzew.

Chwilę później wszystko wokół niej eksplodowało. Twarz gipsowego krasnala w ułamku sekundy zmieniła się w obłok białego pyłu i szybujących na wszystkie strony odłamków. Jakieś piętnaście metrów od niej na ulicy stał mężczyzna ze strzelbą. Runę nie widziała jego twarzy, ale nie miała żadnych wątpliwości, że to Laluś — czyli pewnie ten cały Haarte, ten, o którym wspomniał Symington. Albo wspólnik tamtego. On i Emily musieli być w zмовie... Nie miała pojęcia, kim właściwie są ani dlaczego chcieli wykończyć Symingtona, ale nie traciła czasu na roztrząsanie tego problemu. Przeturlała się pod pobliski krzak i z trudem poderwała z ziemi. Przyciskając do siebie torbę, puściła się pędem przez ogród na tyłach domu, a następnie wdrapała na ogrodzenie z siatki i już była na zewnątrz.

I biegła, byle jak najdalej stąd.

Z ogrodu za domem Symingtona dobiegł ją krzyk i odgłos kolejnego wystrzału. Coś z sykiem przecięło powietrze tuż ponad jej głową. Kula chybiła celu, a Runę skrzyła w najbliższą boczną uliczkę. I dalej biegła przed siebie.

Biegła, dopóki oczy nie zaszyły jej mgłą, a płuca nie zajęły się żywym ogniem, tak że nie mogła już wcale oddychać.

W końcu, pokonawszy — jak jej się zdawało — kilka kilometrów, Runę zatrzymała się z trudem łapiąc oddech. Zaraz też zgięła się wpół pewna, że zwymiotuje. Ale splunęła tylko parę razy na trawę i trwała tak nieruchomo, dopóki mdłości i ból nie ustąpiły. Przebyła truchtem jeszcze jedną przecznicę, ale kolka w boku uniemożliwiła jej dalszy bieg. Wśliznęła się do najbliższego ogródka na tyłach jakiegoś opuszczonego budynku o zabitych deskami oknach. Wczołgała się w kępę wysokiej trawy między uśmiechniętym jelonkiem Bambi a kolejną gromadką siedmiu krasnoludków, oparła głowę na torbie i pomyślała, że odpocznie tu przez dziesięć, góra piętnaście minut.

Kiedy otworzyła oczy, półtora metra od niej zawodziła złowroźnie wielka śmieciarka. Świtało.

Będą na nią czekać.

Może przy wjeździe do Midtown Tunnel, a może na stacji metra. Emily i Laluś. I nie tylko oni, ale dziesiątki innych. Nagle wszędzie ich widziała. To byli Oni, przez duże „O”. Maszerując Broadwayem tego pogodnego, chłodnego, wiosennego poranka, Rune czuła na sobie setki spojrzeń ludzi, którzy *wiedzieli*. Wiedzieli, że jest świadkiem. Czuła na plecach oddech Śmierci. Śmierć groziła jej przyjaciołom. Zginą jedno po drugim, jak Robert Kelly, jak Victor Symington...

Wszyscy chcą ją zabić.

Złapała stopa na Manhattan. Musiała wrócić do domu, do Strony. Udało jej się zatrzymać jakiś samochód dostawczy. Kierowca, Portorykańczyk o szalonym spojrzeniu i rzadkiej koziej bródce, przeklinał korki na czym świat stoi i chyba tylko cudem pokonał odległość dzielącą ich od Mostu Brooklyńskiego — dystans, którego przejechanie o tej porze dnia powinno zająć przynajmniej cztery kwadransy — w jedyne piętnaście minut.

Przepraszał Rune gorąco, że nie może zawieźć jej aż na Manhattan. Biegła więc dalej.

Przez drewnianą kładkę Mostu Brooklyńskiego, z powrotem do budzącego się do życia śródmieścia. Poniżej śmigały samochody, stłumione odgłosy klaksonów taksówek brzmiały jak porykujące krowy. W połowie mostu Rune przystanąła na chwilę, żeby odpocząć. Oparta się o barierkę. Mijali ją młodzi ludzie w garniturach, kostiumach i sportowych butach, spieszący z Brooklyn Heights do swoich biur na Wall Street.

Co też jej się rojiło?

Poszukiwanie Świętego Graala, niezwykle przygody?

Rycerze, czarnoksiężnicy i zaklęte księżniczki?

Nie, stwierdziła z goryczą. To *oni* żyją w świecie z bajki — ci wszyscy prawnicy, sekretarki, księgowi i dostawcy. Nowy Jork nie jest czarowanym królestwem, tylko wielkim, tętniącym życiem miastem, w którym żyją ludzie dobrzy i źli.

Nic dodać, nic ująć. To tylko miasto, pełne zwykłych ludzi.

To jest fabryka, Rune. Syf i trucizna. Ale daje zatrudnienie ludziom, którzy dzięki temu płacą podatki, dają pieniądze na cele charytatywne i

kupują dzieciom buty. Z tych dzieci wyrastają potem prawnicy, nauczyciele, muzycy albo pracownicy innych fabryk. Nic dodać, nic ująć...

Pokonała most i ruszyła na północ — tam gdzie w oddali majaczyły gmachy sądów i strzelisty, gotycki budynek ratusza. Uniosła w górę głowę. Północną fasadę zamiast z marmuru zbudowano z tanich, kamiennych bloków; w tamtych czasach nikt nie przypuszczał, że miasto rozrośnie się na północ od Wall Street. Następnie przez Chinatown i SoHo dotarła do parku przy Placu Waszyngtona.

Nawet o tak wczesnej porze miejsce to przypominało zoo albo średniowieczny jarmark. Żonglerzy, akrobaci na monocyklach i deskach, dzieciaki brzdąkające na gitarach tak tanich, że służyły głównie do wybijania rytmu. Rune przysiadła na ławce, ignorując wysokiego Senegalczyka sprzedającego kradzione roleksy i napakowanego białego nastolatka podśpiewującego: „Hasz, hasz, marihuana, hasz, hasz”. Kobiety w markowych strojach do joggingu pchały przed sobą drogie spacerówki z przyszłymi prawnikami, mijając po drodze dilerów i naćpanych weteranów wojennych. To właśnie było Greenwich Village.

Rune siedziała tam przez godzinę. W końcu zaczęło w niej dojrzewać jakieś mgliste postanowienie i wstała. Zaraz jednak rozwiało się, więc ponownie usiadła, zamknęła oczy i odwróciła twarz ku słońcu.

Kim oni *byli*? Emily? Laluś?

I co się stało z pieniędzmi?

Zasnęła na siedząco i obudziła się dopiero, gdy plastikowe frisbee musnęło jej głowę. Rozejrzała się spanikowana, z trudem przypominając sobie, gdzie jest i jak tu trafiła. Spytała jakąś kobietę o godzinę. Dwunasta w południe. Miała wrażenie, że wszyscy podejrzliwie jej się przypatrują. Wstała i ruszyła szybko przez trawnik na północ, pod białą kamienną miniaturą paryskiego Łuku Triumfalnego.

Oba filmy były bardzo stare.

W tej chwili wyświetlali „Nosila żółtą wstążkę”. John Wayne jako kapitan kawalerii. Nie zwróciła uwagi na drugi tytuł; może to byli „Poszukiwacze”, a może „Rzeka Czerwona”. Film już trwał, kiedy usiadła. Siedzenia kina przy Dwunastej Ulicy były strasznie twarde; cienkie podbicie pod popękaną tapicerką. Oprócz niej w starym studyjnym kinie było może z piętnaście osób, co w ogóle jej nie zaskoczyło. To miejsce wypełniało się jedynie w sobotnie wieczory i podczas nowojorskiego przeglądu filmów erotycznych.

Rune wpatrywała się w ekran.

Na pamięć znała kultowy western Johna Forda. Widziała go już sześć razy. Dzisiaj jednak wydał jej się zbiorem oderwanych od siebie scen. Spocony, stary Victor McLaglen, szacowny, posiwiały Wayne, jaskrawe barwy czterdziestoletniej taśmy w technicolorze, niewinne żarciki kawalerzystów w błękitnych bluzach...

Nie potrafiła jednak dostrzec w tym wszystkim żadnego sensu. Film był tylko serią nie powiązanych ze sobą obrazów, w których mężczyźni i kobiety przechadzali się po wielkim, białym, kwadratowym ekranie piętnaście metrów od niej. Dziwnie się wyrażali, nosili dziwaczne ubrania i teatralnie przeżywali emocje. Wszystko w nim było wyreżyserowane i sztuczne.

Narastał w niej gniew. Gniew związany z dwuwymiarowością filmu, z jego fałszem, tworzoną przezeń iluzją. Czuła się oszukana. Nie tylko przez Emily Symington, czy jakkolwiek ona się nazywała, nie tylko z powodu tego, co zaszło na Brooklynie. Było coś jeszcze, coś bardziej fundamentalnego, co dotyczyło tego, jak żyła i w co wierzyła, a co teraz obróciło się przeciwko niej.

Wstała i wyszła z kina. Od ulicznego handlarza kupiła parę ciemnych okularów o grubych oprawkach i wsunęła je na nos. Na rogu skręciła i pokonawszy University Place, dotarła do wypożyczalni.

Tony oczywiście ją wylał.

Nie zgrywał się, nie obrażał jej ani nie silił się na sarkazm, tak jak się spodziewała. Obrzucił ją tylko chłodnym spojrzeniem i powiedział: — Opuściłaś dwie zmiany i nawet nie zadzwoniłaś. Już tu nie pracujesz. *Tym razem mówię serio.*

Rune nie zwróciła na to większej uwagi. Wpatrywała się w leżącą przed nim na ladzie gazetę.

Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Świadek w procesie mafii zamordowany”.

Ale to nie on przykuł jej wzrok, tylko ziarnista, prześwietlona fotografia brooklyńskiego domu Victora Symingtona. Sześć ocalałych krasnali, strzaskana szyba w oknie. Rune chwyciła gazetę.

— Wolnego — zaprotestował Tony. — Jeszcze nie skończyłem. — Wystarczył mu jednak rzut oka na jej twarz, żeby zamilknąć.

„Skazany za pranie brudnych pieniędzy mafijnego syndykatu, świadek koronny w serii procesów wytoczonych szefom zorganizowa-

nej przestępczości ze Środkowego Zachodu został wczoraj zabity podczas strzelaniny na Brooklynie noszącej wszelkie cechy gangsterskich porachunków.

Siedemdziesięcioletni Vincent Spinello zginął od strzału w pierś. Proszący o zachowanie anonimowości świadek zeznał, że widział uciekającą z miejsca przestępstwa młodą, krótkowłosą kobietę, która jest obecnie główną podejrzaną w tej sprawie.

Drugi świadek koronny w wyżej wspomnianych procesach, niejaki Arnold Gittleman, został zamordowany przed miesiącem w hotelu w St. Louis wraz z dwoma agentami federalnymi".

Rune zacisnęła dłonie na gazecie. To o mnie! — pomyślała. To ja jestem tą młodą, krótkowłosą kobietą.

Emily mnie *wykorzystała!* Ta suka mnie wykorzystała. Od początku wiedziała, gdzie jest Symington, i naprowadziła mnie na jego ślad, żeby wyglądało, że to *ja* go zabiłam.

A na dodatek w całym domu są moje cholerne odciski palców!

Główna podejrzana...

Tony wyszarpnął jej z rąk gazetę. — Zaległy czek możesz odebrać w poniedziałek.

— Błagam cię, Tony. Potrzebuję forsy już teraz. Nie możesz mi zapłacić w gotówce?

— Nie ma mowy.

— Muszę wyjechać z miasta.

— W poniedziałek. — Tony ponownie pochylił się nad gazetą.

— Posłuchaj, mam tutaj czek na półtora tysiąca dolców. Daj mi tysiąc, a przepiszę go na ciebie.

— Jasne. Myślałby kto, że jesteś wypłacalna. Czek jest na pewno bez pokrycia.

— Tony! Płatny w gotówce, wystawiony przez kancelarię prawniczą!

— Spadaj.

W drzwiach zalecza pojawiła się rozczochrana głowa Frankiego Greka. — Rune, tego, dzwonił do ciebie. Tamten gliniarz, Manelli. I agent federalny Dixon. Aha, i jeszcze Stephanie.

Stephanie! Rune zdrętwiała. Jeśli mnie śledzili, to musieli widzieć nas razem.

Chryste Panie, jej też grozi niebezpieczeństwo!

Podbiegła do lady i chwyciła słuchawkę. Tony już chciał coś powiedzieć, ale chyba doszedł do wniosku, że szkoda mu czasu na drobne

przepychanki; jak by nie było, wygrał właśnie całą batalię. Zakręcił się więc na swoim zdartym obcasie i z gazetą pod pachą przeszedł do drugiej lady.

Po dłuższej chwili w słuchawce rozległ się wreszcie zaspany głos Stephanie.

— Rune! Co się z tobą działo? Wczoraj wieczorem nie było cię w robocie. Tony strasznie się wściekł...

— Steph, posłuchaj mnie — przerwała jej wzburzona. — Zamordowali tego faceta, którego próbowałam odszukać, Symingtona, a teraz próbują mnie w to zrobić!

— Co?!

— Mnie też chcieli zabić!

— Kto?

— Nie wiem. Pracują dla mafii czy coś w tym rodzaju. Boję się, że mogli widzieć nas razem.

— Rune, nie zmyślasz? A może to kolejna z twoich fantazji?

— Nie! Mówię serio.

Kilku klientów zerknęło w jej stronę. Rune poczuła dreszcz przerażenia. Zakryła dłonią słuchawkę i zniżyła głos. — Spójrz na pierwszą stronę „New York Posta”. Tam jest wszystko napisane.

— Musisz zawiadomić policję.

— *Nie mogę*. Moje odciski zostały na miejscu zbrodni. Jestem podejrzana.

— Jezu, Rune, ale się porobiło.

— Wracam do Ohio.

— Kiedy? Teraz?

— Jak tylko zdobędę jakieś pieniądze. Tony nie chce mi zapłacić.

— Co za fiut — warknęła Stephanie. — Mogę ci coś pożyczyć.

— Dam ci w zamian czek na półtora tysiąca.

— Chyba żartujesz?

— Nie, płatny w gotówce. Możesz go zatrzymać. Tylko musisz ze mną jechać!

— Jechać? — powtórzyła Stephanie, nic nie rozumiejąc. — Dokąd?

— Do Ohio.

— Nie ma mowy. Za tydzień mam przesłuchanie.

— Stephanie...

— Mogę ci pożyczyć parę stów. **Tylko** wstąpię do banku. Gdzie się spotkamy?

— Może przy Union Square Park? Przy stacji metra, od południo-wo-wschodniej strony.

— Dobra, za pół godziny.

— Czy to bezpieczne miejsce? — upewniła się jeszcze Stephanie.

— Dostyc bezpieczne.

Chwila wahania. — Bo nie chcę, żeby mnie pobili czy coś. Łatwo robią mi się siniaki, a nie mogę iść na przesłuchanie posiniaczona...

Wychodząc na ulicę, usłyszała za plecami męski głos.

— Ciężko cię znaleźć.

Odwróciła się w panice.

Richard stał oparty o pobliski parkomat. Japiszon został wygnany, a jego miejsce ponownie zajął Pan Miejski Szyk. Miał na sobie ciężkie buty, czarne dzinsy i taki sam podkoszulek, a w uchu złote kółko. Rune zauważyła, że to klips. Wyglądał na zmęczonego.

— Dostrzegam w tobie — ciągnął — umiłowanie anonimowości, jak mawiał Franklin Delano Roosevelt. Szukałem cię, parę razy dzwoniłem do wypożyczalni. Martwiłem się o ciebie.

— Przez pewien czas nie było mnie w pracy.

— Wczoraj była niezła impreza. Myślałem, że może będziesz chciała się wybrać.

— Nie wolałeś zaprosić... jak jej tam? Amazonki Cathy?

— Karen. — Okręcił się wokół parkomatu, przytrzymując się słupka jedną ręką. — To był jak dotąd jedyny raz, kiedy zjedliśmy razem kolację. Nie musisz się nią przejmować. Nie spotykamy się ani nic takiego.

— To już twoja sprawa. Nic mnie to nie obchodzi.

— Nie bądź taka zaborcza.

— Jak mogę być zaborcza, skoro nie obchodzi mnie, co wyrabiasz z Cathy-Karen?

— Co się stało? — Richard zmarszczył brwi. Jego wzrok podążył za spojrzeniem Rune i zatrzymał się na niskim mężczyźnie o ciemnej karnacji i kręconych włosach, stojącym dwa sklepy dalej. Tyłem do nich.

Rune aż się zachłysnęła z przerażenia. Mężczyzna odwrócił się i ruszył w ich stronę. To nie był Laluś.

Spojrzała na Richarda, usiłując się na nim skoncentrować, ale cały czas miała przed oczami głupawy uśmiezek Gapcia czy może Apsika,

kiedy jego głowa eksplodowała trafiona pociskiem ze strzelby. Odgłos wystrzału był zaskakująco głośny, brzmiał wręcz niczym huk wybuchającej bomby.

Richard chwycił ją za ramiona. — Rune, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Co się z tobą dzieje?

Cofnęła się i przymrużyła oczy. — Zostaw mnie w spokoju.

— Słucham?!

— Trzymaj się ode mnie z *daleka*. Chyba nie chcesz, żeby coś ci się stało? Jestem trędowata. Nie zbliżaj się!

— Co ty wygadujesz? — Richard próbował wziąć ją za rękę.

— Nie, zostaw! — krzyknęła. Z oczu popłynęły jej łzy. Zawahała się, po czym z całych sił go objęła. — Idź stąd! Zapomnij o mnie! Zapomnij, że kiedykolwiek mnie znałeś!

Potem odwróciła się na pięcie i pobiegła, roztrącając tłum, przez Greenwich Village w stronę Union Square.

Czekała pod stalowym, stylizowanym na *art deco* zadaszeniem przy wejściu do stacji metra, przyciskając plecy do chłodnych kafelków.

Niewidzące spojrzenie utkwiała w dźwigu, potężnej konstrukcji w kształcie przechylonej litery „T” górującej nad ogromnym, nowym osiedlem wznoszonym przy Union Square. To tylko dźwig, powtarzała sobie, dźwig i nic więcej. Nie narzędzie bogów ani olbrzymi szkielet jakiegoś bajkowego stwora. Tę, co widziała, było jedynie budowlanym dźwigiem. Poruszającym się z wolna, sterowanym przez jakiegoś anonimowego związkowca, dostarczającym stalowe wsporniki montującym je robotnikom w zapyłonych dzinsach i kurtkach.

Do diabła z magią...

Kolejny raz pomyślała, by zadzwonić do Manelliego czy Dixona.

'tylko dlaczego miałoby jej uwierzyć? Najprawdopodobniej już wysłano za nią Ust gończy, tak jak w przypadku policjanta Roya po tym, jak ukradł pieniądze w „Śmierci na Manhattanie”. Dobrze, że była na tyle przewidująca, by pozbyć się chociaż części obciążających ją dowodów. Wstąpiwszy na poddasze po czek od Steina, zdała sobie sprawę, że wciąż ma przy sobie teczkę Spinella, i wyrzuciła ją do śmieci. Gdyby gliny znalazły przy niej *coś takiego*, jak nic poszłaby siedzieć.

Musi wyjechać z miasta, opuścić Stronę, swoje zaklęte królestwo. Wrócić do domu. Znaleźć jakąś pracę. Iść na studia.

Najwyższa pora, psiakrew.

Czas dorosnąć i zapomnieć o bajkach...

Zobaczyła idącą przez park Stephanie; jej rudawe włosy połyskiwały w popołudniowym słońcu. Obie pomachały do siebie. Absurdalnie niewinny gest, pomyślała Rune, zupełnie jakby były koleżankami spotykającymi się, żeby przy drinku ponarzekać na swoich szefów, facetów i matki.

Rozejrzała się dokoła, ale nie zauważyła nikogo podejrzanego — a przynajmniej nikogo *bardziej* podejrzanego niż typy widywane zwykle w okolicy Union Square — po czym wyszła na spotkanie Stephanie.

— Jesteś ranna — zauważyła tamta, spoglądając na czoło Rune; w miejscu gdzie trafił ją odłamek gipsu albo szkła, widniała krwawa szrama.

— Nic mi nie jest.

— Co się właściwie stało?

Rune zrelacjonowała jej ostatnie wydarzenia.

— Dobry Boże! Musisz koniecznie zgłosić się na policję. Pogadasz z nimi, wytłumaczysz, co się stało.

— Tak, akurat. Mają dowody, że byłam na miejscu dwóch różnych zbrodni. Jestem ich podejrzaną numer jeden.

— A myślisz, że gliny nie znajdą cię w Ohio?

Rune uśmiechnęła się blado. — Znaleźliby, gdyby znali moje prawdziwe nazwisko. A tak nie jest.

Stephanie odwzajemniła jej uśmiech. — Jasne. Trzymaj. — Podała jej zwitek banknotów. — Prawie trzy stowy. Wystarczy?

Rune uściskała ją. — Nie wiem, co powiedzieć. — Wręczyła Stephanie czek.

— Nie, to naprawdę za dużo.

— Pamiętasz bajkę o czerwonej kurce? Musi mi tylko starczyć na podróż do domu. Resztę możesz zatrzymać. Tony i tak cię pewnie zwolni za to, że mi pomogłaś...

— Chodź — rzuciła Stephanie — pomogę ci się spakować i odstawię na lotnisko. — Zawróciły w stronę wejścia do metra. — Myślisz, że nic się nie stanie, jak wrócisz teraz na poddasze?

— Emily i Laluś nie wiedzą, gdzie mieszkam. Manelli i tamten agent znają adres, ale możemy dostać się do środka od strony placu budowy. Wtedy nikt nas nie zobaczy. Możemy...

Poczuła lodowate ukłucie strachu i gwałtownie wciągnęła powietrze.

Bo zza kolumny jakieś trzy metry przed nimi wyszedł Laluś z czarnym pistoletem w dłoni i warknął do Rune: — Nie ruszaj się, kurwa!

Na jego twarzy malowała się wściekłość. Ruszył w kierunku Rune, nie zwracając uwagi na Stephanie. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że mogą być razem.

Runę zamarła, w przeciwieństwie do Stephanie.

Ta zrobiła szybki krok naprzód, co całkowicie zaskoczyło napastnika, i krzycząc: — Ratunku! Gwałcą! — uderzyła go otwartą dłonią prosto w twarz, rozcapierzając szeroko palce. Głowa mężczyzny odskoczyła w tył, a on sam zatoczył się na ścianę budynku. Z nosa trysnęła mu krew.

— Kurwa mać! — wrzasnął.

Słynny kurs samoobrony...

Stephanie znowu zrobiła krok w jego stronę. Wyglądało na to, że tym razem zamierza go kopnąć.

Ale Laluś też miał niezły refleks i wiedział, co robi. Nie próbował z nią walczyć. Zamiast tego odskoczył jakieś trzy kroki w bok, usuwając się spoza jej zasięgu, otarł ciekącą mu z nosa krew i już miał wycelować w nią pistolet, gdy nagle czyjeś ramię zacisnęło się wokół jego szyi.

Przypadkowy pasażer — zwalisty, ciemnoskóry mężczyzna — usłyszał krzyk Stephanie i zaszedł Lalusia od tyłu, zakładając mu przepisowego nelsona. Ten przyduszony upuścił broń i zacisnął obie ręce na przedramieniu tamtego, na próżno usiłując się wyrwać z jego żelaznego uścisku.

Ciemnoskóry wielkolud wyglądał na rozbawionego całą sytuacją. Radośnie zwrócił się do Lalusia: — Dobra, gnojku, daj lepiej spokój tym paniom. Dobrze ci radzę.

Biegły, ile sił w nogach.

Stephanie prowadziła.

Musią należeć do jakiegoś klubu sportowego, bo gnała *niczym* chart. Skoro był tu Laluś, Emily również musiała być gdzieś w pobliżu. Poza tym kasjer w metrze na pewno zdążył już zawiadomić gliny. W tej chwili Runę pragnęła znaleźć się tak daleko od stacji, jak to tylko możliwe.

Biegła, dysząc ciężko, za wszelką cenę usiłując dotrzymać kroku Stephanie.

Były już dwie przecznice od stacji metra, kiedy to się stało.

Na rogu Trzynastej i Broadwayu taksówka wpadła na skrzyżowanie, gdy zapalało się czerwone światło.

Dokładnie w tym samym momencie Stephanie wybiegła na jezdnię spoza dwóch podwójnie zaparkowanych furgonetek.

Nie miała najmniejszych szans...

Jedynie, co mogła zrobić, to rzucić się na maskę samochodu i uniknąć w ten sposób śmierci pod jego kołami. Kierowca gwałtownie wciśnął hamulce, które wydały przeciągły pisk, ale mimo to taksówka wpadła na nią z ogromnym impetem. Jakaś część ciała Stephanie — jej twarz, pomyślała z rozpaczą Rune — uderzyła o przednią szybę, która natychmiast pokryła się białą siatką pęknięć. Stephanie obróciła się i stoczyła na asfalt kaskadą kwiecistej tkaniny, rudych włosów i białego ciała.

— Nie! — krzyknęła Rune.

Jakieś dwie kobiety podbiegły do Stephanie i pochyliły się nad nią. Rune osunęła się obok na kolana. Gdzieś z bardzo daleka słyszała litanie taksówkarza: — Wbiegła mi pod koła, to nie moja wina, nie moja wina, nie moja wina...

Rune otoczyła ramionami zakrwawioną głowę Stephanie.

— Wszystko będzie dobrze — szeptała. — Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

Ale Stephanie jej nie słyszała.

22

Rune stała przy szpitalnym oknie i spoglądała w dół na park.

Był to stary, miejski park przy Pierwszej Alei. Więcej kamieni i gołej ziemi niż trawy; większość gładów pokrywało graffiti w odcieniach czerwieni i fioletu. Wyglądały jak obnażone organy wylewające się z podbrzusza miasta.

Odwróciła się tyłem do okna.

Obok niej przeszedł lekarz. Nawet na nią nie spojrzął. Nikt tu nie zwracał na nią uwagi — ani lekarze, ani salowi, ani pielęgniarki, ani pracujący w szpitalu wolontariusze. Dawno już przestała czekać na dobrotliwego staruszka w białym kitlu, który wyszedłby na korytarz,

objął ją czule i powiedział: — Nie martw się o swoją przyjaciółkę, nic jej nie będzie.

Tak, jak to się robi w filmach.

Ale przecież filmy kłamią.

W uszach rozbrzmiewał jej głos Richarda mówiącego: — To tylko fikcja.

Nikt nie zatrzymał się, żeby z nią porozmawiać. Jeśli chce się czegoś dowiedzieć, musi zwrócić się do pielęgniarek. Znowu.

Oczywiście jedyne, co w ten sposób uzyska, to kolejne zniecierpliwione spojrzenie.

Damy pani znać, kiedy coś będzie wiadomo.

Ponownie wyjrzała przez okno, wypatrując Lalusia. Niewykluczone, że udało mu się wyrwać tamtemu osiłkowi i umknąć glinom. Niewykluczone, że śledząc karetkę, trafił za nimi do szpitala.

Kolejny atak paranoi.

Czyżby? Kiedy *wiesz*, że ktoś naprawdę chce cię zabić, to już nie jest żadna paranoja.

Miała nadzieję, że Stephanie naprawdę mocno mu przywaliła. Bohaterka jednej z jej ulubionych bajek, dobra wróżka, ostrzegła kiedyś kogoś, żeby nigdy nie życzył innym niczego złego. Możesz im życzyć wszystkiego, co najlepsze, powiedziała, ale nigdy nie życz nikomu, żeby spotkała go krzywda. Dlatego, podkreśliła, że zło jest jak osa w słoiku; wypuszczając ją, nie jesteś w stanie przewidzieć, kogo użądli.

Runę miała jednak szczerą nadzieję, że Stephanie rozkwasila sukinsynowi nos.

Ociągając się, podeszła do dyżurki pielęgniarek.

Starsza kobieta łaskawie uniosła głowę; stetoskop zwieszał jej się z szyi na podobieństwo węża boa. — O, to pani. Mamy już informacje o pani znajomej.

— Jak się czuje? Proszę mi powiedzieć!

— Przed chwilą zabrali ją na radiologię na kolejne prześwietlenie. Nadal jest nieprzytomna.

— To *wszystko*, co ma mi pani do powiedzenia? Że wciąż nic nie wiadomo?!

— Myślałam, że chciałaby pani wiedzieć chociaż tyle. Powinna wrócić na OIOM za jakieś czterdzieści minut, góra za godzinę. Trudno powiedzieć.

Beznadziejna sprawa, pomyślała Rune.

— Jeszcze tu wrócę. Jak się ocknie, proszę jej powiedzieć, że jeszcze tu wrócę.

Błagam was, Panie, Izis i Persefona, sprawcie, żeby Stephanie przeżyła.

Rune stała na nabrzeżu East River, obserwując sunące pod prąd holowniki. Obok niej przepłynął statek wycieczkowy Circle Line, barka, trzy czy cztery łodzie motorowe. Woda w rzece była mętna i cuchnąca. Dochodzący z za jej pleców ciągły, męczący szum samochodów na Franklin Delano Roosevelt Drive działał jej na nerwy. Brzmiało to tak, jakby ktoś odrywał od ciała przyschnięte opatrunki.

Przygoda. **Tylko** tego pragnęła. Przygody.

Takiej, jaką przeżywali Lancelot poszukujący Graala i Psyche zaginionego kochanka Erosa. Takiej, jak w książkach, w filmach. Ona, Rune, byłaby bohaterką. Odnalazłaby zabójcę pana Kelly^{go} i tamten milion dolarów. Uratowałaby Amandę przed deportacją i żyła długo i szczęśliwie u boku Richarda.

Boże Wszchemogący, który mocą swoją wypędzasz z naszych ciał wszelkie słabości i choroby\ okaz nam swoje miłosierdzie...

Powtarzała te słowa tak często w ciągu ostatniego tygodnia życia ojca, że chcąc nie chcąc, nauczyła się ich na pamięć.

Ojciec. Młody, przystojny mężczyzna, który stale bawił się z Rune i jej siostrą, nauczył je jeździć na rowerze, czytał im bajki i równie często zabierał do teatru, jak na mecze baseballu. Człowiek, który zawsze miał dla nich czas, chętny do rozmowy, gotów wysłuchać ich problemów...

To prawda, że bajki nie zawsze dobrze się kończyły. Zakończenie zawsze jednak musiało być sprawiedliwe. W bajkach ludzie umierali albo tracili majątek dlatego, że byli nieuczciwi, lekkomyślni albo chciwi. Tymczasem to, co spotkało jej ojca, wcale nie było sprawiedliwe. Całe życie żył uczciwie, a mimo to umarł strasznie, powolną i pełną cierpienia śmiercią w hospicjum w Shaker Heights.

Śmierć pana Kelly^{go} też nie była sprawiedliwa.

Ani wypadek Stephanie. A już na pewno nie byłoby sprawiedliwe, gdyby umarła.

Błagam...

Rune powiedziała głośno: — Wejrzyj na swoją służebnicę Stephanie, oddał od niej chorobę i przywróć jej siły.

Jej głos przeszedł w szept i Rune umilkła.

Wpatrując się w sine odmęty pod sobą, zsunęła z przegubu srebrne bransoletki i jedna po drugiej wrzucała je do rzeki. Tonęły, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku, co uznała za dobry omen; najwyraźniej bogowie czuwający nad tym wspaniałym i potwornym miastem z zadowoleniem przyjęli jej ofiarę.

Jednak gdy w ręce została jej ostatnia bransoletka — ta, którą kupiła dla Richarda — Runę zawahała się, spoglądając na splecione srebrne dłonie. Usłyszała jego głos mówiący:

Wkrótce przekonasz się, że żaden ze mnie rycerz i że jeśli nawet te pieniądze z napadu faktycznie istniały — co moim zdaniem byłoby najbardziej nieprawdopodobną historią pod słońcem — to już dawno zostały wydane, ukradzione albo zagubione gdzieś przed laty i nigdy ich nie odnajdziesz...

Zacisnęła palce na bransoletce, gotowa cisnąć ją do wody w ślad za pozostałymi. Po chwili jednak zmieniła zdanie i postanowiła zachować ją jako pewnego rodzaju memento. Niech ten srebrny drobiazg już zawsze jej przypomina, że przygoda może oznaczać krzywdę i śmierć najbliższych, a wyprawy tropem zaginionych skarbów udają się tylko w książkach i filmach.

A ty tymczasem przepieprzasz życie w tej cholernej wypożyczalni, rzucając się z jednej fantazji w drugą i czekając sama nie wiesz na co...

Wsunęła bransoletkę z powrotem na rękę i wolno zawróciła w stronę szpitala.

Na oddziale zmieniły się pielęgniarki i nikt nie potrafił jej powiedzieć, gdzie jest Stephanie. Runę przeżyła moment potwornej paniki, gdy jedna z dyżurujących zajrzała do zeszytu i w miejscu, gdzie powinny się znajdować nazwiska pacjentów przewiezionych z izby przyjęć na radiologię, znalazła czarną kreskę. Runę poczuła, że trzęsą jej się ręce. Na szczęście pielęgniarka już po chwili znalazła kolejny wpis, z którego wynikało, że Stephanie wciąż jeszcze jest na górze.

— Dam pani znać — obiecała.

Runę bardzo długo stała przy oknie ze wzrokiem wbitym w szybę, zanim usłyszała, że ktoś o nią pyta.

Odwróciła się i zamarła, widząc młodziutkiego lekarza z iście pogrzebową miną. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby od tygodnia nie spał. Runę zastanawiała się, czy kiedykolwiek już przekazywał komuś wiadomość o śmierci pacjenta. Zaczęła szybciej oddychać, kurczowo zaciskając palce na bransoletce.

— To pani jest znajomą kobiety potrąconej przez taksówkę? — zapytał.

Runę przytaknęła.

Mężczyzna oznajmił: — Wyszła ze stanu krytycznego.

Runę wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Spojrzał na nią, najwyraźniej czekając na jakąś reakcję.

Wreszcie dodał: — Jest teraz stabilna.

— Czyli... — Runę pokręciła głową; nie zrozumiała ani jednego jego słowa.

— Wyzdrowieje — wyjaśnił lekarz.

Runę rozplakała się.

Mężczyzna ciągnął: — Doznała wstrząśnienia mózgu, ale nie straciła wiele krwi. Ma tylko kilka rozległych wylewów podskórnych.

— Co to jest wylew podskórny?

— Siniak.

— Aha.

Biedna Stephanie, która nie chciała się posiniaczyć przed przesłuchaniem.

— Obudziła się? — zapytała lekarza.

— Nie. Jeszcze przez pewien czas będzie nieprzytomna.

— Dziękuję panu, doktorze. — Uściskała mężczyznę z całej siły. Przez chwilę cierpliwie znosił te czułości, po czym odwrócił się i znużony zniknął za wahadłowymi drzwiami.

W dyżurce pielęgniarek Runę poprosiła o długopis i kartkę papieru.

Napisała:

Kochana Steph!

Wyjeżdżam. Dzięki za wszystko. Nie szukaj mnie ani nie próbuj się ze mną kontaktować. Mogę ci tylko zaszkodzić.

Uściski,

R.

Wręczyła liścik pielęgniarce. — Proszę jej to oddać, kiedy się obudzi. I proszę jej przekazać, że bardzo ją przepraszam.

Znowu biegła.

Co chwila oglądając się za siebie. Mijając miejskie śmietniki, sterty odpadów, kałuże. Zostawiając za sobą sztuczne, krzykliwe złocenia Puck Building w SoHo, otoczona kwaśnym odorem obrzeży Lower East Side. Byle dalej, byle szybciej. Czowała strumyczki potu spływające jej po bokach i wzdłuż kręgosłupa, ból stóp uderzających o twarde

betonowe płyty, słabo chronionych przez cienkie podeszwy jej tanich butów.

Wpadające przez otwarte usta powietrze raniło jej płuca.

Przecznice przed swoim mieszkaniem zatrzymała się i przycisnąwszy plecy do ściany budynku, obejrzała się za siebie. Nikt jej nie śledził. Przed nią rozciągała się spokojna, nieco zapuszczona ulica. Następnie sprawdziła ulicę bezpośrednio przed swoim budynkiem. Żadnych policyjnych radiowozów, nawet nieoznakowanych. Znajome cienie, znajomy bałagan, ta sama zepsuta niebieska furgonetka, która oblepiona mandatami już od kilku dni stała na chodniku. Zaczekała, aż puls nieco się jej uspokoi.

Czy Emily i Luluś przysliby tu, gdyby wiedzieli, gdzie mieszka? Raczej nie; podejrzewaliby chyba, że policja obstawiła budynek. Poza tym prawdopodobnie oboje dawno już dali stąd nogę. Potrzebna im była tylko jako kozioł ofiarny. Zrobili, co mieli zrobić, i najpewniej wyjechali z miasta.

Ona też powinna to zrobić. I to jak najszybciej.

Co po bokach okrągłe jest, a pośrodku uderza w śmiech? No zgadnij, co? O HI O!

Obeszła budynek dokoła i wśliznęła się od tyłu przez ogrodzenie ze sklejki. Po terenie budowy kręcili się robotnicy w kaskach.

Minęła ich pospiesznie i weszła do budynku. Wsiadła do windy i wcisnęła przycisk, czując w powietrzu won smaru, farby i rozpuszczalników. Już wcześniej mdliło ją z wyczerpania i strachu, więc od tych zapachów jeszcze bardziej skrzył jej się żołądek.

Winda ze szczękiem zatrzymała się na ostatnim piętrze. Runę odsunęła metalową kratę i wysiadła. Z poddasza nie dobiegały żadne odgłosy. Nie mogła jednak wykluczyć, że na górze ktoś jednak jest. Zawołała głośno: — Runę? To ja. Jesteś w domu? — Cisza. — To ja, twoja koleżanka Jennifer! Runę!

Żadnego szmeru.

Ostrożnie weszła na schody i wyjrzała przez otwartą klapę w podłódze. Przed nią rozpościerało się puste poddasze. Biegiem rzuciła się w głąb pomieszczenia, chwyciła jedną ze starych walizek służących jej za komodę i otworzyła ją. Następnie obeszła poddasze, zastanawiając się, co powinna ze sobą zabrać.

Żadnych ubrań. Biżuterii też nie — zresztą poza bransoletkami i tak nie miała jej za dużo. Spakowała kilka zdjęć rodziny i poznanych w Nowym Jorku przyjaciół. Do tego książki, dwadzieścia kilka tytułów

— te, których nie dałaby rady odkupić. Zawahała się, nie wiedząc, co zrobić z filmami, głównie kreskówkami Disneya. Doszła jednak do wniosku, że sprawi sobie nowe.

Jej spojrzenie padło na kasetę ze „Śmiercią na Manhattanie”. Złapała ją i cisnęła z wściekłością przez całe poddasze. Kasetę trafiła w stół, tłukąc kilka kieliszków, i rozpadła się na pół.

Znalazła kartkę i długopis i napisała:

„Sandra, odjazdowo mi się z tobą mieszało, ale właśnie trafiła się okazja wyjazdu na parę lat do Anglii. Gdyby ktoś mnie szukał, powiedz, że tam teraz będę. Jeszcze nie wiem, gdzie dokładnie, ale chyba gdzieś w okolicach Londynu albo Edynburga. Mam nadzieję, że twoja biżuteria okaże się hitem, bo robisz genialne projekty. Jeśli kiedykolwiek będzie ją można kupić w Londynie, na pewno to zrobię. Trzymaj się, Rune”.

Złożyła list, zostawiła go na poduszce Sandry i podniosła ciężką walizkę.

W tej samej chwili usłyszała kroki.

Ktoś był piętro niżej.

Ktokolwiek to był, nie wjechał windą, tylko wszedł ukradkiem po schodach. Najwyraźniej nie chciał, żeby go słyszano.

Jedyna droga ucieczki prowadziła przez kręte schody — te same, po których wspinał się teraz tajemniczy intruz. Rune usłyszała ostrożne szuranie.

Zerknęła w głąb swojej części poddasza, na walizkę i torbę w lamparcie cętki.

Nie było czasu, żeby wyciągnąć broń. Na nic już nie było czasu.

Znalazła się w pułapce.

Przebiegła wzrokiem po szklanych ścianach swojego mieszkania, na próżno szukając miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

23

Powoli, bardzo ostrożnie pokonywał kolejne stopnie.

Przystawał, nasłuchiwał.

Usiłował opanować gniew, który się w nim gotował i był tak samo trudny do zniesienia, jak pulsujące bólem miejsce, gdzie dosięgła go dłoń tej pieprzonej rudej suki. Czujnie wsłuchiwał się we wszelkie dobiegające z góry i z dołu hałasy. Tym razem nie miał na sobie roboczego

stroju — kurtki inkasenta pozbył się jakiś czas temu, zanim jeszcze wyszedł tę krótko ostrzyżoną gówniarę na Brooklynie — w związku z czym jacyś robotnicy już zdążyli go ochrzanić, że bez pozwolenia wchodzi na teren budowy. Zignorował ich protesty, nie zwalniając kroku. Rzucił im tylko spojrzenie mówiące: „Mam was gdzieś” i nie zadał sobie nawet trudu, żeby wymyślić jakieś wiarygodne wyjaśnienie.

Dlatego też teraz nasłuchiwał zarówno odgłosów kogoś, kto mógł czaić się na niego na górze, jak i tych, którzy potencjalnie deptali mu po piętach.

Nie usłyszał jednak żadnych kroków, przyspieszonych oddechów ani szczęku odbezpieczanej broni.

U szczytu schodów na moment skulił się w oczekiwaniu.

Dobra... Teraz!

Wpadł na poddasze, szukając wzrokiem miejsc, gdzie w razie czego mógłby znaleźć schronienie przed ostrzałem.

Niepotrzebnie się martwił. Dziewczyny nigdzie nie było widać.

Cholera. Był pewien, że tu wróci, choćby po to, żeby przed wyjazdem spakować parę rzeczy. Z pistoletem gotowym do strzału obszedł całe poddasze. Musiała tu wcześniej być — na podłodze leżała do połowy spakowana walizka. Zauważył też tę jej koszmarną torebkę. Ale ani śladu małej.

A może...

Nadstawił uszu.

Z dołu dobiegł go zgrzyt wiekowego mechanizmu.

Winda! Podbiegł do schodów przekonany, że musiała wśliznąć się do budynku zaraz po nim. Ale nie, okratowana klatka towarowej windy była pusta, a dźwig właśnie zjeżdżał na dół.

Mężczyzna przykucnął za dzielącą poddasze ścianką z pustaków — w ten sposób nie było go widać ze schodów — i czekał, aż dziewczyna wjedzie na górę.

Runę tymczasem znajdowała się dokładnie dwa i pół metra od niego. Stała na wietrze, na zewnątrz szklanej kopuły, dobre trzydzieści metrów nad majaczącym w dole chodnikiem.

Jej stopy z trudem mieściły się na cienkim blaszanym gzymsie wysuniętym jakieś piętnaście centymetrów poza krawędź fasady. Większość jej ciała znajdowała się poniżej poziomu okna, a gdy

dodatkowo się schyliła, Lalus nie miał najmniejszych szans jej zauważyć.

Tyle że Rune po prostu musiała zajrzeć do środka, zaalarmowana odgłosem ruszającej windy. Ktoś wjeżdżał na górę!

ALalus tylko czekał, żeby kogoś zabić...

Ręce jej się trzęsły, kolana dygotały. Miała wrażenie, że wszystkie mięśnie odmawiają jej posłuszeństwa. Tu, na górze, wiatr był bardziej przenikliwy, a zapachy obce i przesycone wilgocią. Kolejny raz popatrzyła w dół, na wylaniające się spod asfaltu nieregularne plamy jaśniejszego bruku. Zamknęła oczy i przycisnęła twarz do przedramienia, żeby się uspokoić.

Brak. Ostatnia scena w „Śmierci na Manhattanie”. Ruby Dahl idąca wolno zalaną deszczem ulicą i oplakująca swojego nieszczęsnego narzeczonego, zastrzelonego w Greenwich Village.

Roy, och, Roy! Kochałabym cię nawet, gdybyś był biedny!

Uniosła głowę i ponownie zajrzała do środka. Zobaczyła, że Lalus unosi się lekko, nastawiając ucha w kierunku wejścia.

Kto wjeżdżał windą? Sandra? A może robotnicy z dołu?

Błagam, niech to będzie policja — Manelli albo Dixon, którzy przyjechali, żeby ją aresztować w związku ze strzelaniną na Brooklynie. Uzbrojeni mieliby przynajmniej jakąś szansę w starciu z zawodowym zabójcą.

Naraz Lalus przykucnął i uniósł w górę lufę pistoletu, opierając palec na spuście. Rozejrzał się, przekrzywiając przy tym głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.

Ten, kto wchodził na górę, musiał ją nawoływać. Tak, dotarło do niej nawet kilka słów: — Rune? Rune? Jesteś tam? — Głos należał do mężczyzny.

Richard wbiegł na poddasze, wołając coś jeszcze.

— Nie, nie, nie! — Z ust Rune wyrwał się bezgłośny krzyk. Tylko nie on! Błagam, niech nic mu się nie stanie!

Zacisnęła powieki i siłą woli spróbowała przesłać mu ostrzeżenie. Ale kiedy znowu otworzyła oczy, ujrzała, że Richard wchodzi głębiej na poddasze. — Rune?

Lalus nie mógł go widzieć spoza ścianki działowej, ale uważnie nasłuchiwał każdego szelestu, obracając się w stronę, skąd dobiegały go odgłosy kroków. Rune zauważyła, że odbezpieczył broń swoim

kościwym kciukiem i wycelował w miejsce, gdzie lada moment miał się pojawić Richard.

O, nie...

Nie było innego wyjścia. Nie mogła pozwolić, żeby ktoś jeszcze ucierpiał z jej powodu. Uniesioną prawą pięścią zamierzyła się na szybę. Rozbije okno i krzyknie do Richarda, żeby uciekał. Laluś spanikuje, odwróci się i prawdopodobnie ją zastrzeli, ale może w tym czasie Richard zdąży dopaść schodów i zbiec na dół.

Okej, do dzieła! Tylko śmiało.

Już-już miała uderzyć pięścią w szybę, gdy naraż Richard przystanął. Zauważył list — ten sam, który zostawiła dla Sandry. Podniósł go i przeczytał. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Jeszcze raz omiół spojrzeniem poddasze i ruszył w stronę schodów.

Laluś wyjrzał ze swojego ukrycia, wsunął broń za pasek spodni i wstał.

Dzięki Ci, Panie, dzięki...

Opuściła rękę i mocniej chwyciła się muru. Laluś jeszcze raz przeszukał całe poddasze, a nie znalazłszy nigdzie Rune, szybko zbiegł po schodach. Palce całkiem jej zdętwiały, za to mięśnie rąk i nóg paliły ją żywym ogniem. Nie ruszyła się jednak z miejsca, dopóki w dole pod sobą nie zobaczyła wypadającego z budynku Lalusia. Skręcił na wschód i po chwili zniknął jej z pola widzenia.

Przesuwając się centymetr po centymetrze, dotarła w końcu do wąskich drzwiczek w kopule i wczółgała się do środka. Przez pięć minut leżała nieruchomo na materacu, czekając, aż ustąpi spazmatyczne drżenie mięśni.

Potem chwyciła torbę i walizkę i opuściła poddasze. Nawet nie przyszło jej na myśl, żeby pożegnać się ze swoim podniebnym zamkiem.

Zwolniła dopiero w TriBeCa.

Rozejrzała się.

Mijali ją budowlańcy, biznesmeni, posłańcy...

Sądziła, że Emily i Laluś wyjechali z miasta i nie będą jej więcej nachodzić. Pomyliła się, a to by znaczyło, że mogą mieć jeszcze innych wspólników. Czy może do nich należeć któryś z tych ludzi?

Kilka twarzy odwróciło się w jej stronę — ponure, podejrzliwe spojrzenia. Skręciła w boczną uliczkę i przycupnęła za kontenerem na

śmiec. Zaczeka w ukryciu, aż się ściemni, a potem złapie stopa na dworzec autobusowy.

Chwilę później w głębi alejki pojawił się włóczęga i ruszył prosto w jej stronę. **Tyle** że zdaniem Runę wcale nie wyglądał na włóczęgę.

Był co prawda brudny i obdarty jak przystało na bezdomnego, ale spojrzenie miał zdecydowanie za bystre. Rune wyczuwała w nim zagrożenie. W pewnym momencie mężczyzna uniósł głowę i zauważył ją. Zawahał się o sekundę za długo, po czym znów się pochylił i ruszył przed siebie.

Nie zwracając na nią uwagi. Albo raczej robiąc wszystko, żeby nie zwracać na nią uwagi.

To musi być jeden z nich!

Na co czekasz, dziewczyno? W nogi! Zarzuciła na ramię torbę, chwyciła ciężką walizę i wyskoczyła zza kontenera.

Włóczęga zamarł, przez chwilę nad czymś się namyślał, po czym puścił się biegiem w ślad za nią.

Rune nie była w stanie biec szybko — nie z ciężką walizką. Z trudem dotarła do Franklin Street i przystanęła zadyszana, zastanawiając się rozpaczliwie, w którą stronę teraz uciekać. Włóczęga był coraz bliżej.

Nagle usłyszała z boku męski głos wołający: — Rune!

Odwróciła się z bijącym sercem.

— Rune, tutaj!

Ib był Phillip Dixon, agent federalny. Machał do niej. Instynktownie ruszyła w jego stronę, ale zaraz przystanęła, myśląc, że to przecież jeden z tych, którzy tylko czekają, żeby ją aresztować.

Co robić? Co robić?!

Stała pośrodku ulicy, dziewięć metrów od wejścia na stację metra. Pod ziemią rozległo się właśnie głucho dudnienie — to zbliżał się pociąg. Mogłaby przeskoczyć bramkę i za piętnaście sekund być już w drodze na przedmieścia.

Sześć metrów od włóczęgi, który pędził ku niej z wściekłością malującą się na brudnej twarzy.

I sześć metrów od Dixona.

— Rune! — krzyknął agent. — Chodź do mnie! Tutaj nie jest bezpiecznie. Oni gdzieś tu są. Ci mordercy!

— Nie! Zaraz mnie aresztujesz!

— Wiem, że to nie ty zabiłaś Symingtona — zawołał Dixon.

Co innego mógł w takiej chwili powiedzieć? A potem: kajdanki i „Masz prawo zachować milczenie..

Włóczęga był coraz bliżej i wbijał w nią spojrzenie zimnych, ciemnych oczu.

Pociąg właśnie wjeżdżał na stację. *Biegnij! Teraz!*

— Chcę ci pomóc — krzyknął Dixon. — Martwiłem się o ciebie. — Wszedł na jezdnię, ale zatrzymał się, widząc, że Rune odwraca się do niego plecami i rusza w stronę stacji.

Uniósł w górę ręce. — Proszę cię, Rune! Oni są już na twoim tropie. Wiemy, co się stało. Zostałaś wrobiona! Nie spodziewali się, że uciekniesz im wtedy na Brooklynie. Ale my *wiemy*, że ty nikogo nie zabiłaś. Po prostu znalazłaś się o niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

Wybieraj. Teraz albo nigdy!

Z wahaniem odwróciła się do Dixona. Nadbiegający ku niej włóczęga zwolnił.

— Proszę cię, Rune — powtórzył agent.

Przez kratkę wentylacyjną pod swoimi stopami zobaczyła zatrzymujący się na stacji pociąg. Rozległ się pisk hamulców.

Wybieraj!

O Boże, *komuś* przecież trzeba zaufać...

Rzuciła się naprzód, dopadła Dixona. Objął ją troskliwie. — Już dobrze — powiedział. — Już jesteś bezpieczna.

Rune wypaliła: — Ściga mnie jakiś człowiek! Tam z tyłu, w uliczce. — Obok nich przy krawężniku zahamował jakiś samochód.

Zza rogu wypadł włóczęga i zamarł, widząc, że Dixon wyciąga zza paska swój olbrzymi, czarny pistolet.

— O, cholera! — zaklął, unosząc dłonie obronnym gestem. — Człowieku, no co ty? Ja tylko chciałem zabrać jej torebkę. Ale nie ma sprawy, już sobie...

Dixon wystrzelił. Kula trafiła tamtego w pierś, odrzucając go kilka metrów do tyłu.

— Jezu! — wrzasnęła przerażona Rune. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Widział moją twarz — odparł rzeczowo Phillip, biorąc od niej torbę i walizkę.

Z samochodu, który przed chwilą się przy nich zatrzymał, dobiegł kobiecy głos: — Pospiesz się, Haarte, w biały dzień stoisz z gnatem na wierzchu. Zaraz tu będą gliny. Jedziemy!

Rune obejrzała się i zobaczyła twarz Emily. Na dodatek samochód, który prowadziła, okazał się zielonym pontiakiem, tym samym, który próbował przejechać Rune i Susan Edelman na tyłach budynku pana Kelly'ego.

O niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu...

Phillip — a właściwie Haarte — otworzył tylne drzwiczki pontiaca. Wepchnął Runę do środka, a jej torbę i walizkę wrzucił do bagażnika. Potem usiadł obok niej.

— Dokąd? — spytała krótko Emily.

— Lepiej jedźmy do mnie — odparł spokojnie mężczyzna. — Mam piwnicę. Będzie dyskretniej.

24

Zagubiona w lesie.

Jak Jaś i Małgosia.

Runę patrzyła w sufit, zastanawiając się, która może być godzina.

Myślała o tym, jak szybko traci się rachubę czasu.

Tak jak kontrolę nad własnym życiem.

Przypomniało jej się, jak kiedyś jako mała dziewczynka pojechała z rodzicami z wizytą do krewnych na wieś. Wybrali się wtedy na piknik do stanowego lasu. Runę oddaliła się od pozostałych i godzinami krążyła po okolicy pewna, że wie, dokąd zmierza i gdzie odbywa się piknik. Była może trochę zdezorientowana, ale z dziecięcą wiarą i zaufaniem we własne siły ani razu nie dopuściła do siebie myśli, że mogłaby się zgubić. Nie wiedziała, że minęło już wiele godzin i że od szalejącej z niepokoju rodziny dzieli ją kilka kilometrów.

Teraz przynajmniej *znała* swoje położenie. Wiedziała też, że szczęśliwy powrót do domu graniczy z niemożliwością.

— Witaj w prawdziwym świecie — powiedziałby pewno Richard.

Znajdowała się w maleńkim pomieszczeniu, jakiejś piwnicznej komórce z jednym wąskim oknem umieszczonym tak wysoko, że za nic nie zdołałaby go dosięgnąć, i na dodatek zamkniętym wymyślną kratą z kutego żelaza. Brakowało części betonowej posadzki i w tym miejscu widać było poruszoną ziemię. Gdy Haarte wepchnął ją do środka, Runę od razu zwróciła na to uwagę. Rozkopana ziemia. Początkowo wma- wiała sobie, że widocznie coś tutaj remontował — wymieniał rury albo kładł nową posadzkę.

Ale w głębi duszy wiedziała, że patrzy na grób.

Leżała teraz na wznak, wpatrzona w zimne światło ulicznej latarni wpadające przez pozostające poza jej zasięgiem okno.

Mdłe światło z bocznej uliczki.

Światło, przy którym miała umrzeć.

Podskoczyła, słysząc metaliczny szczęk.

Szuranie stóp za zamkniętymi drzwiami.

Szczękniętą drugą zamek i drzwi się otworzyły. W progu stanął Haarte. Widać było, że jest bardzo ostrożny. Rozejrzał się po piwnicy, jakby chcąc się upewnić, czy nie zastawiła na niego żadnych pułapek ani nie znalazła niczego, czym mogłaby go zaatakować. Następnie wyraźnie uspokojony skinął na Rune, dając jej znak, żeby za nim poszła. Łzy strachu piekły ją pod powiekami, ale nie pozwoliła im popłynąć.

Mężczyzna poprowadził ją na górę po rozklekotanych schodach.

Emily nie mogła oderwać od niej wzroku. Rozbawiona przyglądała jej się jak agent nieruchomości oceniający wartość mieszkania. Rune zawahała się w drzwiach, więc Haarte brutalnie ją popchnął. Emily to się chyba nie spodobało, ale nic nie powiedziała.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Rune wyczuwała wiszące w powietrzu napięcie. Zupełnie jak w tej scenie w banku w „Śmierci na Manhattanie”, gdy policjant usiłuje wzrokiem zahipnotyzować rabusia. Stoi bez ruchu, z wyciągniętą ręką, raz za razem powtarzając: „Oddaj mi broń, synu. Oddaj mi ją”. Surowy kadr tonie w cieniach, podczas gdy kamera robi powolny najazd na lufę trzydziestki ósemki.

Czy przestępca strzeli, czy nie? Aż się chciało krzyczeć z napięcia.

Haarte pchnął Rune w stronę taniego tapicerowanego krzesła, rzucając jej przy tym wściekłe spojrzenie. Pisnęła, nie czując się choćby w najmniejszym stopniu dorosła.

Naraz przed oczami stanął jej pewien obraz. Ilustracja z jednej z jej ulubionych książek. Diarmuid. A zaraz potem król Artur.

Strząsnęła z ramienia jego dłoń. — Nie dotykaj mnie — syknęła.

Haarte aż zamrugął zaskoczony.

Rune odczekała chwilę, wytrzymując jego spojrzenie, i dopiero potem wolno podeszła do krzesła. Ustawiała je tak, żeby mieć przed sobą Emily, usiadła i odezwała się chytrym, twardym tonem Joan Rivers: — Może porozmawiamy?

Emily zatrzepotała powiekami i wybuchnęła śmiechem. — Właśnie chcieliśmy ci to samo zaproponować.

Haarte przysunął sobie krzesło i również usiadł.

Rune nie przestawała obracać wokół nadgarstka swojej jedynej bransoletki. Zdejmowała ją i zaraz wsuwała z powrotem. Usiłowała robić dobrą minę do złej gry i wyglądać na tak twardą, cyniczną i

zblazowaną, jak się tylko dało. Srebrna obręcz wirowała na jej przegubie.

Rune spojrzała w dół i zobaczyła dwie splecione dłonie. Starła się nie myśleć o Richardzie.

Emily rzuciła: — Musimy wiedzieć, komu mówiłaś o mnie i o Spinellu.

— Zamordowaliście Roberta Kelly'ego. Dlaczego?

Emily zerknęła na Haarte'a. Ten odparł: — Można powiedzieć, że sam jest sobie winien.

— Co takiego?

— Wynajął nie to mieszkanie, co trzeba — wyjaśniła Emily. — Do tej pory nie możemy sobie tego darować. To dla nas fatalna reklama. Żeby tak się pomylić... Oczywiście, szkoda nam było faceta, ale...

Rune aż jęknęła z wrazenia. — Więc to tylko... Zabiliście go przez pomyłkę?!

Haarte mówił dalej, nie zwracając na nią uwagi: — Po tym, jak w styczniu Spinello zeznawał przeciw mafii w St.Louis, federalni przenieśli go do Nowego Jorku w ramach programu ochrony świadków. Dostał nową tożsamość — odtąd miał się nazywać Victor Symington — i mieszkanie na przedmieściu, ale jak sama widziałaś, gość miał niezłą paranoję. Zamiast zamieszkać tam, gdzie go ulokowali, znalazł sobie metę w Village i wprowadził się pod 2B. Później jednak dowiedział się, że piętro wyżej jest do wynajęcia większe mieszkanie, i przeniósł się na górę, a wtedy twój znajomy zajął jego lokal.

— Ludzie, którzy nas wynajęli — dodała Emily — twierdzili, że „cel” mieszka pod numerem 2B.

— Co jeszcze mogę powiedzieć? — Haarte zadumał się na moment. — Na dole w holu jest tablica ze spisem lokatorów. Chciałem się upewnić, ale gównem było widać przez to cholerne graffiti. Poza tym Kelly i Spinello byli do siebie podobni.

— *Wcale* nie byli do siebie podobni! — krzyknęła Rune.

— Dla mnie byli. Słuchaj, mała, wypadki chodzą po ludziach.

— A potem wróciliście tam jeszcze raz i tak dla jaj rozpieprzyliście całe mieszkanie, tak?

Haarte wyglądał na urażonego. — Oczywiście, że nie. Usłyszeliśmy w wiadomościach, że zabity facet nazywał się Robert Kelly, a to nie było nowe nazwisko naszego „celu”. Zaczęliśmy podejrzewać, że sprzątnęliśmy nie tego faceta, co trzeba. Zresztą tak się składa, że

przeszkodziłaś mi w wykonaniu zlecenia. Nie było czasu, żeby wszystko dokładnie sprawdzić. Dlatego później wróciłem, żeby przetrząsnąć jego rzeczy, i znalazłem zdjęcie Kelly'ego z siostrą, jego listy... Nie wyglądały na fałszywki.

Runę przypomniała sobie podartą fotografię. Haarte'a musiały ponieść nerwy, kiedy zorientował się, że popełnił pomyłkę, i z wściekłości podarł zdjęcie na strzępy.

Tymczasem mężczyzna ciągnął: — Ci z programu ochrony świadków nie są *aż tak* dokładni, żeby fałszować stare rodzinne fotografie. Domyśliłem się, że spieprzyliśmy sprawę. Trzeba było naprawić błąd.

Naprawić *błąd*? Runę nie wierzyła własnym uszom.

— Kiedy przyszedłeś do wypożyczalni — odezwała się — i udawałeś agenta Dixona, powiedziałeś mi, że byłeś w ekipie śledczej, którą widziałam w mieszkaniu pana Kelly'ego.

— A skąd! — Haarte roześmiał się. — Oto cała sztuka. Jeśli już kłamiesz, wykorzystaj tego, kogo okłamujesz. Zrób z niego współnika w kłamstwie. Zasugerowałem ci, że mnie tam widziałeś, a ty w to uwierzyłeś.

Runę ujrzała samą siebie w mieszkaniu pana Kelly'ego, przeglądającą jego książki, znajdującą stary wycinek z gazety; przypomniała sobie ducha zamkniętego pomieszczenia, makabryczną plamę krwi na fotelu i podartą fotografię.

Zamknęła oczy. Ogarnęło ją poczucie klęski. Jej wielka przygoda okazała się niczym innym jak efektem feralnego zbiegu okoliczności. Nie było żadnych zrabowanych pieniędzy. Robert Kelly był tylko przypadkową ofiarą — zwariowanym starszkiem, któremu spodobał się kiepski film.

— A teraz, skarbie, musimy się dowiedzieć, komu o mnie mówiłaś. — Emily była już wyraźnie zniecierpliwiona.

— Nikomu.

— Chłopakowi? Jakiejś koleżance? Miałaś mnóstwo czasu na takie rozmowy po tym, jak opuściłaś nasze małe przyjęcie w domu Spinella na Brooklynie.

— Od początku wiedziałeś, gdzie go szukać, prawda? — bardziej stwierdziła niż spytała Rune. — Wykorzystałaś mnie.

— Oczywiście — przytaknęła Emily. — Musiałam cię tam tylko doprowadzić, przez bank i prawnika, żeby policja miała jakiś trop. Odkryliby, że o niego wypytywałaś, a potem znaleźliby was oboje martwych — chcieliśmy, żeby wyglądało na to, że Spinello postrzelił cię

po tym, jak ty do niego strzeliłaś. Podalibyśmy im mordercę na tacy i na tym śledztwo by się zakończyło. Gliniarze są tacy sami jak wszyscy, chcą się jak najmniej napracować. Mając w garści jednego podejrzanego, nie szukaliby już innych. Koniec sprawy. Rozumiesz, prawda? No to teraz powiedz: komu o mnie mówiłaś?

— Dlaczego miałabym komukolwiek cokolwiek mówić?

— Daj spokój — zachnął się Haarte. — Na twoich oczach ginie człowiek, a ty nie zawiadamiasz policji?

— A po co? W mieszkaniu Spinella zostały moje odciski palców. *Wiedziałam*, że będę główną podejrzaną. Rozszyfrowałam was.

— Akurat — mruknął Haarte. — Nie jesteś aż taka sprytna.

Runę nie odpowiedziała. Przynajmniej mam pewność, że nic nie wie o Stephanie, pomyślała.

Nagle Haarte zerwał się z krzesła, chwycił ją za włosy i jednym szarpnięciem odchylił jej głowę do tyłu, tak że Runę nie mogła oddychać. Zaczęła się dusić. Mężczyzna nachylił twarz nad jej twarzą. — Wydaje ci się, że wolałabyś przeżyć, bez względu na to, co cię tutaj spotka? Ale to nieprawda. Jeżeli zostawimy cię przy życiu — a wcale nam się nie spieszy, żeby cię zabijać — to tylko pod warunkiem, że — chociaż żywa — nie będziesz w stanie nikomu nic o nas powiedzieć. Ani nawet wskazać nas na zdjęciu.

Powoli przysunął palec do jej oka. Zacisnęła powiekę i po chwili poczuła ostry ból, gdy Haarte zaczął brutalnie uciskać jej gałkę oczną.

— Zostaw mnie!

Haarte odsunął palce od jej twarzy. — Możemy z tobą zrobić całą *masę* rzeczy. — Jego dłoń masowała teraz jej kark. — Na przykład zmienić cię w warzywo. — Dotknął jej piersi. — Albo w chłopca. — Jego ręka wsunęła się między jej nogi. — Albo...

Puścił jej włosy tak gwałtownie, że aż krzyknęła. Emily przyglądała się temu obojętnie.

Runę złapała w końcu oddech. — Puście mnie, proszę! Nikomu nic nie powiem.

— To poniżające tak błagać — zauważyła Emily.

— Dam wam milion dolarów — rzuciła desperacko Rune.

— Jaki znowu milion? — zadrwił Haarte. — Z tego starego filmu? To jedna wielka bzdura.

— Ach — zaśmiała się Emily. — Twój tajemniczy skarb?

— A właśnie, że to prawda. Znalazłam go!

— Naprawdę? — Haarte uśmiechnął się cynicznie.

— Oczywiście. Jak myślicie, co robiłam przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny? Sądzicie, że po tym, co się stało na Brooklynie, zostałabym w mieście? Dlaczego nie zwałam jeszcze wczoraj, zaraz po tym, jak zabiliście Spinella? Nie wyjechałam, bo trafiłam na trop tamtych pieniędzy.

Haarte rozważał to przez chwilę. Rune doszła do wniosku, że jest autentycznie zaintrygowany.

Obiema rękami ugniatała srebrną bransoletkę. — Przyrzekam, że mówię prawdę.

Haarte pokręcił głową. — Nie, to się nie trzyma kupy.

— Pan Kelly *naprawdę* znalazł te pieniądze, a ja je odszukałam. Są teraz w przechowalni na dworcu autobusowym.

— To mi brzmi jak scena z jakiegoś filmu — wycedziła Emily.

— Mam gdzieś, jak to brzmi, ale taka jest prawda.

Rune czuła, że oboje zaczynają jej wierzyć.

Znowu zacisnęła dłonie na bransoletce. — Okragły milion!

Haarte odwrócił się do Emily: — To stara forsa. Ciężko byłoby ją upłynnić?

— Nieszczególnie — odparła. —• Ludzie ciągle znajdują stare banknoty, a banki je wymieniają. Ale najlepsze jest to, że jeśli nawet przed laty spisali numery seryjne, to teraz nikt już się do nich nie dokopie.

— Znasz kogoś, kto mógłby się tym zająć?

— Paru gości. Moglibyśmy dostać siedemdziesiąt, osiemdziesiąt centów za każdego dolara.

Haarte znowu pokręcił głową z powątpiewaniem. — Nie, to kompletne szaleństwo.

— Okragły milion — powtórzyła Rune. — Nie macie jeszcze dosyć zabijania dla pieniędzy?

Milczenie. Haarte i Emily unikali swojego wzroku.

Pokój, w którym siedzieli, tonął w odcieniach sepii, słabo oświetlony przez dwie przyćmione żarówki. Rune wyjrzała za okno. Na zewnątrz panowały ciemności, rozjaśniane jedynie zimnym światłem pobliskiej latarni. Nerwowo bawiła się bransoletką, regularnie ją uciskając.

Haarte i Emily ze spuszczoneymi głowami szeptali coś między sobą. W końcu Emily przytaknęła i spojrzała na Rune. — Dobra, sprawa wygląda tak: podasz nam nazwiska wszystkich osób, którym o mnie mówiłaś, i oddasz nam pieniądze, a my puścimy cię żywą. W

przeciwnym razie pozwolę Haarte'owi zabrać cię do piwnicy i zrobić z tobą, co mu tylko przyjdzie do głowy.

Runę zastanawiała się przez chwilę. — A co im zrobicie? Tym, którym o was powiedziałam?

— Nic — odparł Haarte. — O ile policja nie zacznie się nami interesować. W przeciwnym razie możemy być zmuszeni zrobić im krzywdę.

Runę kilkakrotnie z całej siły ścisnęła bransoletkę, aż ta pękła na pół.

Podniosła głowę i popatrzyła Haarte'owi prosto w oczy. — Kłamiesz.

— Skarbie... — zaczęła Emily.

Oto cała sztuka. Jeśli już kłamiesz, wykorzystaj tego, kogo okłamujesz. Zrób z niego współnika w kłamstwie.

— Ale to już nie ma znaczenia — przerwała jej Runę rzeczowym tonem. — Bo i ja was okłamałam. — Po tych słowach zerwała się z krzesła.

25

Emily wybuchnęła śmiechem.

Runę mogła rzucić się w kierunku frontowych drzwi albo tych na tyłach szeregowego domu, ewentualnie próbować uciec oknem. Ona jednak nie zrobiła żadnej z tych trzech rzeczy. Zamiast tego przeturlała się w stronę wąskich drzwiczek w ścianie salonu.

— Rune. — W głosie Emily była sama cierpliwość. — Co ty wyprawiasz? To są drzwi do szafy.

I to na dodatek zamkniętej, o czym Rune przekonała się, pociągając za szklaną gałkę.

Haarte popatrzył na Emily i pokiwał głową nad głupotą Rune. Znalazła się w pułapce bez wyjścia. Rune obejrzała się i z ulgą stwierdziła, że żadne z nich nie ma zielonego pojęcia, o co jej tak naprawdę chodziło.

Zrozumieli dopiero, gdy skoczyła w kierunku kontaktu, który miała na oku już od dobrych pięciu minut.

— Zatrzymaj ją! — krzyknęła Emily do Haarte'a. — Ona chce...

Rune wepchnęła do gniazdka oba końce pękniętej bransoletki.

Ta bransoletka będzie jeszcze dla ciebie ważna, bardzo ważna. NU oddawaj jej zbyt pochopnie...

Rozległ się głośny trzask, któremu towarzyszył oślepiający błysk. Przez kciuk i palec wskazujący Runę przepłynął prąd, paląc ją żywym ogniem. Na skutek zwarcia strzeliły korki i w całym budynku pogasły światła. Runę poczuła woń spalonej skóry z poparzonych palców.

Nie zwracając uwagi na ból, natychmiast zerwała się z podłogi i rzuciła do ucieczki. Emily i Haarte, oślepieni nieoczekiwanym błyskiem, po omacku usiłowali wydostać się z pokoju. Tymczasem Runę, która w momencie zwarcia miała zamknięte oczy, była już dobre dziesięć metrów dalej i pochyłona biegła na palcach w kierunku frontowych drzwi, podtrzymując lewą ręką bezwładną prawą dłoń.

Po ciemku nie zauważyła dwóch stopni prowadzących z korytarza do holu i runęła jak długa, instynktownie wyciągając w przód prawą rękę, żeby zamortyzować upadek. Palący ból był tak silny, że nie zdołała powstrzymać jęku.

— Tam! Tam jest! — krzyknęła Emily. — Zaraz ją dopadnę!

Runę pozbierała się, słysząc za plecami stukot obcasów. Nigdzie nie było widać Haarte'a — może zszedł do piwnicy, żeby wymienić przepalone korki?

Gnana paniką skoczyła ku drzwiom. Nie opuszczała jej myśl o Emily, która — niewątpliwie uzbrojona — deptała jej po piętach.

Już miała odsunąć górną zasuwę, gdy zamarła, cofnęła się i wcisnęła plecy w ścianę. Chryste, tylko nie to!

Na zewnątrz stał jakiś mężczyzna. Nie widziała go zbyt wyraźnie przez koronkowe firanki, ale nie miała żadnych wątpliwości, że to Luluś. Wspólnik Haarte'a i Emily. Chmura kręconych włosów załśniła w świetle pobliskiej latarni. Runę miała wrażenie, że Luluś usiłuje zajrzeć do środka, zaniepokojony tym, że w domu tak nagle pogasły wszystkie światła.

Zawróciła i ostrożnie próbowała przekraść się na tyły budynku.

Powoli, cały czas nasłuchując stukotu obcasów Emily i ciężkich kroków Haarte'a.

Jednak w całym budynku panowała niczym niezmacona cisza. Czyżby zdecydowali się na ucieczkę? Runę wyjrzała za róg i zdrętwiała. Jakieś półtora metra od siebie zobaczyła Emily. Kobieta zbliżała się do niej centymetr po centymetrze, jedną ręką macając po omacku wzdłuż ściany, a w drugiej ściskając odbezpieczony pistolet. Zdażyła zdjąć szpilki i teraz poruszała się bezszelestnie na bosaka.

Rune przywarła do ściany. Emily odwróciła głowę w jej stronę i mrużąc oczy, usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemności. Musiała usłyszeć płytki oddech Rune. W otaczającym je mroku Rune ujrzała, że niewyraźna postać unosi w górę dłoń z pistoletem i celuje prosto w jej głowę.

Na pewno słyszy bicie mojego serca! Musi je słyszeć!

I miej w opiece tych wszystkich, którzy znajdują się w niebezpieczeństwie z uwagi na swe zajęcie...

Wyposażony w tłumik pistolet wypalił, wydając przy tym głośny, metaliczny odgłos. Zaraz potem rozległ się suchy trzask, gdy kula trafiła w gipsową ścianę jakieś pół metra od głowy Rune.

Błagamy cię, Panie, wysłuchaj nas...

Kolejny strzał, tym razem z bliższej odległości.

Rune ostatkiem sił zdołała powstrzymać się od krzyku.

Emily odwróciła się do drzwi. Dłonie Rune zacisnęły się na pierwszym napotkanym przedmiocie, jaki udało jej się na oślep wymacać — ciężkim, stojącym na cokole wazonie. Podniosła go oburącz i cisnęła w Emily. Uderzenie było naprawdę silne. Kobieta zawyła i osunęła się na kolana. Pistolet potoczył się w mrok, a nietknięty wazon w całości wylądował na parkiecie.

— Nie mogę znaleźć bezpieczników! — rozległ się gdzieś w pobliżu krzyk Haarte'a. — Gdzie ona jest, do diabła?!

— Pomóż mi! — odkrzyknęła Emily.

Z ciemności wyłonił się Haarte i ruszył w jej stronę. — Nic, kurwa, nie widzę...

Rune w ostatniej chwili umknęła mu spod nóg.

— Jest tam! — wrzasnęła Emily. — Obok ciebie!

— Co do... — zaczął Haarte, ale Rune już pędziła w głąb korytarza, kierując się tam, gdzie według niej powinno się znajdować tylne wyjście.

Jest! Maje tuż przed sobą, a na zewnątrz chyba nikogo nie widać...

Z przeciwnej strony domu usłyszała głos Haarte'a wołającego coś do Emily.

Ale Rune już wiedziała, że musi jej się udać, że na pewno się stąd wydostanie. Haarte i Emily zostali daleko w tyle, a ona miała do przebiegnięcia zaledwie sześć metrów, dzielących ją od tylnego wyjścia. Zatrzasnęła drzwi prowadzące na korytarz, zabarykadowała je, wsuwając pod klamkę oparcie krzesła, i pobięła przed siebie.

Kilka sekund później do drzwi dotarł Haarte. Pchnął je, ale one ani drgnęły.

Rune widziała już wpadające przez firankę przyćmione światło.

Teraz już nic nie mogło jej zatrzymać. Wydostanie się na zewnątrz, wybiegnię na ulicę i będzie pędziła na złamanie karku. Z pierwszego napotkanego automatu zadzwoni na policję.

Haarte napał barkiem na drzwi i zdołał lekko je uchylić, ale krzesło nadal blokowało mu drogę.

Cztery metry. Trzy.

Kolejny głuchy łomot za drzwiami.

— Zajdź ją z boku, przez kuchnię! — krzyknął Haarte do Emily.

Ale ich głosy rozbrzmiewały już całe mile świetlne od niej. Rune dopadła drzwi. Była bezpieczna.

Odpięła łańcuch, odsunęła zasuwę i nacisnęła kłamkę. Jednym pchnięciem otworzyła drzwi na oścież i znalazła się na ganku.

I zdrętwiała.

No nie...

Nieco ponad pół metra od niej stał Lalus. On również wyglądał na zaskoczonego, ale nie aż tak, żeby wyćwiczonym ruchem rewolwerowca nie wyciągnąć zza paska broni i nie wycelować prosto w jej twarz.

Nie, nie, nie...

Siły ją opuściły i Rune oparła się ciężko o framugę. Z oczu popłynęły jej łzy, ręce zwisły bezwładnie, cała dygotała jak w febrze. **Tylko** nie to... To już koniec, to koniec.

Nagle stało się coś bardzo dziwnego, coś, co mogłoby się wydarzyć tylko w Stronie, jej zaczarowanym królestwie. Rune miała wrażenie, że opuszcza swoje ciało. Czuła się tak, jakby umarła i uniosła się w powietrze. Całkiem poważnie zastanawiała się, czy Lalus przypadkiem jej nie zastrzelił i czy już nie żyje.

Całkowicie oszołomiona i odrętwiała odpływała, szybowwała w przestworzach.

Znalazłszy się wysoko w górze, wyrzwała spoza chmur zasłaniających Stronę i oto, co zobaczyła:

Lalus chwycił ją wpół, odciągnął od otwartych szeroko drzwi i przekazał stojącemu za sobą mężczyźnie w niebieskiej kurtce z napisem „AGENT FEDERALNY” na plecach, który z kolei oddał ją w ręce innego, ubranego w coś, co wyglądało jak kamizelka kuloodporna, z

literami „NYPD”. New York Policy Department. I tak jeszcze kilka razy, aż na koniec trafiła w objęcia detektywa Manelliego, policjanta o zbyt blisko osadzonych oczach i zabawnym imieniu.

Virgil Manelli.

Detektyw przyłożył palec do ust, dając jej znak, że ma milczeć, i odciągnął dalej od budynku. Odwróciła się i zobaczyła krąg mężczyzn skupionych przed tylnym wejściem. Rośli faceci o kamiennych twarzach, ubrani w granatowe stroje kuloodporne i dzierżący w dłoniach krótkie pistolety maszynowe.

Gdy znaleźli się na chodniku, Manelli przekazał Runę—już po raz ostatni — dwóm sanitariuszom, którzy natychmiast ułożyli ją na noszach i pochylili się nad nią. Polali jej poparzoną rękę lodowatą wodą, a następnie starannie ją zabandażowali.

Runę nie zwracała na nich uwagi. Jej oczy wpatrzone były w grupę mężczyzn na tyłach budynku. Lalus powiedział do wpiętego w kołnierz mikrofonu: — Droga wolna. Wchodzimy!

Na to hasło wszyscy czekający na schodach i ganku rycerze wpadli do środka, krzycząc: — Policja, policja, agenci federalni... — Wnętrze domu rozbliło światłami latarek.

Naraz Runę usłyszała coś dziwnego. Śmiech. Spojrzała na opatrującego ją sanitariusza, ale to nie on się śmiał. Jego kolega również nie. Zrozumiała, że chichot wydobywa się z jej własnych ust.

Jeden z sanitariuszy zapytał ją delikatnie: — Co panią tak śmieszy?

Runę nie zdążyła odpowiedzieć, bo z wnętrza budynku dobiegły ich odgłosy strzałów, a zaraz potem rozległy się nawoływania: — Ranny! Ranny!

Sanitariusze zostawili ją i pobiegli w tamtą stronę ze swoimi walizkami w rękach i stetoskopami majtającymi im się wokół szyi.

26

Runę skuliła się i odsunęła jak najdalej od Lalusia.

— Chcę zobaczyć jakiś dokument. Legitymację albo coś w tym rodzaju.

Siedzieli na tylnym siedzeniu pachnącego nowością rządowego forda. Manelli stał na zewnątrz, przy otwartych drzwiczkach samochodu.

Słyszając jej słowa, potarł sobie swój wąs i oświadczył: — Gość jest w porządku.

— Chcę zobaczyć jakiś dokument! — Rune nie dała się przekonać. Luluś podsunął jej pod nos odznakę i legitymację ze zdjęciem.

Obejrzała ją ze trzy razy, zanim wszystko dokładnie przeczytała. Luluś nazywał się Salvatore Pistone.

— Mów mi Sal. Wszyscy mnie tak nazywają.

— Jesteś z FBI?

— Chyba powinienem się obrazić. Jestem *agentem federalnym*. — Uśmiechał się, ale oczy miał dziwnie zimne.

— Haarte mówił to samo.

— Wiem, znalazłem jego fałszywą odznakę i legitymację. Już wcześniej podawał się za agenta Dixona. Aż mnie ciarki przechodzą na myśl, ilu ludzi nie zadaje sobie trudu, żeby dokładnie się zapoznać z oficjalnym dokumentem. Gdybyś to zrobiła, od razu zorientowałabyś się, że to fałszywki.

Przy samochodzie zatrzymał się sanitariusz. — Proszę dziś przed snem zrobić sobie na rękę okład z roztworu betadyny, a jutro zgłosić się do lekarza. Wie pani, co to jest betadyna?

Nie miała zielonego pojęcia, mimo to przytaknęła.

Sanitariusz zwrócił się do Manelli: — Tamten w środku nie żyje.

Sal prychnął pogardliwie. — Strzeliłem mu trzy razy w łeb, to chyba nic dziwnego, że nie żyje?

— Tak czy inaczej, potwierdzam zgon.

— Czyj? — spytała Rune. — Haarte'a?

— Tak, Haarte'a — odparł Sal.

— A co z kobietą? Nic jej nie będzie? — zainteresował się Manelli.

— Ma olbrzymi siniak na karku. Ciekawe, kto ją tak załatwił...

Rune przypomniała sobie wazon. Pożałowała, że nie wycelowała w głowę Emily.

— ...ale poza tym nic jej nie dolega. Ta suka *na pewno* stanie przed sądem.

Manelli wyprostował się. — W porządku, panienko, przekazuję panią federalnym. To teraz ich dochodzenie. Trzeba było mnie posłuchać i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy...

— Ale...

Manelli przyłożył palec do ust, ponownie ją uciszając. — Trzeba było mnie posłuchać. — Odszedł w stronę swojego samochodu. Odwrócił się jeszcze i popatrzył na nią swoimi zbyt blisko osadzonymi oczami, które tym razem pozbawione były wszelkiego wyrazu. Wsiadł do środka, uruchomił silnik i odjechał.

Inne samochody też szykowały się do odjazdu. Głównie nijakie sedany, kilka biało-niebieskich policyjnych radiowozów, parę furgonetek jednostek specjalnych. Ich funkcjonariusze, niczym żołnierze po bitwie, zdejmowali kamizelki kuloodporne i ładowali broń do bagażników albo samochodowych schowków.

— Kim on naprawdę był?

— Samuel Haarte? Zawodowym zabójcą — odparł Sal.

— Jestem kompletnie skołowana.

Przyjrzała się uważnie twarzy Sala i stwierdziła, że jest w niej coś niepokojącego. Sprawiał wrażenie człowieka poddanego praniu mózgu, jak te oszołomy z sekty Moona. Detektyw Manelli wzbudzał w niej mieszane emocje, ale generalnie go lubiła. Tymczasem Sal ją przerażał.

— To Emily zabiła Victora Symingtona — poinformowała go.

— A więc posługiwała się imieniem Emily. A jakie podała nazwisko?

— Richter.

— Haarte pracował zwykle z kimś o imieniu Zane. Zawsze sądziłem, że to facet, ale to musiała być ona. Cholernie twarda z niej sztuka.

Sal poszperał z tyłu samochodu, znalazł termos, odwrócił się. Nalał trochę kawy do zakrętki i podał Rune. — Czarna. Z cukrem. — Wzięła od niego kawę i pociągnęła łyczek. Napój był tak mocny, że aż dostała dreszczy.

Sal napił się bezpośrednio z termosu. — Symington — to znaczy Spinello — nadal by żył, gdyby tak nie panikował. Nie powinien był nam się urywać.

— Co się właściwie stało? — spytała.

Sal wyjaśnił: — Pracuję w programie ochrony świadków. Rozumiesz, załatwiamy ludziom nową tożsamość. Spinello i jeszcze jeden świadek...

— Ten facet z St. Louis, o którym pisały gazety?

— Dokładnie tak. Arnold Gittleman. Spinello i Gittleman razem zeznawali przeciwko paru gościom z mafii ze Środkowego Zachodu.

— Skoro już macie ich zeznania, to dlaczego ktoś chciał ich zabić?

Sal zaśmiał się chłodno z jej naiwnego pytania. — To się nazywa zemsta, złotko. Ostrzeżenie dla innych, żeby nie wazyli się sypać. Tak czy owak, Spinello nam nawiał — nie wierzył, że ochronimy jego tyłek — i na własną rękę przeniósł się do Village, nie informując o tym swojego opiekuna. Ja byłem jednym z tych, którzy pilnowali Gittlemana w hotelu w St. Louis. — Na ułamek sekundy jego oczy posmutniały. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do okazywania tego rodzaju emocji. — Akurat wyszedłem po kanapki i piwo, kiedy ta dwójka z piekła rodem załatwiła Gittlemana i dwóch moich kumpli.

— Przykro mi.

Wzruszył ramionami, jakby odrzucając okazane mu współczucie. — Wskoczyłem więc w cywilne ciuchy, żeby przyszpilić tych drani. — Sal popatrzył na dom. — I udało się, psiakrew. Co więcej, wygląda na to, że nie mieli innych współników. Czekaliśmy najdłużej, jak się dało, na wypadek, gdyby jeszcze ktoś się tu zjawił. Ale nikt się nie pokazał.

— Co to znaczy, że czekaliście najdłużej, jak się dało?

Znowu wzruszył ramionami. — Odmrażaliśmy sobie tutaj tyłki przez pięć cholernych godzin.

— Pięć godzin! — wykrzyknęła. Nagle wszystko stało się jasne. — Ib ja was tu *doprowadziłam*! Posłużyłam wam jako przynęta.

Sal zastanawiał się przez moment. — Tak, mniej więcej tak to wyglądało.

— Iy sukinsynu! Od jak dawna mnie śledzisz?

— Kojarzysz może niebieską furgonetkę przed twoim budynkiem? Tę całą oblepioną mandatami?

— To był twój samochód? — Runy spojrzała na niego osłupiała.

— Pewnie, że mój.

— A czego szukałeś na poddaszu? Parę godzin temu?

Sal zmarszczył brwi. — Prawdę mówiąc, myśleliśmy wtedy, że już nie żyjesz. Chciałem sprawdzić, czy przypadkiem nie podzucili tam twojego ciała.

— Jezu Chryste... — Runę skinęła głową w stronę budynku. Nie mogła odmówić sobie odrobiny sarkazmu: — Mam nadzieję, że uciekłam w samą porę i nie pokrzyżowałam kompletnie waszych planów.

— Gdzie tam — mruknął Sal i pociągnął łyk kawy z termosu. — W sumie dobrze się złożyło. W końcu mogli wziąć cię jako zakładnika. To, że im nawiałas, było nam — że tak powiem — bardzo na rękę.

— Na rękę? — powtórzyła z wściekłością Rune. — Wykorzystałeś mnie, tak samo jak Emily. Śledziłeś mnie na Brooklynie, żeby dowie-

dzieć się, gdzie jest Symington. A potem szedłeś za mną aż tutaj, tylko po to, żeby ich przygwoździć!

Teraz to Sal się zdenerwował. — Słuchaj no, mała, przez tydzień podejrzewałem, że ty też należysz do gangu! Pomyśl o tym. Z policyjnego raportu wynikało, że byłaś na miejscu zbrodni krótko po zabójstwie Kelly^{go}. Potem ja obserwuję budynek przy Dziesiątej Ulicy, a ty znów pchasz się do środka! Widzę, że Spinello ucieka, jakby zobaczył diabła, i to zaraz po spotkaniu z tobą. A jeszcze później spływają kolejne meldunki o tym, że ktoś odpowiadający twojemu rysopisowi — tyle że w zaawansowanej ciąży — włamał się do mieszkania Kelly^{go} i wywrócił je do góry nogami.

— **To** akurat nie ja — zaprotestowała Rune. — **Tylko** oni.

— Ale ty *włamałaś* się do środka.

— Drzwi w zasadzie były otwarte.

— Słuchaj, nie zamierzam bawić się w szczegóły. Tłumaczę ci tylko, dlaczego po prostu cię nie zagadnąłem i nie pokazałem ci swojej odznaki. Cholera jasna! Kiedy wreszcie zorientowaliśmy się, że jesteś niewinna, i próbowałem z tobą pogadać, twoja ruda przyjaciółka prawie złamała mi nos, a jakiś pieprzony osiłek niemal mnie udusił.

— Skąd mogłyśmy wiedzieć?

— Tak czy inaczej, jeśli chodzi o kryjówkę Symingtona na Brooklynie, twoje odciski palców były dosłownie wszędzie. Dokładnie cię jednak prześwietliliśmy i doszliśmy do wniosku, że nie wyglądasz na kogoś, kogo mogliby zatrudnić ludzie pokroju Haarte'a czy Zane. Rozmawiałem o tobie z Manellim i zgodziliśmy się, że jesteś tym, na kogo wyglądasz. Czyli zwiariowaną gówniarą.

— Nie jestem żadną gówniarą.

— Pozwolisz, że w tej kwestii zachowam własne zdanie. Dziewczyno, jakżeś się w to wszystko wplątała?

Rune powiedziała mu o panu Kellym, skradzionych pieniądzech i starym filmie.

— Milion dolców? — roześmiał się Sal. — Chyba żartujesz. Lepiej już zagraj na loterii. Albo zacznij obstawiać konie. Będiesz miała większe szanse na wygraną, skarbie. — Pokiwał głową. — Ale to by się zgadzało. Manelli od początku twierdził, że Kelly zginął przez pomyłkę. Zresztą nieważne. Babka i tak pójdzie siedzieć. Teraz to już sprawa dla prokuratury. Dobrze przynajmniej, że mamy koronnego świadka.

— Tak? Kogo? — zaciekawiała się Rune, a kiedy Sal rzucił jej kpiące spojrzenie, zachnęła się. — Nawet o tym nie myśl. Nie ma mowy. Znowu naślą na mnie jakiegoś Haarte'a.

— Bez obawy — odparł Sal, dopijając kawę. — Pamiętaj, że mamy program ochrony świadków. Dostaniesz całkiem nową tożsamość. Będiesz mogła być kim tylko zechcesz. Jeśli chcesz, możesz nawet wymyślić sobie nowe imię.

Zmarszczył brwi. Na pewno zastanawiał się, co ją tak rozbawiło.

No i jak ci się tu podoba? — zawołała Rune.

Siedziała okrakiem na olbrzymim zardzewiałym wysięgniku, którego falliczny kształt wznosił się półtora metra nad ziemią, wystając z morza przemysłowego złomu. Ze wszystkich stron otaczały ich góry powgniatanych chromowanych zderzaków i dźwigarów, kłęby drutu, wraki ciężarówek, stare turbiny i przekładnie.

Zza jednej z takich stert wyłonił się Richard. — Coś fantastycznego-

Złomowisko znajdowało się nieco w bok od Siedemdziesiątej Ulicy, w przemysłowej części Queensu. Panowała tu zaskakująca cisza. Na zachodzie widać było zalany pomarańczowym blaskiem Manhattan; to słońce wyrzało na moment przez szczelinę w grubej pokrywie ciemnych chmur.

— Często tutaj przychodzisz? — zapytał.

— tylko żeby oglądać zachody słońca.

Promienie słoneczne padły na wygięty kawał blachy; przerdzewiały metal zapłonął dziesiątkami opalizujących odcieni. Tysiące blaszanych beczek na ropę nagle wypiękniało. Poskręcane żelazne pręty zmieniły się w rozpalone włókna, a zwoje izolowanych kabli połyskiwały czarnym węże. Rune zawołała do Richarda: — Właż na górę!

Znowu miała na sobie swój hiszpański strój. Richard wdrapał się na wysięgnik. Razem przeszli po nim jak po kładce i usiedli na szerokiej platformie.

Roztaczał się stąd wspaniały widok na całe miasto.

Stał tam też stary, plastikowy kosz piknikowy, a w nim ukryta była butelka szampana.

— Trochę ciepły — usprawiedliwiała się Rune, tuląc do siebie butelkę. — Ale przynajmniej kolacja będzie z klasą.

Kiedy pół godziny wcześniej przeskoczyli przez ogrodzenie, Richard spłoszył się na widok dwóch groźnie wyglądających dobermanów. Stał jak sparaliżowany, gdy jeden z nich obwąchiwał mu krocze. Rune jednak dobrze je znała i bez żadnych obaw podrapała je po gładkich łbach. Pomachały krótkimi ogonkami, zwęszywszy w koszu zimne kanapki z makaronem i serem, które Runę tam zapakowała, po czym odbiegły w sprężystych podskokach.

Runę i Richard jedli aż do zmroku. Potem Runę zapaliła lampę naftową i położyła się, opierając głowę na koszu.

— Postarałam się o nowe podanie o przyjęcie na studia w New School — oznajmiła. — Tamto od ciebie tak jakby wyrzuciłam.

— Chcesz iść na studia? Naprawdę?

Po chwili ciszy Runę zapytała: — Będę musiała wtedy chodzić na wykłady, prawda?

— To ważny element studiów.

— Tak właśnie myślałam. Nie jestem jeszcze w stu procentach przekonana do tego pomysłu... Muszę ci coś powiedzieć. — Rzuciła ukradkowe spojrzenie na jego twarz. — Pamiętasz takiego chłopaka z wypożyczalni? Frankie Grek. Jego siostra właśnie urodziła, a wcześniej pracowała jako dekoratorka wystaw sklepowych, no i okazuje się, że mogę ją zastąpić, dopóki będzie na urlopie. Pracowałabym tylko po parę godzin dziennie i miałabym czas na inne rzeczy.

— Na przykład jakie?

— Różne.

— Rune...

— No co? To genialna robota! Bardzo artystyczne zajęcie, na dodatek w SoHo. Dostawałabym zniżki na ciuchy. Seksowne suknie, bieliznę...

— Jesteś absolutnie beznadziejna, wiesz o tym?

— Prawdę mówiąc, już się zgodziłam i podałam tamto drugie podanie. — Rune wpatrywała się w dwie czy trzy gwiazdy, którym udało się przebić przez wiszące nad miastem spaliny. — Musiałam tak postąpić, wiesz? Po prostu *musiałam*. Przestraszyłam się, że jeśli zrobię dyplom czy coś w tym rodzaju, stanę się, no wiesz, *zbyt dosłowna*.

— A tego byśmy nie chcieli, prawda?

Gwiazdy całkiem zniknęły, gdy Richard nachylił się nad jej twarzą i wolno dotknął wargami jej ust. Uniosła lekko głowę, żeby odwzajemnić pocałunek. Przez dłuższą chwilę się całowali, a Rune nie mogła

się nadziwić, że podnieca ją ktoś ubrany w koszulę i eleganckie spodnie.

Wszystko rozgrywało się bardzo, bardzo wolno.

Chociaż nie tak, jak w zwolnionym tempie. Były to raczej zatrzymane kadry, klatka po klatce, jak wtedy, gdy raz za razem wciska się w pilocie magnetowidu pauzę, żeby nacieszyć oczy ulubioną sceną.

Właśnie tak, jak Runę oglądała „Śmierć na Manhattanie”.

Stopklatka: faktura kołnierzyka jego koszuli, gładka szyja, niezwykle oczy, biały opatrunek na jej dłoni.

I jeszcze jedna: jego usta.

— Musimy bardzo uważać — szepnął Richard.

— Jasne. — Sięgnęła do kieszeni spódnicy i wsunęła mu do ręki szeleszczący folią kwadracik.

— Miałem raczej na myśli to, że jesteśmy sześć metrów nad ziemią — odparł.

— Nie bój się — wyszeptała mu do ucha Rune. — Będę cię mocno trzymać i nie pozwolę ci spaść.

Ostatni kadr: otoczyła go ramionami.

27

eJa nie krzyczę.

Na poddaszu Sandra nakładała właśnie wściekle czerwony lakier na paznokcie u stóp. Dodała kwaśno: — Taka była umowa, nie pamiętasz? Ja nie krzyczę, kiedy jestem w łóżku z facetem, a ty po sobie sprzątasz.

Wymownym spojrzeniem obrzuciła bałagan pozostawiony przez Rune, kiedy ta w panice się pakowała. — Kiedy ktoś u mnie zostaje, jestem cicha jak myszka. Jeśli *on* krzyczy, to już jest inna sprawa. Nic na to nie poradzę. Ale sama powiedz, cicho się zachowuję czy nie?

— Cicho. — Rune schyliła się, pozbierała rozrzucone ubrania i zamiotła rozbite szkło.

— Krzyczę?

— Nie krzyczysz.

— A w ogóle to gdzie spędziłaś ostatnią noc? — zainteresowała się Sandra.

— Pojechaliśmy na złomowisko.

— Rany, ten chłopak jeszcze nie wie, co go czeka. — Sandra podniosła wzrok znad swoich artystycznie umalowanych paznokci i przyj-

rzała się Rune krytycznie. — Oglądasz na zadowoloną. Poszczyło ci się, co?

— Mama nie nauczyła cię, że nieładnie jest być wścibską?

— Nie. To właśnie ona nauczyła mnie *być* wścibską. No to jak, poszczyło ci się?

Rune zignorowała ją. Poskładała i ponownie spakowała wszystkie swoje ubrania, a potem poustawiała książki z powrotem na półkach. W pewnym momencie zamarła. Na podłodze obok regału leżała pogruchochotana kasetka ze „Śmiercią na Manhattanie”. Rune podniosła ją. Z plastikowych rolek smutno zwieszały się zwoje czarnej taśmy. Przez chwilę przyglądała się jej, myśląc o Robercie Kellym, o starym filmie i o zrabowanym z banku milionie dolarów — łupie, który nigdy naprawdę nie istniał, a jeśli nawet, to nie czekał *właśnie na nią*.

Wyrzuciła kasetę do kosza na śmieci. Następnie zajrzała do części poddasza zajmowanej przez Sandrę. Wzięła do ręki pożegnalny list, który zostawiła swojej współlokatorce. Wyglądał na nietknięty. — Nie czytasz swojej korespondencji? — zdziwiła się.

Sandra spojrzała na nią ciekawie. — A co to jest? Liścik miłosny?

— Tak, ode mnie.

— Co mi napisałaś?

— Nieważne. — Wyrzuciła list do kosza. Następnie opadła ciężko na poduszki i zapatrzyła się w błękitno-białe niebo nad sobą. Przypomniały jej się obłoki widziane w New Jersey, przepływające nad równo przyszyżonymi trawnikami domu opieki, podczas gdy ona siedziała w kucki przy wózku Raoula Elliotta. Wówczas chmury przypominały jej swoim wyglądem smoki i olbrzymy. Teraz znowu przez dłuższą chwilę uważnie im się przyglądała. Spodziewała się, że po koszmarze ostatnich kilku dni będą wyglądać zwyczajnie, po prostu jak chmury. Ale nie — wciąż robiły na niej wrażenie smoków i olbrzymów.

Im bardziej się coś zmienia, tym bardziej jest takie samo.

Ulubione powiedzonko jej ojca.

Pomyślała o starym scenarzyście, Raoulu Elliotcie. W przyszłym tygodniu znowu go odwiedzi. Zawiezie mu świeży kwiatek i może książkę. Będzie mogła mu trochę poczytać. Sam powiedział, że nie ma to jak naprawdę ciekawa historia. Rune zgadzała się z nim w stu procentach.

Po pięciu minutach Sandra odezwała się: — Cholera, całkiem zapomniałam! Był tu jakiś wymoczek z tego miejsca, gdzie pracujesz czy

może pracowałaś. Z wypożyczalni. Wyglądał jak niedoszła gwiazda heavy metalu.

— Frankie?

— Nie mam pojęcia. Może i tak. Miał dla ciebie parę wiadomości.

— Rzuciła okiem na wymięty świstek papieru. — Pierwsza od jakiejś Amandy LeClerc. Koleś powiedział, że nie mógł jej zrozumieć, bo to chyba jakaś babka z zagranicy. Stwierdził, że — cytuję — „skoro już tu przyjechała, to czemu nie naumie się naszego języka?”

— Sandra, do rzeczy!

— No więc ta jakaś Amanda dzwoniła i kazała ci przekazać, że udało jej się skontaktować z jakimś księdzem czy pastorem z Brooklynu... czy coś takiego. — Sandra usiłowała rozprostować pogniecioną kartkę, nie przestając jednocześnie malować paznokci.

Runę usiadła na łóżku wyprostowana jak struna.

Ksiądz?

Sandra zmarszczyła czoło, próbując odczytać treść wiadomości. — A tak w ogóle to nie jestem twoją sekretarką. Dobra, już mam. Powiedziała, że rozmawiała z tym kimś, a on potwierdził, że ma walizkę należącą do kogoś, kto nazywa się Robert Kelly.

Walizkę?!

— Ten ksiądz nie wie, co ma z nią zrobić, ale mówi, że to coś bardzo ważnego.

Runę zapiszczała, podekscytowana. Przewróciła się na wznak, machając w powietrzu wyprostowanymi nogami.

— Może weź pigułkę albo coś. — Sandra podała jej kartkę.

Runę odczytała nazwę parafii. Kościół pod wezwaniem świętego Franciszka Ksawerego przy Atlantic Avenue na Brooklynie.

— Aha, tu masz jeszcze jedną. — Sandra wydobyła z torebki kolejny świstek.

Tym razem wiadomość była od Stephanie. Wypuścili ją ze szpitala, czuje się już lepiej. Niedługo wpadnie.

— Super! — wykrzyknęła Rune.

— Cieszę się, że przynajmniej jedna z nas ma powody do radości — rzuciła Sandra. — Ja tam jestem w depresji. Nie, żeby kogokolwiek to obchodziło... — Wróciła do malowania paznokci.

— Muszę zadzwonić do Richarda. Wybierzemy się na wycieczkę.

— Dokąd?

— Na Brooklyn!

— Domy opieki, złomowiska... Dlaczego mnie to nie dziwi? Ej, przestań mnie ścisnąć! Uważaj na lakier!

Richard był w domu.

Dziwne. Ledwie minęło południe. Co on tam robi o tej porze?

Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że przecież nie powiedział jej, *gdzie* właściwie pisze te swoje nudne prezentacje dla firm.

Runę stała na ulicy, w budce telefonicznej. — Cześć, co robisz o tej porze w domu? Myślałam, że pracujesz w jakiejś firmie. Z tą, jak jej tam, długonogą Karen.

Richard roześmiał się.

— Na co dzień jestem wolnym strzelcem. Kimś w rodzaju niezależnego zleceniobiorcy.

— Musimy natychmiast jechać na Brooklyn. Do kościoła przy Atlantic Avenue. Możesz mnie tam zawieźć?

— Jesteś teraz u siebie?

— Nie, w swoim biurze.

— W biurze? — powtórzył zaskoczony.

— No wiesz, ten oddział w plenerze.

— Aha. — Znów się roześmiał. — Jesteś w budce telefonicznej.

— To jak, jedziemy?

— A co takiego jest na Brooklynie?

Powtórzyła mu, czego się dowiedziała, i dodała: — Przed chwilą do niego dzwoniłam, do tego księdza, którego znalazła Amanda. Pozwoliłam sobie na niewinne kłamstewko.

— To znaczy?

— Powiedziałam mu, że jestem wnuczką Roberta Kell/ego.

— To nie jest niewinne kłamstewko, Runę, tylko zwyczajne, bezwstydne łgarstwo. Na dodatek okłamałaś osobę duchowną. Powinnaś się wstydić. Zresztą myślałem, że zapomniałaś już o tych pieniądzach.

— Owszem. Całkowicie. Ale to *on* pierwszy zadzwonił — odparła obronnym tonem. — Powiedział, że zanim pan Kelly wynajął mieszkanie przy Dziesiątej Ulicy, pomieszkiwał przez pewien czas w przykościelnym schronisku. To wtedy oddał księdzu walizkę na przechowanie. Mówił, że nie chce jej przy sobie nosić, dopóki gdzieś się nie zakotwicy. Dodał... Ty słuchasz mnie? Dodał, że jej zawartość jest zbyt cenna, żeby chodzić z nią po ulicach.

Chwila milczenia.

— Przecież to kompletne wariactwo — odezwał się wreszcie Richard.

— Teraz dopiero się zdziwisz. Zapytałam go, czy w pobliżu kościoła jest cmentarz, jak w tamtym filmie. Pamiętasz? Dana Mitchell, to znaczy policjant, zakopał łup w świeżym grobie. No i jest!

— Co jest?

— Cmentarz! Zaraz obok kościoła. Rozumiesz? To pan Elliott powiedział panu Kelly'emu o kościele, a on poszedł tam i odkopał pieniądze...

— Być może — rzucił z powątpiewaniem Richard. I zaraz zapytał: — Kiedy możesz być z powrotem na poddaszu?

— Za pięć minut.

— A będziesz sama? — spytał uwodzicielsko.

— Sandra jest u siebie.

— Psiakość. Nie możesz wysłać jej po zakupy?

— Lepiej od razu jedźmy na ten Brooklyn. Tamto może zaczekać.

— Już jadę.

Runę dotarta na górę schodów i zatrzymała się jak wryta.

— Stephanie!

Jej rudowłosa przyjaciółka uśmiechnęła się niewyraźnie. Siedziała w części poddasza należącej do Runę, na stercie poduszek. Była blada — bledsza niż zwykle. Wokół szyi owinęła apaszkę, która tylko częściowo skrywała ogromny siniak. Poza tym miała jeszcze plaster na skroni, a na policzku krwiak koloru oberżyny.

— O mój Boże! — jęknęła Runę, przyglądając jej się z bliska. — *Faktycznie* łatwo robią ci się siniaki. — Ostrożnie uściskała Stephanie. — Dobrze wyglądasz...

— Wyglądam fatalnie. Możesz to śmiało powiedzieć.

— Jak na kogoś, kto wpadł pod taksówkę, to jest całkiem nieźle.

— Interesujący komplement.

Nastąpiła chwila krępującego milczenia. — Nie wiem, co powiedzieć, Steph. — Runę zajęła się składaniem swoich rzeczy, żeby ukryć zdenerwowanie. — To ja cię w to wszystko wciągnęłam. Niewiele brakowało, żebyś przeze mnie zginęła. I to jeszcze w taki głupi sposób, uciekając przed agentem federalnym.

— Co proszę? — Stephanie wybuchnęła śmiechem.

— Myślałam, że ten facet przy wejściu do metra — ten, którego uderzyłaś — pracuje *dla nich*. Ale okazało się, że to agent federalny. Zupełny odjazd, nie? Prawie jak w „Strażnikach Teksasu”.

Opowiedziała Stephanie o Haarcie i Emily.

— Słyszałam coś na ten temat w wiadomościach, jeszcze w szpitalu — odparta Stephanie. — Mówili o strzelaninie w jakimś domu na Brooklynie. Nigdy bym nie podejrzewała, że możesz być w to zamieszana.

Oczy Runę rozbłysły podnieceniem. — A skoro już mowa o przygodach... Federalni chcą, żebym została świadkiem koronnym!

— A to nie jest niebezpieczne?

— Jasne, że tak! Ale wszystko mi jedno. Ta suka musi zgnić w więzieniu. Razem zamordowali pana Kelly'ego. Mnie również próbowali zabić — i ciebie zresztą też.

— Na pewno będzie cię pilnować cała masa glin.

Runę podeszła do regału i odstawiła na półkę kilka książek, które wcześniej spakowała, planując wyjazd do domu. — Dzwoniłam do wypożyczalni. Powiedzieli mi, że się zwolniłaś...

— To przez Ton/ego — wyjaśniła Stephanie. — Co za dupek. Nie mogłam na niego patrzeć po tym, jak cię potraktował.

Runę uśmiechnęła się kokieteryjnie. — To co, chcesz swoje sto tysięcy?

— Słucham?

Runę opowiedziała jej o księdzu. — Pamiętasz bajkę o czerwonej kurce? Wierzyłaś we mnie. Jeśli znajdziemy te pieniądze, na pewno część z nich trafi do ciebie.

Stephanie zaśmiała się. — Myślisz, że naprawdę istnieją?

— Pewności nie mam. Ale przecież mnie znasz.

— Wieczna optymistka — podsunęła Stephanie.

— Zgadza się. A teraz...

Kap.

Runę nastawiła ucha. Po chwili znów usłyszała ten dźwięk. Cichy, jakby coś się sączyło. *Kap.*

Spojrzała w kierunku, skąd dobiegał — z części poddasza należącej do Sandry.

— Naprawdę nie musisz mi niczego dawać, Rune.

— Wiem, że *nie muszę*. Ale chcę.

Kap, kap.

Cholera! Sandra rozlała lakier do paznokci. Na podłodze zdążyła się już utworzyć spora czerwona kałuża.

— Sandra, na litość boską!

Rune weszła za ściankę działową i zamarła. Jej współlokatorka leżała na wznak na materacu, w białym, bawełnianym staniku i czarnych rajstopach, z oczami wbitymi w zwieńczenie szklanej kopuły. Na jej piersi widniała niewielka ciemna kropka w miejscu, gdzie przeszła kula. A czerwona kałuża wcale nie pochodziła z rozlanego lakieru. Utworzyła ją krew spływająca wąską stróżką po ręce Sandry i skapująca na podłogę.

Stephanie wstała i celując do Rune z pistoletu, powiedziała: — Pozwól tu z powrotem, skarbie. Chyba musimy pogadać.

28

To ty jesteś współniczką Haarte'a — wyszeptała z przerażeniem Rune.

Stephanie przytaknęła. — Nazywam się Lucy Zane — powiedziała chłodno. — Haarte i ja od trzech lat pracowaliśmy razem. Był najlepszym współnikiem, jakiego miałam. A teraz nie żyje. Z twojej winy.

— Kim w takim razie jest Emily?

— Wzięliśmy ją do pomocy. Przydawała się, kiedy mieliśmy jakieś zlecenie na Wschodnim Wybrzeżu.

Siedząca na stercie poduszek Rune pokręciła głową z niedowierzaniem. Wszystko wirowało jej przed oczami jak w jakimś zwariowanym kalejdoskopie: Richard, skradzione pieniądze, Laluś, Emily i Haarte. Robert Kelly. Serce dudniło jej głucho w piersiach. Powróciło znajome poczucie klęski. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach: — Nie, nie, to niemożliwe...

Była zbyt otumaniona, żeby płakać. Nie podnosząc wzroku, zapytała jeszcze:

— A twoja praca w wypożyczalni? Jak ci się udało ją dostać?

— A jak myślisz? Przeleciałam Ton/ego.

— Mam nadzieję, że było obrzydliwie — warknęła *Rune*.

— Było. Ale na szczęście nie trwało to zbyt długo. Minutę, góra dwie.

— Przecież się zaprzyjaźniłyśmy... Pomagałaś mi kupować ciuchy... Dlaczego? Po co to robiłaś?

— Zbliżyłam się do ciebie, żebyśmy mogli cię zrobić. Razem z Haartem zabiliśmy dwóch agentów w St.Louis. Wokół nas zrobiło się gorąco. Na dodatek pokpiliśmy sprawę ze Spinellem w Village i potrzebowaliśmy kozła ofiarnego. A raczej *kozy*. Padło na ciebie. O mały włos, a by nam się udało.

— Wielka szkoda, że tamta taksówka miała sprawne hamulce — zauważyła chłodno Rune.

— Czasami szczęście uśmiecha się do ludzi. Nawet do takich jak ja.

Rune zatrzęsała się z wściekłości i strachu.

Stephanie ciągnęła: — Rozmawiałam z Emily. Sędzia odrzucił jej wniosek o zwolnienie za kaucją. Ale kazała cię pozdrowić. I przekazać, że ma nadzieję, że miło nam się będzie gawędziło. I tak chyba będzie, prawda? A teraz powiedz mi jedną rzecz. Mówiłaś o mnie glinom albo federalnym?

Za ich plecami rozległ się nagły szcęk, a potem stęknienie wiekowego mechanizmu. Oczy Rune rozblęły.

Richard!

Stephanie obejrzała się, słysząc nieznanego odgłos, po czym znowu popatrzyła na Rune.

— Mów — zażądała. — Wtedy może cię puszczyć.

— Gównem prawda. — Rune zakopała się głębiej w poduszki, jakby miały ją one ochronić przed czarnym pistoletem.

— Puszczyć cię — odparła tamta. — Obiecuję.

— Jestem jedynym świadkiem. Jak możesz mnie puścić? *Musisz* mnie zabić, i tyle. — Zadarła głowę i spojrzała w górę na sunące ponad kopułą chmury — smoki, olbrzymy i trole maszerujące po niebie wiele kilometrów nad nią, obojętne na to, co dzieje się na ziemi.

Za nimi ponownie rozległ się metaliczny zgrzyt. Winda wjeżdżała na górę.

— Po wypadku musiałaś komuś o mnie mówić. Czy ten agent, któremu przyłożyłam w metrze, nie podejrzewa przypadkiem, że jestem jedną z nich? Podałaś mu moje nazwisko?

— Przecież i tak jest fałszywe.

— To prawda, ale już wcześniej się nim posługiwałam. W ten sposób mogą mnie namierzyć.

Łańcuchy. Brzęk łańcuchów. Zgrzyt metalu o metal. A potem głośny szcęk i skrzypienie podłogi.

— Spodziewasz się gości, Rune?

— Nie.

Stephanie zerknęła w dół schodów. Zaraz potem przeniosła czujne spojrzenie na Rune i zapytała: — Co ty tam chowasz?

Rune nie mogła uwierzyć, że tamta wszystko widziała. Ależ była dobra. Naprawdę dobra.

— Pokaż — nalegała Stephanie.

Rune zawahała się, po czym uniosła w górę dłoń i powoli rozwarła zabandażowane palce. — Kawałek kamienia. Z budynku Union Banku. Zabrałam go na pamiątkę, nie pamiętasz? Tego dnia, kiedy byliśmy razem na Wall Street.

— Co zamierzałaś z nim zrobić?

— Chciałam w ciebie rzucić — odparła Rune. — I rozkwasić ci tę wredną gębę.

— W takim razie rzuć go na podłogę. — Lucy Zane wycelowwała wyposażony w tłumik pistolet prosto w serce Rune.

Rune cisnęła kamyk daleko od siebie.

W tym samym momencie na schodach stanął Richard, wołając: — Cześć!

Zdębiał, widząc broń w ręku Stephanie. — Co jest?

Stephanie skinęła na niego. — Dobra, stań sobie tutaj.

Cofnęła się trochę, żeby mieć ich oboje na celowniku. Podniosła pistolet i wyprostowała rękę w łokciu. Niewielki kawałek czarnego metalu zalśnił w promieniach słońca; krótki, pękaty tłumik również był czarny.

W głosie Stephanie pojawił się ostry ton: — Nie mam czasu, Rune. Komu o mnie mówiłaś? I *co* mówiłaś? Muszę to wiedzieć, i to zaraz.

— Puść go.

Richard spytał: — Co tu się u diabła dzieje? Robicie sobie żarty?

Lewa ręka Stephanie wystrzeliła w jego stronę. Otwarta dłoń, rozcapierzone palce o starannie umalowanych paznokciach w kolorze fukcji. — Stul pysk, gnoju. Po prostu się zamknij. — A zwracając się do Rune, powtórzyła: — *Co* im o mnie mówiłaś?

— Dobry Boże — wyszeptał Richard, spoglądając na Rune.

Ta z powrotem opadła na poduszki, zasłoniła oczy rękami i zanosła się płaczem. — Nie, nie rób tego... Mam gdzieś Emily, ciebie i w ogóle wszystkich. Nie będę zeznawać. Powiem, że to nie była żadna z was. Pan Kelly i tak już nie żyje! Spinello też! Dajcie nam wreszcie spokój!

Stephanie odrzekła cierpliwie: — Może wezmę to pod uwagę. Zrozum, Rune, ja cię naprawdę lubię. Jesteś... urocza. Nawet się wzruszyłam, kiedy powiedziałaś, że podzielisz się ze mną tym swoim urojonym skarbem. Normalnie mnie zatkało. Ale musisz mi powiedzieć prawdę. Taki jest układ.

— No dobrze... Nikomu o tobie nie mówiłam.

— Nie wierzę ci.

— To prawda! Wspomniałam o tobie tylko w pamiętniku. O tobie i Emily. — Usiadła na piętach, z rękami na kolanach, mała, pokonana. — Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką. Opisałam, jak wyglądasz i jaka byłaś dla mnie miła, kiedy pomagałaś mi wybierać ciuchy na randkę.

Nawet jeśli Stephanie i tym razem się wzruszyła, to nie dała tego po sobie poznać.

— Gdzie on jest? — zapytała. — Ten pamiętnik. Daj mi go i zostawię cię w spokoju. To znaczy, was oboje.

— Słowo?

— Słowo.

Runę zastanawiała się jeszcze przez chwilę, po czym podeszła do walizki i zaczęła w niej szperać. — Nie mogę go znaleźć. — Wyprostowała się i zmarszczyła brwi. — Byłam pewna, że go spakowałam. — Otworzyła torbę w lamparcie cętki i przetrząsnęła jej zawartość. — No to już nie wiem... Aha, tam jest! Na regale. Druga półka.

Stephanie podeszła wolno do regału i dotknęła grubego brulionu. — Tfen?

— Nie, następny. Leży obok.

Stephanie zdjęła z półki brulion i otworzyła go na chybił trafił. — W którym miejscu wspomniałaś...

Przerwał jej huk wystrzału.

Pierwsza kula odłupała potężny kawał błękitnej ścianki działowej, zasypując poddasze deszczem odłamków.

Druga stłukła jedną z szyb w kopule.

Trzecia rozbiła stertę książek, które wzbily się w powietrze jak stadko spłoszonych gołębi.

Czwarta trafiła Stephanie prosto w pierś w momencie, gdy ta odwracała się do Runę, zaszokowana, z szeroko otwartymi ustami.

Niewykluczone, że padł również piąty strzał. I szósty. Runę przestała liczyć. Nie miała pojęcia, ile razy pociągnęła za spust pistoletu — tego samego, który wyjęła ze spiętej gumką teczki Symingtona, zanim ją wyrzuciła, a który tkwił dotąd ukryty w stojącym przy łóżku Runę koszu na śmieci.

Przed sobą widziała tylko dym, wzbijający się w górę pył, fruujące strzępy papieru, chmury i błękitne niebo namalowane na ścianie działowej oraz kawałki szkła szybujące przez całe poddasze i wokół Stephanie — pięknej, bladej Stephanie, która powoli osunęła się na podłogę.

Jedynym zaś dźwiękiem, który słyszała, był dzwoniący jej echem w uszach potworny huk broni. A kiedy kilka sekund później huk umilkł i Richard, podniósłszy się z podłogi, ruszył wolno w jej stronę, poddaszem wstrząsnął opętańczy, zwierzęcy wrzask wydobywający się — czego Runę nawet nie była świadoma — z jej własnych ust.

29

Runę klęczała przed ołtarzem nieruchoma, z pochyloną głową.

Była pewna, że zna słowa modlitwy dziękczynnej na pamięć, ale jakoś nie potrafiła jej sobie przypomnieć. Jedyne, co mogła zrobić, to w kółko powtarzać półgłosem: — Dzięki Ci składamy, żeś nas raczył wybawić i ocalić od wielkiego niebezpieczeństwa, jakie nam groziło.

Po dłuższej chwili podniosła się z klęczek, odwróciła i ruszyła wolno przejściem w kierunku przedsionka świątyni.

Szeptem zwróciła się do czekającego tam na nią mężczyzny w ciemnej sutannie: — Odjazdowy kościół, proszę księdza. Serio!

— Dziękuję, panno Kelly.

Wychodząc, Runę odwróciła się do ołtarza i nieporadnie dygnęła. Duszpasterz parafii pod wezwaniem świętego Franciszka Ksawerego spojrział na nią ze zdziwieniem. Może dyganie — podpatrzone przez nią u bohaterów jakiegoś starego filmu o mafii — było zastrzeżone wyłącznie dla katolików. Ale jakie to ma znaczenie? Stephanie w jednym miała rację: pomijając kult szatana i składanie ofiar ze zwierząt, księży i pastory nie przywiązywali raczej większej wagi do symbolicznych gestów.

Wyszli przed kościół.

— Pani dziadek nie wspominał nic o tym, że miał dzieci, kiedy mieszkał w naszym schronisku. Mówił, że jego najbliższą krewną była siostra, która zmarła kilka lat temu.

— Naprawdę? — Co innego mogła w tej sytuacji powiedzieć?

— Z drugiej strony — ciągnął ksiądz — w ogóle rzadko mówił o sobie. Pod wieloma względami był bardzo tajemniczy.

Tajemniczy...

— Tak. — Skinęła głową. — To cały dziadek. Wszyscy stale mówili: „Co za milczek z tego naszego dziadka”.

— Wszyscy? Myślałem, że było was tylko dwie. Pani i pani siostra.

— Miałam na myśli dzieciaki z sąsiedztwa. Traktowały go jak rozdzonego dziadka.

Uważaj, Runę, skarciła sama siebie. Okłamujesz duchownego, i to duchownego z doskonałą pamięcią.

Znaleźli się na probostwie, pełnym sprzętów z ciemnego drewna i kutego żelaza. Drobne, świecące żółto lampki podkreślały kościelny charakter miejsca, chociaż niewykluczone, że wybór słabszych żarówek podyktowany był względami oszczędnościowymi. Było tu bardzo... hm, *religijnie*. Runę próbowała przypomnieć sobie jakiś dobry film traktujący o religii, ale bez powodzenia. Te, które widziała, rzadko kończyły się szczęśliwie.

Weszli do gmachu schroniska, zdecydowanie nowszego niż sam kościół, chociaż architektura była tu dokładnie taka sama: witraże w oknach, strzeliste łuki, kwiatowe rzeźbienia. Runę rozejrzała się. Znajdowali się w czymś w rodzaju domu spokojnej starości. Zajrzała do jednej z mijanych sal. Dwa łóżka, żółte ściany, niedopasowane komody. Mnóstwo obrazków na ścianach. Przytulniej, niż można by się spodziewać. W środku siedziało dwóch starszych mężczyzn. Gdy Runę przystanąła w drzwiach, jeden z nich podniósł się i oznajmił: — Jestem niemądrym miłym staruszkiem, mam osiemdziesiątkę na karku, ani godziny mniej, ani więcej i jeśli mam być zupełnie szczerzy, obawiam się, że brak mi piątej klepki.

— Święte słowa — zawtórował mu jego towarzysz. — Wszystko pokręciłeś.

— Ach, tak? Myślisz, że potrafiłbyś zrobić to lepiej?

— Posłuchaj tylko.

Ich głosy stopniowo cichły, w miarę jak Runę i jej przewodnik oddalali się w głąb korytarza.

— Jak długo dziadek tu mieszkał? — zapytała Rune.

— Tylko cztery, może pięć tygodni. Musiał się gdzieś zatrzymać do czasu, zanim nie znajdzie stałego mieszkania. Przysłał go do nas znajomy.

— Raoul Elliott? — Serce Rune zaczęło mocniej bić.

— Tak. Zna panienska pana Elliotta?

— Kiedyś się spotkaliśmy.

A więc Elliottowi musiało się coś pomylić. Wcale nie skierował pana Kell/ego do hotelu Florence, jak twierdził, tylko tutaj — do tego kościoła. Może pan Kelly mieszkał w hotelu Florence, kiedy odwiedził scenarzystę, i biedakowi wszystko się poplątało.

— Wspaniały człowiek — mówił dalej ksiądz. — Niezwykle hojny dla naszej parafii. I to nie tylko w kwestiach materialnych... Dopóki nie zachorował, był członkiem naszej rady parafialnej. To straszne, że akurat jego to spotkało. Mówię o alzheimerze. — Duchowny ze smutkiem pokręcił głową. Po chwili podjął przerwana opowieść: — Ponieważ nie mamy zbyt wiele miejsc, Robert nie chciał — jak sam mówił — za długo nadużywać naszej gościnności. Wolał udostępnić pokój bardziej potrzebującym i już po kilku tygodniach przeniósł się do hotelu Florence. Zostawił u mnie walizkę, mówiąc, że wróci po nią, jak tylko znajdzie sobie coś na stałe. W hotelu obawiał się włamania, a — jak twierdził — zawartość walizki była zbyt cenna, żeby ryzykować jej kradzież.

Runę obojętnie skinęła głową, myśląc jednocześnie: „*Milion dolarów!*”

Stanęli przed drzwiami magazynu. Ksiądz wyciągnął z kieszeni pęk kluczy przypiętych do metalowej obręczy. Runę zapytała: — Czy dziadek spędzał dużo czasu w kościele?

Ksiądz zniknął wewnątrz magazynu i wkrótce dobiegły ją stamtąd odgłosy przesuwanych po podłodze kartonów. Odkrzyknął: — Nie, raczej nie.

— To może często spacerował po terenie kościoła? Albo po cmentarzu?

— Po cmentarzu? No nie wiem. Być może.

Runę przypomniała sobie scenę ze „Śmierci na Manhattanie”, w której nieszczęsny policjant leży na więziennej pryczy i śni, że udało mu się odzyskać cenny łup zakopany na jakimś cmentarzu. Dobrze pamiętała zbliżenie oczu aktora, gdy jego bohater się budzi i dociera do niego, że to był tylko sen, a ziemia na jego dłoniach, którymi wykopywał ukryty skarb, po przebudzeniu okazuje się cieniami rzucanymi przez więzienne kraty.

Z magazynu wyłonił się ksiądz z walizką w ręce. Postawił ją na podłodze. — Proszę bardzo.

— Czy mam coś pokwitować? — zapytała niepewnie Rune.

— Nie, to chyba nie będzie konieczne.

Dźwignęła walizkę; była odpowiednio ciężka, jak przystało na starą, skórzaną torbę wypchaną okrągłym milionem dolarów. Rune zatonęła się i oparła o ścianę. Ksiądz skwitował to uśmiechem i wziął od niej walizkę. Podniósł ją bez wysiłku i ruchem głowy wskazał Rune boczne wyjście. Poszła więc przodem.

Naraz ksiądz odezwał się: — Pani dziadek prosił, żebym starannie się z nią obchodził. Powiedział, że w środku jest całe jego życie.

Runę obejrzała się i zerknęła na walizkę. Miała wilgotne dłonie. — Zabawne, co dla niektórych może stanowić sens ich życia, prawda?

— Żal mi ludzi, których całe życie mieści się w jednej walizce. I b jeden z powodów, dla których wybudowaliśmy przy kościele to schronisko. Tutaj Bóg naprawdę czyni cuda.

Przeszli do niewielkiego biura. Duchowny pochylił się nad zagraco-
nym biurkiem i zaczął przerzucać stopy poczty.

— Szkoda, że Robert dłużej u nas nie zabawił — powiedział. — Bardzo go polubiłem. No, ale on pragnął niezależności. Chciał mieszkać u siebie.

Runę obiecała sobie w duchu, że przekaze kościołowi część odnalezionych pieniędzy. Pięćdziesiąt tysięcy, postanowiła, by już po chwili, pod wpływem nagłego kaprysu, zwiększyć tę sumę do stu.

Ksiądz wręczył jej grubą kopertę zaadresowaną „Szanowny pan Bobby Kelly”.

— Całkiem zapomniałem... To przyszło na adres kościoła dzień czy dwa dni temu. Zanim zdążyłem ją odesłać na nowy adres Roberta, dowiedziałem się, że nie żyje.

Runę wsunęła kopertę pod pachę.

Wyszli na zewnątrz. Ksiądz postawił walizkę na chodniku. — Jeszcze raz najszczerze wyrazy współczucia dla całej pani rodziny. Gdybym mógł w czymś pomóc, proszę się nie wahać i dzwonić.

* — Dziękuję księdzu — powiedziała, myśląc: „Właśnie zarobiłeś dwieście tysięcy”.

Bajka o czerwonej kurce...

Runę wzięła walizkę i podeszła do samochodu.

Richard przyglądał jej się z zaciekawieniem. Runę podała mu walizkę i poklepała maskę dodge'a. Dźwignął ją i położył we wskazanym miejscu. Znajdowali się w spokojnej bocznej uliczce, ale już kilka metrów dalej za rogiem widać było sunące nieprzerwanym strumieniem samochody. Jakby bojąc się zapeszyć, oboje odwrócili wzrok od skórzanego trofeum. Popatrywali na parterowe budynki — sklep z dywanami, sklep żelazny, pizzerię, delikatesy — na pobliskie drzewa, trąbiące samochody, na niebo nad swoimi głowami.

Żadne z nich nawet nie dotknęło walizki, żadne nic nie powiedziało.

Jak rycerze, którzy podejrzewają, że znaleźli Świętego Graala, i nie są pewni, czy im się to podoba.

Ponieważ oznaczałoby to kres ich przygody.

Koniec bajki. Czas zamknąć książkę, położyć się spać, obudzić następnego ranka i iść do pracy.

Richard pierwszy przerwał milczenie. — Nie przypuszczałem, że w ogóle *będzie* jakaś walizka.

Rune utkwiała wzrok w ciemnych zaciekach na skórzanym wieku. Do rączki przyczepionych było kilkanaście starych kwitów bagażowych różnych linii lotniczych. — Też miałam chwile załamania — przyznała się. Delikatnie dotknęła metalowych zamków i zaraz cofnęła rękę. — Nie, nie mogę.

Richard postanowił przejąć inicjatywę. — Na pewno zamknięte. — Wcisnął zapadki, a te odskoczyły z cichym szcękaniem.

— Raz... kozie... śmierć — powiedziała Rune.

Richard uniósł wieko walizki.

Czasopisma.

Święty Graal okazał się stertą starych pism i gazet.

Wszystkie z lat czterdziestych. „Time”, „Newsweek” i „Collier's Weekly”. Rune chwyciła kilka i przekartkowała. Ze środka nie wyfrunęły żadne banknoty.

— Cały milion nie zmieściłby się do „Time'a” — zauważył słusznie Richard.

— *To* ma być całe jego życie? — szepnęła Rune z niedowierzaniem.

— Pan Kelly powiedział księdzu, że w tej walizce jest całe jego życie.

— Sięgnęła na dno walizki. — Może zainwestował pieniądze w akcje Standard Oil albo coś w tym guście? Może gdzieś tutaj jest świadectwo udziałowe?

Ale nie, w walizce były wyłącznie stare gazety i pisma.

Rune przetrząsnęła całą jej zawartość, centymetr po centymetrze zbadała spłowiałą podszewkę i przebiegła palcami grube wewnętrzne szwy. Na koniec bezradnie opuściła ręce i pokręciła głową. — Dlaczego? — jęknęła. — Dlaczego to wszystko trzymał?

Richard tymczasem przeglądał stare tygodniki. — To dziwne. Wszystkie wydania są mniej więcej z tego samego czasu. Z lipca 1947.

Rune drgnęła, słysząc głośny wybuch śmiechu. Spojrzała na Richarda, który z rozbawieniem kręcił głową.

— Co takiego?

Richard nie mógł opanować wesołości.

— O co chodzi?!

W końcu złapał oddech i mrużąc powieki, przeczytał założoną kciukiem stronę. — Och, Rune... No nie...

Wyrwała mu czasopismo. Artykuł zakreślony był niebieskim tuszem. Przeczytała akapit, który wskazał jej Richard.

„Znakomita rola Roberta Kell/ego, przybysza ze Środkowego Zachodu, który nawet nie marzył o aktorstwie, zanim reżyser Hal Reinhardt nie wypatrzył go w tłumie i nie zaproponował roli w filmie. Kelly — który wcielił się w postać młodszego brata Dany Mitchella, na próżno usiłującego przekonać nieszczęsnego policjanta, aby ten zwrócił zrabowane pieniądze — wykazał się talentem zaskakującym jak na kogoś, kogo sceniczne doświadczenie ograniczało się do kilku występów w wojskowym kabarecie podczas ostatniej wojny. Kinomani będą z pewnością z zainteresowaniem śledzić dalsze poczynania tego młodego człowieka, ciekawi, czy uda mu się zrealizować swój hollywoodzki sen i z nieznanego nikomu amatora stać się gwiazdą pierwszej wielkości”.

Przejrzeli resztę czasopism; w każdym znajdowała się recenzja filmu „Śmierć na Manhattanie”, w której co najmniej kilka razy wymieniane było nazwisko Roberta Kelly'ego. Większość recenzentów wyrażała się o nim bardzo przychylnie, wróżąc mu długą i pełną sukcesów karierę filmową.

Wreszcie również i Rune się roześmiała. Zamknęła wieko walizki i oparła się o samochód. — A więc *o to* mu chodziło, kiedy powiedział, że to jest całe jego życie. Kiedyś zwierzył mi się, że ten film to jego najcenniejsze wspomnienie. Pewnie później już w niczym innym nie zagrał.

W jednej z gazet znaleźli Ust, wysłany do pana Kell/ego przez Amerykańską Gildię Aktorów Filmowych. Na stemplu widniała data sprzed pięciu lat.

Rune przeczytała na głos: — »Drogi panie Kelly. Dziękujemy panu za list, który otrzymaliśmy w ubiegłym miesiącu. Jako zarejestrowany wykonawca rzeczywiście byłby pan uprawniony do tantiem z tytułu roli w „Śmierci na Manhattanie”. Wiadomo nam jednak, że wytwórnia, która jest posiadaczem praw do tego filmu, nie przewiduje obecnie jego dystrybucji na kasetach wideo. Gdyby jednak kiedykolwiek do tego doszło, będzie pan oczywiście uprawniony do pobierania z tego tytułu tantiem w wysokości określonej w pańskiej umowie”.

Runę schowała Ust do koperty. — Pewnie przysłaliby mu czek na kilkaset dolarów. — Obejrzała się za siebie i pokazała Richardowi tabliczkę wiszącą nad wejściem do przykościelnego schroniska. — Popatrz.

Na tabliczce widniała informacja: „Dom aktora pod wezwaniem świętego Franciszka Ksawerego”. — To dlatego tutaj zamieszkał. Pieniądze nie miały tu nic do rzeczy. Pan Kelly po prostu potrzebował dachu nad głową.

Richard rzucił walizkę na tylne siedzenie. — Co z tym teraz zrobisz?

Wzruszyła ramionami. — Oddam Amandzie. To będzie dla niej cenna pamiątka. Dla siebie zrobię sobie kopie najlepszych recenzji, oprawię i powieszę na ścianie.

Wsiedli do samochodu. — One by cię zepsuły — rzucił mimochodem Richard.

— Słucham?

— Mówię o pieniądzach. Tak jak tego gliniarza w „Śmierci na Manhattanie”. Znasz to powiedzenie? „Władza deprawuje, władza absolutna deprawuje absolutnie”.

Oczywiście pierwszy raz to słyszę, pomyślała. Odparła jednak: — Pewnie. To z tego wiersza Stallone'a, tak?

Przez chwilę Richard patrzył na nią osłupiały. Potem odchrząknął i powiedział: — No cóż, to samo tyczy się spraw materialnych. Tak olbrzymia kwota nie mogłaby nie wpłynąć na twoje podstawowe wartości.

Pan Dziwak powrócił, tym razem w przebraniu młodego japiszona.

Runę zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami. — Nieprawda. Aladyn na przykład nie dał się zdeprawować.

— Ten od lampy? Chcesz ze mną dyskutować, powołując się na bajki?

— Owszem — odparła z uśmiechem.

— No więc co z tym Aladynem?

— Zażyczył sobie bogactw i pięknej księżniczki za żonę, a dżin spełnił jego prośbę. Ale ludzie nie znają prawdziwego zakończenia tej historii. Aladyn został zięciem samego sułtana, a po jego śmierci przejął władzę.

— Później było Watergate, a on zmienił się w wielbłąda.

— Właśnie, że nie. Był kochanym i sprawiedliwym władcą. No i oczywiście szaleńczo bogatym.

— A więc bajki *nie zawsze* dobrze się kończą — wyrecytował z namaszczeniem Richard — ale czasem zdarza się happy end.

— Jak i w życiu.

Richard usiłował chyba znaleźć jakiś kontrargument, ale najwidoczniej nic mu nie przyszło do głowy, bo tylko wzruszył ramionami.

— Jak i w życiu — zgodził się.

Ruszyli przez ulice Brooklynu — Rune skulona na przednim siedzeniu, z nogami na desce rozdzielczej. — Więc to dlatego tak często wypożyczał ten film. Żeby wspominać swoje pięć minut sławy.

— To dosyć dziwaczne — zauważył Richard.

— Wcale tak nie uważam. Mnóstwo ludzi nie ma nawet tego. A jeśli już coś podobnego przeżywają, nikt tego nie nagrywa i nie wydaje na kasecie wideo. Uwierz mi, gdybym *ja* zagrała w jakimś filmie, zrobiłabym sobie odbitkę każdego kadru, w którym mnie widać, i powiesiła na ścianie.

Richard dał jej żartobliwego kuksańca.

— O co ci chodzi?

— Widziałaś ten film — ile? Z dziesięć razy? I nie zauważyłaś jego nazwiska w napisach?

— To była tylko epizodyczna rola. Nie było go na głównej liście płac.

— Gdzie?!

— W czołówce. Poza tym oglądaliśmy piracką kopię. Kiedy ją nagrywałam, nie przyszło mi do głowy, żeby skopiować napisy końcowe.

— Skoro już mowa o nazwiskach, czy raczej imionach, powiesz mi wreszcie, jak się naprawdę nazywasz?

— Ludmiła.

— Nie żartuj!

Rune nie odpowiedziała.

— *Żartujesz*, prawda? — spytał ze znużeniem Richard.

— Próbuję właśnie wymyślić jakieś fajne imię dla kogoś, kto będzie dekorował wystawy w SoHo. Myślę, że „Yvonne” byłoby niezłe, nie sądzisz?

— Równie dobre, jak każde inne.

Rune zerknęła na leżącą na jej kolanach pękatą kopertę, którą dostała od księdza. Dopiero teraz zwróciła uwagę na adres nadawcy: dom opieki Bon Aire w Berkeley Heights w New Jersey.

— Co to?

— Pan Elliott napisał do pana Kelly'ego na adres kościoła.

Otworzyła kopertę. W środku znajdował się list przyklejony do innej pękatej koperty, na której ktoś wykaligrafował staroświeckim, nierównym charakterem pisma: „*Śmierć na Manhattanie** szkic scenariusza, 5 czerwca 1946.

— Ojej, patrz! Prezent!

Runę przeczytała na głos: — „Drogi panie Kelly. Na pewno mnie pan nie pamięta. Pełnię obowiązki pielęgniarki na piętrze, gdzie znajduje się pokój pana Raoula Elliotta. To on prosił mnie, żebym do pana napisała i spytała, czy może pan przekazać załączoną paczkę młodej dziewczynie, która niedawno go odwiedziła. Pan Elliott nie był pewien, kim właściwie była owa młoda dama: pańską córką czy — co bardziej prawdopodobne — wnuczką. Gdyby jednak mógł jej pan dostarczyć tę kopertę, byłibyśmy oboje niezmiernie wdzięczni.

Pan Elliott kilkakrotnie wspominał, jaką przyjemność sprawiły mu jej odwiedziny i rozmowa o filmach. Muszę tu dodać, że wizyta ta miała na niego zdecydowanie dobroczynny wpływ. Różę, którą od niej dostał, postawił na stoliku przy łóżku i kilka razy potrafił nawet przypomnieć sobie, kto mu ją podarował, co zważywszy na jego stan, jest bardzo pozytywnym objawem. Wczoraj wyjął tę kopertę ze schowka i poprosił, aby przesłać ją owej młodej damie oraz podziękować jej, że uszczęśliwiła schorowanego człowieka. Z poważaniem — Jo an Gilford, dyplomowana pielęgniarka”.

Byli już w przemysłowej części Brooklynu. Richard uśmiechnął się: — Fantastyczny staruszek. To bardzo miło z jego strony.

Runę pociągnęła nosem. — Chyba się zaraz rozplacę.

Rozdarła pękata kopertę.

Richard zatrzymał samochód na czerwonym świetle. — Wiesz, może udałoby ci się to sprzedać. Słyszałem, że oryginalna wersja scenariusza jakiejś sztuki — chyba Noëla Cowarda — poszła na aukcji w Sotheby's za cztery czy pięć tysięcy. Jak myślisz, ile ten może być wart?

Światło zmieniło się i samochód ruszył z miejsca. Runę nie od razu odpowiedziała. Dopiero po dłuższej chwili odparta: — Jak na razie jakieś dwieście trzydzieści tysięcy.

— Co proszę? — Richard uśmiechnął się niepewnie.

— A to jeszcze nie koniec.

Richard spojrział na Runę i gwałtownie zahamował.

Na jej kolanach piętrzyły się pliki banknotów. Wysoki stos dolarów spiętych banderolami, większych niż współczesne banknoty Rezerwy

Federalnej. Druk był ciemniejszy, a pieczęć na awersie wykonana granatową farbą. Na każdej banderoli staroświeckim pismem określono kwotę: *10.000 dolarów*. A pod spodem znajdował się napis: *Union Bank, Nowy Jork*.

— Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery... Chwileczkę... Trzydzieści osiem. Razy dziesięć to będzie trzysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów, mam rację? Zawsze byłam kiepska z matmy.

— Chryste Panie — wyszeptał Richard.

Za nimi trąbiły klaksony. Richard zerknął w lusterko, zjechał na prawo i zatrzymał się przy krawężniku, naprzeciwko budki z lodami.

— Nic z tego nie rozumiem... Skąd...?

Runę nie odpowiedziała. Przesuwała palcami po plikach banknotów, odtwarzając w myślach wspaniałą scenę ze „Śmierci na Manhattanie”, w której Dana Mitchell otwiera w banku walizkę z pieniędzmi. Kamera pokazuje na zmianę wyraz jego twarzy i paczki banknotów, które — specjalnie podświetlone — połyskują niczym drogocenne klejnoty.

— To Raoul Elliott — powiedziała po chwili. — Przygotowując dokumentację do filmu, musiał się dowiedzieć, gdzie został ukryty łup. Może naprawdę był zakopany na tym cmentarzu... — Ruchem głowy wskazała kościół. — Sporą część podarował parafii. To za jego pieniądze zbudowano tam dom aktora. Ksiądz wspomniał, że był dla nich bardzo hojny. Resztę Raoul zatrzymał i przeszedł na emeryturę.

Dwóch groźnie wyglądających nastolatków w dżinsach i podkoszulkach przeszło obok nich, rzucając ponure spojrzenia do wnętrza samochodu. Widząc to, Richard nachylił się nad kolanami Runę, zamknął drzwiczki od wewnątrz i zasunął szybę.

— Ej — zaprotestowała Runę — co ty wyprawiasz? Strasznie tu gorąco.

— Chcesz tak siedzieć z czterystoma tysiącami dolarów na kolanach w samym centrum Brooklynu? Zastanów się.

— Prawdę mówiąc, miałam inne plany. — Runę pokazała mu budkę z lodami. — Chciałam kupić sobie loda. Ty też chcesz?

Richard westchnął ciężko. — A może najpierw znajdziemy jakąś skrytkę bankową?

— Ale skoro już tu jesteśmy...

— Najpierw bank — powtórzył. — Proszę...

Jeszcze raz przesunęła dłonią po banknotach. Wzięła do ręki jeden plik. Był naprawdę ciężki. — A potem kupimy lody?

— Tony lodów. Jak chcesz, to mogą być nawet z posypką.

— Chcę.

Richard uruchomił silnik. Runę oparła się wygodnie. Śmiejąc się, rzuciła Richardowi ukradkowe, przebiegłe spojrzenia.

Nie mógł tego nie zauważyć. — Wyglądasz, jakbyś coś knuła. Co cię tak śmieszy?

— Znasz bajkę o czerwonej kurce?

— Nie. Opowiesz mi?

Stary dodge skręcił na Most Brooklyński i obrał kierunek wprost na wieże i zbrojne warownie Manhattanu, oblane krwistą czerwienią popołudniowego słońca. tRunę powiedziała: — Zaczyna się tak...

Nakładem **C&T**